

SERIAL, KTÓRY OGLĄDA CAŁY ŚWIAT

OPowieść Podręcznej

MARGARET ATWOOD

Margaret Atwood

Opowieść podręcznej

Z angielskiego przełożyła
Zofia Uhrynowska-Hanasz



Mary Webster i Perry'emu Millerowi

Rachela zaś widząc, że nie może dać Jakubowi potomstwa, zazdrościła swej siostrze i rzekła do męża: „Spraw, abym miała dzieci; bo inaczej przyjdzie mi umrzeć!”.

Jakub rozgniewał się na Rachelę i odparł:

„Czyż to ja, a nie Bóg, odmawiam ci potomstwa?”. Wtedy ona powiedziała: „Mam niewolnicę Bilhę. Zbliź się do niej, aby urodziła dziecię na moich kolanach; chociaż w ten sposób będę miała od ciebie potomstwo”.

Księga Rodzaju 30, 1–3

Co zaś do mnie, będąc znużony latami próżnego i czczego oferowania wizjonerskich pomysłów, straciwszy wszelką nadzieję na sukces, szczęśliwie wpadłem na taki projekt...

Jonathan Swift, Skromny projekt

Na pustyni nie ma znaku, który by mówił: „Nie będziesz jadł kamieni”.

Przysłowie sufickie

I

NOC

1

Spałyśmy w pomieszczeniu, które kiedyś musiało być halą sportową. Podłoga z lakierowanych desek, z liniami i kołami stanowiącymi pozostałość po dawnych rozgrywkach; obręcze po nieistniejących już siatkach do koszykówki. Dokoła balkon dla publiczności. Wydawało mi się, że jeszcze ciągle czuję słaby jak powidok, przenikliwy zapach potu, przemieszany ze słodkawym aromatem gumy do żucia i perfum, obserwujących rozgrywki dziewcząt, najpierw w filcowych spódnicach – jak wiedziałam ze zdjęć – potem w spódniczkach mini, potem w spodniach, wreszcie w jednym kolczyku i z postawionymi na sztorc, upstrzonymi zielenią włosami. Musiały tu się też odbywać tańce – w powietrzu wisiała muzyka niczym palimpsest niesłyszanego dźwięku – moda po modzie – pomruk bębnów, smętne zawodzenie, girlandy bibułkowych kwiatów, tekturowe diabły, obrotowa lustrzana kula prósząca na tancerzy śniegiem światła.

Sala zachowała jeszcze atmosferę seksu, samotności i wyczekiwania na coś, co nie miało ani kształtu, ani nazwy. Pamiętam ową tęsknotę za czymś, co już-już miało się stać, a nigdy nie było takie samo, jak ręce, które nas już gdzieś dotykały, z tyłu w talii, tutaj albo na parkingu, albo w pokoju telewizyjnym, przy wyłączonym dźwięku i tylko z obrazem migającym nad unoszącym się ciałem.

Tęskniłyśmy za przyszłością. Jak myśmy się tego nauczyły? Skąd nam się wzięła ta skłonność do nienasycenia? To było w powietrzu; było w powietrzu w dalszym ciągu, jak spóźniona myśl, nawiedzało nas, kiedy próbowaliśmy spać na wojskowych pryczach, ustawionych w rzędach, odsuniętych od siebie tak, żebyśmy nie mogły rozmawiać. Miałyśmy flanelowe prześcieradła, jak dzieci, i wojskowe przydziałowe koce, na których w dalszym ciągu widniały litery U.S. Składałyśmy porządnie ubranie i zostawiałyśmy na stołkach w nogach łóżek. Światła były przyćmione, ale niezgaszone całkowicie. Sypialnię patrolowały Ciotki Sara i Elizabeth; do pasków miały przywieszzone na rzemykach elektryczne pręty do popędzania bydła, ale żadnej broni – nawet im nie należało ufać. Pistolety były zarezerwowane dla strażników specjalnie wybranych spośród Aniołów. Strażnikom nie wolno było wchodzić do budynku, chyba że na wezwanie, nas zaś nie wypuszczano na zewnątrz, poza spacerami, które odbywałyśmy dwa razy dziennie, chodząc parami wokół boiska piłki nożnej ogrodzonego teraz siatką z drutem kolczastym. Dokoła tej siatki stali Aniołowie, odwrócenie do nas tyłem. Myślałyśmy o nich ze strachem, ale nie tylko. Bo gdyby tak spojrzeli w naszą stronę, gdyby tak z nimi porozmawiać, można by coś wymienić, myślałyśmy, ubić jakiś interes, zahandlować. Miałyśmy przecież jeszcze swoje ciała. Tak sobie fantazjowałyśmy.

Nauczyłyśmy się szeptać, prawie nie wydając dźwięku. W półmroku, kiedy Ciotki nie widziały, mogłyśmy wyciągnąć ręce poprzez dzielącą nas przestrzeń i dotykałyśmy się nawzajem. Nauczyłyśmy się czytać z ruchu warg – leżąc płasko na łóżku, z głowami odwróconymi na bok, obserwowałyśmy swoje usta. W ten sposób, od łóżka do łóżka, wymieniałyśmy imiona:

Alma. Janina. Dolores. Moira. June.

II

ZAKUPY

2

Krzesło, stół, lampa. W górze, na białym suficie, płaskorzeźba w kształcie wieńca – zagipsowana pustka, jak miejsce na twarzy, z którego usunięto oczy. Kiedyś musiał tu wisieć żyrandol. Usunęli wszystko, do czego można by przywiązać linę.

Okno, dwie białe zasłony. Pod oknem szeroki parapet z małą poduszką. Kiedy okno jest częściowo otwarte – a otwiera się tylko częściowo – wpada do pokoju powietrze i porusza zasłony. Mogę sobie wtedy usiąść na krześle czy na parapecie, z założonymi rękami, i patrzeć. Przez okno wpada także słońce, kładąc się na podłodze drewnianej, z wąskich desek, zapastowanej i wyfroterowanej do połysku. Czuję zapach pasty. Na podłodze leży też owalny dywanik utkany z gałganów. Lubią ten styl: sztuka ludowa, dawna, tworzona przez kobiety w wolnych chwilach z rzeczy już nieprzydatnych. Powrót do wartości tradycyjnych. Nie marnotraw, nie požądaj. Ja się nie marnuję; dlaczego jeszcze czegoś požądam?

Na ścianie, nad krzesłem obrazek, w ramce, ale bez szkła: reprodukcja przedstawiająca kwiaty, niebieskie irysy, akwarela. Kwiaty są w dalszym ciągu dozwolone. Zastanawiam się, czy każda z nas ma taką samą akwarelę, takie samo krzesło, takie same białe zasłony? Przydziałowe?

Wyobraźcie sobie, że jesteście w wojsku – mawiała Ciotka Lidia.

Łóżko. Pojedynczy materac średniej miękkości, przykryty białą, kudłatą narzutą. W tym łóżku na nic innego nie ma miejsca poza snem albo bezsennością. Staram się zbyt wiele nie myśleć. Jak wszystko inne, tak samo myśl musi być racjonowana. O wielu sprawach nie da się myśleć. Myślenie może zmniejszyć moje szanse, a ja chcę przetrwać. Wiem, dlaczego akwarela przedstawiająca niebieskie irysy nie ma szkła, dlaczego okno otwiera się tylko częściowo i dlaczego szyby w nim są nietłukące. Nie chodzi o uciezkę. I tak nie uciekłoby się zbyt daleko. Chodzi o te inne uciezki, które człowiek znajduje w sobie, jeśli tylko ma coś ostrego.

A więc. Pomijając te szczegóły, mógłby to być pokój gościnny jakiegoś college'u dla mniej ważnych gości; umeblowany pokój do wynajęcia z dawnych czasów, dla pań żyjących w skromnych warunkach. Tak jak my obecnie. W skromnych, co prawda, ale przynajmniej w jakichś warunkach.

Krzesło, słońce, kwiaty, to wszystko są rzeczy nie do pogardzenia. Jestem żywa, żyję, oddycham, wyciągam dłoń, wyprostowaną, do słońca. Miejsce, w którym przebywam, to nie więzienie, to przywilej, jak twierdziła Ciotka Lidia, która uwielbiała wszelkie tego typu dywagacje.

Dzwoni dzwonek, który odmierza czas. Bo tutaj czas odmierzają dzwonki, jak kiedyś w klasztorach. I jak w klasztorze jest tu niewiele luster.

Wstaję z krzesła, wysuwam w stronę słońca stopy w czerwonych pantoflach na płaskim obcasie, ze względu na kręgosłup – nie dlatego że wygodnie byłoby w nich tańczyć. Na łóżku leżą czerwone rękawiczki. Sięgam po nie i naciągam, palec po palcu. Wszystko, poza skrzydłami przy twarzy, jest czerwone – kolor

krwi, po którym się nas poznaje. Spódnice do kostek, pełne, marszczone, u góry prosty stanik zakrywający piersi, długie rękawy. No i białe przepisowe skrzydła: zasłaniają nam widok, ale i nas zasłaniają przed wzrokiem innych. Nigdy nie było mi dobrze w czerwonym, to nie mój kolor. Biorę koszyk na zakupy, wieszam go sobie na rękę.

Drzwi do pokoju – nie mojego pokoju, wzdramam się przed użyciem słowa „mój” – nie są zamknięte na klucz. W gruncie rzeczy w ogóle źle się zamykają. Wychodzę na wypastowany korytarz; przez środek biegnie chodnik w kolorze przykurzonego różu. Jak ścieżka w lesie, jak dywan dla członków rodziny królewskiej – wskazuje mi drogę.

Chodnik zakręca i spada w dół frontowymi schodami, a ja idę wraz z nim, z ręką na balustradzie, która kiedyś była drzewem, powalonym w innym wieku i wypolerowanym do ciepłego połysku. Dom jest późnowiktoriański, zbudowany dla dużej, zamożnej rodziny. W korytarzu wielki szafkowy zegar, który odmierza czas, a dalej drzwi do statecznego reprezentacyjnego salonu, pełnego aluzji i cielistych odcieni. Salon, w którym nigdy nie siedzę, tylko stoję albo klęczę. Na końcu korytarza, nad frontowymi drzwiami, jest półkoliste okienko z kolorowego szkła: kwiaty, czerwone i niebieskie.

Na ścianie korytarza ostało się lustro. Jeśli odwrócę głowę, tak że osłaniające moją twarz białe skrzydła skierują ku niemu mój wzrok, widzę je, schodząc na dół – okrągłe, wypukłe jak rybie oko, i siebie w nim, zniekształcony cień, parodię jakiejś postaci, baśniową istotę w czerwonym płaszczu, schodzącą ku chwili nieuwagi równoznacznej z niebezpieczeństwem. Siostra, skąpana w krwi.

U stóp schodów znajduje się zrobiony z giętego drewna stojak na parasolki i kapelusze. Długie toczony pręty w łagodnym kształcie młodych pędów paproci. Stoi tu kilka parasolek: czarna dla Komendanta, niebieska dla Żony Komendanta i trzecia, przeznaczona dla mnie, oczywiście czerwona. Nie biorę parasolki, przez okno widzę, że dzień jest słoneczny. Zastanawiam się, czy Żona Komendanta jest w salonie. Czasem słyszę, jak się przechadza tam i z powrotem: najpierw ciężki krok, potem lekki, a potem stuknięcie laski, stłumione przez szaroróżowy dywan.

Idę korytarzem, mijam salon i jadalnię, otwieram drzwi na samym końcu korytarza i wchodzę do kuchni. Tu już nie pachnie pastą do podłogi. Przy stole, pokrytym białą podpryskiwaną emalią, stoi Rita. Jest w swojej zwykłej sukience Marty, ciemnozielonej jak fartuchy chirurgów z poprzedniego czasu. Jej sukienka przypomina moją – jest tak samo długa i skromna, tyle że z fartuszkami, ale za to bez skrzydeł i woalki. Rita wkłada woalkę, wychodząc, ale nikogo w gruncie rzeczy nie obchodzi, czy kto widzi twarz Marty, czy nie. Rita ma rękawy podwinięte do łokci, które ukazują ciemne ręce. Robi chleb, rzucając bochenki do ostatecznego krótkiego wyrobienia i uformowania.

Rita widzi mnie i kiwa głową – trudno powiedzieć, czy to w geście powitania, czy też po prostu na znak, że mnie dostrzega; wyciera w fartuch umięzione ręce i grzebie w szufladzie w poszukiwaniu książki kuponów. Nachmurzona wrywa trzy i wręcza mi je. Jej twarz mogłaby nawet być miła, gdyby się uśmiechnęła. Ale mars na czole Rity nie dotyczy mnie osobiście: Rita nie znosi czerwonych sukienek i tego wszystkiego, co symbolizują. Uważa, że mogę być zaraźliwa, jak choroba czy pech.

Czasami podsłuchuję pod zamkniętymi drzwiami, co dawniej

byłoby nie do pomyślenia. Nie słucham długo, nie chcę, żeby mnie na tym przyłapano. Ale kiedyś usłyszałam, jak Rita mówiła do Cory, że nigdy by się tak nic poniżała.

– O takie rzeczy nie pytają – odparła Cora. – Ciekawe, co byś zrobiła na ich miejscu.

– Pojechałabym do Kolonii. Zawsze jest jakiś wybór.

– Z niekobietami, żeby tam umrzeć z głodu i Bóg jeden wie, co jeszcze? – powiedziała Cora. – Rozumiem.

Łuskały groch; przez niedomknięte drzwi dochodziło delikatne stukanie twardych kulek o metalową miskę. Usłyszałam mruknięcie czy też westchnienie Rity na znak protestu, choć może i zgody.

– W każdym razie robią to dla wszystkich – powiedziała Cora – a przynajmniej tak mówią. Gdybym nie miała podwiązanych jajowodów i gdybym była, powiedzmy, o dziesięć lat młodsza, to mogłabym to równie dobrze być ja. Nie jest tak źle. Trudno to nazwać ciężką pracą.

– Lepiej, że ona, niż gdybym to miała być ja – powiedziała Rita, i w tej samej chwili otworzyła drzwi. Miały takie miny, jakby Cię obgadywały za plecami i w pewnym momencie się zorientowały, że wszystko słyszałaś – zmieszane, ale jednocześnie trochę wyzywające, jakby miały do tego prawo. Tego dnia Cora była dla mnie miłsza niż zwykle, a Rita bardziej burkliwa.

Dziś, pomimo kamiennej twarzy Rity i jej zaciśniętych ust, chętnie bym została tu w kuchni. Mogłaby przyjść Cora z jakiegoś innego pomieszczenia, ze swoją butelką oleju cytrynowego i ścierką od kurzu, i Rita zrobiłaby kawę – w domach Komendantów pija się jeszcze prawdziwą kawę – i usiadłbyśmy sobie przy kuchennym stole Rity, który jest jej stołem w tym samym stopniu, w jakim mój

stół jest moim stołem, i gadałybyśmy sobie o dolegliwościach i bólach, o chorobach, o naszych stopach i plecach, i wszelkich możliwych figlach, jakie płatają nam – niby niesforne dzieciaki – nasze ciała. Kiwałybyśmy ze zrozumieniem głowami, że tak, że to wszystko znamy. Wymieniałybyśmy nazwy lekarstw i prześcigały się w kwękaniu; narzekałybyśmy ściszonymi głosami, w żałobnym, minorowym tonie – jak gołębie na dachu. „Wiem, o co ci chodzi” – powtarzałybyśmy – zupełnie tak jakbyśmy używały wyrażenia, które się czasem jeszcze słyszy u starszych ludzi: „Wiem, skąd pochodzisz”, jakby sam głos był podróżnikiem przybywającym z dalekich stron. Którym byłby, którym jest.

Jakżeż ja pogardzałam taką paplaniną. Teraz za nią tęsknię. Przynajmniej jest to jakaś rozmowa. Jakaś wymiana.

Albo byśmy plotkowały. Marty wiedzą różne rzeczy, rozmawiają między sobą, przekazując nieoficjalne wiadomości z domu do domu.

Z pewnością podsłuchują pod drzwiami jak ja i widzą niejedno, nawet kiedy odwracają wzrok. Czasem udawało mi się je na tym złapać, pochwycić strzępy ich prywatnych rozmów. „Urodziło się martwe”. Albo: „Przebiła jej brzuch drutem od robótek.

Najwyraźniej z zazdrości, tak, musiała ją pożerać zazdrość”. Albo: „Użyła płynu do czyszczenia klozetów. Podziałał jak czary.

I pomyśleć tylko, że on go spróbował. Musiał być bardzo pijany; ale i tak ją znaleźli”.

Albo pomagałabym Ricie w pieczeniu chleba, zagłębiając dłonie w miękkim, opornym cieple czegoś, co tak bardzo przypomina ciało. Mam silną potrzebę dotykania czegoś, co nie jest ani tkaniną, ani drewnem. Pragnę popełnić akt dotykania.

Ale nawet gdybym poprosiła, nawet gdybym miała w tym stopniu pogwałcić zasady, Rita i tak by się nie zgodziła. Bałaby się.

Martom nie wolno się z nami fraternizować.

Fraternizować, to znaczy zachowywać się jak brat. Łukasz mi to kiedyś wyjaśnił. Powiedział też, że brakuje odpowiedniego słowa na zachowanie się jak siostra. Musiałoby ono brzmieć: sororyzować, powiedział. Z łaciny. Interesował się takimi drobiazgami, jak pochodzenie słów, ich różne dziwne znaczenia. Przekomarzałam się z nim, nazywając go pedantem.

Biorę kupony z wyciągniętej ręki Rity; są na nich obrazki przedstawiające rzeczy, na które można je wymienić: tuzin jajek, kawałek sera i coś brunatnego, co ma być stekiem. Chowam kupony do zamykanej na suwak kieszeni w rękawie, gdzie trzymam też paszport.

– Powiedz im, że jajka mają być świeże – mówi Rita. – Nie takie jak ostatnim razem. I kurczak, a nie kura. Powiedz im, dla kogo bierzesz, to nie będą robiły numerów.

– Dobrze – odpowiadam. Nie uśmiecham się. Po co mam ją kusić do zawarcia przyjaźni.

3

Wychodzę kuchennymi drzwiami do ogrodu, który jest duży i zadbane: pośrodku trawnik, wierzba, długie bazy, po bokach rabaty z kwiatami – przekwitające już narcyzy i tulipany, które właśnie otwierają kielichy, zalewając wszystko dokoła powodzią barw. Tulipany są czerwone, ciemnopurpurowe bliżej łodygi, jakby je w tym miejscu ucięto i właśnie się goiły.

Ten ogród to domena Żony Komendanta. Widuję ją często przez moje okno z nietłukącą szybą, jak klęczy na poduszce, z jasnoniebieską woalką narzuconą na duży ogrodowy kapelusz, a obok niej stoi koszyk z sekatorem i kawałkami sznurka do podwiązywania roślin. Cięższe kopanie załatwia przydzielony Komendantowi strażnik; Żona Komendanta dyryguje nim, wskazując laską. Wiele Żon ma takie ogrody, przynajmniej jest o co dbać, czym rządzić, czym się zająć.

I ja kiedyś miałam ogród. Pamiętam jeszcze zapach świeżo skopanej ziemi, obłe kształty cebulek w ręku, pełność, suchy szelest nasion w palcach. W ten sposób czas by szybciej mijał. Bywa, że Żonie Komendanta wynoszą fotel i po prostu tak sobie siedzi w swoim ogrodzie. Z daleka przedstawia sobą obraz spokoju.

Teraz jej nie ma i zaczynam się zastanawiać, gdzie może być: nie lubię natykać się na nią niespodziewanie. Może szyje w salonie, trzymając lewą nogę wspartą na stolku z powodu artretyzmu. Albo

robi na drutach szaliki dla Aniołów z pierwszej linii frontu. Nie wydaje mi się, żeby Aniołom rzeczywiście takie szaliki były potrzebne; w każdym razie te, które robi Żona Komendanta, są zbyt wypracowane. Wzór składający się z krzyży i gwiazd, stosowany przez wiele Żon, to dla niej łatwizna. Na końcach jej szalików znajdują się rzędy orłów, jodeł czy też maszerują sztywne, człekokształtne postacie: chłopiec – dziewczynka, chłopiec – dziewczynka, chłopiec – dziewczynka. To nie są szaliki dla dorosłych mężczyzn, tylko dla dzieci.

Czasami myślę, że te szaliki w ogóle nie trafiają do Aniołów, że poprute i zwinięte w kłębki, przetwarzane są na coś nowego. Może chodzi o to, żeby Żony miały jakieś zajęcie, żeby czuły się potrzebne. Mimo wszystko jednak zazdroszczę Żonie Komendanta jej robótek na drutach: dobrze jest mieć przed sobą jakiś drobny, łatwo osiągalny cel.

A czego ona mnie zazdrości?

Nie odzywa się do mnie, chyba że musi. Jestem dla niej jak wyrzut, zło konieczne.

Po raz pierwszy stanęliśmy twarzą w twarz pięć tygodni temu, kiedy przybyłam do tej placówki. Strażnik z poprzedniego miejsca eskortował mnie do drzwi frontowych. W ciągu tych pierwszych dni wolno nam używać drzwi frontowych, potem każe się nam korzystać z kuchennych. Bo jeszcze nie wszystko jest jasne, jeszcze za wcześnie na oceny, jeszcze nikt nie wie, jaki będzie nasz status – czy zasługujemy na frontowe, czy tylko kuchenne.

Ciotka Lidia powiedziała, że godna jestem frontowych. Wasza pozycja jest honorowa, stwierdziła.

Strażnik zadzwonił do drzwi, ale zanimby ktoś zdążył usłyszeć i podejść, nawet szybko, otworzyły się do wewnątrz. Musiała

czekać za drzwiami. Spodziewałam się jakiejś Marty, ale to była ona – w swojej długiej bladoniebieskiej sukni – nie do pomylenia z nikim innym.

– Aha, to ty jesteś ta nowa – powiedziała. Nie odsunęła się na bok, żeby mnie przepuścić; stała w drzwiach, blokując przejście. Chciała mi dać odczuć, że bez jej przyzwolenia nie wejść do domu. Obecnie stało się to sprawą prestiżową.

– Tak – odparłam.

– Zostaw to na werandzie – powiedziała do strażnika, który niósł moją torbę. Torba była z czerwonego winylu, nieduża. Miałam jeszcze drugą, z zimowym płaszczem i grubszymi sukienkami, ale miała nadejść później.

Strażnik postawił moją torbę i zasalutował. A potem usłyszałam za sobą jego kroki, kiedy oddalał się chodniczkiem, i szcęk bramy. Poczułam się tak, jakby ktoś zabrał otaczające mnie opiekuńcze ramię. Próg nowego domu to miejsce samotne.

Odczekała, aż samochód zapali i odjedzie. Nie patrzyłam na jej twarz; patrzyłam na tę część jej postaci, którą mogłam widzieć ze spuszczoną głową: na błękitną talię, już nie smukłą, na lewą dłoń wspartą o gałkę laski z kości słoniowej, na wielkie brylanty zdobiące palec serdeczny, kiedyś zapewne szczupły, a i dziś jeszcze dobrze utrzymany i choć sękaty, zakończony starannie opiłowanym w łagodny łuk paznokciem. Ten paznokieć przy tym palcu był jak ironiczny uśmiech, jakby z niej szydził.

– Możesz wejść – powiedziała. Odwróciła się do mnie tyłem i pokuśtykała korytarzem. – I zamknij za sobą drzwi.

Wniosłam do środka czerwoną torbę, zapewne zgodnie z jej życzeniem, i zamknęłam drzwi. Nie odezwałam się do niej słowem. Ciotka Lidia uprzedziła mnie, że lepiej się nie odzywać, chyba że

pytają wprost. – Spróbuj się wczuć w ich sytuację – pouczała ze splecionymi rękami i z tym swoim nerwowym uśmiechem. – To nie jest dla nich łatwe.

– Tutaj – odezwała się Żona Komendanta. Kiedy weszłam do salonu, siedziała już w swoim Fotelu, z lewą nogą wspartą na stołku, wyścielonym poduszką z wyhaftowanym koszem róż. Obok na podłodze leżała przepięta drutami robótka.

Stałam przed nią z założonymi rękami.

– No więc – powiedziała. Wsadziła sobie do ust papierosa i zapaliła. Jej wargi wykrzywione grymasem wydawały się wąskie, porysowane cienkimi pionowymi kreskami, jak na reklamach szminek. Zapalniczka miała kolor kości słoniowej. Papierosy muszą pochodzić z czarnego rynku, pomyślałam, i napełniło mnie to nadzieją. Nawet teraz, kiedy pieniędzy właściwie już nie ma, nadal istnieje czarny rynek. Czarny rynek jest zawsze, bo zawsze jest coś, co można wymieniać. A zatem Żona Komendanta może być osobą, która obchodzi przepisy. Ale co ja mam do zaoferowania na wymianę?

Spojrzałam pożądlivie na papierosa. Dla mnie papierosy są, podobnie jak alkohol i kawa, zakazane.

– No, więc ze starym jak-mu-tam nie wyszło – powiedziała.

– Nie, proszę pani – odparłam.

Parsknęła, co miało przypominać śmiech, a następnie zakasłała.

– Miał pecha – rzekła. – To będzie twój drugi, tak?

– Trzeci, proszę pani.

– Dla ciebie to też nie jest takie dobre. – Znów parsknęła ni to śmiechem, ni to kaszlem. – Możesz usiąść. Ale to nie znaczy, że zawsze. Po prostu tym razem możesz.

Usiadłam na brzegu jednego z krzeseł o twardym oparciu. Nie

chciałam się rozglądać po pokoju, nie chciałam, żeby pomyślała, że nie okazuję jej dostatecznej uwagi, toteż marmurowy kominek na prawo, znajdujące się nad nim lustro i bukiety kwiatów były dla mnie tylko zarysami rejestrowanymi kątem oka. Później miałam aż nadto czasu, żeby sobie to wszystko dobrze obejrzeć.

Teraz jej twarz była na jednym poziomie z moją. Wydawało mi się, że ją poznaję; a przynajmniej wykrywam w niej coś znajomego. Spod woalki wystawała odrobina włosów – w dalszym ciągu blond. Wtedy pomyślałam sobie, że pewnie je tleni, że farba do włosów to kolejny artykuł zdobywany przez nią na czarnym rynku; teraz wiem, że jest naturalną blondynką. Brwi miała wyskubane w cienkie łuki, co nadawało jej twarzy wyraz nieustannego zdziwienia albo oburzenia, albo zaskoczenia, jak u przestraszonego dziecka, ale pod tymi brwiami jej powieki wydawały się zmęczone. Powieki, nie same oczy, które uderzały wrogim błękitem letniego nieba w pełnym blasku słońca, błękitem, który cię z miejsca eliminuje. Nos musiała mieć kiedyś zgrabny, ale teraz wydawał się za mały do jej twarzy, twarzy nie tyle tłustej, ile dużej. Z kącików ust wiodły w dół dwie bruzdy, między którymi broda wyglądała jak zaciśnięta pięść.

– Chciałabym cię widywać jak najmniej – powiedziała. – Sądzę, że to samo czujesz w stosunku do mnie.

Nic odpowiedziałam: potwierdzenie byłoby niegrzeczne, zaprzeczenie mogłoby oznaczać, że się stawiam.

– Wiem, że nie jesteś głupia – podjęła. Zaciągnęła się i wypuściła dym. – Widziałam twoje papiery. Dla mnie jest to po prostu zwykła transakcja. Ale pamiętaj: gdybym miała z tobą kłopoty, nie pozostanę ci dłużna. Zrozumiano?

– Tak, proszę pani.

– Nie mów do mnie „proszę pani” – zwróciła mi uwagę poirytowanym tonem. – Nie jesteś Martą.

Nie zapytałam jej, jak mam się do niej zwracać, ponieważ najwyraźniej miała nadzieję, że taka okazja się nie powtórzy. Byłam zawiedziona. Wyobrażałam sobie wtedy, że będę w niej miała starszą siostrę, opiekuńczego ducha, który mnie będzie rozumiał i chronił. W moim poprzednim miejscu Żona większość czasu spędzała w sypialni; Marty mówiły, że pije. Chciałam, żeby ta okazała się inna. Chciałam móc sobie wyobrazać, że w innym czasie i miejscu nawet bym ją lubiła. Ale już teraz było dla mnie jasne, że ani ja bym jej nic lubiła, ani ona mnie.

Zgasiła papierosa, na pół tylko wypalonego, w fantazyjnej popielniczce na stoliku z lampą. Zrobiła to w sposób zdecydowany: jedno przyciśnięcie i rozduszenie, zamiast serii delikatnych przyciśnień stosowanych przez inne Żony.

– A co do mojego męża – podjęła – to jest tym, kim jest. Moim mężem. Chciałabym, żeby to było całkowicie jasne. Dopóki śmierć nas nie rozłączy. Koniec, kropka.

– Tak jest, proszę pani – odparłam, zapominając się. Są takie lalki dla dziewczynek, które mówią za pociągnięciem sznureczka z tyłu; pomyślałam sobie, że mój głos tak właśnie musi brzmieć – jak monotonny głos lalki. Prawdopodobnie miała ochotę dać mi w twarz. Mają do tego prawo, jest precedens w Piśmie. Pod warunkiem że samą ręką.

– To jedna z tych rzeczy, o które walczyłyśmy – powiedziała Żona Komendanta, i nagle zdałam sobie sprawę, że na mnie nie patrzy, że patrzy na swoje kapiące od brylantów ręce, i w tym momencie uświadomiłam sobie, gdzie ją widziałam.

Po raz pierwszy widziałam ją w telewizji, kiedy miałam osiem

czy dziewięć lat. To było wtedy, kiedy matka odsypiała zaległości w niedzielne poranki. Wstawałam wcześnie, szłam do jej pokoju i zmieniając kanały, szukałam filmów rysunkowych. Czasem, jak nie mogłam nic znaleźć, oglądałam *Godzinę z Ewangelią*, gdzie opowiadano historie biblijne dla dzieci i śpiewano pieśni. Jedną z kobiet nazywano Sereną Joy. Była pierwszym sopranem.

Popielata blondynka, drobna, z zadartym noskiem i ogromnymi błękitnymi oczami, które, śpiewając, wznosiła do góry. Potrafiła jednocześnie uśmiechać się i płakać – jedna czy dwie łzy spływały jej z wdziękiem jak na zamówienie, kiedy bez wysiłku brała najwyższe tony. Dopiero potem zajęła się innymi sprawami.

Siedząca przede mną kobieta to Serena Joy. Albo była nią kiedyś. A więc jest gorzej, niż myślałam.

4

Idę żwirowaną ścieżką, która dzieli trawnik równo jak przedziałek. W nocy padało; trawa po obu stronach jest mokra, w powietrzu wilgoć. Tu i ówdzie widać dżdżownice – dowód żyzności ziemi – zaskoczone przez słońce, na pół martwe; elastyczne i różowe jak usta.

Otwieram furtkę ze sztachet i mijając frontowy trawnik, idę dalej, do bramy głównej. Na podjeździe jeden z przydzielonych nam Strażników myje samochód. To znaczy, że Komendant jest w domu, w swojej części mieszkania, w głębi za jadalnią, gdzie spędza większość czasu.

Samochód jest luksusowy, tornado, lepszy od rydwanu, znacznie lepszy od przysadzistego, praktycznego behemota. Jest oczywiście czarny – kolor prestiżowy lub pogrzebowy – długi i smukły. Szofer z wielką miłością pucuje go irchą. To się przynajmniej nie zmieniło: pełen miłości stosunek mężczyzn do dobrych samochodów.

Ma na sobie mundur strażnika, ale czapkę włożoną na bakier, zawadiacko, i rękawy podwinięte do łokci – widać smagłe ręce, porośnięte ciemnymi włoskami. W kąciku jego ust tkwi papieros – najwidoczniej i on ma co wymienić na czarnym rynku.

Wiem, jak ten mężczyzna ma na imię: Nick. Wiem, bo słyszałam, jak rozmawiały o nim Rita z Corą, kiedyś znów słyszałam, jak mówił do niego Komendant: „Wóz mi nie będzie

potrzebny, Nick”.

Nick mieszka tu na miejscu, nad garażem. Ma niski status: nie przydzielono mu kobiety, ani jednej. Nie kwalifikuje się, ma jakiś defekt, może zresztą brak mu znajomości. Ale zachowuje się tak, jakby o tym nie wiedział albo jakby było mu wszystko jedno. Jest zbyt naturalny, za mało służalczy. Może to głupota z mojej strony, ale ja wcale tak nie myślę. Coś mi tu śmierdzi, jak to się mówi: czuję pismo nosem. Mimo woli zaczynam się zastanawiać, jak on może pachnieć. Pachnieć – nie śmierdzieć. Może na przykład pachnieć jak wyprawiona skóra, zmoczona, w słońcu, przesiąknięta dymem. Wzdycham, wciągając powietrze.

Spogląda na mnie i widzi, że na niego patrzę. Ma twarz francuską, pociągłą, kapryśną, same płaszczyzny i kąty, z bruzdami wokół ust, powstałymi od uśmiechu. Po raz ostatni zaciąga się papierosem, rzuca go na ziemię, przydeptuje. Zaczyna pogwizdywać, a następnie mruga do mnie porozumiewawczo.

Spuszczam głowę i odwracam się tak, żeby białe skrzydła zasłoniły mi twarz; idę dalej. Zaryzykował, ale po co? A gdybym tak na niego doniosła?

Może po prostu chciał mi okazać życzliwość? Może zauważył wyraz mojej twarzy i źle go zrozumiał? A mnie po prostu chodziło o papierosa.

Może to była próba – żeby zobaczyć, jak się zachowam.

Może jest Okiem.

Otwieram bramę frontową i zamykam ją za sobą, patrząc w dół, byle nie za siebie. Chodnik jest z czerwonej cegły. Oto krajobraz, na którym się skupiam: pole prostokątów, lekko pofałdowane tam, gdzie przez całe dziesięciolecia działania zimowych mrozów pozapadała się ziemia. Cegły są stare, a jednak świeże i czyste.

Chodniki są znacznie lepiej utrzymane niż dawniej.

Dochodzę do rogu i czekam. Zawsze czekanie było dla mnie trudne. „Czekać, stać, to przecie też służba”^[*] – mawiała Ciotka Lidia. Wbiła nam to do głowy. Mówiła także: nie wszystkie to wytrzymacie. Niektóre upadną na twardą ziemię albo w ciernie. Niektóre z was są słabo zakorzenione. – Miała na policzku pieprzyk, który poruszał się w górę i w dół, kiedy mówiła. – Pomyślcie o sobie jako o nasionach. – W tym miejscu jej głos nabierał miękkich, konfidenjalnych tonów, jakby była nauczycielką tańca, która mówi dzieciom: „A teraz podnosimy ręce do góry i udajemy, że jesteśmy drzewami”.

Stoję na rogu, udając, że jestem drzewem. Ceglanym chodnikiem zbliża się do mnie postać – czerwona, z białymi skrzydłami przy twarzy, postać podobna do mnie, nijaka kobieta ubrana na czerwono, z koszykiem. Podchodzi bliżej, wpatrujemy się w siebie nawzajem, posyłając spojrzenia białymi tunelami płótna otaczającego nasze głowy. Tak, to ta.

– Niech będzie błogosławiony owoc – wypowiada formułę przyjętego wśród nas pozdrowienia.

– Niech Bóg otworzy – brzmi właściwa odpowiedź. Odwracamy się i razem idziemy wzdłuż dużych domów, w stronę centrum miasta. Wolno nam tam chodzić tylko parami. Jakoby dla naszego bezpieczeństwa, chociaż to absurd, i tak jesteśmy dobrze strzeżone. A prawda jest taka, że ona ma szpiegować mnie, a ja ją. Jeśli któraś z nas wymknie się z sieci z powodu czegoś, co się zdarzyło podczas jednego z naszych codziennych spacerów, odpowiada za nią tamta druga.

Ta kobieta jest moją partnerką od dwóch tygodni. Nie mam pojęcia, co się stało z poprzednią. Po prostu pewnego dnia się nie

zjawiła, a na jej miejsce przysłała ta. O takie rzeczy na wszelki wypadek nie pytamy, lepiej nie wiedzieć. A zresztą i tak nikt by nam nie powiedział.

Nowa dziewczyna jest trochę pulchniejsza ode mnie. Ma piwne oczy. Nazywa się Glena, i to jest wszystko, co o niej wiem. Idzie ponuro, ze wstydliwie spuszczoną głową, z dłońmi w czerwonych rękawiczkach splecionymi przed sobą, stawiając drobne kroczki jak tresowana świnka chodząca na zadnich nogach. Podczas naszych spacerów jeszcze nigdy nie powiedziała nic takiego, co by nie było ściśle ortodoksyjne – ja też nie. Może jest naprawdę wierząca, Podręczna nie tylko z nazwy. Nie będę ryzykować.

– Podobno wojna idzie dobrze – mówi.

– Dzięki Bogu – odpowiadam.

– Mamy dobrą pogodę.

– Napawa mnie to radością.

– Od wczoraj pokonali kolejnych rebeliantów.

– Dzięki Bogu – odpowiadam. Nie pytam jej, skąd wie. – A co to byli za jedni?

– Baptyści. Mieli swój bastion w Blue Hills. Wykurzyli ich stamtąd.

– Dzięki Bogu.

Czasami marzę o tym, żeby się po prostu zamknęła i pozwoliła mi iść w spokoju. Ale jestem zachłanna na wiadomości, jakiegokolwiek, nawet fałszywe, bo i one muszą coś znaczyć.

Doszliśmy do pierwszej zapory, która przypomina zapory ustawiane na drogach podczas jakichś prac remontowych czy robót kanalizacyjnych: drewniane krzyżaki, pomalowane w żółto-czarne paski. I czerwony sześciokąt: Stop. Koło wejścia są latarnie, teraz niezapalone, bo jeszcze za wcześnie. Nad nami, wiem o tym dobrze,

umocowano na słupach telefonicznych reflektory – na wszelki wypadek, a po obu stronach drogi, w budkach, są mężczyźni z karabinami maszynowymi. Ani reflektorów, ani tych budek nie widzę z powodu skrzydeł przy twarzy; po prostu wiem, że tam są.

Za zaporą, przy wąskim przejściu, czeka na nas dwóch mężczyzn w zielonych mundurach strażników wiary z emblematami na ramionach i beretach: dwa skrzyżowane miecze nad białym trójkątem. Strażnicy nie są właściwymi żołnierzami. Używa się ich do rutynowych czynności policyjnych i różnych posług, jak na przykład kopanie ogródka Żony Komendanta. Są to przeważnie ci głupsi, starsi czy niepełnosprawni albo bardzo młodzi, nie licząc naturalnie występujących incognito Oczu.

Ci dwaj są bardzo młodzi: jeden ma jeszcze puch pod nosem, drugi trądzik młodzieńczy. Ich młodość jest wzruszająca, ale wiem, że nie należy się dać temu zwieść. Ci młodzi są często niebezpieczni – najbardziej fanatyczni, najbardziej skorzy do strzelania. Jeszcze nie wiedzą, co to istnienie w czasie. Trzeba z nimi ostrożnie.

W ubiegłym tygodniu zastrzelili kobietę, mniej więcej właśnie tutaj. Była Martą. Szukała w sukni przepustki, a oni myśleli, że sięga po bombę. Wzięli ją za mężczyznę w przebraniu. Zdarzały się takie wypadki.

Rita i Cora знаły tę kobietę. Słyszałam, jak rozmawiały o tym w kuchni.

– No cóż, zrobili, co do nich należało – powiedziała Cora. – Pilnują naszego bezpieczeństwa.

– Nic bezpieczniejszego od trupa – rzekła ze złością Rita. – Pilnowała swojego nosa. Nie mieli powodu strzelać.

– To był wypadek – powiedziała Cora.

- Wypadki się nie zdarzają. Wszystko jest zamierzone. – Słyszałam, jak łomocze garnkami w zlewie.
- Tak czy siak, ktoś się dobrze zastanowi, zanim wysadzi ten dom w powietrze – rzuciła Cora.
- Ale mimo wszystko – rzekła Rita – ona ciężko pracowała. I taka okropna śmierć.
- Mogę sobie wyobrazić gorszą. Przynajmniej była szybka.
- To prawda. Ale ja bym na przykład woląla mieć trochę czasu – orzekła Rita – na pozałatwianie swoich spraw.

Dwaj młodzi strażnicy salutują nam, unosząc do beretu trzy palce. Tyle się nam należy. Mają nam okazywać szacunek z uwagi na charakter naszej służby.

Wyjmujemy przepustki z zamykanych na suwaki kieszeni, wszytych w szerokie rękawy. Sprawdzono je i ostemplowano. Jeden z mężczyzn idzie do prawej budki, żeby podać do komputera nasze numery.

Oddając mi przepustkę, strażnik z jasnym wąsikiem pochyła głowę tak, żeby zajrzeć mi w twarz. Unoszę głowę nieznacznie, żeby mu to ułatwić: widzi moje oczy, ja widzę jego – rumieni się. Ma twarz długą i ponurą, jest w niej coś z owcy, ale oczy, duże, wypukłe, przypominają oczy psa – nie owczarka, lecz spaniela. Cera jasna i aż niezdrowo delikatna kojarzy mi się ze świeżą skórką pod strupem. Mimo to mam ochotę położyć na niej dłoń, na tej wystawionej do mnie twarzy. On pierwszy odwraca oczy.

To w końcu jakieś wydarzenie, niewielkie naruszenie przepisów, tak małe, że aż niemożliwe do wykrycia, ale są to moje osobiste drobne przyjemności – zachowuję je dla siebie, jak w dzieciństwie cukierki, które oszczędzałam, chowając w głębi szuflady. Takie chwile to okazje, drobne szczelinki.

A gdybym tak przyszła nocą i on był na służbie sam – chociaż w ich przypadku jest to nie do pomyślenia – i gdybym go wpuściła dalej za osłonę moich skrzydeł? Albo gdybym tak zrzuciła z siebie tę czerwoną suknię i ukazała się mu – im – w niepewnym świetle latarni? Muszą im czasem przychodzić do głowy takie myśli, kiedy tak sterczą godzinami przy tej zaporze, przez którą przepuszczają tylko Komendantów Wiernych w ich długich, czarnych, mrujących limuzynach, ich niebieskie Żony, na biało zawołowane córki, pilnie uczęszczające na uroczystości Wybawienia czy Modliwile, przysadziste zielone Marty, chodzące pieszo czerwone Podręczne, a od czasu do czasu jakiś porodomobil czy czarną furgonetkę z białym uskrzydłonym okiem na boku. Szyby w takiej furgonetce są przydymione, a siedzący z przodu mężczyźni noszą ciemne okulary: podwójne zaciemnienie.

No i te furgonetki są naturalnie cichsze od innych samochodów. Kiedy przejeżdżają, odwracamy oczy. Jeżeli ze środka dochodzą jakieś odgłosy, staramy się ich nie słyszeć. Nikt nie ma nerwów ze stali.

Kiedy taka czarna furgonetka dojeżdża do punktu kontroli, strażnicy tylko machają rękami i wóz przejeżdża bez zatrzymywania się. Żaden strażnik, obojętne, co sobie pomyśli, nie odważy się zajrzeć do środka, przeszukać takiego wozu czy zakwestionować jego praw. Jeżeli w ogóle myśli, bo tak na oko trudno to stwierdzić.

Ale najprawdopodobniej ludziom tym nawet nie przychodzi na myśl ubranie porzucone na trawniku. Jeśli wyobrażają sobie pocałunek, to kojarzy im się on z natychmiastowym blaskiem reflektorów i strzałami karabinowymi. Dlatego myślą głównie o robieniu tego, co do nich należy, i o awansie na Aniołów,

o pozwoleniu na zawarcie małżeństwa, a następnie, jeśli zyskają odpowiednią pozycję i dożyją, o tym, że doczekają się przydziału własnej Podręcznej.

Ten z wąsikami otwiera małą furtkę dla pieszych i, zszedłszy nam z drogi, staje daleko od nas, żebyśmy mogły przejść. Kiedy odchodzimy, wiem, że nas obserwują ci dwaj mężczyźni, którym jeszcze nie wolno dotknąć kobiety. Dotykają nas wzrokiem, dlatego kręcę nieznacznie biodrami, zamiatając moją szeroką czerwoną spódnicą. Przypomina to granie na nosie z za płotu czy drażnienie psa kością, wstydę się więc tego sama przed sobą, bo przecież oni niczemu nie zawinili, są jeszcze za młodzi.

Szybko jednak uświadamiam sobie, że mimo wszystko wcale mi nie wstyd.

Poczucie władzy sprawia mi przyjemność; władzy kości nad psem, biernej, ale przecież władzy. Mam nadzieję, że im staje na nasz widok i że muszą się potem ukradkiem onanizować o te malowane barierki. A później, w nocy, cierpią, leżąc na swoich pryczach. Nic mają teraz żadnego ujścia dla swoich żądz poza samymi sobą – a to jest świętokradztwo. Nie ma już żadnych pism, filmów, żadnych środków zastępczych; tylko ja i mój cień oddalający się od dwóch mężczyzn ustawionych sztywno na baczność przy tej zaporze i obserwujących nasze znikające sylwetki.

[*] John Milton, *Sonet On His Blindness*. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

5

Idę ulicą – podwojona. Chociaż nie jesteśmy już na terenie należącym do Komendanta, i tu widzimy duże domy. Przed jednym z nich strażnik strzyże trawnik. Trawniki są dobrze utrzymane, domy eleganckie, w dobrym stanie – przypominają piękne zdjęcia z ilustrowanych magazynów poświęconych domom, ogrodom i dekoracji wnętrz. Uderza ten sam brak ludzi, ta sama martwota. Ulica jest prawie jak muzeum, przywodzi na myśl makietę miasta ukazującą, jak mieszkało w dawnych czasach. I tak jak na tych ilustracjach, w tych muzeach i makietach, brak dzieci.

Jesteśmy w samym sercu Gileadu – tu wojnę widzi się tylko w telewizji. Gdzie są granice – tego nie wiemy, zmieniają się one w zależności od wyników ataków i kontrataków; w każdym razie to jest centrum, gdzie nie ma żadnego ruchu. Republika Gileadu, powiedziała Ciotka Lidia, nie ma granic. Gilead jest w was.

Kiedyś żyli tu lekarze, prawnicy, profesorowie uniwersytetu. Prawników już nie ma, uniwersytet jest zamknięty.

Czasem chodziłam po tych ulicach z Łukaszem. Lubiliśmy sobie głośno marzyć, że kupimy kiedyś jeden z tych domów, stary i duży, i że go sobie urządzimy. Będziemy mieli ogród z huśtawkami dla dzieci. Bo chcieliśmy mieć dzieci. Choć wiedzieliśmy, że na pewno nie będzie nas na to stać; po prostu traktowaliśmy to jak zabawę, lubiliśmy sobie pogadać. Taka wolność wydaje się teraz niemal

nieważka.

Skrećamy za róg, w główną ulicę, gdzie ruch jest już większy. Jeżdżą samochody, przeważnie czarne, niektóre szare albo brązowe. Są też kobiety z koszykami, jedne ubrane na czerwono, inne w ciemną zieleń Mart, jeszcze inne w pasiaste czerwono-niebiesko-zielone sukienki, tanie, kuse, przynależne kobietom biedniejszych mężczyzn. Gospożony, jak się je nazywa. Wśród nich nie ma podziału funkcji. Muszą robić wszystko – jeśli mogą. Czasem trafi się kobieta w czerni – wdowa. Dawniej było ich więcej, ale wygląda na to, że liczba wdów maleje.

Żon Komendantów nie widuje się na ulicach – jeżdżą samochodami.

Chodniki są tu z betonu. Jak dziecko unikam stąpienia na szczelinę. Na tych chodnikach przypominają mi się moje nogi z czasu poprzedniego, i to, co na nich nosiłam. Czasem były to buty do biegania, z miękkimi wyściółkami, dziurkami dla przewiewu i gwiazdkami z materiału odblaskowego, który odbijał światło w ciemności. Chociaż nigdy nie biegałam w nocy, a i w dzień tylko poboczami uczęszczanych dróg.

Kobiety nie były wtedy chronione.

Pamiętam obowiązujące w tamtych czasach reguły, wprawdzie niepisane, ale reguły, które każda kobieta znała na pamięć: nigdy nie otwieraj drzwi obcemu, nawet jeśli twierdzi, że to policja. Niech ci wsunie pod drzwiami dowód tożsamości. Nigdy nie zatrzymuj się na drodze, żeby udzielić pomocy kierowcy, który jakoby jest w kłopotcie. Patrzyć przed siebie i iść dalej. Jeśli ktoś zagwiżdże, nie odwracaj się. Nigdy nie chodź do pralni sama, wieczorem.

Przypomniały mi się te automaty pralnicze. Co ja tam wtedy zносиłam: szorty, dżinsy, dresy. Co ja do nich wkładałam: własne

ubranie, własne mydło, własne przez siebie zarobione pieniądze. Na co mogłam sobie wtedy pozwolić.

Teraz chodzimy tą samą ulicą, czerwonymi parami, żaden mężczyzna nie wykrzykuje za nami świństw, nie zaczepia nas, nie dotyka. Nikt nie gwizdże.

Jest więcej niż jeden rodzaj wolności, powiedziała Ciotka Lidia. Wolność czegoś i wolność od czegoś. W czasach anarchii panowała wolność czegoś. Teraz zostałyście obdarzone wolnością od czegoś. Chciałabym, żebyście to doceniały.

Przed nami na prawo znajduje się sklep, w którym zamawiamy sukienki. Niektórzy nazywają je habitami. Dobre określenie. Na froncie sklepu widnieje wielka drewniana lilia w kolorze złocistym, bo też i sklep nazywa się „Polne Lilie”. Pod drewnianym kwiatem widać jeszcze miejsce, gdzie te słowa zostały zamalowane, kiedy zdecydowano, że nawet nazwy sklepów to dla nas zbyt wielka pokusa. Teraz rozpoznajemy je tylko po symbolach.

Dawniej „Lilie” to było kino. Chodziło tam dużo studentów; co wiosnę odbywał się festiwal filmów z Humphreyem Bogartem, a także z Lauren Bacall czy Katharine Hepburn, kobietami niezależnymi, które same o sobie decydowały. Nosiły bluzki zapinane z przodu na guziki, co sugerowało różne możliwości zawarte w słowie „rozpięta”. Te kobiety mogły być albo rozpięte, albo nie. Mogły wybierać. My też mogłyśmy wybierać – wtedy. Byliśmy, jak stwierdziła Ciotka Lidia, społeczeństwem ginącym z nadmiaru wyboru.

Nie wiem, kiedy się te festiwale skończyły. Musiałam być już dorosła. Po prostu nie zauważyłam.

Ale my nie idziemy pod „Lilie”. Przechodzimy na drugą stronę ulicy i zapuszczamy się w przecznicę. Najpierw zatrzymujemy się

przed następnym drewnianym znakiem: trzy jajka, pszczoła, krowa.

„Mlekiem i Miodem”. Jest kolejka, więc się w niej ustawiamy, para za parą. Widzę, że dziś są pomarańcze. Od kiedy Ameryka Środkowa dostała się w ręce Libertheos, rzadko kiedy bywają w sprzedaży: czasem są, a czasem ich nie ma. Z powodu wojny zdarzają się kłopoty z dostawami pomarańczy z Kalifornii, a i na Florydzie nie można polegać, kiedy drogi są zablokowane albo szyny kolejowe wysadzone w powietrze. Patrzę na pomarańcze – marzę o nich. Ale nie wzięłam ze sobą żadnych kuponów na pomarańcze. Chyba wrócę i powiem Ricie, będzie zadowolona. A dla mnie to też coś, zawsze jakaś drobna zasługa – że się przyczynię do załatwienia pomarańczy.

Te, co się już dostały do lady, wręczają swoje kupony dwóm mężczyznom w mundurach strażników, stojącym za kontuarem. Nikt nic nie mówi, chociaż słychać szuranie i głowy kobiet obracają się ukradkiem w obie strony: tutaj podczas zakupów można spotkać kogoś znajomego, kogoś z czasu poprzedniego czy z Czerwonego Centrum. Widok takiej twarzy podnosi na duchu. Gdybym tak na przykład mogła zobaczyć Moirę, po prostu tylko zobaczyć, przekonać się, że jeszcze żyje. Dziś trudno sobie wyobrazić, że można mieć przyjaciółkę.

Ale towarzysząca mi Glena nie patrzy na boki. Może już nikogo nie zna. Może te wszystkie kobiety, które znała, już znikły. A może nie chce, żeby ją widziano. Stoi w milczeniu, ze spuszczoną głową.

Kiedy tak czekamy w naszej podwójnej kolejce, otwierają się drzwi i wchodzi jeszcze dwie kobiety, obie w czerwonych sukienkach i białych skrzydłach Podręcznych. Jedna z nich jest w zaawansowanej ciąży; pod luźną suknią triumfalnie sterczy jej

brzuch. W sklepie rozlega się szuranie, tu i ówdzie słyhać szepty czy westchnienia; mimo woli odwracamy głowy, bezczelnie, żeby lepiej widzieć; swędzą nas palce, żeby jej dotknąć. Obecność ciężarnej ma dla nas moc magiczną, jest ona przedmiotem zazdrości i pożądania, patrzymy na nią z zawiścią. To coś w rodzaju zatkniętej na szczycie flagi, która nam pokazuje, że nie wszystko stracone – że i my możemy być uratowane.

Kobiety szepczą, niemal rozmawiają – tak wielkie jest ich podniecenie.

– Która to? – słyszę za sobą.

– Wayne’a. Nie, Warrena.

– Ale się obnosi. – Ten głos przypomina syk. I to jest prawda.

Kobieta w tak zaawansowanej ciąży nie musi wychodzić, nie musi robić zakupów. Codzienny spacer w celu wzmocnienia mięśni podbrzusza już nie jest wskazany. Jej są już potrzebne tylko ćwiczenia parterowe, ćwiczenie oddechu. Mogłaby siedzieć w domu. Wychodzenie jest poza tym dla niej niebezpieczne, na pewno przed drzwiami czeka na nią strażnik. Teraz, jako nosicielka życia, jest bardziej narażona i wymaga szczególnej ochrony. Zazdrość to groźna siła, bywały wypadki. Dzieci są teraz pożądane, ale nie przez wszystkich.

Ten spacer może być po prostu jej kaprysem, a takie kaprysy bywają zaspokajane, kiedy sprawy zajdą już tak daleko i nie ma poronienia. Albo może to jedna z tych, co to „Proszę bardzo, możecie na mnie zwalić wszystko, zniosę i to” – męczennica. Widzę jej twarz, kiedy ją unosi, żeby się rozejrzeć. Ten głos za moimi plecami miał rację. Przyszła się pochwalić. Dosłownie promienieje, cała w kolorach, widać, że się tym napawa.

– Cisza – mówi jeden ze stojących za ladą strażników

i uspokajamy się jak uczennice.

Dochodzimy z Gleną do lady. Wręczamy nasze kupony. Jeden ze strażników wprowadza ich numery do komputera, podczas gdy drugi wręcza nam produkty: mleko i jajka. Wkładamy je do koszyków i wychodzimy, mijając ciężarną i jej partnerkę, która przy niej robi wrażenie chudej i mizernej, jak my wszystkie. Brzuch kobiety ciężarnej jest jak wielki owoc. Beka – słowo z czasów mojego dzieciństwa. Jej ręce spoczywają na tym brzuchu jakby w geście obrony albo jak gdyby coś z niego czerpały – ciepło i siłę.

Kiedy ją mijam, patrzy na mnie wprost, zagląda mi w oczy – wiem, kim jest. Była ze mną w Czerwonym Centrum; to jedna z pupilek Ciotki Lidii. Nigdy jej nie lubiłam. W poprzednim czasie miała na imię Janina.

Janina spogląda na mnie, a następnie w kącikach jej ust pojawia się lekki, wymuszony uśmiezek. Patrzy w dół, tam gdzie czerwona sukienka kryje mój płaski brzuch; białe skrzydła przysłaniają jej twarz. Widzę jedynie skrawek czoła i różowy czubek nosa.

Potem idziemy do sklepu „Wszelkie Ciało”, nad którym widnieje ogromny drewniany kotlet schabowy zawieszony na dwóch łańcuchach. Tu nie ma wielkiej kolejki: mięso jest drogie i nawet Komendanci nie jedzą go codziennie. Mimo to Glena kupuje stek, i to już po raz drugi w tym tygodniu. Powiem o tym Martom – chętnie takich rzeczy słuchają. Interesują się tym, jak są prowadzone inne domy; takie plotki to źródło drobnych satysfakcji czy powód niezadowolenia.

Biorę kurczaka zapakowanego przez rzeźnika w papier i zawiązanego sznurkiem. Niewiele jest już teraz rzeczy z plastiku.

Pamiętam te niezliczone białe torby z domów towarowych; żal mi je było wyrzucać, więc je upychałam pod zlewozmywakiem aż do chwili, kiedy się ich robiło za dużo i po otwarciu szafki wypadały na podłogę. Łukasz się złościł i od czasu do czasu wszystkie te torby wyrzucał.

Przecież mogłaby sobie taką torbę założyć na głowę, mówił. Wiesz, jakie dzieci mają pomysły. Ona tego nigdy nie zrobi, odpowiadałam. Jest na to za duża, za mądra, czy też – spokojna głowa, nic takiego się nie stanie. Ale na myśl o tym przechodził mnie dreszcz i wyrzucałam sobie lekkomyślność. To prawda, zbyt wiele przyjmowałam za rzecz oczywistą, wierzyłam w szczęście – wtedy. Będę je trzymała na wyższej półce, mówiłam. W ogóle ich nie trzymaj, odpowiadał. Nigdy ich do niczego nie używamy. Do śmieci – ja na to. On na to...

Nie tu, nie teraz. Nie kiedy ludzie patrzą. Odwracam się i widzę swoją sylwetkę w szybie wystawowej. A zatem wyszliśmy ze sklepu, jesteśmy na ulicy.

Zbliża się do nas grupa osób. Wygląda na to, że turyści z Japonii, być może delegacja handlowa – zwiedzają zabytki czy poznają koloryt lokalny. Są maleńcy i wyposażeni w doskonałe aparaty fotograficzne, wszyscy się uśmiechają. Rozglądają się ożywieni, przechylając na bok głowy jak drozdy; w tym ich radosnym nastroju jest coś tak agresywnego, że muszę się na nich gapić. Dawno już nie widziałam tak krótkich spódnic u kobiet. Sięgają ledwie za kolano, ukazując nogi, niemal gołe, tylko w cieniutkich pończochach, wyzywające; ich pantofle na wysokich obcasach, przymocowane paskami do nóg, przypominają delikatne narzędzia tortur. Kobiety kuśtykają na swoich ostro zakończonych nogach jak na szczudłach, z trudem łapiąc równowagę. Wygięte w pasie,

mają wypięte pośladki, a głowy gołe, dzięki czemu widać włosy w całej ich zmysłowej czerni. Wilgotne czeluście ust, obrysowane czerwoną szminką, przypominają gryzmoły na ścianach klozetów z czasu poprzedniego.

Zatrzymuję się. Glena przystaje koło mnie i wiem, że ona też nie może oderwać oczu od tych kobiet. Jesteśmy zafascynowane, ale jednocześnie wydają nam się odrażające. Robią wrażenie rozebranych. Tak niewiele czasu wystarczyło, żeby zmienić naszą świadomość w tych sprawach.

A potem przyszła myśl: przecież ja też się tak ubierałam. To była wolność.

Westernizacja – tak się to nazywało.

Japońscy turyści zbliżają się do nas, poćwierkując; odwracamy głowy, ale za późno: widzieli nasze twarze.

Towarzyszy im tłumacz w obowiązkowym granatowym garniturze, w krawacie w czerwony rzucik, ze szpilką z uskrzydłonym okiem. Występuje z grupy, zachodząc nam drogę. Turyści tłoczą się za nim, jeden z nich unosi aparat fotograficzny.

– Przepraszam – zwraca się do nas tłumacz, dość grzecznie. – Pytają, czy mogą zrobić paniom zdjęcia.

Patrzę w chodnik i potrząsam głową na znak, że nie. Nie mogą zobaczyć nic poza białymi skrzydłami, skrawkiem twarzy, brodą i kawałkiem ust. W każdym razie nie oczy. Nie jestem taka głupia, żeby spojrzeć w twarz tłumaczowi. Większość tłumaczy to Oczy, a przynajmniej tak się uważa.

Nie jestem też taka głupia, żeby się zgodzić. Skromność to niewidzialność, mówiła Ciotka Lidia. Pamiętajcie. Być widzianą – być widzianą – tu głos jej drżał – to znaczy być przenikniętą. A wy, dziewczęta, musicie być nieprzeniknione. – Nazywała nas

dziewczętami.

Stojąca obok mnie Glena też milczy. Włożyła głęboko w rękawy dłonie w czerwonych rękawiczkach, żeby je ukryć.

Tłumacz odwraca się z powrotem do grupy i coś tam do nich ćwierka staccato. Wiem, co im powie, znam tę śpiewkę. Powie im, że tutejsze kobiety mają inne obyczaje, że oglądanie ich przez obiektyw aparatu odczuwają jako akt gwałtu.

Patrzę w chodnik, oczarowana widokiem kobiecych stóp. Jedna z turystek ma sandały odkryte z przodu i widać jej polakierowane na różowo paznokcie. Pamiętam zapach emalii do paznokci, pamiętam, jak się marszczyła, kiedy zbyt szybko położyłam drugą warstwę, pamiętam jedwabisty dotyk przezroczystych rajstop na skórze, ciśnienie ciężaru całego ciała na palce nóg w otworach sandałów. Kobieta z pomalowanymi paznokciami przestępuje z nogi na nogę.

Czuję jej pantofle na swoich stopach. Pod wpływem zapachu lakieru robię się głodna.

– Przepraszam – odzywa się znów tłumacz, żeby zwrócić na siebie naszą uwagę. Kiwam głową na znak, że go słyszę.

– On pyta, czy jesteście szczęśliwe – mówi tłumacz. Mogę to zrozumieć, tę ich ciekawość: Czy one są szczęśliwe? Jakże one mogą być szczęśliwe? Czuję wpatrzone w nas czarne, bystre oczy, widzę, jak nachylają się nieznacznie, żeby lepiej słyszeć nasze odpowiedzi, szczególnie kobiety, ale i mężczyźni też: jesteśmy tajemnicze, zakazane, a tym samym podniecające.

Glenu się nie odzywa. Zapada milczenie. Ale czasami nic nie mówić też jest niebezpiecznie.

– Tak, jesteśmy bardzo szczęśliwe – mruczę pod nosem. Muszę przecież coś powiedzieć. A cóż innego mogę powiedzieć jak nie to?

6

Kilka przecznic za sklepem „Wszelkie Ciało” Glena przystaje, jakby nie wiedziała, dokąd iść. Mamy wybór: możemy wracać najprostszą drogą albo dłuższą, okrężną. Wiemy już, którą drogę wybierzemy, zawsze wracamy tą samą.

– Chciałabym wracać koło kościoła – mówi Glena, udając pobożność.

– Dobrze – zgadzam się, chociaż doskonale wiem, o co jej naprawdę chodzi.

Idziemy powoli. Słońce jest wysoko na niebie, białe, puszyste obłoki przypominają owce bez głów. Z tymi naszymi skrzydłami – końskimi okularami – trudno patrzeć, trudno o pełny widok – nieba, czegokolwiek. Ale jakoś patrzymy, po troszeczkę, szybki ruch głowy w górę, w dół i na boki. Nauczyłyśmy się oglądać świat, jakbyśmy gwałtownie łapały powietrze.

Na prawo, gdyby tak iść dalej, jest ulica prowadząca do rzeki. Znajduje się tam hangar, w którym kiedyś trzymano łodzie, i różne mostki, drzewa, zielone brzegi, gdzie można było sobie siedzieć i patrzeć na wodę i na młodych mężczyzn z gołymi ramionami, jak ścigając się, unoszą wiosła do słońca. Po drodze nad rzekę są dawne domy studenckie, teraz używane do innych celów, ze swoimi bajkowymi wieżyczkami, pomalowanymi na biało-złoto-niebiesko. Kiedy myślimy o przeszłości, wyławiamy z pamięci to, co piękne.

Jest tam też stadion, gdzie się obecnie odbywają męskie Wybawienia. I rozgrywki futbolowe. Bo dalej grywa się w futbol.

Ja już nie chodzę nad rzekę ani przez mosty, nie jeżdżę też koleją podziemną, chociaż właśnie tam jest stacja. Nie wolno nam, są tam teraz strażnicy. Nie ma żadnego oficjalnego powodu, żebyśmy schodziły po tych stopniach i jeździły pociągami pod rzeką do głównego miasta. Dlaczego niby miałybyśmy chcieć jeździć? Nic dobrego by z tego nie wynikło i oni by się o tym dowiedzieli.

Kościół jest mały, jeden z pierwszych wzniesionych tutaj setki lat temu. Obecnie służy jedynie jako muzeum. Wewnątrz wiszą obrazy przedstawiające kobiety w długich, ponurych sukniach i białych czepkach na głowach oraz sztywno wyprostowanych mężczyzn, ubranych na ciemno, i bez uśmiechu. Nasi przodkowie. Wstęp wolny.

Ale my nie wchodzimy do środka, tylko stoimy na ścieżce, patrząc na kościelny cmentarz. Zachowały się stare płyty nagrobne, zniszczone i popękane, z czaszkami i ze skrzyżowanymi piszczelami, *memento mori*, z puciołowatymi aniołkami i skrzydlatymi klepsydrami, które mają nam przypominać o przemijaniu ziemskiego czasu, i pochodzące już z późniejszego wieku urny oraz wierzby płaczące – na znak żałoby.

Płytami nagrobnymi nie zawracali sobie głowy, kościołem też nie. Tylko najnowsza historia jest dla nich groźna.

Glena stoi z pochyloną głową, jakby pogrążona w modlitwie. Powtarza to za każdym razem. Może, myślę sobie, straciła kogoś bliskiego – mężczyznę, dziecko. Ale tak naprawdę w to nie wierzę. Uważam, że Glena wszystko robi na pokaz, że gra. Dosłownie wychodzi ze skóry, żeby się pokazać w dobrym świetle.

Prawdopodobnie ona myśli o mnie to samo. Jakżeby mogło być

inaczej?

Teraz odwracamy się tyłem do kościoła, żeby przyjrzeć się temu, co rzeczywiście przyszłyśmy zobaczyć: Murowi.

Mur też jest bardzo stary, w każdym razie ma ponad sto lat. Tak jak chodniki, jest zbudowany z czerwonej cegły i kiedyś musiał być prosty, ale ładny. Teraz przy bramie są posterunki, a nad murem na metalowych słupach wznoszą się nowe brzydkie reflektory, u dołu zasieki z drutu kolczastego, a na szczycie – beton najeżony tłuczonym szkłem.

Nikt z własnej woli przez tę bramę nie przejeżdża. Środki ostrożności przedsięwzięto ze względu na tych, którzy próbowaliby się wydostać na zewnątrz, chociaż dotarcie do samego Muru od wewnątrz, poprzez elektroniczny system zabezpieczający, jest prawie niemożliwe.

Koło głównej bramy wisi następnich sześć ciał; ręce mają związane z przodu, głowy, w białych workach, przechylone na bok. Wcześniej rano musiała się odbywać uroczystość Wybawienia Mężczyzn. Nie słyszałam dzwonów. Może się już przyzwyczaiłam.

Zatrzymujemy się jak na dany znak i patrzymy na ciała. To nie szkodzi, że patrzymy. Mamy patrzeć: po to tam są, po to wiszą na Murze. Czasem wiszą całymi dniami, dopóki nie zastąpią ich nowe – żeby jak najwięcej osób miało okazję je zobaczyć.

A wiszą na hakach. Specjalnie w tym celu wbitych między cegły. Nie wszystkie haki są jednak zajęte. Wyglądają jak urządzenia dla bezrękich. Albo stalowe znaki zapytania odwrócone do góry nogami i ustawione bokiem.

Najgorsze są te worki na głowach, gorsze chyba, niż byłyby same twarze. Nadają tym mężczyznom wygląd lalek, którym jeszcze nie namalowano twarzy, upodabniają ich do strachów – tyle że nie na

wróble – bo przecież mają straszyć ludzi. Albo jakby ich głowy były workami napełnionymi jakąś bliżej nieokreśloną substancją, jak mąka czy ciasto. Wynika to z oczywistego ciężaru tych głów, z ich bezwładu, z siły grawitacji, która ciągnie je w dół przy jednoczesnym braku życia, które mogłoby je podtrzymać. Te głowy to tarcze strzelnicze.

Chociaż wpatrując się w nie długo, tak jak my to robimy, można dostrzec pod białym materiałem niewyraźne kontury, jak szare cienie. Są to głowy bałwanów śniegowych, z kawałkami węgla zamiast oczu, z nosem z marchwi, który odpadł. Te głowy topnieją.

Ale na jednym z worków widać krew, która przeciekła przez materiał w miejscu, gdzie muszą być usta. Ta krew tworzy drugie usta – małe, czerwone, jak usta malowane grubym pędzlem przez dzieci w przedszkolu. Tak dziecko rysuje uśmiech. I właśnie ten krwawy uśmiech ostatecznie przykuwa naszą uwagę. Mimo wszystko nie są to śniegowe bałwany.

Mężczyźni mają na sobie białe fartuchy, jak te, które noszą lekarze czy pracownicy naukowci. Znajdują się tu nie tylko lekarze i naukowcy, są jeszcze inni, musiała być dziś rano łapanka. Każdy ma zawieszoną na szyi tabliczkę informującą, za co został stracony: rysunek przedstawiający ludzki płód. A więc byli lekarzami, dawniej, kiedy takie rzeczy były legalne. Nazywano ich producentami aniołków. Zostali zdemaskowani teraz przy okazji badania dokumentów szpitalnych albo raczej – skoro większość szpitali widząc, co się święci, poniszczyła swoje dokumenty – przez donosicieli: były pielęgniarki czy pary pielęgniarek, jako że świadectwo pojedynczej kobiety przestało być wiarygodne; przez innych lekarzy lub wreszcie przez kogoś oskarżonego, kto mszcząc się na wrogu albo po prostu odgrywając się na innych, rozpaczliwie

usiłował ratować własną skórę. Chociaż donosiciele nie zawsze ułaskawiano.

Ci mężczyźni – tłumaczą nam – są jak zbrodniarze wojenni. To żadna wymówka, że kiedy się dopuszczali tych czynów, takie praktyki były legalne: ich zbrodnie nie ulegają przedawnieniu. Popelniali okrucieństwa i dlatego muszą posłużyć za przykład dla innych. Chociaż właściwie to nie jest potrzebne. Żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie przerwie w dzisiejszych czasach ciąży, jeśli już zdoła w nią zajść.

Widok tych ciał ma w nas wzbudzić uczucie nienawiści i pogardy. Ale we mnie nie wzbudza. Te wiszące na Murze ciała to podróżnicy w czasie, anachronizmy. Przybyły tu z przeszłości.

Ja nie czuję w stosunku do nich nic. Wiem, że nie wolno mi nic czuć. To, czego doznaję, to częściowa ulga, ponieważ żaden z tych mężczyzn nie jest Łukaszem. Łukasz nie był lekarzem. Nie jest.

Patrzę na ten jedyny czerwony uśmiech. Czerwień tego uśmiechu jest jak czerwień tulipanów w ogrodzie Sereny Joy. Czerwień jest ta sama, ale nie ma między nimi żadnego związku. Tulipany nie są tulipanami z krwi, czerwone uśmiechy nie są kwiatami, jedno nie określa drugiego. Tulipan to nie powód, żeby nie wierzyć w powieszoną mężczyznę – i na odwrót. Każda z tych rzeczy jest ważna i realna. I właśnie wśród takich ważnych rzeczy muszę codziennie i na wszelkie możliwe sposoby wybierać sobie drogę. Wkładam w te rozróżnienia wiele wysiłku. Są mi one niezbędne. Muszę koniecznie mieć jasność, w moim własnym umyśle.

Wyczuwam drżenie w towarzyszącej mi kobiecie. Czyżby płakała?

I niby dlaczego miałoby ją to ukazać w dobrym świetle? Nawet nie chcę tego wiedzieć. Stwierdzam, że moje własne ręce są mocno

zaciśnięte na pałku koszyka. Nie zdradzę się z niczym.

Zwyczajne, mówiła Ciotka Lidia, to to, do czego jesteśmy przyzwyczajeni. Teraz może się wam to nie wydawać zwyczajne, ale po jakimś czasie się wyda. To się stanie zwyczajne.

III

NOC

7

Noc należy do mnie, to mój prywatny czas, mogę z nim robić, co chcę, pod warunkiem że jestem cicho. I że się nie ruszam. Że leżę spokojnie. Różnica pomiędzy ruszać się a ruchać. Czasownik „ruchać” z reguły występuje w formie dokonanej. Mężczyźni zawsze mówią: „Chciałbym ją wyruchać”. Czyste spekulacje. W gruncie rzeczy nie wiem, jak naprawdę mówią mężczyźni. Wiem tylko, co oni sami twierdzą, że mówią.

A więc nie ruszam się, leżę w swoim pokoju, pod gipsowym okiem w suficie, za białymi zasłonami, w pościeli, schludna, jak wszystko dokoła, i wychodzę – z siebie. Wychodzę, bo mam wychodne. Noc to moje wychodne. Ale dokąd mam iść?

W jakieś dobre miejsce.

Moira siedzi na brzegu mojego łóżka: nogę założyła na nogę, kostka jednej na kolanie drugiej, czerwony kombinezon, dyndający kolczyk w uchu, złoty paznokiec, żeby było ekscentrycznie, papieros w krótkich, grubych, zażółconych palcach.

– Chodźmy na piwo.

– Sypiesz mi popiół do łóżka – powiedziałam.

– Gdybyś sama paliła, nie miałabyś tego problemu – odparła

Moira.

– Za pół godziny. – Miałam napisać na jutro pracę. Zaraz – co to było? Psychologia, angielski, ekonomia? Takie przedmioty

studiowałyśmy, wtedy. Podłoga była zarzucona książkami, otwartymi, grzbietem do góry, tu i tam, ekstrawagancko.

– Daj spokój – rzekła Moira. – Nie musisz się malować, to przecież tylko ja. Z czego piszesz pracę? Ja napisałam o prowokacji seksualnej.

– Prowokacja seksualna – powtórzyłam. – Owczy pęd.

– Ha – powiedziała Moira. – Weź płaszcz.

Wzięła mój płaszcz i cisnęła we mnie.

– Pożyczam od ciebie pięć dolców, zgoda?

Albo gdzieś w parku z matką. Ile mogłam mieć wtedy lat? Było zimno, nasze oddechy tworzyły przed nami białe obłoki; bezlistne drzewa; szare niebo, dwie kaczki na stawie, niepocieszone. Pod palcami w kieszeni okruszyny chleba. No właśnie: powiedziała, że idziemy karmić kaczki.

Ale tak naprawdę, to przyszła dlatego, że pewne kobiety paliły tu książki. Chciała się zobaczyć ze swoimi przyjaciółkami; okłamała mnie, soboty należały do mnie. Odwróciłam się od niej, nachmurzona, w stronę kaczek, ale kusił mnie widok ognia.

Wśród tych kobiet znajdowali się też i mężczyźni, a te książki to były pisma. Musieli łać benzynę, bo płomienie strzelały wysoko, a potem wrzucali do ognia pisma ze skrzynek, nie za wiele naraz. Niektórzy śpiewali; zbierali się gapie.

Na twarzach tych ludzi malowało się szczęście, niemal ekstaza. Ogień ma to do siebie. Nawet twarz mojej matki, zwykle blada i mizerna, zaróżowiła się, radosna jak karta święteczna; była tam taka jedna kobieta, duża, ze smugą sadzy na policzku i w pomarańczowej czapce robionej na drutach; pamiętam ją.

– Chcesz sobie rzucić, kochanie? – spytała. Ile ja mogłam mieć wtedy lat? – Precz z tym paskudnym śmieciem – dodała,

chichocząc. Może sobie rzucić? – zwróciła się do mojej matki.

– Jeśli ma ochotę – odparła matka, która miała zwyczaj mówienia o mnie, jakbym tego nie słyszała.

Kobieta wręczyła mi jedno z pism. Na okładce była ładna dziewczyna, która nie miała na sobie nic i zwisała z sufitu na łańcuchu owiniętym wokół przegubów rąk. Popatrzyłam na to z zainteresowaniem. Nie przestraszyłam się. Myślałam, że ona się tak huśta na tym łańcuchu jak Tarzan na lianach w telewizji.

– Nie pozwól jej tego oglądać – powiedziała moja matka. – No, rzucaj, prędko.

Wrzuciłam pismo do ognia. Otworzyło się w gorącym podmuchu; wielkie płaty papieru poszybowały w górę, dalej płonąc, ciała tych kobiet zamieniały się w czarne popioły, w powietrzu, na moich oczach.

A potem? Co się stało potem?

Wiem, że straciłam poczucie czasu.

Musiały być igły, proszki, coś w tym rodzaju. Nie mogłam stracić tyle czasu bez niczyjej pomocy. Przeżyłaś szok – powiedzieli.

Wyłoniłam się z tego wśród ryku i chaosu niby wśród spienionych fal. Pamiętam to uczucie spokoju. Pamiętam, jak krzyczałam, a przynajmniej wydawało mi się, że krzyczę, choć może w rzeczywistości był to tylko szept: Gdzie ona jest? Coście z nią zrobili?

Nie było nocy ani dnia, tylko migotanie. Po jakimś czasie znów krzesła i łóżko, i potem okno.

– Jest w dobrych rękach – powiedzieli. – U odpowiednich ludzi. Ty nie jesteś odpowiednia, ale chcesz dla niej jak najlepiej. Prawda?

Pokazali mi jej zdjęcie, jak stoi przed domem na trawniku,

z owalną twarzą. Jasne włosy miała ściągnięte gładko do tyłu. Trzymała ją za rękę kobieta, której nie znam. Mała sięgała jej tylko do łokcia.

– Zabiliście ją – powiedziałam. Wyglądała jak aniołek, uroczysta, zgrabna, jakby niecielesna.

Miała na sobie sukienkę, której nigdy nie widziałam, białą, do ziemi.

Chciałabym wierzyć, że to, co opowiadam, to tylko taka historia. Potrzebna mi jest ta wiara. Muszę w to uwierzyć. Ci, którzy wierzą, że te historie to tylko takie opowiadki, są w lepszej sytuacji.

Jeśli to, co mówię, to tylko opowiadka, to znaczy, że zakończenie zależy ode mnie. Że w ogóle istnieje jakieś zakończenie, po którym jest życie. Że mogę podjąć tam, gdzie przerwałam.

Ale to nie jest opowiadka.

Owszem, jest i opowiadka, którą snuję w myślach, w miarę jak mówię.

Raczej mówię, niż piszę, ponieważ nie mam czym pisać, a poza tym pisanie jest zakazane. Ale nawet jeśli to jest opowieść, choćby snuta w myślach, to muszę się nią z kimś podzielić. Nie opowiada się niczego tylko dla siebie. Zawsze jest jeszcze ktoś drugi.

Nawet kiedy nie ma nikogo.

Opowieść jest jak list. Drogi Ty – zacznę. Po prostu ty, bez imienia. Użycie konkretnego imienia skazuje cię na świat faktów, co jest bardziej ryzykowne, niepewne: kto wie, jakie masz szanse przeżycia, tam gdzieś? Powiem ty, ty, jak w starej miłosnej piosence. Ty może oznaczać każdego.

Ty może znaczyć tysiące.

Nie grozi mi żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo – powiem ci.
Będę udawała, że mnie słyszysz.
Ale to się na nic nie zda, wiem, że to nieprawda.

IV

POCZEKALNIA

8

Utrzymuje się dobra pogoda. Jak w czerwcu, kiedy wyciągałyśmy letnie sukienki i sandały i szłyśmy na lody. Na Murze pojawiły się trzy nowe ciała. Jedno z nich, trup księdza, ma na sobie sutannę. Włożono mu tę sutannę specjalnie na proces, mimo że już od lat – od kiedy zaczęły się wojny między sektami – duchowni przestali nosić sutanny, żeby nie rzucać się w oczy. Dwa pozostałe ciała mają na szyjach czerwone tabliczki z napisem: „Zdrada Rodzaju”. W dalszym ciągu są w mundurach strażników. Musieli ich złapać razem – ale gdzie? W barakach? Pod prysznicem? Trudno powiedzieć. Bałwan z czerwonym uśmiechem zniknął.

– Trzeba wracać – mówię do Gleny. Zawsze ja to mówię pierwsza. Czasem mi się wydaje, że gdybym tego nie powiedziała, Glena by się stąd nie ruszyła. Żałoba czy niezdrowa ciekawość? Nadal nie jest to dla mnie jasne.

Bez słowa obraca się, jakby była mechanizmem uruchamianym na dźwięk głosu, jakby się poruszała na małych naoliwionych kółeczkach, jakby była papugą katarzyniarza. Nie znoszę gracji, z jaką to robi. Nie znoszę pokornie pochylonej głowy, jakby szła pod wiatr. Ale wiatru nie ma.

Opuszczamy Mur i wracamy tą samą drogą, którą przyszłyśmy, w ciepłym słońcu.

– Mamy piękny majowy dzień – mówi Glena. Czuję raczej, niż

widzę, jak jej głowa zwraca się ku mnie w oczekiwaniu odpowiedzi.

– Tak. Niech będą dzięki – dodaję po namyśle. Mayday to był kiedyś, dawno temu, sygnał na pomoc, podczas jednej z tych wojen, o których uczyliśmy się w szkole średniej. Te wojny mi się zawsze myliły, ale jeśli się dobrze uważało, można je było odróżnić po samolotach. To Łukasz mi powiedział o tym sygnale Mayday. Mayday, Mayday – dla pilotów, których samoloty zostały trafione, i dla okrętów – zaraz, czy dla okrętów też? Może dla okrętów było SOS. Szkoda, że nie mogę tego sprawdzić. I było coś z Beethovena na uczczenie zwycięstwa w jednej z tych wojen.

– A wiesz, skąd pochodzi to Mayday? – spytał mnie Łukasz.

– Nie – odparłam. – To dziwne, że w tych okolicznościach używa się akurat takiego słowa, prawda?

Gazety i kawa w niedzielne poranki, przed jej urodzeniem. Były jeszcze wtedy gazety. Czytaliśmy je zwykle w łóżku.

– To z francuskiego – powiedział. – Od *m'aidez*.

Pomocy.

Zbliża się do nas niewielka procesja – pogrzeb. Trzy kobiety, każda w czarnym przezroczystym welonie zarzuconym na głowę.

Gospożona i dwie inne żałobnice, też Gospożony, prawdopodobnie jej przyjaciółki. Ich sukienki w pasy robią wrażenie zniszczonych, tak samo jak i twarze. Pewnego dnia, kiedy już będzie lepiej, mówiła Ciotka Lidia, żadna nie będzie już musiała być Gospożoną.

Żałobnica to ta pierwsza, matka; niesie małe czarne naczynie. Po wielkości naczynia można poznać, w jakim było wieku, kiedy tam w niej zamarło, spłynęło. Dwa albo trzy miesiące, za małe, żeby poznać, czy to było Niedziecko, czy nie. Starsze i te, które umierają przy urodzeniu, mają trumienki.

Kiedy przechodzą, zatrzymujemy się z szacunkiem.

Zastanawiam się, czy Glena czuje to samo co ja – jakby dźgnięcie w brzuchu. Kładziemy ręce na sercu, żeby pokazać tym obcym kobietom, że współczujemy im po tej stracie. Ta pierwsza rzuca nam spod welonu wrogie spojrzenie. Jedna z pozostałych dwóch odwraca się i spluwa na chodnik. Gospożony nas nie lubią.

Mijamy sklepy, ponownie zbliżamy się do zapory, przechodzimy. Idziemy dalej, wśród wielkich, wyglądających na puste domów, wypielonych trawników. Na rogu, w pobliżu domu, do którego jestem przydzielona, Glena zatrzymuje się i odwraca do mnie.

– Pod Jego Okiem – mówi. Jest to właściwe pożegnanie.

– Pod Jego Okiem – odpowiadam, a ona kwituje to nieznacznym skinieniem głowy. Waha się przez moment, jakby mi jeszcze coś chciała powiedzieć, po czym odchodzi. Patrzę na nią. Przypomina mi moje własne odbicie w lustrze, od którego się oddalam.

Na podjeździe Nick znów pucuje tornado. Robi już chromowania z tyłu. Kładę dłoń w rękawiczce na gałce furtki, otwieram ją i popycham. Furtka trzaska za mną. Tulipany wzdłuż ścieżki są czerwieńsze niż zwykle, otwierają się, nie przypominając już kielichów do wina, tylko czary; pną się w górę – po co? Mimo wszystko są puste. Na starość wywracają się na lewą stronę i eksplodują powoli, strzelając płatkami, jakby to były łuski.

Nick podnosi głowę i zaczyna pogwizdywać.

– Miły był spacer? – pyta.

Kiwam głową, ale nie odpowiadam. Jemu nie wolno ze mną rozmawiać. Oczywiście, niektórzy z nich będą próbowali – przestrzegająca nas Ciotka Lidia. Wszelkie ciało jest słabe. „Wszelkie ciało to jakby trawa”^[*], poprawiam ją w myśli. – Nic na to nie mogą poradzić – mówiła – takimi stworzył ich Bóg, ale was takimi nie stworzył, wy jesteście inne. Ustanawianie granic zależy od was.

Nagroda przyjdzie później.

W ogrodzie za domem Żona Komendanta siedzi w fotelu, który sobie wyniosła. Serena Joy^[**] – co za głupie imię. Serena Joy – to brzmi jak nazwa czegoś, czym się dawniej, w tamtych czasach, smarowało włosy, żeby je wyprostować. „Serena Joy” – byłoby napisane na etykiecie butelki, przedstawiającej wyciętą z papieru sylwetkę głowy kobiecej w różowym owalu z ząbkowanym brzegiem. Dlaczego, mogąc sobie wybrać dowolne imię, zdecydowała się właśnie na takie? Serena Joy nigdy nie było jej prawdziwym imieniem, nawet wtedy. Naprawdę miała na imię Pam. Dowiedziałam się tego z noty biograficznej, zamieszczonej w jednym z pism, długo potem, jak śpiewała w telewizji w niedzielne poranki, kiedy moja matka odsypiała zaległości. Wtedy już zasługiwała na taką wzmiankę: musiał to być „Time” czy „Newsweek”. Ale wtedy już nie śpiewała, wtedy wygłaszała pogadanki. Była w tym dobra. W swoich pogadankach mówiła o świętości ogniska domowego, o tym, że miejscem kobiety jest dom. Serena Joy jednak zamiast sama w nim siedzieć, wygłaszała pogadanki, ale to swoje uchybienie przedstawiała jako ofiarę poniesioną dla dobra ogółu.

Mniej więcej w tym czasie ktoś do niej strzelał i chybił; zamiast niej zginęła jej sekretarka, która stała dokładnie za nią. Ktoś podłożył jej też bombę w samochodzie, ale wybuch nastąpił za wcześnie. Chociaż niektórzy twierdzili, że to ona sama podłożyła sobie tę bombę – żeby wzbudzić współczucie. Takie gorące były wtedy nastroje.

Oglądaliśmy ją czasem z Łukaszem w dzienniku wieczornym. W szlafrokach kąpielowych z kapturami. Widzieliśmy jej spryskane sprayem włosy, histeryczne łzy, które w dalszym ciągu

roniła na zawołanie, i tusz, który czarnymi strugami spływał jej po twarzy. Wtedy już stosowała mocniejszy makijaż. Wydawała nam się śmieszna. Czy może raczej Łukaszowi wydawała się śmieszna. Ja tylko udawałam. A tak naprawdę to była dla mnie trochę przerażająca. Naprawdę taka była.

Serena Joy już nie wygłasza mów. Jest teraz niemową. Siedzi w domu, ale jej to chyba nie służy. Musi być wściekła, że wpadła we własne sidła.

Patrzy na tulipany. Jej laska leży obok na trawie. Serena Joy jest odwrócona do mnie profilem; widzę to, spoglądając na nią ukradkiem. Patrzenie wprost nie wchodzi w grę. To już nie jest ten bezbłędny, wycięty z papieru profil, jej twarz się zapada – jak miasta zbudowane na podskórnych wodach, gdzie domy i całe ulice znikają z dnia na dzień, wchłonięte przez nagłe trzęsawiska, albo miasta górnicze, zapadające się w wydrążone pod nimi kopalnie. Coś podobnego musiało się z nią stać, kiedy do niej dotarło, do czego to wszystko prowadzi.

Nie odwraca głowy. W żaden sposób nie daje po sobie poznać, że jest świadoma mojej obecności, chociaż wie, że jestem. Czuję, że wie – ta świadomość przypomina zapach; jakby coś skwaśniało, jak stare mleko.

– Nie na mężów musicie uważać – mówiła Ciotka Lidia – tylko na Żony. Zawsze starajcie się sobie wyobrazić, co taka Żona czuje. Oczywiście, one wam będą niechętnie, to zupełnie naturalne. Postawcie się w ich położenie. – Ciotka Lidia uważała, że wstawianie się w położenie innych jest jej mocną stroną. – Próbujcie im współczuć. Przebaczyć, albowiem nie wiedzą, co czynią. – I znów drżący uśmiech żebraka, mrugnięcie słabych oczu, spojrzenie w górę, przez okulary w metalowej oprawce, w drugi

koniec klasy, jakby pomalowany na zielono gipsowy sufit się rozstąpił i Bóg w obłoku pudru „Różowa Perła” schodził na ziemię po drutach i rurach instalacji przeciwpożarowej. – Musicie sobie zdawać sprawę z tego, że to są kobiety przegrane. One nie mogły...

Tu głos jej się łamał i w chwili ciszy, jaka zapadała, słyszałam wokół siebie zbiorowe westchnienie. Nie należało w tych momentach przerywać ani szurać, ani szeleścić: Ciotka Lidia bowiem jedynie robiła wrażenie zamysłonej, a tak naprawdę słyszała każdy najmniejszy szmer. Dlatego słyszeć było tylko westchnienie.

– Przyszłość jest w waszych rękach – podejmowała. I sama wyciągała do nas ręce odwiecznym gestem, symbolizującym zarówno ofiarowanie, jak i zaproszenie, aby podejść, połączyć się we wzajemnej akceptacji. Mówiąc „w waszych rękach”, spoglądała na swoje ręce, jakby to z nich czerpała inspirację. Ale w tych rękach nie miała nic. Były puste. To nasze ręce miały być pełne – przyszłości, którą mogliśmy w nich trzymać, choć nie dawała się z nich wyczytać.

Okrażam dom i wchodzę kuchennymi drzwiami. Stawiam koszyk na stole. Stół został wyszorowany, oczyszczony z mąki; dzisiejszy chleb, świeżo upieczony, stygnie na półce. W kuchni pachnie drożdżami – ten zapach budzi tęsknotę. Przypomina mi inne kuchnie, kuchnie, które kiedyś były moje. Jest to zarazem zapach właściwy matkom; chociaż moja matka nie piekła chleba. Mój zapach z tamtych czasów, kiedy byłam matką.

Jest to zapach zdradliwy, wiem, że muszę się od niego odciąć.

Zastaję w kuchni Ritę, która siedzi przy stole, skrobie i kroi marchew. Marchew jest stara, gruba, brodata od leżenia przez zimę. Młoda marchew, delikatna i jasna, będzie dopiero za kilka

tygodni. Nóż, którego Rita używa, jest ostry i lśniący; kusi. Chciałabym mieć taki nóż.

Rita przerywa krojenie marchwi, wstaje i wyjmuje z koszyka paczki, niemal skwapliwie. Nie może się doczekać, kiedy zobaczy, co przyniosłam, chociaż zwykle, rozwijając paczki, marszczy czoło; nigdy nie jest z moich zakupów w pełni zadowolona. Uważa, że ona załatwiłaby to lepiej. Wolałaby sama robić zakupy, miałaby wtedy dokładnie to, co chce; zazdrości mi tego spaceru. W tym domu wszystkie sobie nawzajem czegoś zazdrościmy.

– Mają pomarańcze – mówię. – W „Mlekiem i Miodem”. Jeszcze trochę zostało. – Traktuję tę informację jak dar. Chcę się zasłużyć. Widziałam pomarańcze wczoraj, ale nie powiedziałam Ricie; wczoraj była zbyt opryskliwa. – Jutro mogłabym kupić, gdybyś mi dała kupony na pomarańcze. – Wyciągam w jej stronę kurczaka. Chciała stek, ale steków dziś nie było.

Rita burczy, nie okazując ani zadowolenia, ani zgody. Pomyśli o tym – poznaję to po burczeniu – w odpowiednim czasie. Rozwiązuje sznurek i rozwija pergamin. Obmacuje kurczaka, rusza skrzydłem, wsadza palec w otwór, wyciąga dróbka. Kurczę leży, bez głowy i bez łap, pokryte gęsią skórką, jakby się trzęsło z zimna.

– Dzień kąpieli – mówi Rita, nie patrząc na mnie.

Z komórki, gdzie trzymają miotły i ścierki, wchodzi do kuchni Cora.

– Kurczak – mówi niemal z zachwytem.

– Chudy – odpowiada Rita – ale niech będzie.

– Nie było wyboru – tłumaczę się. Rita mnie ignoruje.

– Jest całkiem duży – wtrąca Cora. Czyżby się za mną ujmowała? Spoglądam na nią, żeby sprawdzić, czy powinnam się

uśmiechnąć; ale nie, ona ma na myśli tylko jedzenie. Jest młodsza od Rity; słońce, które wpada ukośnymi promieniami przez zachodnie okno, kładzie się na jej włosach, rozdzielonych przedziałkiem i zaczesanych do tyłu. Musiała być ładna, jeszcze całkiem niedawno. W uszach ma ślady przypominające dołeczki – po zarośniętych dziurkach od kolczyków.

– Duży – mówi Rita – ale kościsty. Nie dawaj sobie wtykać byle czego. – Po raz pierwszy Rita patrzy prosto na mnie. – Zachowujesz się, jakbyś była byle kim. – Ma na myśli rangę Komendanta. Mnie natomiast sama uważa za byle kogo. Rita jest po sześćdziesiątce, nie ma nic do stracenia.

Podchodzi do zlewu, spłukuje ręce pod kranem i wyciera je w ścierkę do naczyń. Ścierka jest biała w niebieskie paski, taka sama jak przedtem. Czasem te przebłyski normalności uderzają mnie zniechęcająco, jakby z zasadzki. Nagłe przypomnienie tego, co zwykle, codzienne, jest jak kopniak. Widzę ścierkę, wyjętą z kontekstu, wstrzymuję oddech. Dla niektórych pod pewnymi względami nie tak wiele się zmieniło.

– Kto robi kąpiel? – pyta Rita Corę, nie mnie. – Ja muszę udusić kurczaka.

– Zajmę się tym – mówi Cora – jak skończę odkurzenie.

– W każdym razie trzeba to zrobić.

Mówią o mnie tak, jakbym ja tego nie słyszała. Dla nich jestem tylko domowym obowiązkiem, jednym z wielu.

Jestem wolna. Biorę koszyk, wychodzę kuchennymi drzwiami i idę korytarzem w stronę zegara. Drzwi od salonu są zamknięte. Przez ich wachlarzowe okienko wpada słońce, kładąc się kolorami na podłodze: czerwień, błękit, fiolet. Wkraczam w to światło na chwilę, wyciągam ręce; napełniają się świetlistymi kwiatami. Idę

po schodach; moja twarz, odległa, biała i zniekształcona w ramie lustra, wybrzuszona jak oko pod ciśnieniem. Idę korytarzem, wyłożonym szaroróżowym chodnikiem, do pokoju.

W pobliżu moich drzwi ktoś stoi. W korytarzu panuje mrok – jest to mężczyzna, odwrócony do mnie plecami. Zagląda do pokoju, ciemny na tle panującej tam jasności. Teraz widzę: jest to Komendant, którego nie powinno tu być. Słyszy moje kroki, odwraca się, waha, podchodzi do mnie – dopuszczając się tym samym poważnego naruszenia obyczaju. Co robić?

Zatrzymuję się, on też, nie widzę jego twarzy, patrzy na mnie, o co mu chodzi? O, znów rusza ku mnie, ustępuje z drogi, żeby mnie nie dotknąć – skinienie głowy – znika.

Coś mi chciał powiedzieć, ale co? Jest jak flaga nieznanego kraju, widziana przez moment zza stoku wzgórza – może równie dobrze oznaczać atak, jak i pertraktacje czy, powiedzmy, granice jakiegoś terytorium. Sygnały, którymi porozumiewają się zwierzęta: przymknięte powieki, uszy po sobie, zjeżona sierść, błysk obnażonych zębów. Co on sobie właściwie myśli? Nikt go nie widział. Przynajmniej mam nadzieję. Czy to inwazja? Czy był w moim pokoju?

Nazwałam go moim pokojem.

[*] Iz 40, 6.

[**] *Serene* (ang.) – pogodny, spokojny; *joy* – radość.

9

A więc mój pokój. Musiało się ostatecznie znaleźć jakieś miejsce, które mogłabym nazwać swoim, nawet teraz, w tym czasie.

Czekam zatem w swoim pokoju, który w tej chwili jest poczekalnią. Kiedy idę spać, zamienia się w sypialnię. Zasłony dalej powiewają delikatnie w lekkich podmuchach wiatru, na zewnątrz dalej świeci słońce, choć nie wpada bezpośrednio przez okno. Przesunęło się na zachód. Próbuję nie opowiadać historii, a przynajmniej nie tę.

Ktoś tu przede mną mieszkał, w tym pokoju. Ktoś podobny do mnie. W każdym razie chciałabym w to wierzyć.

Dokonałam tego odkrycia w trzy dni po wprowadzeniu się tutaj.

Miałam dużo czasu. Postanowiłam zwiedzić ten pokój. Nie pośpiesznie, tak jak się zwiedza pokój hotelowy, nie oczekując żadnej niespodzianki, otwierając i zamykając szuflady biurka, drzwi szafy, odwijając malutką, przeznaczoną dla jednej osoby kostkę mydła, obmacując poduszki. Czy kiedykolwiek jeszcze znajdę się w pokoju hotelowym? Ach, jakżeż marnowałam te pokoje, tę wolność bycia niewidzianą.

Tę wolność kupioną za pieniądze.

Popołudniami, kiedy jeszcze Łukasz musiał się ukrywać przed żoną, a ja byłam dla niego mrzonką. Zanim się pobraliśmy i zanim stałam się rzeczywista. Zawsze przychodziłam pierwsza i pierwsza

się meldowałam, nie zdarzało się to znowu tak często, ale teraz wydaje mi się, że było to całe dziesięciolecie, era; pamiętam dokładnie, co za każdym razem miałam na sobie, każdą bluzkę, każdą chustkę. Spacerowałam po pokoju, oczekując go, to włączając telewizor, to wyłączając, to znów perfumując się za uszami. Opium – tak się nazywał ten zapach. W chińskim czerwono-złotym flakoniku.

Byłam napięta. Skąd mogłam wiedzieć, czy on mnie kocha? A może to tylko przygoda. Dlaczego tylko? W tamtych czasach mężczyźni i kobiety dokonywali przymiarek, zwyczajnie, jak się przymierza ubranie, odrzucając to, co nie pasuje.

A potem pukanie do drzwi, które otwieram, z ulgą, spragniona. Wydawał się taki przelotny, taki zagęszczony. A jednak bezkresny. Leżeliśmy w tych popołudniowych łóżkach, już potem, każde z nas trzymało rękę na ciele drugiego, omawialiśmy to wszystko. Możliwe, niemożliwe. Co się da zrobić? Wydawało nam się, że mamy wielkie problemy. Skąd mieliśmy wiedzieć, że jesteśmy szczęśliwi?

Brak mi tamtych pokojów, nawet koszmarnych obrazków, które zdobiły ich ściany – krajobrazów z jesiennymi liśćmi czy śniegiem topniejącym w lasach, kobiet w strojach z epoki, o twarzach porcelanowych lalek, w turniurach i z parasolkami, smutnookich kłownów, mis z owocami, sztywnych i wyglądających jak z kredy. Brak mi tych świeżych ręczników, zapraszających do zabrudzenia, koszy na śmieci zięjących gościnnymi otworami i gotowych na przyjęcie beztroskich śmieci. Beztroskich. Ja też byłam w tych pokojach beztroska. Mogłam podnieść słuchawkę i na tacy wjeżdżało jedzenie, takie, jakie sobie wybrałam. Jedzenie, które było według mnie niedobre, i picie. W szufladzie komody leżała

Biblia, włożona tam przez jakieś towarzystwo dobroczynne, którą mało kto czytał. Do wyposażenia należały też karty pocztowe ze zdjęciem hotelu i można było na tych kartach napisać, do kogo się chciało. Teraz wydaje się to czymś zupełnie nieprawdopodobnym, wymyślonym.

No więc. Zwiedzałam pokój, nie pospiesznie zatem, jak się zwiedza pokój hotelowy, tak wiele z tego tracąc. Nie chciałam go zwiedzać na raz, chciałam, żeby to trwało. Podzieliłam go w myślach na sektory i wydzielałam sobie jeden sektor dziennie. I taki jeden sektor badałam w sposób drobiazgowy: nierówność tynku pod tapetą, zadrapania lamperii i parapetów pod wierzchnią warstwą farby, plamy na materacu – posunęłam się bowiem tak daleko, że odwijalam prześcieradła i koce, po trochu, tak żeby je można było w każdej chwili położyć na miejscu, gdyby ktoś wszedł do pokoju.

Plamy na materacu. Pochodzące z dawnych czasów. Jak uschnięte płatki kwiatów. Stara miłość; w tym pokoju nie ma teraz innej.

Kiedy to zobaczyłam, owo pozostawione przez dwoje ludzi świadectwo miłości czy czegoś w tym rodzaju, pożądania przynajmniej, przynajmniej dotyku dwojga ludzi, być może teraz już starych albo zmarłych, przykryłam łóżko i położyłam się na nim. Patrzyłam w górę na ślepe, gipsowe oko pośrodku sufitu. Chciałam poczuć koło siebie Łukasza. Zdarzają mi się te nawroty przeszłości, jak omdlenia, jak fala przewalająca się przez moją głowę. Czasem jest to trudne do zniesienia. Co robić, co robić – zastanawiałam się. Nic się nie da zrobić. Czekać i stać, przecie to też służba. Albo czekać i leżeć.

Wiem, dlaczego szyby w oknach są nietłukące i dlaczego zdjęli

żyrandol. Marzyłam o tym, żeby poczuć koło siebie Łukasza, ale to było niemożliwe.

Szafę zostawiłam sobie na trzeci dzień. Najpierw obejrzałam starannie drzwi z zewnątrz i od wewnątrz, a potem ściany z mosiężnymi hakami – jak mogli przeoczyć haki? Dlaczego ich nie usunęli? Za blisko do podłogi? Ale przecież wystarczy jedynie pończocha. Pręt z plastikowymi wieszakami, na których wiszą moje sukienki, czerwona, wełniana peleryna na zimę, szal. Uklękałam, żeby się przyjrzeć podłodze, i oto co zobaczyłam: drobne pismo, całkiem świeże, tekst wydrapany szpilką czy może po prostu paznokciem w najciemniejszym rogu: *Nolite te bastardes carborundorum*.

Nie wiedziałam, co te słowa znaczą, ani nie znałam języka, w którym zostały napisane. Pomyślałam, że to może łacina, ale łaciny też nie znałam. W każdym razie jakaś wiadomość przekazana na piśmie i już przez sam ten fakt zakazana – wiadomość jak do tej pory nieodkryta przez nikogo poza mną, dla której była przeznaczona. Dla mnie, dla tej następnej.

Zastanawianie się nad tym przesłaniem sprawia mi przyjemność. Z przyjemnością myślę o tym, że obcuje z nią duchowo, z tą nieznaną kobietą. Bo ona jest nieznaną, a jeśli nawet, to w każdym razie nie mnie. Z przyjemnością myślę, że jej zakazane przesłanie dotarło jednak przynajmniej do jednej osoby, że wypisane na ścianie mojej szafy zostało przeze mnie odkryte i przeczytane. Czasem powtarzam sobie w myśli te słowa. Sprawiają mi małą radość. Kiedy myślę o kobiecie, która je napisała, wyobrażam ją sobie jako swoją rówieśnicę, może nieco młodszą. Utożsamiam ją z Moirą, Moirą taką, jaka była na uczelni, w sąsiednim pokoju: kapryśną, żywą, wysportowaną, to na rowerze, to znów

z plecakiem autostopowiczki. Pewnie jest piegowata, bezpośrednia i pomysłowa.

Zastanawiam się, kim ta kobieta była, czy jest, i co się z nią stało.

W dniu, w którym odkryłam jej przesłanie, próbowałam pociągnąć Ritę za język.

– Co to za kobieta zajmowała ten pokój przede mną? – spytałam. – Gdybym inaczej sformułowała to pytanie, gdybym powiedziała: czy to kobieta zajmowała przede mną ten pokój, niczego bym się pewnie nie dowiedziała.

– Która? – spytała Rita burkliwie, podejrzliwie, ale przecież zawsze zwraca się do mnie tym tonem.

Aha, to znaczy, że była więcej niż jedna. Niektóre nie wytrzymały do końca swojego dwuletniego okresu. Niektóre z takich czy innych powodów się odsyła. Czy może nie odsyła, może same odchodzą?

– Ta taka żywa – zgaduję. – Ta piegowata.

– Znałaś ją? – spytała Rita bardziej podejrzliwie niż kiedykolwiek.

– Znałam ją, dawniej – skłamałam. – Słyszałam, że tu była.

Rita zadowolona się tym wyjaśnieniem. Wie, że musi być jakaś poczta pantoflowa, jakieś podziemie.

– Nie nadawała się – powiedziała.

– W jakim sensie? – spytałam, starając się, żeby moje słowa zabrzmiały możliwie najobojętniej.

Ale Rita zacisnęła usta. Traktują mnie tutaj jak dziecko, są rzeczy, których mi się nie mówi. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal – to wszystko, czego się mogłam od niej dowiedzieć.

10

Czasami sobie śpiewam, tak w myśli; coś ponurego, żałobnego, prezbiteriańskiego:

O, jaki wdzięk melodii słów:
z nędzonym ocalona,
zginęłam raz, lecz jestem znów,
więzień, lecz dziś wolna.

Nie wiem, czy rzeczywiście te słowa tak właśnie brzmią. Nie pamiętam. Takich pieśni już się nie śpiewa publicznie, szczególnie takich, w których występuje słowo „wolny”. Są uważane za niebezpieczne. Są pieśniami zakazanych sekt.

Tak jestem sama, mój miły,
Tak jestem sama, mój miły,
Tak jestem sama, że konam.

I to też jest zakazane. Tę piosenkę znam z kasety mojej matki. Miała taką starą skrzeczącą i fałszującą aparaturę, która jeszcze odtwarzała takie taśmy. Matka puszczała je, kiedy przychodziły do niej przyjaciółki, i wtedy popijały sobie razem, słuchając.

Nieczęsto tak podśpiewuję. Boli mnie potem gardło.

Tu w domu niewiele jest muzyki poza tym, co słyszymy w telewizji. Czasami Rita coś nuci, zagniatając ciasto czy obierając warzywa; takie mruczando bez słów, bez melodii, niezgłębione. A czasem z salonu dochodzi wysoki głos Sereny z płyty nagranej dawno temu, a teraz puszczonej cicho, żeby jej nikt nie złapał na tym, jak siedzi i słucha, robiąc na drutach i wspominając dawno minioną świetność: Alleluja!

Jest ciepło jak na tę porę roku. Tego typu domy nagrzewają się od słońca, są słabo izolowane. Wokół mnie powietrze stoi mimo delikatnego powiewu, tchnienia wpadającego przez zasłony. Chciałabym móc otworzyć okno jak najszerzej. Wkrótce pozwolą nam przebrać się w letnie sukienki.

Letnie sukienki rozpakowane wiszą w szafie. Dwie są z czystej bawełny – lepsze od tych tańszych ze sztucznego włókna, ale mimo to, kiedy jest parno, w lipcu czy sierpniu, człowiek też się w nich poci. W każdym razie nie ma obawy, że się spalicie na słońcu – mówiła Ciotka Lidia. Co za widowiska robiły z siebie kobiety. Smarowały się oliwą jak pieczone na rożnie i potem wystawiały na ulicy na widok publiczny gołe plecy i ramiona, i nogi nawet bez pończoch; nic dziwnego, że zdarzały się te rzeczy. Te rzeczy – wyrażenie, którego używała, ilekroć to, co miała powiedzieć, było zbyt niesmaczne czy obrzydliwe, czy straszne, żeby przejść jej przez usta. Życie udane to według niej życie bez tych rzeczy, to życie, które te rzeczy wyklucza. Te rzeczy nie zdarzają się przyzwoitym kobietom. Coś takiego jest bardzo złe na cerę – skóra robi się od tego jak pomarszczone jabłko. Ale myśmy już nie miały dbać o cerę – Ciotka Lidia o tym zapominała.

– Zdarzało się, że w parkach mężczyźni i kobiety leżeli razem na

kocach. – Tu, na naszych oczach, zaczynała płakać.

– Robię, co mogę – mówiła – staram się przygotować was jak najlepiej. – Mrugała, światło ją raziło, usta drżały, ukazując przednie zęby, trochę wystające, długie i żółtawe, jak u zdechłych myszy, które znajdowaliśmy na progu, kiedy mieszkaliśmy w pewnym domu we trójkę, czy też we czwórkę licząc kota, odpowiedzialnego za te prezenty.

Ciotka Lidia przytknęła dłoń do swoich ust zdechłego gryzonia, po chwili odjęła rękę. I mnie się zbierało na płacz, bo Ciotka budziła wspomnienia. – Dlaczego on przedtem zjada te myszy do połowy? – mówiłam do Łukasza.

– Nie myślcie, że to jest dla mnie łatwe – powiedziała Ciotka Lidia.

Moira wpada do mojego pokoju, rzuca drelichowy zakiet na podłogę.

– Masz jakieś fajki? – mówi.

– W torebce – odpowiadam. – Ale zapalek nie mam.

Moira grzebie w mojej torebce.

– Powinnaś część tych śmieci powyrzucać – mówi. – Robię kurwi kiermasz.

– Co robisz? – pytam. O pracy nie ma mowy, Moira jest jak kot, który siada na książce, kiedy chcesz czytać.

– No wiesz, jak Tupperware, tylko z bielizną. Kurewskie ciuchy. Koronkowe majtki, podwiązki, staniki, które wypychają cycki do góry. – Znajduje moją zapalniczkę i zapala papierosa, którego wyciągnęła mi z torebki. – Chcesz fajkę? – Rzuca mi całą paczkę, szalony gest, jeśli zważyć, że papierosy są moje.

– Dzięki – mówię kwaśno. – Jesteś stuknięta. Co ci strzeliło do głowy?

– Trzeba się jakoś przez te studia przepchnąć. Mam stosunki. Przyjaciółka matki. Na przedmieściach te rzeczy kwitną, jak tym babom zaczynają wyłazić starcze plamy, to uważają, że muszą być w tej konkurencji najlepsze. Pornomarkety i co tylko sobie wymarzysz.

Śmieję się. Moira mnie zawsze rozśmiesza.

– Ale tu? – mówię. – Kto na to przyjdzie? Komu to jest potrzebne?

– Człowiek nigdy nie jest za młody, żeby się uczyć – odpowiada Moira. – Zobaczysz, będzie wspaniale. Posikamy się ze śmiechu.

Czyżbyśmy wtedy tak żyły? Ale przecież żyłyśmy jak zwykle. Każdy żyje jak zwykle, przeważnie. Obojętne, co się dzieje. Nawet to, teraz, jest jak zwykle.

Żyłyśmy jak zwykle, ignorując. Ignorowanie to nie to samo co ignorancja, taką postawę trzeba sobie wypracować.

Nic się nie zmienia w sposób natychmiastowy: biorąc kąpiel w podgrzewanej wannie, nawet się nie obejrzysz, kiedy się ugotujesz na śmierć. Oczywiście czytało się w gazetach różne historie o znalezionych w rowach czy lasach ciałach kobiet, zatłuczonych na śmierć czy zmasakrowanych, z którymi „coś wyprawiano”, jak to się mówi, ale to wszystko dotyczyło innych kobiet i robili to inni mężczyźni. Żaden z nich nie należał do tych, których znałyśmy. Historie z gazet traktowałyśmy jak sny, jak czyjeś złe sny. To straszne – mówiłyśmy – i rzeczywiście było to straszne, ale zarazem i niewiarygodne. Coś zbyt melodramatycznego, co posiadało wymiar niewłaściwy naszemu życiu.

Byliśmy ludźmi, o których nie pisano w gazetach. Żyliśmy na ich białych, niezadrukowanych marginesach. To nam dawało

większy luz.

Żyliśmy w przerwach pomiędzy tymi historiami.

Z dołu, z podjazdu, dochodzi odgłos zapalania silnika. W tej okolicy jest dość cicho, nie ma wielkiego ruchu, takie rzeczy, jak uruchamianie samochodów, kosiarki do trawy, strzyżenie żywopłotu, trzaśnięcie drzwi, słyszy się bardzo wyraźnie. Tak samo krzyk albo strzał, gdyby tutaj coś takiego miało się zdarzyć. Czasem dochodzi z dala dźwięk syreny.

Podchodzę do okna i siadam na parapecie, za wąskim, żeby mógł być wygodny. Leży tu mała twarda poduszka z wyhaftowanym kanciastym pismem słowem WIARA w wieńcu z lilii. WIARA jest w kolorze spłowiałego błękitu; liście lilii – ciemnozielone. Ta poduszka pochodzi skądinąd, jest zniszczona, ale nie na tyle, żeby ją wyrzucić. Została przeoczona.

Spędzam minuty, dziesiątki minut, przebiegając wzrokiem słowo WIARA. To jedyne, co mam do czytania. Ciekawe, co by było, gdyby mnie na tym złapali. Ostatecznie nie ja tę poduszkę tu położyłam.

Silnik zaskakuje, a ja się wychylam, przesłaniając twarz białą firanką jak welonem. Jest półprzezroczysta, więc przez nią widzę. Kiedy przycisnę czoło do szyby i spojrzę w dół, widzę tył tornada. Nikogo nie ma poza Nickiem, który obchodzi samochód dokoła, otwiera tylne drzwi i sztywno przy nich staje. Czapkę ma teraz prosto, rękawy koszuli opuszczone i zapięte na guziki. Nie widzę jego twarzy, bo przecież patrzę z góry.

Teraz ukazuje się Komendant. Miga mi przez chwilę, skrócony, w rzucie z góry, jak idzie do samochodu. Nie wziął kapelusza, co znaczy, że sprawa nie jest natury formalnej. Ma siwe włosy. Mogłabym powiedzieć srebrzyste, gdybym chciała być uprzejma.

Ale nie chcę. Poprzedni Komendant był łysy, więc to i tak postępowanie.

Gdybym mogła plunąć przez okno albo czymś rzucić, na przykład poduszką, trafiłabym go bez trudu.

Moira i ja z torbami papierowymi napełnionymi wodą. Bomby wodne – tak je nazywałyśmy. Wychyliłyśmy się przez okno mojej sypialni w internacie i rzucamy je chłopakom na głowy. To był pomysł Moiry. Za co? Za to, że wdrapują się po coś na drabinę. A po co? Po naszą bieliznę.

Ten internat był kiedyś koedukacyjny i w łazienkach na naszym piętrze zostały pisuary, ale zanim tam przybyłam, rozdzielili mężczyzn i kobiety, jak dawniej.

Komendant schyla się, wsiada do samochodu i Nick zatrzaskuje za nim drzwi. W chwilę później samochód cofa się, wyjeżdża podjazdem na ulicę i znika za żywopłotem.

Powinno mi być wściekłość do tego człowieka. Wiem, że powinno mi być, ale nie czuję. To, co do niego czuję, jest bardziej skomplikowane. Nie wiem, jak to nazwać. To nie jest miłość.

11

Wczoraj rano byłam u lekarza. Zabrał mnie tam strażnik, taki z czerwoną opaską na rękę, odpowiedzialny za te sprawy. Jechaliśmy czerwonym samochodem, on z przodu, ja z tyłu. Tym razem występuję bez mojej bliźniaczki. W takich sytuacjach mi nie towarzyszy.

Raz na miesiąc jeżdżę na badania: mocz, hormony, wymaz na choroby nowotworowe, badanie krwi; tak samo jak dawniej, tylko teraz jest to obowiązkowe.

Gabinet lekarski mieści się w nowoczesnym biurowcu. Wjeżdżamy windą, bezszelestnie, strażnik stoi naprzeciwko mnie. W czarnej lustrzanej ścianie kabiny widzę tył jego głowy. Na górze wchodzę do gabinetu, a on wraz z innymi strażnikami czeka na korytarzu, siedzi na jednym z krzeseł w tym celu wystawionych.

W poczekalni są jeszcze trzy inne kobiety, ubrane na czerwono: ten lekarz to specjalista. Przyglądamy się sobie otwarcie – oceniamy nawzajem swoje brzuchy – której się poszczęściło? Pielęgniarz podaje do kompuleku nasze imiona i numery przepustek, żeby sprawdzić tożsamość. Ma sześć stóp wzrostu, około czterdziestki i ukośną bliznę przez cały policzek; pisze na maszynie, ale jego dłonie są za duże do klawiatury, w naramiennym olstrze w dalszym ciągu nosi pistolet.

Wywołana, wchodzę do gabinetu. Jest biały, bezosobowy jak

poczekalnia, z wyjątkiem składanego parawanu – naciągnięty na ramę czerwony materiał z namalowanym złotym okiem, pod którym, niby rękojeść, widnieje ustawiony pionowo miecz z oplecionym wokół niego węzem. Węze i miecz to szczątki symboli czasu poprzedniego.

Po napełnieniu małej butelki, przygotowanej dla mnie w łazience, rozbieram się za parawanem, zostawiając ubranie na krześle. Kiedy już jestem naga, kładę się na stole przeznaczonym do badania, na jednorazowym arkuszu chłodnego szeleszczącego papieru. Prześcieradło, płachtę numer jeden, naciągam na siebie. W miejscu szyi zwisa z sufitu jeszcze jedna płachta, która zasłania przed lekarzem moją twarz. Badanie dotyczy jedynie tułowia.

Kiedy jestem już gotowa, wyciągam rękę i szukam małej dźwigni umieszczonej z prawej strony stołu. Pociągam i gdzieś tam dzwoni dzwonek, którego ja nie słyszę. Po chwili otwierają się drzwi, słychać kroki, oddech. Lekarz nie powinien się do mnie odzywać, chyba że uzna to za absolutnie niezbędne. Ale ten jest rozmowny.

– No, jak się czujemy? – zagaduje; nawyk z dawnych czasów. Zdejmuje ze mnie prześcieradło, a ja dostaję gęziej skórki od przeciągu. Zimny palec, obleczony gumą i pokryty galaretą, wsuwa się we mnie, sonduje, szturcha. Palec cofa się, wchodzi jeszcze raz, inaczej, umyka.

– Wszystko w porządku – mruczy doktor, jakby do siebie. – Nic nie boli, kochanie? – Mówi do mnie kochanie.

– Nie – odpowiadam.

Teraz z kolei obmacywanie piersi – w poszukiwaniu obcego ciała, choroby. Oddech przybliży się, czuję zastarzały dym, płyn po goleniu, pył tytoniowy na włosach. A potem głos, bardzo cichy, tuż przy mojej głowie – wydyma zwisającą zasłonę.

– Mógłbym ci pomóc – mówi. Szepcze.

– Co? – pytam.

– Szsz – odpowiada. – Mógłbym ci pomóc. Pomagałem już innym.

– Pomóc mi? – mówię teraz już tak samo cicho jak i on. – Jak? –
Czyżby coś wiedział, widział się z Łukaszem, odkrył, może mi przywrócić...

– A jak myślisz? – pyta; w dalszym ciągu jest to ledwie tchnienie. Czyżby to była jego ręka, to, co sunie wzdłuż mojej nogi? Zdjął rękawiczkę. Drzwi są zamknięte. Nikt tu nie wejdzie. Nigdy się nie dowiedzą, że to nie jego.

Uchyła płachtę. Dolną część jego twarzy kryje maska z gazy. Takie są przepisy. Piwne oczy, nos, ciemne włosy. Jego dłoń jest między moimi nogami.

– Większość tych starych facetów już nie może – mówi. – Albo jest bezpłodna.

Zatkało mnie. Użył zakazanego słowa: bezpłodny. Już teraz nie istnieje nic takiego jak bezpłodny mężczyzna, w każdym razie oficjalnie. Płodne i bezpłodne mogą być tylko kobiety, tak stanowią przepisy.

– Wiele kobiet na to idzie – podejmuje. – Chcesz przecież dziecka, prawda?

– Tak – odpowiadam. I to jest prawda, nie pytam dlaczego, bo wiem. „Daj mi dzieci, inaczej umrę”. Te słowa mają niejedno znaczenie.

– Jesteś gotowa – mówi. – Jest czas. Dziś lub jutro, szkoda tracić okazję. To potrwa tylko chwilkę, kochanie. – Kochanie. Tak nazywał swoją żonę, kiedyś, może w dalszym ciągu nazywa. W gruncie rzeczy jest to rzeczownik pospolity. Wszystkie jesteśmy „kochanie”.

Waham się. Oferuje mi siebie, swoje usługi, za cenę pewnego ryzyka.

– To straszne patrzeć, co z wami wyprawiają – szepcze. Jego współczucie jest autentyczne. A jednak cała ta sytuacja sprawia mu przyjemność, to współczucie, i to wszystko. Oczy ma wilgotne ze wzruszenia, a jego ręka błądzi po moim ciele nerwowo, niecierpliwie.

– To zbyt niebezpieczne – mówię. – Nie. Nie mogę. – Grozi mi kara śmierci. Jeśli złapią na gorącym uczynku, wobec dwóch świadków. Jakie jest ryzyko, czy pokój ma urządzenia podsłuchowe, kto czeka tuż za drzwiami?

Jego dłoń nieruchomieje.

– Zastanów się. Widziałem twoją kartę. Nie masz znów tak wiele czasu. Ale to twoja sprawa.

– Dziękuję – odpowiadam. Muszę udawać, że nie czuję się obrażona, że jestem otwarta na tę propozycję. Zabiera rękę, niemal leniwie, opieszale. Jeśli chodzi o niego, ostatnie słowo jeszcze nie zostało powiedziane. Mógłby sfalszować wyniki badań, podać, że mam raka, że jestem bezpłodna, spowodować, że zostanę wysłana do Kolonii, wraz z niekobietami. Nic takiego nie zostało powiedziane, ale świadomość jego władzy wisi w powietrzu, kiedy poklepuje mnie po udzie, a następnie chowa się za płachtę.

– Za miesiąc – mówi.

Ubieram się za parawanem. Ręce mi się trzęsą. Dlaczego się boję? Nie przekroczyłam żadnych granic, nie zaufałam, nie podjęłam żadnego ryzyka, wszystko jest w porządku. Ale to ten wybór mnie tak przeraża. Jakieś wyjście. Wybawienie.

12

Łazienka przylega do sypialni. Na ścianach tapeta w małe niebieskie kwiatki, niezapominajki, w oknie zasłonki pod kolor. Są też błękitna mata i pokrowiec na deskę klozetową ze sztucznego futra.

Jedyne, co różni tę łazienkę od łazienek z poprzedniego czasu, to brak lali z sutą spódnicą do zakrywania zapasowej rolki papieru klozetowego. No i lustra nad umywalką – zastąpiono je blaszanym owalem – zamka w drzwiach i oczywiście brzytew. Początkowo bowiem zdarzały się wypadki: podcinanie żył, utonięcia. Dopóki nie zaspokoili wszystkich swoich obsesji. Przed drzwiami siedzi na krzeselku Cora i pilnuje, żeby nikt nie wszedł. W łazience, w wannie, człowiek jest narażony, utrzymywała Ciotka Lidia. Nigdy nie powiedziała, na co.

Kąpiel to wymóg, ale jednocześnie i luksus. Już samo zdjęcie ciężkich białych skrzydeł i welonu, możliwość dotknięcia własnych włosów jest luksusem. Moje włosy są teraz długie, niestrzyżone. Bo powinny być długie, ale schowane. Ciotka Lidia, powołując się na świętego Pawła, mówiła, że włosy mają być albo długie, albo zgolone do gołej skóry. Śmiała się przy tym swoim hamowanym, przypominającym końskie rzenie śmiechem, jakby powiedziała dowcip.

Cora napełniła wannę wodą, która paruje jak zupa w wazie.

Zdejmuję resztę ubrania, cały ten wystrój: białą koszulę, czerwone pończochy, luźne bawełniane pantalone. Od rajstop można dostać grzyba w kroku – mawiała Moira. Ciotka Lidia nigdy by się w ten sposób nie wyraziła: grzyb w kroku. Ona mówiła, że rajstopy są niehigieniczne. Bo ona chciała, żeby wszystko było bardzo higieniczne.

Moja nagość już teraz wydaje mi się obca. Ciało niemodne. Czy ja rzeczywiście chodziłam po plaży w kostiumie kąpielowym? Oczywiście, że chodziłam, wcale o tym nie myśląc, wśród mężczyzn; nie przejmowałam się wcale, że wystawiam nogi, ramiona, uda i plecy na widok publiczny, że mnie widzą. To wstyd, to nieskromne. Staram się nie patrzeć na swoje ciało – nie dlatego, żeby w tym było coś wstydliviego czy nieskromnego, po prostu dlatego że nie chcę go widzieć. Nie chcę patrzeć na coś, co może o mnie rozstrzygnąć.

Wchodzę do wody, kładę się, pozwalam, żeby mnie objęła. Woda jest delikatna jak ręce. Zamykam oczy i nagle zjawia się przy mnie, bez uprzedzenia – sprawił to pewnie zapach mydła. Przytykam twarz do mięciutkich włosków porastających z tyłu jej szyję i wdycham ją – puder dziecięcy, dziecinne, umyte ciało, szampon – z jakimś leciutkim podtekstem, delikatnym zapaszkiem moczu. Teraz, kiedy biorę kąpiel, jest właśnie w tym wieku. Bo przychodzi do mnie w najróżniejszym wieku. Stąd wiem, że nie jest duchem. Gdyby była duchem, miałaby zawsze tyle samo lat.

Pewnego dnia, kiedy miała jedenaście miesięcy, tuż przedtem, zanim zaczęła chodzić, wykradła mi ją w domu towarowym jakaś kobieta. Była to sobota, dzień, w którym jako oboje pracujący robiliśmy z Łukaszem zakupy na cały tydzień. Siedziała na wózku z takim specjalnym siodełkiem i otworami na nogi i była

uszcześliwiona. Odeszłam na chwilę, chyba do działu pożywienia dla kotów. Łukasza straciłam z oczu; był w dziale mięsnym. Lubił wybierać dla nas mięso na cały tydzień. Twierdził, że mężczyźni potrzebują więcej mięsa niż kobiety, że to nie są bzdury, że on nie jest stuknięty i że sprawa została naukowo udowodniona. Są pewne różnice – powtarzał z upodobaniem, jakbym się upierała, że ich nie ma. Ale najchętniej wygłaszał takie teorie przy mojej matce. Lubił się z nią droczyć.

Usłyszałam jej płacz. Odwróciłam się i zobaczyłam, jak się ode mnie oddala przejściem między regałami, na rękach kobiety, której nigdy przedtem nie widziałam. Krzyknęłam i kobietę zatrzymano. Musiała mieć jakieś trzydzieści pięć lat. Płakała i mówiła, że to jej dziecko, że Bóg jej to dziecko ofiarował, że zesłał znak. Było mi jej żal. Kierownik sklepu mnie przeproszał, a ją zatrzymali do przybycia policji.

– Ona jest po prostu chora umysłowo – powiedział Łukasz.

Wtedy myślałam, że to odosobniony przypadek.

Zanika, nie mogę jej przy sobie utrzymać, o, już jej nie ma. Może nawet i myślę o niej jako o duchu, o duchu zmarłej dziewczynki, małej dziewczynki, która umarła w wieku lat pięciu. Pamiętam nasze zdjęcia sprzed lat: ona w moich objęciach, normalne pozy, jak to matka z dzieckiem, zdjęcie w ramkach, żeby się nie zniszczyło. Zamykam oczy i widzę siebie taką jak teraz; siedzę przed otwartą szufladą albo walizką w piwnicy, gdzie trzymam poskładane ubranka dziecięce, w kopercie kosmyk włosów, obcięty, kiedy miała dwa latka, białych jak len. Potem jej ściemniały.

Już nie mam tych pamiątek – ani ubranek, ani włosów. Zastanawiam się, co się stało ze wszystkimi naszymi rzeczami.

Zrabowane, wyrzucone, zabrane. Skonfiskowane.

Nauczyłam się obywać bez wielu rzeczy. Jeśli się ma za dużo – mówiła Ciotka Lidia – to człowiek przywiązuje się zbyt do świata materialnego i zapomina o wartościach duchowych. Trzeba kultywować ubóstwo ducha. Błogosławieni cisi. Ale o dziedziczeniu ziemi tym razem nie było.

Leżę, omywana przez wodę, mam przed oczami nieistniejącą szufladę i myślę o dziewczynce, która nie umarła w wieku lat pięciu; która, mam nadzieję, istnieje nadal, chociaż nie dla mnie. A czy ja istnieję dla niej? Czy jestem tylko obrazem gdzieś w ciemnym zakątku jej świadomości?

Musieli jej powiedzieć, że umarłam. Tak, o tym by pomyśleli. Powiedzieliby, że tak jej będzie lżej.

Musi mieć teraz z osiem lat. Wypełniłam czas, który straciłam, a wiem, ile straciłam. Mieli rację, łatwiej myśleć o niej jako o zmarłej. Nie muszę mieć wtedy nadziei ani czynić próżnych wysiłków. Po co, mówiła Ciotka Lidia, walić głową w mur? Czasami wyrażała się bardzo obrazowo.

– Nie mam czasu, żeby cały dzień tu siedzieć – słyszę głos Cory zza drzwi. Jasne, że nie ma. W ogóle ma niewiele, nie tylko czasu. Nie mogę jej pozbawiać jeszcze i tego. Mydlę się, szoruję szczotką i pumeksem, żeby zetrzeć stwardniałą skórę. Do dyspozycji mamy właśnie takie purytańskie środki higieny. Chcę być całkowicie czysta, bez zarazków, bez jakichkolwiek bakterii, jak powierzchnia księżycy. Nie będę mogła się umyć wieczorem ani nawet później, przez cały dzień. Twierdzą, że to przeszkadza, więc po co ryzykować?

Nie mogę teraz nie widzieć niewielkiego tatuażu na kostce.

Cztery cyfry i oko – odwrotność paszportu: ma gwarantować, że nie zniknę w innym pejzażu. Jestem na to zbyt ważna, stanowię zbyt rzadki okaz, bogactwo narodowe.

Wyciągam z wanny zatyczkę, wycieram się, wkładam czerwony szlafrok frotté. Zostawiam sukienkę. Cora ją weźmie do prania. W pokoju znów się ubieram. Biały strój na głowę nie jest konieczny na wieczór, nigdzie nie wychodzę. Wszyscy w tym domu wiedzą, jak wygląda moja twarz. Zamiast tego wkładam czerwony welon, który przykrywa moje mokre włosy, moją głowę, nieogoloną. Gdzie ja widziałam ten film o kobietach, które klęczą gdzieś na placu, w mieście; trzymają je jakieś ręce, a włosy tych kobiet spadają na stertę? Co one takiego zrobiły? Musiało to być już dawno, bo nie pamiętam.

Cora przynosi mi na tacy kolację, przykrytą. Przed wejściem stukła do drzwi. Lubię ją za to. To znaczy, że uważa, iż pozostawiono mi coś z tego, co nazywaliśmy intymnością.

– Dziękuję. – Biorę od niej tacę, a ona rzeczywiście się do mnie uśmiecha, choć jednocześnie odwraca się, nie odpowiadając. Wstydzi się, kiedy zostajemy same, we dwie.

Stawiam tacę na małym białym stoliku i przysuwam do niego krzesło. Zdejmuję serwetkę. Udko kurze, za bardzo rozgotowane. Ale lepsze to niż z krwią – bo jeszcze tylko takie może być w jej wykonaniu. Rita umie dać wyraz swojej niechęci. Pieczony kartofel, zielony groszek, sałata. Na deser gruszki konserwowe. Jedzenie nawet dobre, ale mdłe. Zdrowe jedzenie. Ważne, żebyśmy miały niezbędne witaminy i sole mineralne – mówiła powściągliwie Ciotka Lidia. Musicie stanowić godne naczynia. Żadnej kawy, herbaty czy alkoholu – robiono badania. Bibułkowa serwetka jak w kafeterii.

Myślę o tych innych, które spotkał gorszy los. Bo ja tu mam jak u Pana Boga za piecem, jedwabne życie, niech Bóg natchnie nasze serca wdzięcznością – mawiała Ciotka Lidia – zaczynam jeść. Dziś wieczorem nie jestem głodna. Jest mi niedobrze. Ale gdzie tu wyrzucić jedzenie, skoro nie ma żadnych roślin doniczkowych, a do klozetu boję się ryzykować. Jestem zdenerwowana – w tym tkwi przyczyna. Czy mogę po prostu zostawić jedzenie na talerzu i poprosić Corę, żeby na mnie nie poskarżyła? Gryzę i łykam, gryzę i łykam, czuję, jak biją na mnie siódme poty. W żołądku jedzenie zbija mi się w twardą kulę, garść wilgotnej, odciśniętej tektury.

Na dole w jadalni na dużym mahoniowym stole palą się świece – biały obrus, srebro, kwiaty, wino w kieliszkach. Niemal słyszę zgrzyt sztućców o porcelanę, leciutkie westchnienie, kiedy odkłada widelec, zostawiając pół dania nietknięte. Może powie, że nie ma apetytu, może nie powie nic. A jeśli coś powie, to czy on to skomentuje? Jeśli zaś nie powie nic, to czy zauważy? Zastanawiam się, co ona robi, żeby zwrócić na siebie uwagę. Myślę, że musi jej być bardzo ciężko.

Na brzegu talerzyka jest odrobina masła. Oddzieram róg papierowej serwetki, zawijam masło, zanoszę do szafy i chowam w czubku prawego buta z mojej zapasowej pary, tak jak to już dawniej robiłam. Resztę serwetki mnę w rękę: nikt przecież nie zada sobie trudu, żeby ją rozprostować i sprawdzić, czy nic nie brakuje. Masło zużyję trochę później, wieczorem. Chociaż dziś wieczór pachnieć masłem to mało.

Czekam. Muszę się pozbierać, tak jak się zbiera rzeczy. To, co mam sobą przedstawiać, ma być czymś zrobionym, a nie urodzonym.

V

DRZEMKA

13

Jest dużo czasu. Jedna ze spraw, na które nie byłam przygotowana – masa czasu niewypełnionego, długie pauzy niczego. Czas jako biały dźwięk. Gdybym tylko mogła haftować. Tkać, robić na drutach – czymkolwiek zając ręce. Marzę o papierosie. Przypominają mi się spacerzy po galeriach sztuki. Dziewiętnasty wiek; obsesja na punkcie haremów: tłuste kobiety porozwalane na otomanach, na głowach turbany albo aksamitne czapki, wachlarze z pawich piór, w głębi eunuch na straży. Studia siedzących ciał malowane przez mężczyzn, którzy tam nigdy nie byli. Te obrazy miały być erotyczne i wtedy uważałam, że takie są; ale dzisiaj widzę, czym one były naprawdę. Malowidła przedstawiają ruch w zawieszeniu, czekanie, przedmioty niebędące w użyciu. Malowidła przedstawiają znudzenie.

Ale może znudzenie ma walor erotyczny, kiedy robią to kobiety – dla mężczyzn.

Czekam, umyta, uczesana, nakarmiona, jak tuczne prosię. Gdzieś w latach osiemdziesiątych wynaleziono świńskie piłki przeznaczone dla sztuk tuczonych w boksach. Świńskie piłki były to duże kolorowe kule, które świnie popychały ryjami. Hodowcy uważali, że to im poprawia umięśnienie; świnie są ciekawe, lubią mieć coś do myślenia.

Czytałam o tym we *Wstępie do psychologii*; to, i rozdział

poświęcony szczurom w klatkach, które żeby mieć co robić, aplikowały sobie wstrząsy elektryczne. I rozdział o gołębiach tresowanych tak, żeby dziobały guzik, co powodowało ukazanie się ziarna kukurydzy. Były trzy grupy: pierwsza dostawała ziarno za każdym dziobnięciem, druga co drugi raz, trzecia w sposób przypadkowy.

Kiedy opiekun odciął dopływ ziarna, pierwsza grupa zrezygnowała bardzo szybko, druga trochę później, trzecia nigdy. Wolały się nawzajem zadziobać na śmierć, niż dać za wygraną. Kto wiedział, co może się okazać skuteczne?

Szkoda, że nie mam świńskiej piłki.

Leżę na plecionym dywaniku. Zawsze możecie ćwiczyć – mówiła Ciotka Lidia. W planie zajęć miałyśmy kilka razy dziennie gimnastykę. Ręce wzdłuż tułowia, kolana ugięte, uniesiona miednica, wyginamy kręgosłup, pogłębiamy. Jeszcze raz. Wdychamy powietrze, licząc do pięciu, przytrzymujemy, wydychamy. Robiłyśmy to na komendę, leżąc na małych japońskich matach, w dawnej pracowni zajęć domowych opróżnionej teraz z maszyn do szycia i zmywania, przy dźwiękach *Sylfid* z taśmy magnetofonowej. Słyszę to właśnie teraz, w wyobraźni, unosząc się, przechylając, oddychając. Za moimi zamkniętymi powiekami zwiewne, białe tancerki pomykają wdzięcznie wśród drzew, a ich nogi trzepoczą jak skrzydła przytrzymanego ptaka.

Po południu – między trzecią a czwartą – przez godzinę musiałyśmy leżeć. Mówiły nam, że to chwila wypoczynku i medytacji. Wtedy myślałam, że one zarządzały ten odpoczynek, żeby mieć wolne; wiem, że Ciotki, które nie miały akurat zajęć, szły do pokoju nauczycielskiego na kawę czy też to, co pod tym

rozumiały. Ale teraz wydaje mi się, że ten odpoczynek też czemuś służył – przyzwyczajał nas, pozwalał przywyknąć do czasu jałowego.

Mała drzemka, jak to Ciotka Lidia na swój powściągliwy sposób nazywała.

A najdziwniejsze, że ten wypoczynek był nam naprawdę potrzebny. Często też zasypiałyśmy, nieustannie właściwie zmęczone. Cały czas byłyśmy na jakichś pigułkach czy narkotykach, które nam dodawali do jedzenia – żeby nas uspokoić. Ale może nie. Może to sprawa samego miejsca. Po pierwszym szoku, kiedy już się z tym człowiek pogodził, lepiej było trwać w letargicznym otępieniu, tłumacząc sobie, że się w ten sposób oszczędza siły.

Musiałam tam być już ze trzy tygodnie, kiedy przybyła Moira. Przyprowadziły ją do Hali Sportowej w zwykły sposób dwie Ciotki podczas naszej drzemki. Miała na sobie jeszcze swoje ubranie – dzinsy i granatową bluzę – i krótko obcięte włosy, jak zwykle bowiem lekceważyła modę. Poznałam ją natychmiast. Moira też mnie zobaczyła, ale odwróciła głowę, bo już wtedy wiedziała, że tak będzie bezpieczniej. Na lewym policzku miała siniak, który zaczynał fioletowieć. Ciotki zaprowadziły ją do wolnego łóżka, gdzie już leżała przygotowana czerwona sukienka. Moira.

W milczeniu zaczęła się przebierać, podczas gdy Ciotki stały w nogach łóżka, a my wszystkie obserwowałyśmy ją spod przymrużonych powiek. Kiedy się schyliła, wyraźnie widziałam guzki jej kręgow.

Przez kilka dni nie mogłyśmy zamienić słowa; posyłałyśmy sobie tylko ukradkowe spojrzenia, jak małe łyeczki. Przyjaźnie były podejrzane, wiedziałyśmy o tym, więc unikałyśmy siebie nawzajem

w kolejkach do posiłków w kafeterii i na korytarzu w przerwach między lekcjami. Ale czwartego dnia Moira znalazła się koło mnie podczas spaceru, kiedy szłyśmy dwójkami dokoła boiska futbolowego. Białe skrzydła obowiązywały nas dopiero po ukończeniu szkoły, wówczas miałyśmy tylko welony, mogłyśmy więc rozmawiać, pod warunkiem że robiłyśmy to cicho i nie odwracając się do siebie. Ciotki szły na czele i na końcu kolumny, więc zagrożenie mogły stanowić tylko koleżanki. A były wśród nas gorliwe, które mogły donieść.

- To dom wariatów – powiedziała Moira.
- Cieszę się, że cię widzę – odparłam.
- Gdzie możemy pogadać?
- W łazience. Pilnuj godziny. Ostatni boks, druga trzydzieści. To wszystko, cośmy sobie powiedziały.

Czuję się bezpieczniej, wiedząc, że jest tu Moira. Możemy wychodzić do łazienki, jeżeli podniesiemy rękę, chociaż liczba wyjść dziennie jest ograniczona, zaznaczają to na specjalnej karcie. Uważam na zegar, okrągły, elektryczny, który wisi od frontu nad zieloną tablicą. Druga trzydzieści wypada podczas Wyznawania. Są Ciotka Helena i Ciotka Lidia, ponieważ Wyznawanie to przedmiot szczególny. Ciotka Helena jest gruba. Kiedyś była prezesem Ośrodka Odchudzania w Iowa. Jest dobra w Wyznawaniu.

Właśnie Janina opowiada o tym, jak w wieku lat czternastu padła ofiarą gwałtu zbiorowego i miała skrobankę. W zeszłym tygodniu opowiadała to samo. Robiła wrażenie niemal dumnej. Zresztą to wcale nie musi być prawda. Na Wyznawaniu bezpieczniej coś wymyślić, niż się przyznać, że się nic nie ma do opowiedzenia. Ale ponieważ chodzi o Janinę, jest to pewnie mniej

więcej prawda.

– Ale czyja to była wina? – pyta Ciotka Helena, unosząc w górę tłusty palec.

– Jej wina, jej wina, jej wina – skandujemy unisono.

– Kto ich sprowokował? – Ciotka Helena promienieje, zadowolona z nas.

– Ona. Ona. Ona.

– A dlaczego Bóg dopuścił do takiej strasznej rzeczy?

– Żeby dać jej nauczkę. Dać jej nauczkę. Dać jej nauczkę.

W ubiegłym tygodniu Janina wybuchnęła płaczem. Ciotka Helena kazała jej uklęknąć przed frontem klasy, z rękami do tyłu, tak żeby wszystkie mogły ją widzieć, z twarzą czerwoną i usmarkaną. Janina ma włosy ciemnoblond, a rzęsy tak jasne, jakby ich wcale nie miała, jakby je straciła w pożarze. Spalone oczy. Wyglądała odrażająco: słaba, nędzna, opuchnięta i różowa jak nowo narodzona mysz. Żadna z nas nie chciałaby tak wyglądać, przenigdy. Przez chwilę, chociaż wiedziałyśmy, co robią z Janiną, pogardzałyśmy nią.

– Beksa. Beksa. Beksa.

I rzeczywiście – rzecz szczególnie paskudna – mówiłyśmy to serio.

Zwykle jestem o sobie dobrego mniemania. Ale wtedy myślałam o sobie jak najgorzej.

Tak było w ubiegłym tygodniu. W tym tygodniu Janina nie czeka, aż zaczniemy z niej szydzić.

– To była moja wina – mówi. – Moja własna wina. Ja ich sprowokowałam. Zasłużyłam na ten ból.

– Bardzo dobrze, Janino – chwali ją Ciotka Lidia. – Należy brać z ciebie przykład.

Muszę poczekać, aż się to skończy, zanim podniosę rękę. Czasami, jak się poprosi w złym momencie, potrafią odmówić. A jeśli naprawdę musisz wyjść, może być źle. Wczoraj na przykład Dolores zlała się na podłogę. Dwie Ciotki wywlokły ją z klasy pod rękę. Nie było jej na popołudniowym spacerze, ale wieczorem znalazła się w swoim łóżku, jak zwykle. Przez całą noc z przerwami słychać było jej jęki.

– Co z nią zrobiły? – niósł się szept od łóżka do łóżka.

– Nie wiem.

Nieznajomość rzeczy pogarsza tylko sytuację.

Podnoszę rękę, Ciotka Lidia kiwa głową. Wstaję i wychodzę na korytarz, starając się nie rzucać w oczy. Przed łazienką stoi na straży Ciotka Elżbieta. Kiwa głową na znak, że mogę wejść.

Kiedyś była to toaleta dla chłopców. Lustra zostały zastąpione przez owale matowego szarego metalu, ale na jednej ze ścian zostały pisuary, białe w żółte plamy. Wyglądają dziwnie, jak dziecięce trumienki. Znow dumam nad jawnością życia mężczyzn: niezasłonięte prysznice, ciało do oglądania i porównywania, genitalia wystawione na widok publiczny. Po co to wszystko? Żeby sobie poprawić samopoczucie? To jakby takie pokazywanie – proszę popatrzeć, wszystko jest w porządku, ja tu należę. Ciekawe, dlaczego kobiety nie muszą jedna drugiej udowadniać, że są kobietami? Nie ma żadnego rozpinania guzików, rytuału pokazywania sobie dziurki między nogami, równie naturalnego jak wzajemne obwąchiwanie się psów.

Budynek szkolny jest stary, kabiny z drewna czy raczej z płyty. Podchodzę do drugiej kabiny od końca, popycham drzwi. Oczywiście nie ma mowy o żadnych zamkach. W drewnie jest mała dziura, z tyłu, zaraz koło ściany, mniej więcej na wysokości talii,

skutek czyjegoś wandalizmu czy też pamiątka po dawnym podglądaczu. Wszyscy w Centrum wiedzą o tej dziurze, wszyscy poza Ciotkami.

Boję się, że przyszłam za późno, zatrzymana przez wyznania Janiny: może Moira już była, może już musiała wracać. Nie dają przecież za wiele czasu. Ostrożnie patrzę w dół, na ukos, pod ścianką kabiny, i widzę dwa czerwone pantofle. Ale skąd mogę wiedzieć, do kogo należą?

Przykładam usta do dziury.

– Moira? – szepczę.

– To ty? – odpowiada.

– Tak – mówię. Co za ulga.

– O rany, ale mi się chce papierosa – mówi Moira.

– I mnie.

Czuję się idiotycznie szczęśliwa.

Zapadam się w swoje ciało jak w grzędawisko, jak w moczary, gdzie tylko ja potrafię wyczuć stały grunt pod nogami. Zdradliwy teren, moje własne terytorium. Jestem jak ziemia, do której przykładam ucho, nasłuchując odgłosów przyszłości. Każde ukłucie, każdy najmniejszy pomruk bólu, wybrzuszenie wzbierającej materii, obrzęk i ubytek tkanki, obecność wydzielin – to wszystko są znaki, rzeczy, o których powinnam wiedzieć. Co miesiąc z lękiem wyczekuję krwi, ponieważ jej pojawienie się oznacza porażkę. Znów zawiodłam oczekiwania innych, które stały się moimi oczekiwaniami.

Zawsze traktowałam moje ciało jako instrument przyjemności, środek transportu albo narzędzie spełniania mojej woli. Mogłam go używać do biegania, naciskania takich czy innych guzików, do powodowania, by pewne rzeczy się działy. Istniały oczywiście

granice, ale moje ciało było giętkie, samodzielne, konkretne, stanowiło ze mną jedność.

Teraz rzeczy mają się inaczej. Jestem chmurą, zakrzepłą wokół centralnego obiektu w kształcie gruszki, twardego i bardziej realnego niż ja sama, który jarzy się czerwono wewnątrz swego przezroczystego opakowania. Wewnątrz jest przestrzeń, ogromna jak niebo nocą, ciemna i zakrzywiona jak ono, choć raczej czarnoczerwona niż czarna. Punkciki światła wzbierają, iskrzą, wybuchają i kurczą się wewnątrz niej, mnogie jak gwiazdy. Co miesiąc pojawia się księżyc, gigantyczny, okrągły, ciężki – zły omen. Księżyc przesuwa się, zatrzymuje, potem znów rusza, aż ginie mi z oczu, a ja widzę rozpacz nadciągającą jak głód. I znów czuję się pusta, i znów nasłuchuję bicia serca; fala za falą, słone i czerwone, odmierzają czas.

Jestem w naszym pierwszym mieszkaniu, w sypialni. Stoję przed szafą, która ma drewniane składane drzwi. Wiem, że dokoła jest pusto, znikły już wszystkie meble, podłogi są gołe, nie ma nawet dywanów; ale pomimo to szafa jest pełna ubrań. Myślę, że to moje ubranie, ale nie robi ono wrażenia mojego, nigdy go przedtem nie widziałam. Może to ubranie żony Łukasza, której też nigdy nie widziałam – znam ją tylko ze zdjęcia i z głosu w słuchawce telefonu, kiedy dzwoniła do nas późno w noc, jeszcze przed rozwodem, płacząc i nas oskarżając. Ale nie, to jednak moje ubranie. Potrzebna mi jest sukienka, nie mam w czym chodzić. Wyciągam sukienki, czarne, niebieskie, fioletowe, żakiety, spódnice; nic z tego się nie nadaje, nic nawet nie pasuje, za duże albo za małe.

Jest i Łukasz, stoi za mną, odwracam się, żeby go zobaczyć. Ale on nie chce na mnie patrzeć, patrzy na podłogę, na kota, który

ociera się o jego nogi, miaucząc żałośnie. Domaga się jedzenia, ale skąd wziąć jedzenie w mieszkaniu tak pustym?

– Łukasz – mówię. Nie odpowiada. Może nie słyszy. Przychodzi mi do głowy, że Łukasz nie żyje.

Biegnę z nią, trzymam ją za rękę, ciągnę, wlokę przez paprocie, na wpeł śpiącą z powodu pigułki, którą jej dałam, żeby nie płakała albo nie powiedziała czegoś, co mogłoby nas zdradzić; nie wie, gdzie jest. Teren robi się nierówny, skały, suche gałęzie, zapach wilgotnej ziemi, starych liści, mała nie może biec dostatecznie prędko, sama poruszałabym się znacznie szybciej, jestem dobrą biegaczką. Zaczyna płakać, jest przestraszona, chciałabym wziąć ją na ręce, ale wiem, że jest za ciężka. Mam na nogach swoje turystyczne buty i myślę o tym, że jak dobiegniemy do wody, to będę musiała je zrzucić. Czy woda nie będzie za zimna, czy ona da radę przepłynąć taki kawał, a co z prądem – nie spodziewałyśmy się tego. Cicho – mówię do niej ze złością. Myślę o tym, że może się utopić, i ta myśl mnie hamuje. I wtedy słyszemy za sobą strzały, niezbyt głośne, nie jak fajerwerki, tylko ostre i suche jak trzask łamanej gałęzi. Brzmią inaczej, nic nigdy nie brzmi tak, jak się spodziewasz, i wtedy słyszę ten głos, „Padnij” – czy to prawdziwy głos, czy słyszę go tylko w mojej głowie, czy też to ja mówię – głośno?

Pociągam ją na ziemię i zwalam się na nią, żeby ją osłonić. Cicho – powtarzam, moja twarz jest mokra, pot czy łzy, czuję spokój, płynność, jakbym już nie była we własnym ciele; tuż przy oczach mam liść, czerwony, jak wcześniej sczerwieniał, odróżniam każdą jaskrawą żyłkę. Najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam. Osłabiam uścisk, nie chcę jej udusić, owijam ją sobą, zasłaniam jej usta. Oddech i bicie mojego serca jak łomotanie nocą

do drzwi domu, w którym człowiek miał być bezpieczny.
Wszystko w porządku, jestem przy tobie – mówię,
szepczę – tylko proszę cię, bądź cicho – ale jak ona może być
cicho? Jest za mała, jest za późno, rozstajemy się, trzymają mnie
za ręce, brzegi ciemnieją i nie zostaje nic poza małym okienkiem,
bardzo małym, jak ten drugi koniec teleskopu, jak okienko na
karcie świątecznej, bardzo starej; a na zewnątrz noc i lód,
w środku świeca i zapalone drzewko, i rodzina, słyszę nawet
dzwonki, dzwonki u sań, z radia, stara muzyka, ale przez to
okienko widzę małą bardzo wyraźnie, widzę ją, jak się ode mnie
oddala pomiędzy drzewami, które już czerwienieją i żółkną, jak
wyciąga do mnie ręce, jak ją zabierają.

Budzi mnie dzwonek, a zaraz potem stuka do drzwi Cora. Siadam
na dywanie, wycieram rękawem mokrą twarz. Ze wszystkich snów
ten jest najgorszy.

VI

DOM

14

Kiedy milknie dzwonek, schodzę na dół – w oku lustro, które wisi na dole, miga mi przelotny obraz przybłądy. Zegar tyka, wahadłem odmierza czas; moje stopy w zgrabnych czerwonych pantoflach odmierzają drogę na dół.

Drzwi do salonu są szeroko otwarte. Wchodzę: na razie nie ma nikogo poza mną. Nie siadam, tylko zajmuję swoje miejsce – klękam koło krzesła z podnóżkiem, gdzie wkrótce, za pomocą laski, zasiądzie Serena Joy. Niewykluczone, że wesprze się na moim ramieniu, jakbym była jakimś meblem. Zdarzało jej się to już nieraz.

Dawniej ten pokój nazywano by bawialnią, być może; potem byłby to salon – taki z pajakiem i muchami. Dla nas jest „poczekalnią”, ponieważ służy głównie czekaniu. Jedni czekają tu na siedząco, inni na stojąco. W obecnej sytuacji, w dzisiejszych czasach, pozycja ciała jest ważna: drobne niewygody są bardzo pouczające.

A więc salon jest stonowany, symetryczny – jeden z kształtów, jakie przybiera pieniądz, w stanie zamrożonym. Od lat pieniądz sączył się przez ten pokój jak przez podziemną grotę, krystalizując się i zastygając w stalaktyty takich właśnie form. Nieme w swej różnorodności powierzchnie, ciemnoróżowy aksamit zaciągniętych zasłon, połysk dobranych do nich krzesel, osiemnasty wiek,

przytulność puszystego chińskiego dywanu na podłodze z jego bordowymi peoniami, miękka skóra fotela Komendanta, lśnienie mosiądzu szkatułki obok.

Dywan jest autentyczny. Niektóre rzeczy w tym pokoju są autentyczne, inne nie. Jak na przykład dwa obrazy, przedstawiające kobiety, po dwóch stronach kominka. Kobiety mają na sobie ciemne sukienki, jak te z dawnego kościoła, mimo że pochodzą z późniejszych czasów. Ale te obrazy mogą być autentyczne. Podejrzewam, że kiedy Serena Joy weszła w ich posiadanie – gdy stało się jasne, że musi skierować swoją energię ku sprawom przekonywająco domowym – zamierzała przedstawiać je jako portrety przodków. A może te obrazy były już tutaj, kiedy Komendant kupował ten dom. Trudno powiedzieć. W każdym razie wisiały niewątpliwie – sztywne, surowe, skrzywione, ze ściśniętymi biustami, w wykrochmalonych czepkach, z ziemistoszarą cerą – przymrużonymi oczyma obserwując pokój.

Pomiędzy nimi, nad kominkiem – owalne lustro, a po jego bokach pary srebrnych lichtarzy ozdobionych białym porcelanowym kupidynem trzymającym jagnię za szyję. Upodobania Sereny Joy stanowią dziwną mieszaninę: bezwzględny wymóg wysokiej jakości połączony z sentymentalnymi tęsknotami. Na obu końcach gzymsu kominka suche bukiety, na stojącym obok sofy politurowanym stoliku z intarsjami – żywe żonkile.

W pokoju pachnie olejkiem cytrynowym, ciężkim materiałem, więdnącymi żonkilami, ale czuć też kuchenne zapachy, przedostające się tu z kuchni i z jadalni oraz perfumy Sereny Joy: Konwalię. Perfumy to luksus, musi mieć jakieś prywatne źródło. Wdycham te zapachy i myślę, że powinnam to docenić. Zapach dziewczynek sprzed wieku dojrzewania, podarunków, które dzieci

ofiarowują matkom na Dzień Matki; zapach białych bawełnianych skarpetek i białych płóciennych halek, talku, niewinności kobiecego ciała, które nie wie jeszcze, co to owłosienie i krew. Czuję się, jakbym była trochę chora, jakbym w gorący, wilgotny dzień siedziała w zamkniętym samochodzie ze starszą, zbyt obficie upudrowaną kobietą. Taka jest właśnie „poczekalnia” mimo całej swojej elegancji.

Chciałabym coś z tego pokoju ukraść. Wziąć coś małego – fantazyjną popielniczkę, małe srebrne puzderko na pigułki z kominka czy suchy kwiatek – schować w fałdach sukienki lub zapinanego na suwak rękawa, trzymać tam do końca wieczora, a potem ukryć w swoim pokoju pod łóżkiem, w bucie czy w poszwie twardej poduszki z wyhaftowanym słowem WIARA. Od czasu do czasu wyjmowałabym tę rzecz i spoglądała na nią. Dawałaby mi ona poczucie siły.

Ale byłoby to tylko złudą i wiązałoby się ze zbyt dużym ryzykiem. Moje ręce pozostają więc na swoim miejscu, splecione na kolanach. Uda razem, pięty schowane pod siebie. Głowa pochylona. W ustach smak pasty do zębów, a raczej jej namiastki z mięty i kredy.

Czekam, aż się zbiorą domownicy. Domownicy – to właśnie my. Komendant to głowa domu. Nasza głowa. Póki śmierć nas nie rozłączy.

Sternik nawy.

Najpierw wchodzi Cora, za nią Rita, wycierając ręce w fartuch. One także zostały wezwane dzwonkiem, są wściekłe, mają co innego do roboty, choćby zmywanie. Ale muszą tu być obecne, wszyscy muszą być obecni. Wymaga tego ceremonia. Wszyscy jesteśmy obowiązani to w taki czy inny sposób odsiedzieć.

Rita patrzy na mnie spode łba, a następnie wślizguje się do środka i staje za mną. To moja wina – przeze mnie traci czas. Nie tyle moja, ile mojego ciała, jeżeli jest jakaś różnica. Nawet Komendant podlega jego kaprysom.

Zjawia się Nick, kiwa nam głową, rozgląda się po pokoju. I on staje za mną. Jest tak blisko, że czubkiem buta dotyka mojej stopy. Ciekawe, czy to specjalnie? Specjalnie czy przypadkowo – w każdym razie się dotykamy – dwa kształty obleczone w skórę. Czuję, jak mój pantofel mięknie, jak napływa do niego krew, jak robi się ciepły, jak powoli staje się cielesny. Delikatnie odsuwam stopę.

– Mógłby się pospieszyć – mówi Cora.

– Pośpiech jest złym doradcą. – Nick śmieje się i posuwa stopę, tak że znów dotyka mojej. Nikt tego nie widzi, wszystko skrywają fałdy mojej spódnicy. Kręcę się, jest za ciepło, duszący, zastarzały zapach perfum przyprawia o mdłości. Odsuwam nogę.

Słyszymy, jak nadchodzi Serena – najpierw po schodach, potem korytarzem – stłumione stukanie laski o dywan, stąpanie zdrowej nogi. Kuśtykając, wchodzi przez drzwi, obrzuca nas spojrzeniem, liczy, nie widząc. Kiwa głową Nickowi, ale się nie odzywa. Ma na sobie jedną ze swoich najlepszych sukienek – błękitną z białym haftem wzdłuż brzegów welonu: kwiaty i azur. Nawet w tym wieku odczuwa potrzebę przybierania się w kwiaty. Szkoda zachodu, myślę z nieruchomą twarzą, szkoda kwiatów, sama już zwiędłaś. Kwiaty to genitalia roślin. Gdzieś to wyczytałam, kiedyś.

Kieruje się w stronę swojego fotela z podnóżkiem, obraca się, zgina, siada niezdarnie. Unosi lewą stopę i opiera na podnóżku, grzebie w kieszeni rękawa. Słyszę szelest, pstryknięcie zapalniczki, czuję gorącą falę dymu, wdycham ją.

– Spóźniony, jak zwykle – mówi. Nie odpowiadamy. Słysząc szuranie, kiedy maca ręką na stoliku, potem pstryknięcie i wszyscy czekamy, aż na ekranie telewizyjnym pojawi się obraz.

Chór męski, żółtozielonkawy, trzeba wyregulować kolor, śpiewa *Przyjdź do kościoła w leśnej głuszy*. „Przyjdź, przyjdź, przyjdź” – huczą basy. Serena zmienia kanał. Fale, kolorowe zygzaki, bełkot: stacja satelitarna Montreal – zakłócenia. Pojawia się duchowny, bardzo poważny, o czarnych lśniących oczach, nachyla się do nas przez szerokość biurka. W dzisiejszych czasach duchowni bardzo przypominają biznesmenów. Serena poświęca mu kilka sekund uwagi, a następnie szuka dalej.

Kilka pustych kanałów, potem wiadomości. Tego szukała. Rozpiera się w fotelu, głęboko wciąga powietrze. Ja odwrotnie – nachylam się jak dziecko, któremu pozwolili siedzieć do późna z dorosłymi. Oglądanie wiadomości to jedyna korzyść z tych wieczorów, kiedy odbywa się Ceremonia. Na mocy niepisanego prawa my zjawiamy się zawsze punktualnie, on się zawsze spóźnia, Serena pozwala nam oglądać wiadomości.

Takie, jakie są: kto wie, co z tego jest prawdą? Mogą to być stare zdjęcia, mogą być kłamstwa. Ale i tak je oglądam w nadziei, że uda mi się między wierszami wyczytać prawdę. Jakikolwiek wiadomości są lepsze od żadnych.

Najpierw doniesienia z frontu. Trudno mówić o froncie, wojna toczy się jednocześnie w wielu miejscach naraz.

Zalesione wzgórza, widok z lotu ptaka, drzewa w żółtawym niezdrowym odcieniu – powinna wyregulować kolor. Tereny w Appalachach, mówi spiker, gdzie Czwarta Dywizja Aniołów Apokalipsy prowadzi pacyfikację punktu oporu partyzantów baptystowskich ze wsparciem lotniczym Dwudziestego Pierwszego

Batalionu Aniołów Światła. Pokazują dwa czarne helikoptery ze srebrnymi skrzydłami na bokach kadłuba. Pod nimi kępa drzew staje w ogniu.

Zbliżenie jeńca z zarośniętą, brudną twarzą, w eskorcie dwóch Aniołów w schludnych, czarnych mundurach. Jeniec bierze papierosa od jednego z nich, wkłada go sobie związanymi rękami do ust, niezdarnie, uśmiechając się krzywo. Spiker coś mówi, ale nie słyszę jego słów; patrzę w oczy jeńca i usiłuję odgadnąć, co myśli. Wie, że kamera jest na niego skierowana: czy ten uśmiech to wyzwanie, czy rezygnacja? Czy jest zawstydzony, że dał się złapać?

Pokazują nam tylko zwycięstwa, nigdy porażki. Komu są potrzebne złe wiadomości?

Może to aktor.

Teraz czas na komentatora, traktuje nas łaskawie, po ojcowsku; patrzy na nas z ekranu i ze swoją opalenizną, z białymi włosami, ze szczerym spojrzeniem i zmarszczkami wokół oczu wygląda jak wzór idealnego dziadka. To, co nam mówi – sugeruje jego spokojny uśmiech – jest dla naszego dobra. Już wkrótce wszystko będzie w idealnym porządku. Obiecuje. Zapanuje pokój. Musicie mi zaufać. Idźcie spać jak grzeczne dzieci.

Mówi nam to, w co koniecznie chciałybyśmy uwierzyć. Jest bardzo przekonujący.

Bronię się przed nim. Jest jak stara gwiazda filmowa, tłumaczę sobie, ze sztucznymi zębami i z ucharakteryzowaną twarzą. Ale jednocześnie wsłuchuję się w jego słowa jak zahipnotyzowana. Żebyż to tylko była prawda. Żebym tylko mogła w to uwierzyć.

Właśnie mówi nam, że dzięki wtyczce została ujawniona przez drużynę Oczu podziemna siatka szpiegowska. Organizacja ta

zajmowała się przemycaaniem do Kanady cennych surowców.

– Aresztowano pięciu członków heretyckiej sekty kwakrów – mówi, uśmiechając się łagodnie – a przewiduje się dalsze aresztowania.

Na ekranie pojawia się dwoje kwakrów, mężczyzna i kobieta. Robią wrażenie przerażonych, ale usiłują zachować przed kamerą nieco godności. Mężczyzna ma na czole duży ciemny znak; kobiecie zdarto welon i włosy opadają jej w strąkach na twarz. Oboje mają około pięćdziesiątki.

Teraz widzimy miasto, również z lotu ptaka. To było Detroit. Poprzez głos spikera przebija ogień artyleryjski. W górę strzelają słupy dymu.

– Przesiedlanie Dzieci Wiosek odbywa się zgodnie z programem – mówi z ekranu różowa, budząca zaufanie twarz. – W tym tygodniu przybyły do Narodowej Ojczyzny I trzy tysiące, a dwa tysiące są w drodze. – Jak oni mogą przetransportować tyle ludzi naraz? Pociągami? Autobusami? Nie pokazują nam żadnych ujęć, które by to przedstawiały. Narodowa Ojczyzna I znajduje się w Dakocie Północnej. Bóg jeden wie, co ci ludzie mieliby tam robić. Teoretycznie uprawiać ziemię.

Serena Joy ma dość wiadomości. Ze zniecierpliwieniem wciska klawisz, żeby zmienić stację, ukazuje się podstarzały bas baryton, którego policzki przypominają opróżnione wymiona. Śpiewa *Szept nadziei*. Serena gasi go.

Czekamy, zegar w holu tyka, Serena zapala następnego papierosa, ja wsiadam do samochodu. Jest sobota rano, wrzesień, ciągle jeszcze mamy samochód. Inni już musieli swoje posprzedawać. Nie nazywam się Freda, mam inne imię, którego nikt teraz nie używa, ponieważ jest zakazane. Mówię sobie, że to

nie ma znaczenia, że imię jest jak numer telefonu, przydatne tylko dla innych, ale to nieprawda, imię jest ważne. To imię ukryłam jak skarb, po który kiedyś wrócę, żeby go odkopać pewnego dnia.

Myślę o nim, jakby było pogrzebane. Z tym imieniem wiąże się określona aura, jest jak amulet, talizman, który przetrwał z niewyobrażalnie odległej przeszłości. Nocą leżę w swoim pojedynczym łóżku, oczy mam zamknięte i to imię unosi się gdzieś w mojej głowie, poza moim zasięgiem, świecąc w ciemności.

Jest więc sobotni ranek, wrzesień, a ja noszę moje świecące imię. Mała dziewczynka, która już nie żyje, siedzi w samochodzie z tyłu ze swoimi dwiema najlepszymi lalkami i z wypchanym królikiem, sfatygowanym ze starości i z nadmiaru pieśczoć. Znam wszystkie szczegóły. Są ckliwe, ale nic na to nie poradzę. Nie mogę zbyt dużo myśleć o tym króliku, nie mogę sobie pozwolić na to, żeby się rozplakać tutaj, na chińskim dywanie, wdychając dym, który był przedtem w ciele Sereny. Nie tutaj, nie teraz, mogę to zrobić później.

Myślała, że się wybieramy na piknik, i rzeczywiście na tylnym siedzeniu koło niej leży koszyk z prawdziwym jedzeniem, z jajkami na twardo i termosem. Nie chcieliśmy, żeby wiedziała, dokąd jedziemy naprawdę, nie chcieliśmy, żeby się wygadała przez pomyłkę, zdradziła cokolwiek, gdyby nas zatrzymano. Nie chcieliśmy zwałać na nią ciężaru znanej nam prawdy.

Ja miałam na sobie sportowe buty, ona tenisówki ze sznurowadłami w serduszka – czerwone, fioletowe, różowe i żółte. Było ciepło jak na tę porę roku, ale liście już żółkły, przynajmniej niektóre; Łukasz prowadził, ja siedziałam koło niego, słońce świeciło, niebo było błękitne, widok domów napawał spokojem, wyglądały zwyczajnie, a kiedyśmy je mijali, zapadały się

w przeszłość, rozsypując się momentalnie, jakby nigdy nie istniały, ponieważ miałam ich więcej nie zobaczyć – przynajmniej tak mi się wtedy wydawało.

Nie wzięliśmy ze sobą prawie nic, nie chcemy, żeby wyglądało na to, że wyjeżdżamy daleko czy na stałe. Mamy fałszywe paszporty, gwarantowane, warte ceny, za jaką je kupiliśmy. Oczywiście nie mogliśmy zapłacić pieniędzmi, to jasne, ani też z komputerowego konta, ale poradziliśmy sobie inaczej – ja miałam biżuterię po babce, a Łukasz odziedziczony po wuju zbiór znaczków. Takie rzeczy można wymieniać na pieniądze w innych krajach. Na granicy będziemy udawać, że jedziemy na jednodniową wycieczkę; podrabiane wizy są jednodniowe. Przedtem dam jej pigułkę nasenną, żeby nas nie zdradziła. Trudno wymagać od dziecka, żeby kłamało w sposób przekonujący.

A poza tym nie chcę, żeby czuła strach, strach, który napina moje mięśnie i kręgosłup, który sprawia, że wystarczy mnie dotknąć, żebym pękła. Każde światło to męczarnia. Przenocujemy w motelu albo, jeszcze lepiej, w samochodzie na poboczu, w ten sposób unikniemy niewygodnych pytań. Granicę przekroczymy rano, przejedziemy przez most, spokojnie, jakbyśmy jechali do domu towarowego po zakupy.

Wjeżdżamy na autostradę, kierujemy się na północ, ruch jest niewielki. Od wybuchu wojny benzyna bardzo zdrożała i stale jej brakuje. Za miastem mijamy pierwszy posterunek. Interesuje ich tylko prawo jazdy, Łukasz jest w porządku. Prawo jazdy zgadza się z paszportem – pomyśleliśmy o tym.

Już po tej kontroli, w czasie jazdy, Łukasz ściska mnie za rękę, zerka na mnie.

– Jesteś biała jak papier – mówi.

I tak też się czuję: biała, płaska, cienka. Przezroczysta. To jasne, że może przejrzeć mnie na wylot. A co gorsza – jak ja przytulę Łukasza, ja, skoro jestem taka płaska, taka biała? Czuję się tak, jakby niewiele ze mnie zostało; przelecą przez moje ramiona, jakbym była z dymu, jakbym była mirażem, znikającym im z oczu.

Daj sobie spokój z takimi myślami – powiedziałyby Moira. – Przez takie myślenie jeszcze to wszystko na siebie ściągniesz.

– Głowa do góry – mówi Łukasz. Jedzie teraz trochę za szybko. Adrenalina uderza mu do głowy. Śpiewa: ach, jaki piękny ranek.

Nawet to jego śpiewanie mnie niepokoi. Ostrzegano nas, żebyśmy nie wyglądali na zbyt wesołych.

15

Komendant stuka do drzwi. W myśl przepisów salon to terytorium Sereny Joy, Komendant ma prosić o pozwolenie na wejście. Serena lubi go trzymać za drzwiami. To niby drobna rzecz, ale w tym domu drobne rzeczy się liczą. Dziś nie ma nawet tej satysfakcji – bo, zanim udaje jej się odpowiedzieć, Komendant wchodzi. Może to nieświadome uchybienie w stosunku do protokołu, a może zrobił to rozmyślnie. Kto wie, co mu powiedziała przy kolacji poprzez inkrustowany srebrem stół? Albo czego mu nie powiedziała?

Komendant ma na sobie swój czarny mundur, w którym wygląda jak strażnik z muzeum. Człowiek częściowo na emeryturze, wesoły, choć powściągliwy, zabija czas. Ale tylko na pierwszy rzut oka. Bo po bliższym przyjrzeniu się robi wrażenie prezesa banku na Środkowym Zachodzie: proste, starannie wyszczotkowane siwe włosy, spokój, lekko pochylone ramiona. No i poza tym wąsy, też siwe, i podbródek, którego nie sposób przeoczyć. A jak już dojdziemy do podbródka, to wygląda jak reklama wódki z błyszczących kolorowych pism z poprzednich czasów.

Jego zachowanie jest łagodne, ma duże ręce o grubych palcach i ogromnych kciukach oraz niebieskie, nieprzeniknione, fałszywie niewinne oczy. Lustruje nas, jakby robił inwentarz. Jedna klęcząca kobieta w czerwonym, jedna siedząca w niebieskim, dwie w zielonym, stojące, samotny mężczyzna, o chudej twarzy, w głębi.

Przybiera zakłopotaną minę, jakby nie mógł sobie przypomnieć, skąd myśmy się tu wzięli. Jakbyśmy byli czymś, co odziedziczył, niby wiktoriańskie organy, i nie wie, co z nami zrobić. Co jesteśmy warci.

Kiwa głową z grubsza w kierunku Sereny Joy, która nie odzywa się słowem. Podchodzi do potężnego krytego skórą fotela, który jest dla niego przeznaczony, wyjmuje z kieszeni klucz, majstruje przy ozdobnej oprawnej w skórę szkatułce z mosiężnymi okuciami, która stoi na stole koło fotela. Wkłada klucz, otwiera szkatułkę, wyjmuje z niej Biblię, zwykle wydanie w czarnej okładce ze złożonymi brzegami. Biblia jest zamknięta w skrzynce, tak jak kiedyś zamykano przed służbą herbatę. To niebezpieczny przedmiot: kto wie, co byśmy z tą Biblią zrobiły, gdybyśmy mogły się do niej dostać? Można nam ją czytać, on może, ale nam samym nie wolno. Odwracamy ku niemu głowy, wyczekująco, przyszedł czas na bajkę do poduszki.

Komendant, obserwowany przez nas, siada, zakładając nogę na nogę. Zakładki są na swoich miejscach. Otwiera Biblię. Odchrząkuje z lekka, jakby był speszony.

– Czy mógłbym dostać trochę wody? – zwraca się w powietrze. – Bardzo bym prosił – dodaje.

Z tyłu za mną jedna z nich, Cora albo Rita, opuszcza swoje miejsce w tym obrazku i drepcze do kuchni. Komendant siada, spoglądając w dół. Wzdycha, z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjmuje okulary do czytania w złotych oprawkach i wkłada je na nos. Teraz wygląda jak stary szewc z dawnych bajek.

Czy nie ma końca jego wcieleniom, łaskawości?

Obserwujemy go, cal po calu, każde drgnienie.

Być mężczyzną obserwowanym przez kobiety, to musi być coś

bardzo dziwnego. Przez kobiety, które się zastanawiają: ciekawe, co on teraz zrobi? Które się wzdrygają na każdy jego ruch, nawet zupełnie niewinny, jak na przykład sięgnięcie po popielniczkę. Które go szacują. Które myślą: nie, on tego nie może zrobić, nie zrobi, musi zrobić – to ostatnie, jak gdyby był ubranie, niemodnym i złachanym, które mimo wszystko trzeba na siebie włożyć z braku czegoś lepszego.

Kobiety, które go wkładają, przymierzają, wypróbują, podczas gdy on sam je naciąga jak skarpetę na stopę, na ten kikut siebie samego, na tę wypustkę, wrażliwy palec, mackę, delikatne ślimacze oko na słupku, które wystrzela, wysuwa się, drga, cofa się w siebie niewłaściwie dotknięte, to znów rośnie, puchnąc nieco na czubku, sunąc w głąb jak po liściu, wchodząc do ich wnętrza, żądne widoku. Aby osiągnąć w ten sposób widzenie – stąd ta podróż w ciemność, złożoną z kobiet, z kobiety, która widzi w ciemności, podczas kiedy on wyteżę wszystkie siły, brnąc ślepo naprzód.

Obserwuję go od środka. Wszystkie go obserwujemy. To jedyne, co tak naprawdę możemy zrobić, i to nie bez powodu: gdyby się bowiem załamał, zawiódł czy umarł – co by się z nami stało? Nic dziwnego, że jest jak but, twardy na zewnątrz, forma, która jednak kryje miękką delikatną stopę. Ale to tylko pobożne życzenie. Obserwuję go już od jakiegoś czasu i nie widzę żadnych oznak miękkości.

Uważaj, Komendancie – mówię mu w myślach. – Mam cię na oku. Jeden fałszywy ruch i po mnie.

Ale i tak być mężczyzną w takich warunkach to musi być piekło.

To musi być całkiem przyjemne.

To musi być piekło.

Musi być bardzo cicho.

Pojawia się woda. Komendant pije.

– Dziękuję – mówi i Cora z szelestem wraca na swoje miejsce.

Komendant czeka, spogląda w dół, wodzi wzrokiem po stronicy Biblii. Zwleka, jakby nie zdawał sobie sprawy z naszej obecności. Przypomina człowieka z restauracji, który zabawia się befsztykiem, siedząc przy oknie i udając, że nie widzi oczu śledzących go z głodnej ciemności, niecałe trzy kroki od jego łokcia. Nachylone ku niemu nieznacznie, przypominamy żelazne opiłki przyciągane przez magnes. Ma coś, czego my nie mamy, ma słowo. Jakżeż je trwoniłyśmy, kiedyś.

Komendant, jakby niechętnie, zaczyna czytać. Nie robi tego zbyt dobrze. Może jest po prostu znudzony.

Zwykła historia, zwykłe historie. Bóg do Adama, Bóg do Noego. „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię”^[*]. A potem to stare nudziarstwo z Rachelą – Leą, które wkuwałyśmy w Centrum. „Spraw, abym miała dzieci, bo inaczej przyjdzie mi umrzeć!” [...] „Czyż to ja, a nie Bóg, odmawiam ci potomstwa?” [...] „Mam niewolnicę Bilhę. Zbliź się do niej, aby urodziła dziecię na moich kolanach; chociaż w ten sposób będę miała od ciebie potomstwo”^[**].

I tak dalej, i tak dalej. Czytano nam to przy każdym śniadaniu, kiedy siedziałyśmy w szkolnej kafeterii, jedząc owsiankę ze śmietanką i karmelem. Ale wam dobrze, mówiła Ciotka Lidia, to przecież wojna, żywność jest racjonowana. Psują was, pannice, mrugała, jakby strofowała kociaka. Niegrzeczny kiciuś.

Na lunch były błogosławieństwa. Niech będą błogosławieni ci, niech

będą błogosławieni tamci. Odgrywali to z płyty, głos był męski. „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem ich jest Królestwo Niebieskie. Błogosławieni miłosierni. Błogosławieni czystego serca. Błogosławieni cisi”. Wiem, że oni to mówili z pamięci, że były błędy, że wiele popuszczali, ale nie było jak sprawdzić. „Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni”^[***].

Nikt nie powiedział kiedy.

Podczas standardowego deseru – gruszki konserwowe z cynamonem – patrzę na zegarek i szukam wzrokiem Moiry na jej zwykłym miejscu dwa stoły dalej. Już wyszła. Podnoszę rękę i dostaję pozwolenie na wyjście. Nie robimy tego zbyt często, i zawsze o różnych porach dnia.

W toalecie idę, jak zwykle, do kabiny drugiej od końca.

– Jesteś? – pytam szeptem.

– Jestem jak cholera – odpowiada mi szeptem Moira.

– Co słyszałaś? – pytam.

– Nic szczególnego. Muszę się stąd wyrwać. Bo dostanę świra.

Ogarnia mnie panika.

– Nie, nie, Moira, proszę cię, nie próbuj. Nie sama.

– Udam, że jestem chora. Przysyłają wtedy karetkę. Widziałam.

– W najlepszym razie dostaniesz się do szpitala.

– To w końcu też jakaś odmiana. Nie będę musiała słuchać tej starej małpy.

– Złapią cię.

– Nie martw się. Jestem w tym dobra. Jak byłam w szkole, jako dziewczynka, przestałam przyjmować witaminę C i dostałam skorbutu. We wczesnym stadium się nie poznają. A potem znowu zaczniesz brać witaminę C i wszystko jest w porządku. Będę

chowała pigułki z witaminami.

– Moira, nie rób tego.

Nie mogłam pogodzić się z myślą, że jej tu ze mną nie będzie.

Dla mnie.

– W karetce jedzie z tobą dwóch facetów. Pomyśl. Oni muszą być potwornie wygłodzeni seksualnie, kurczę, przecież im nawet nie wolno trzymać rąk w kieszeniach, jest możliwość...

– Hej, wy tam w toalecie. Czas wam się skończył – doszedł nas od strony drzwi głos Ciotki Elizabeth. Wstałam, spuściłam wodę. W dziurze pokazały się dwa palce Moiry. Tylko tyle się mieściło. Przytknęłam do nich swoje palce, szybko, przytrzymałam chwilę. Puściłam.

– „I mówiła: «Dał mi Bóg nagrodę za to, że oddałam moją niewolnicę mężowi»”^[****] – czyta Komendant. Upuszcza książkę, pozwalając jej się zamknąć. Książka wydaje zmęczony odgłos jak gwałtownie pchnięte drzwi, które zamykają się pod własnym ciężarem, gdzieś daleko: puff. Ten odgłos przywodzi na myśl delikatność satynowanych stron i ich dotyk pod palcami. Coś delikatnego i suchego jak *papier poudre*, różowy i miałki, z poprzednich czasów, kupowało się go w specjalnych zeszytach, żeby zapobiec świeceni się nosa, w tych samych sklepach, w których można było dostać świece i mydło w różnych kształtach: muszelek czy grzybków. Jak bibułki do papierosów. Jak płatki kwiatów.

Przez chwilę Komendant siedzi z zamkniętymi oczami, jakby był zmęczony. Pracuje do późna. Ma dużo obowiązków.

Serena zaczyna płakać. Słyszę ją za swoimi plecami. Nie pierwszy raz. Zawsze płacze w wieczór Ceremonii. Usiłuje robić to bezgłośnie. Zachować godność, przy nas. Wyściełane meble,

tapicerka mebli i dywany tłumią te dźwięki, ale mimo to słychać ją wyraźnie. Napięcie pomiędzy jej brakiem opanowania a próbą narzucenia go sobie jest straszliwe. Niby pierdnięcie w kościele. Jak zwykle chce mi się śmiać, ale wcale nie dlatego, żebym uważała to za śmieszne. Spowija nas smród jej płaczu, a my udajemy, że go nie czujemy.

Komendant otwiera oczy, zauważa to, marszczy czoło, przestaje zauważać.

– A teraz chwila cichej modlitwy – mówi. – Poprosimy o błogosławieństwo i o powodzenie we wszystkich naszych poczynaniach.

Pochylam głowę i zamykam oczy. Wsłuchuję się we wstrzymywany oddech, prawie niesłyszalne szlochy, drgania za moimi plecami. Jakżeż ona musi mnie nienawidzić, myślę.

Modłę się w milczeniu: *nolite te bastardes carborundorum*. Nie wiem, co to znaczy, ale brzmi dobrze, i musi wystarczyć, ponieważ nie mam pojęcia, co więcej mogłabym powiedzieć Bogu. W każdym razie w tej chwili. W tym, jak to mówią, układzie. Tekst wyskrobany na ścianie mojej szafy unosi się przed moimi oczami, pozostawiony przez nieznaną kobietę z twarzą Moiry. Widziałam ją, jak wychodziła – do karetki, na noszach niesionych przez dwóch Aniołów.

– Co się stało? – zapytałam bezgłośnie stojącą obok mnie kobietę; takie pytanie można skierować bezpiecznie do każdego, poza fanatykiem.

– Gorączka – odczytałam z jej ust. – Podobno wyrostek.

Wieczorem jadłam kolację, hamburgery z frytkami. Moje miejsce jest przy oknie, widać stąd cały teren aż do bramy. Widziałam wracającą karetkę, tym razem bez syreny. Wyskoczył z niej jeden

z Aniołów i zamienił kilka słów ze strażnikiem. Strażnik wszedł do budynku; karetka czekała; Anioł stał tyłem do nas, tak jak ich uczą. Z budynku wyszły w towarzystwie strażnika dwie Ciotki. Podeszły do karetki, wywlokły Moirę, przeciągnęły przez bramę i trzymając pod ramiona, wprowadziły na stopnie. Miała kłopoty z chodzeniem. Przerwałam jedzenie, nie miałam apetytu, w tym czasie już wszystkie dziewczyny po mojej stronie stołu gapiły się przez okno. Szyba była zielonkawa, zbrojona drobną siatką. Ciotka Lidia powiedziała: proszę jeść. Podeszła do okna i opuściła żaluzje.

Zabrali ją do dawnej pracowni przyrodniczej. Tam się nie bywało z własnej woli. Nie mogła potem chodzić przez tydzień, stopy nie mieściły jej się w butach, takie były spuchnięte. Za pierwsze wykroczenie bili w stopy. Używali do tego celu stalowych kabli, wystrzępionych na końcach. Potem były ręce. Nie przejmowali się specjalnie, co stanie się z naszymi stopami czy rękami, nawet gdyby uszkodzenia miały być trwałe. Pamiętajcie, mówiła Ciotka Lidia, z naszego punktu widzenia wasze stopy i ręce nie są najważniejsze.

Moira leżała na swoim łóżku: miała służyć za przykład. Nie powinna była próbować, w każdym razie nie z Aniołami, powiedziała Alma, dziewczyna z sąsiedniego łóżka. Musiałyśmy nosić Moirę na lekcje. W przerwach na posiłki kradłyśmy dla niej z kafeterii dodatkowe paczuszki cukru i przemycałyśmy jej nocą, podając z łóżka do łóżka. Być może wcale nie potrzebowała tego cukru, ale to było jedyne, co mogłyśmy ukraść. Żeby dać.

Modłę się w dalszym ciągu, ale przed oczyma mam stopy Moiry takie, jakie były, kiedy ją przywieźli z powrotem. Bo one zupełnie nie przypominały stóp. Były podobne do stóp topielca, spuchniętych, jakby pozbawionych kości – z wyjątkiem koloru. Bo

kolorem przypominały płuca.

O Boże, modlę się. *Nolite te bastardes carborundorum.*

Czy to miałaś na myśli?

Komendant odkasłuje. Robi to, żeby nam dać do zrozumienia, że jego zdaniem powinniśmy już skończyć modlitwę.

– „Albowiem oczy Pana biegają tam i z powrotem po całej ziemi, by poznać własną siłę w tych, których serca są szczerze ku niemu zwrócone” – mówi.

To znak, że kończymy. Komendant wstaje. Jesteśmy wolne.

[*] Rdz 1,28.

[**] Rdz 30. 1-3.

[***] Mt 5. 3,7,8.5,4.

[****] Rdz 30, 18.

16

Ceremonia przebiega jak zwykle.

Leżę na wznak, całkowicie ubrana, zdjęłam tylko białe, zdrowe bawełniane majtki. Gdybym otworzyła oczy, zobaczyłabym wielki biały baldachim ogromnego łoża, w stylu kolonialnym, zawieszony nad nami jak chmura upstrzona maleńkimi kropelkami srebrzystego deszczu, które po bliższym zbadaniu okazałyby się maleńkimi kwiatkami o czterech płatkach. Nie widziałabym natomiast dywanu, który jest biały, ani wzorzystych zasłon czy nakrytej serwetą toaletki z oprawnym w srebro kompletem – szczotką i lusterkiem – tylko baldachim, który poprzez ulotność swojej faktury i ciężkie, łukowate wygięcie w dół symbolizuje jednocześnie elementy duchowy i materialny.

Albo żagiel statku. Wzdęty żagiel, jak to mówią w języku poezji. Brzuchaty, wypięty.

Spowija nas obłok konwaliowego zapachu, chłodny, niemal mroźny. W tym pomieszczeniu nie jest ciepło.

Nade mną, u wezgłowia, znajduje się Serena Joy. Nogi ma rozłożone, a ja leżę między nimi z głową opartą na jej brzuchu, pod potylicą mam jej kość łonową, jej uda zaś po bokach. I ona jest całkowicie ubrana.

Ramiona unoszę do góry, Serena Joy trzyma mnie za ręce, każdą z moich dłoni zamyka w swojej. Ma to symbolizować naszą jedność:

jesteśmy jedną istotą, jednym ciałem. A tak naprawdę oznacza, że Serena Joy panuje nad przebiegiem procesu, mając tym samym wpływ na produkt końcowy. O ile taki będzie. Pierścionki jej lewej ręki wpijają mi się w palce. Może to być zemsta, ale nie musi.

Czerwoną spódnicę mam podkasaną do pasa, nie wyżej. Poniżej Komendant pieprzy. Pieprzy dolną część mojego ciała. Nie mówię: kocha się ze mną, bo to nie jest to. Kopulacja też nie byłaby właściwym słowem. Kopulacja bowiem zakłada udział dwóch osób, a tu zaangażowana jest tylko jedna. Gwałt też nie oddaje istoty rzeczy: nie dzieje się nic takiego, co byłoby wbrew mojej woli. Wybór był niewielki, ale jakiś tam był, a ja dokonałam właśnie takiego.

Dlatego leżę spokojnie i wyobrażam sobie baldachim nad głową. Przypomniała mi się rada, której królowa Wiktoria udzieliła swojej córce: zamknij oczy i myśl o Anglii. Ale to nie Anglia. Żeby się tylko pospieszył.

A może zwariowałam i to jest jakiś nowy rodzaj terapii.

Modłę się, żeby tak było; bo wtedy bym wyzdrowiała i to wszystko by się skończyło.

Serena Joy ściska mnie za ręce, jakby to ją, a nie mnie pieprzono, jakby sprawiało jej to przyjemność albo ból, a Komendant pieprzy w regularnym marszowym rytmie dwadzieścia cztery, jeszcze i jeszcze niby kapiący kran. Jest zaabsorbowany, jak człowiek, który bezwiednie nuci sobie pod prysznicem, jak ktoś, kto myśli o czymś innym. Jakby był gdzieś indziej i czekał na siebie samego, a czekając, bębnił palcami po stole. W jego rytmie jest teraz niecierpliwość. Ale czy nie na tym polegają wszystkie nieprzyzwoite sny: dwie kobiety naraz? Tak mówią. Mówią, że to podniecające.

Ale to, co się dzieje w tym pokoju pod srebrzystym baldachimem Sereny Joy, nie ma nic wspólnego z podnieceniem. Nie ma nic wspólnego z namiętnością, miłością czy romantycznością, z żadnym z tych pojęć, którymi się podbechtujemy. Nie ma nic wspólnego z żądzą, przynajmniej dla mnie, ale z pewnością i dla Sereny. Podniecenie i orgazm przestały być potrzebne; są traktowane jedynie jako przejaw frywolności, jak krzykliwe podwiązki albo pieprzyki: dodatkowe atrakcje dla próżnych. Niemodne. To dziwne, że kiedyś kobiety potrafiły tracić tyle czasu i energii, czytając o takich rzeczach, myśląc i martwiąc się o nie, pisząc o nich. Bo mają wyłącznie charakter rozrywkowy.

Podczas gdy to, co się dzieje, nie jest rozrywką, nawet dla Komendanta. To sprawa poważna. Komendant też spełnia swój obowiązek.

Gdybym miała uchylić powieki, zobaczyłabym go – jego nieodrażającą twarz zawieszoną nad moim torsem, z kilkoma kosmykami siwych włosów, które być może opadły na czoło – skupionego na swojej wewnętrznej podróży, na celu, do którego dąży, a który oddala się od niego jak we śnie w tym samym tempie, w jakim się do niego zbliża. Zobaczyłabym jego otwarte oczy.

Czy gdyby był przystojniejszy, sprawiałoby mi to większą przyjemność?

W każdym razie stanowi on postęp w stosunku do poprzedniego, od którego śmierdziało jak z kościelnej szatni podczas deszczu; jak z ust, kiedy dentysta dłubie w zębach. Ten Komendant pachnie jak kulki naftaliny, choć może jest to coś w rodzaju jakiegoś marnego płynu po goleniu? Dlaczego musi mieć na sobie ten idiotyczny mundur? A zresztą, czy wolałabym jego białe, miękkie, nagie ciało?

Całowanie jest zabronione. Dzięki temu cała ta historia wydaje

się znośniejsza.

Ma się dystans, można to opisać.

Wreszcie kończy, ze zduszonym jękiem, jak gdyby ulgi. Serena Joy, która wstrzymała oddech, wypuszcza powietrze. Komendant, wsparty na łokciach, w pewnym oddaleniu od naszych połączonych ciał, nie pozwala sobie na to, żeby na nas runąć. Zastyga na chwilę w bezruchu, wycofuje się, zaciąga zamek błyskawiczny. Skinąwszy głową, odwraca się i wychodzi z pokoju, z przesadną ostrożnością zamykając za sobą drzwi, jakbyśmy były jego chorą matką. Jest w tym wszystkim coś zabawnego, ale nie pozwalałam sobie na śmiech.

Serena Joy puszcza moje ręce.

– Możesz już wstać – mówi. – Wstać i wyjść. – Powinna mi pozwolić poleżeć przez dziesięć minut, z nogami opartymi na poduszce dla zwiększenia szans. To zarazem czas na cichą medytację dla niej, ale Serena Joy wyraźnie nie jest w nastroju. W jej głosie słyszę odrazę, jakby kontakt z moim ciałem napawał ją obrzydzeniem, jakby się bała zarazić. Wyplątnę się z jej objęć, wstaję; soki Komendanta spływają mi po nogach. Kątem oka widzę, jak Serena Joy opuszcza swoją niebieską spódnicę, zsuwa razem nogi; leży dalej na łóżku, wpatrzona w baldachim nad sobą, sztywna i wyprostowana jak sarkofag. Dla której z nas jest to gorsze – dla niej czy dla mnie?

17

A oto, co robię po powrocie do pokoju: zdejmuję ubranie i wkładam nocną koszulę. Szukam grudki masła w czubku prawego buta, tam gdzie ją ukryłam po kolacji. W szafie było za ciepło, masło jest półpłynne. Spora część wsiąkła w papierową serwetkę, w którą je zawięłam. Teraz będę miała masło w bucie. Nie po raz pierwszy; za każdym razem, kiedy jest masło, czy nawet margaryna, robię dokładnie to samo. Większość tego, co wsiąkło w futrówkę, usunę jutro za pomocą myjki albo papieru toaletowego, który ściągnę z łazienki.

Smaruję sobie masłem twarz, wcieram je w ręce. Nie ma już emulsji do rąk ani kremu do twarzy, przynajmniej dla nas. Takie rzeczy są uważane za przejawy próżności. Jesteśmy pojemnikami, liczy się tylko wnętrze naszych ciał. Według nich zewnętrzna powłoka może być twarda i pomarszczona jak skorupa orzecha. Ten zakaz używania przez nas emulsji do rąk to było rozporządzenie Żon. Nie chcą, żebyśmy wyglądały atrakcyjnie. Dla nich i tak już ta sytuacja jest wystarczająco trudna.

Sztuczki z masłem nauczyłam się w Centrum Racheli i Lei. Nazwałyśmy je Czerwonym Centrum, bo było dużo czerwonego. Moja poprzedniczka w tym pokoju, moja przyjaciółka z piegami i ze zdrowym śmiechem, też musiała się smarować masłem. Wszystkie to uprawiamy.

Jak długo to robimy, jak długo smarujemy skórę, żeby była miękka, delikatna, wierzymy, że pewnego dnia się stąd wydostaniemy, że znów będziemy dotykane, z miłości czy pożądania. Mamy swoje własne uroczystości, prywatne.

Masło jest tłuste i jełczeje, więc po jakimś czasie będę śmierdziała jak stary ser, ale przynajmniej, jak mówią, jest organiczne.

Do takich wybiegów się uciekamy.

A więc posmarowana masłem leżę na swoim wąskim łóżku, płasko jak grzanka. Nie mogę zasnąć. W półmroku gapię się w ślepe gipsowe oko pośrodku sufitu, a ono patrzy na mnie, mimo że nic nie widzi. Nie ma wiatru, moje białe franki zwisają bezwładnie jak bandaże, mieniąc się w blasku reflektorów, które w nocy oświetlają budynek – czy może jest to księżyc?

Odrzucam pled, wstaję ostrożnie i w koszuli, cicho, na bosaka, podchodzę do okna jak dziecko – chcę widzieć. Księżyc na piersiach świeżo spadłego śniegu. Niebo jest czyste, jednak z powodu reflektorów trudno je dojrzeć; ale tak, po tym zaciemnionym niebie żegluje jednak księżyc, świeżo narodzony, księżyc nadzieja, skrawek starożytnej skały, bogini, mrugnięcie. Księżyc to kamień, a niebo jest pełne niebezpiecznego żelastwa, ale, o Boże, jakie mimo wszystko piękne.

Jakże brak mi Łukasza. Pragnę, żeby mnie przytulał, żeby wymawiał moje imię, chcę, by oceniano mnie inaczej niż tutaj, nie tylko z uwagi na przydatność biologiczną. Powtarzam swoje poprzednie imię, przypominam sobie, co kiedyś mogłam robić, jaka byłam w oczach innych. Mam ochotę coś ukraść.

W korytarzu pali się nocne światło, długa powierzchnia lśni

łagodnym, różowym blaskiem; idę, ostrożnie stawiam najpierw jedną stopę, potem drugą, nic nie trzeszczy, stąпам po chodniku jak po runie leśnym, serce mi wali, skradam się przez pogrążony we śnie dom. Jestem tu nie na miejscu. To, co robię, jest całkowicie nielegalne.

W lustrze w korytarzu widzę biały kształt, swoją sylwetkę z włosami do połowy pleców, jak grzywa, oczy mi błyszczą. Podoba mi się to. Robię coś na własną rękę. Aktywne napięcie. Stoję napięta. Na piętach. Mam ochotę ukraść nóż z kuchni, ale na to nie jestem jeszcze gotowa.

Docieram do salonu, drzwi są uchylone, wślizguję się, zostawiam drzwi otwarte. Skrzypi drewno, ale kto jest na tyle blisko, żeby usłyszał? Stoję; moje źrenice rozszerzają się jak u kota albo u sowy. Nozdrza wypełnia mi zapach starych perfum, kurz tkanin. Przez szpary wokół zasłon sączy się delikatna mgiełka światła reflektorów z zewnątrz, gdzie niewątpliwie pełni straż dwóch mężczyzn – widziałam ich z góry, spoza moich firanek, ciemne kształty, sylwetki. Teraz już rozróżniam kontury, odbłaski: lustro, podstawy lamp, wazony, sofa majacząca niby chmura o świetle.

Co wziąć? Coś, czego nie zauważą. W lesie, o północy, zaczarowany kwiat. Zwiędły narcyz, ale nie z suchego bukietu. Narcyzy już niedługo pójną do śmieci, już zaczynają śmierdzieć. Razem ze starym zapachem perfum Sereny, zaduchem jej robótki na drutach.

Szukam po omacku, znajduję stolik, dotykam. Brzęk. Musiałam coś przewrócić. Znajduję narcyzy, płatki są suche na brzegach, zwiędłe bliżej łodyg, obrywam kwiat. Gdzieś go sprasuję. Pod materacem. Zostawię tam, dla tej następnej, która przyjdzie po mnie, żeby go sobie znalazła.

Ale w pokoju ktoś jest ze mną.

Słyszę kroki, ciche jak moje, skrzypienie tej samej deski w podłodze. Drzwi zamykają się za mną z leciutkim trzaśnięciem, odcinając światło. Zamieram: ta biel to był błąd. Jestem jak śnieg w świetle księżyca, nawet w ciemności.

A potem szepta:

– Nie krzycz. Wszystko jest w porządku.

Tak jakbym miała krzyknąć. Jakby rzeczywiście wszystko było w porządku. Odwracam się: kształt, nic więcej, matowy połysk kości policzkowej, bez koloru.

Podchodzi do mnie. Nick.

– Co ty tu robisz?

Nie odpowiadam. I on jest nielegalnie, tutaj, ze mną, nie może mnie zdradzić. Ani ja jego. Przez chwilę jesteśmy jak dwa lustra. Kładzie mi rękę na ramieniu, przyciąga mnie do siebie, jego usta na moich ustach, co za pożytek z takich wyrzeczeń? Bez słowa. Oboje dygoczymy, ach, jak bardzo pragnę. W salonie Sereny, wśród suchych kwiatów, na chińskim dywanie, jego szczupłe ciało. Mężczyzna, zupełnie nieznany. To byłoby jak krzyk, jak strzelanie do kogoś. Moja ręka sunie w dół, dlaczego nie, mogłabym rozpiąć guziki, i wtedy. Ale to zbyt niebezpieczne, on o tym wie, odpychamy się nawzajem, niedaleko. Zbyt wiele zaufania, zbyt wielkie ryzyko, i tak już zbyt wielkie.

– Szukałem cię – mówi, szepcze, prawie do ucha. Mam ochotę dotknąć go, poczuć smak jego skóry; budzi we mnie głód. Jego palce się poruszają, wyczuwają moje ramię pod rękawem koszuli, jak gdyby jego ręka nie słuchała głosu zdrowego rozsądku. Jakie to cudowne – być przez kogoś dotykana, tak pożądliwie, pożądać. Łukasz, ty byś wiedział, ty byś zrozumiał. To jesteś ty w innym

ciele.

Bzdura.

– Po co? – pytam. Czy aż tak mu ciężko, że ryzykuje przyjście do mojego pokoju nocą? Myślę o powieszonych mężczyznach na Murze. Ledwie stoję. Muszę stąd uciekać, z powrotem na schody, zanim się całkowicie rozpląnę. Jego dłoń spoczywa teraz na moim ramieniu, nieruchoma, ciężka, ciśnie mnie w dół jak rozgrzany ołów. Czy za to miałabym umrzeć? Jestem tchórzem, boję się nawet pomyśleć o bólu.

– Wysłał mnie – mówi Nick. – Chce się z tobą zobaczyć. W swoim gabinecie.

– Jak mam to rozumieć? – pytam. Chodzi oczywiście o Komendanta. Zobaczyć się ze mną? Co on rozumie przez zobaczyć się? Jeszcze mu mało?

– Jutro – mówi Nick, ledwie słyszalnie. W ciemności salonu oddaliśmy się od siebie, powoli, jakby przyciągani ku sobie przez jakąś siłę, prąd, a jednocześnie rozdzielani przez równie silne ręce.

Znajduję drzwi, przekręcam gałkę, czuję pod palcami zimną porcelanę, otwieram. To wszystko, co mogę zrobić.

VII

NOC

18

Leżę w łóżku, jeszcze ciągle dygoczę. Zmoczony brzeg szklanki wydaje dźwięk, gdy przejechać po nim palcem. I tak się właśnie czuję: jak dźwięk dobywany ze szkła. Czuję się jak pojęcie „rozbić”. Chcę, by ktoś przy mnie był.

Leżę w łóżku, z Łukaszem; Łukasz trzyma rękę na moim zaokrąglonym brzuchu. Leżymy całą trójką, w łóżku, ona kopie i baraszkuje we mnie. Na dworze burza, dlatego mała nie śpi, bo one słyszą, śpiąją, bywają przestraszone, nawet tam, pod uspokajającym biciem serca, które otacza je jak przybrzeżna fala. Błyskawica, gdzieś całkiem blisko, oczy Łukasza robią się na moment białe.

Nie boję się. Nie śpimy, jesteśmy zupełnie trzeźwi. A teraz atakuje deszcz, będziemy to robić powoli, ostrożnie.

Gdybym sobie pomyślała, że to się już nigdy nie powtórzy, tobym chyba umarła.

Ale to właściwie bez sensu, nikt nie umiera z braku seksu. Umiera się z braku miłości. Tu nie ma nikogo, kogo mogłabym kochać – wszyscy albo nie żyją, albo są gdzieś daleko. Kto wie, gdzie są albo jak się teraz nazywają? Mogą być równie dobrze nigdzie, tak jak ja dla nich. I ja należę do osób zaginionych.

Od czasu do czasu widzę ich twarze w ciemności, migotliwe jak wizerunki świętych w starych, obcych katedrach, w ruchliwym

płomieniu świec; świec, które chciałyby się zapalić, żeby się przy nich pomodlić, na klęczkach, z głową wspartą o drewnianą poręcz, z nadzieją na odpowiedź. Mogę ich przywołać, ale tylko jako miraż, nietrwale. Czy to zbrodnia, że pragnę prawdziwego ciała, które mogłabym objąć? Bez tego i ja jestem bezcielesna. Słyszę bicie własnego serca o sprężyny materaca, mogę się dotykać pod suchymi białymi prześcieradłami, w ciemności, ale ja sama jestem sucha i biała, twarda, granulowana; to tak, jakbym przesuwiała ręką po rozsypanym ryżu, po śniegu. Jest w tym coś ze śmierci, z pustkowie. Przypominam pokój, w którym kiedyś działały się różne rzeczy, a teraz nie dzieje się nic, poza tym, że pyłki rosnących za oknem chwastów wiatr miecie po podłodze jak kurz.

A oto, w co wierzę.

Wierzę, że Łukasz leży w lesie, twarzą do ziemi, w gąszczu paproci. Brązowe, zeszłoroczne liście, pod zielonymi, ledwie rozwiniętymi, nieopodal ziarna szaleju, bo na czerwone jagody jeszcze za wcześnie. Tyle z niego zostało: włosy, kości, wełniana koszula w kratę, zielono-czarną, skórzany pasek, robocze buty. Wiem dokładnie, co miał na sobie. Oczyma wyobraźni widzę jego ubranie, wyraźnie jak na litografii albo kolorowej reklamie ze starodawnego pisma. Ale twarzy nie widzę, w każdym razie niezbyt dobrze. Jego twarz zaczyna mi się zacierać, może dlatego że nie zawsze była taka sama – że zmieniała wyraz.

Modłę się, żeby ta dziura, a może dwie czy trzy, z reguły jest więcej niż jeden strzał, jeden blisko drugiego, no więc modłę się, żeby przynajmniej ten jeden pocisk przeszedł czysto, szybko i ostatecznie przez czaszkę, przez to miejsce, gdzie były wszystkie obrazy, tylko jeden błysk, ciemności czy bólu, tępego, mam nadzieję, jak słowo łup, tylko jeden, i potem cisza.

Wierzę w to.

Wierzę też, że Łukasz siedzi w jakimś boksie, z szarego betonu, na ławce czy na brzegu czegoś, łóżka czy krzesła. Bóg jeden wie, co ma na sobie. Bóg wie, w co go ubrali. Ale wie nie tylko Bóg, więc może i ja się dowiem. Nie golił się od roku, chociaż strzygą krótko, kiedy im się podoba, ze względu na wszy, jak twierdzą. Nie, przepraszam: gdyby go strzygli ze względu na wszy, z tego samego powodu goliliby mu brodę. Tak by się przynajmniej mogło wydawać.

W każdym razie robią to niestarannie, włosy są powygryzane, z tyłu, na karku, jakby w ząbki, ale to nie jest jeszcze najgorsze, choć wygląda o dziesięć lat starzej, o dwadzieścia, jest zgarbiony jak starzec, ma worki pod oczami, policzki całe w czerwonych, popękanych żyłkach. Na twarzy, z lewej strony, tam, gdzie niedawno pękło ciało, widać bliznę, nie, to jeszcze niezagojona rana, ma kolor tulipanów tuż przy łożdźce. Jak łatwo zniszczyć ciało, jak łatwo się go pozbyć, to przecież sama woda i sole mineralne, niewiele więcej niż meduza, wysychająca na piasku.

Poruszanie rękami, w ogóle poruszanie się, sprawia mu ból. Nie wie, o co został oskarżony. To problem. Coś przecież być musi, jakiś zarzut. Bo po co by go trzymali, dlaczego jeszcze żyje? Musi wiedzieć coś, co jest dla nich ważne. Nie mam pojęcia co. Nie wyobrażam sobie, jak mógł tego do tej pory nie powiedzieć, obojętne, o co chodzi. Ja bym powiedziała.

Otacza go smród, jego własny, zwierzęcia więzionego w brudnej klatce. Wyobrażam go sobie, jak odpoczywa, ponieważ nie miałabym odwagi wyobrazić go sobie w żadnej innej sytuacji, tak jak nie mogę sobie wyobrazić nic poniżej jego kołnierzyka i ponad mankietami. Nie chcę myśleć, co zrobili z jego ciałem. Czy ma

buty? Nie, a podłoga jest zimna i mokra. Czy wie, że ja jestem tutaj, żywa, że o nim myślę? Muszę w to wierzyć. W takich warunkach trzeba wierzyć we wszystko. Teraz wierzę na przykład w przekazywanie myśli, drgania w eterze, w tego rodzaju bzdury, a przecież nigdy nie wierzyłam.

Wierzę też, że go nie złapali, że go mimo wszystko nie dogonili, że dał sobie radę, że dotarł do brzegu, przepłynął rzekę, przekroczył granicę, że się tam, po drugiej stronie, szcękając zębami, wygramolił na brzeg, na wyspę; wierzę, że się dowłókł do pobliskiego gospodarstwa, że go tam wpuszczono, początkowo nieufnie, ale że zaraz kiedy zrozumieli, kim jest, stali się życzliwi, że nie są z tych, co by człowieka zadenuncjowali, może to kwakrzy, przemycą go w głąb kraju, od domostwa do domostwa, kobieta dała mu kawy i ubranie męża. Wyobrażam sobie to ubranie. Ubieram go w myślach ciepło i to stanowi dla mnie pociechę.

Ponawiały kontakty, musi być przecież jakiś ruch oporu, rząd na wygnaniu. Ktoś musi tym wszystkim kierować. Wierzę w istnienie ruchu oporu, jak w to, że nie ma światła bez cienia; czy raczej nie ma cienia, jak długo nie ma światła. Musi być jakiś ruch oporu, bo skąd by się brali ci wszyscy przestępcy w telewizji?

Lada dzień może nadejść od niego wiadomość. W sposób najbardziej nieoczekiwany, przez osobę najmniej prawdopodobną, kogoś, kogo bym nigdy o to nie podejrzewała. Znajdę ją pod talerzykiem, na tacy z kolacją? Wsuną mi ją do ręki w sklepie, kiedy będę podawała kupony przez ladę?

W tym liście będzie napisane, że muszę być cierpliwa: prędy czy później wyciągnie mnie stąd i znajdziemy małą, obojętną, gdzie ją trzymają. Ona nas nie zapomniała i znów będziemy razem wszyscy troje. A tymczasem muszę wytrwać, muszę się oszczędzać

na później. To, co tu ze mną robią, nie ma dla niego żadnego znaczenia, kocha mnie i tak, wie, że to nie moja wina. To też będzie w tym liście. Bo właśnie ten list, który może nigdy nie nadejdzie, trzyma mnie jeszcze przy życiu. Wierzę w ten list.

Nie wszystko, w co wierzę, może być prawdą, choć z pewnością jedna z tych rzeczy musi. Ale ja wierzę we wszystkie trzy wersje losu Łukasza jednocześnie. Ta metoda wierzenia w wykluczające się nawzajem możliwości wydaje mi się, właśnie teraz, jedynym sposobem na to, żeby uwierzyć w cokolwiek. Obojętne, jaka okaże się prawda, jestem na nią przygotowana.

To też jedno z tych moich wierzeń. Ale i ono może się nie potwierdzić.

Na jednym z nagrobków cmentarnych przy najwcześniejszym kościele są wyryte kotwica, klepsydra i słowa: „W nadziei”. W nadziei. Skąd takie słowa nad zmarłym? Czy to trup ma nadzieję, czy ci, którzy jeszcze żyją?

Czy Łukasz ma nadzieję?

VIII

DZIEŃ NARODZIN

19

Śni mi się, że nie śpię.

Śni mi się, że wstaję z łóżka, przechodzę przez pokój, ale nie ten, i wychodzę przez drzwi, choć nie te. Jestem w domu, w jednym z moich domów, i ona wybiega mi naprzeciw, w swojej zielonej nocnej koszulce ze słonecznikiem na piersiach, bosa, a ja ją biorę na ręce i czuję, jak mnie obejmuje ramionami i nogami i w tym momencie zaczynam płakać, ponieważ wtedy już wiem, że to nie rzeczywistość. Jestem z powrotem w łóżku, próbuję się obudzić, budzę się i siadam na brzegu posłania, wchodzi moja matka z tacą i pyta mnie, czy już się czuję lepiej. Kiedy byłam chora, w dzieciństwie, matka nie chodziła do pracy. Ale i to nie dzieje się na jawie.

Po tych snach budzę się, tym razem już naprawdę, co poznaję po gipsowym wieńcu na suficie i po firankach, zwisających jak białe włosy topielicy. Jestem jakby odurzona. Zastanawiam się: a może oni dają mi narkotyki. A może to życie, które uważam za swoje, jest tylko paranoicznym urojeniem.

Żadnej nadziei. Wiem, gdzie i kim jestem, i jaki dziś dzień. To są testy, a ich wynik mówi, że jestem przy zdrowych zmysłach. Zdrowe zmysły to cenny skarb; oszczędzam je, jak kiedyś ludzie oszczędzali pieniądze. Odkładam na później, zebym ich miała dość, gdy przyjdzie czas.

Przez firanki sączy się szarość, mgliście świetlista, niewiele dziś słońca. Wstaję z łóżka, podchodzę do okna, klękam na parapecie, na małej, twardej poduszce WIARA, i wyglądam. Nie widać dosłownie nic.

Zastanawiam się, co się stało z pozostałymi dwiema poduszkami.

Musiały być kiedyś trzy. NADZIEJA i MIŁOŚĆ – gdzie się podziały? Serena Joy jest osobą oszczędną. Nie wyrzuciłaby nic, co nie jest całkowicie zużyte. Jedna poszła do Rity, druga do Cory?

Dzwonek, ale ja już zdążyłam wstać, przed czasem. Ubieram się, nie spoglądając w dół.

Siedzę na krześle i myślę o słowie krzesło. Może to oznaczać także sposób egzekucji. Krzesło jak krzesać. Krzesać iskrę nadziei. NADZIEJA. Jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

Takie litanie pomagają mi wziąć się w garść.

Przede mną stoi taca, na tacy szklanka soku jabłkowego, pigułka witaminowa, łyżka, talerzyk z trzema ciemnymi tostami, mała miseczka z miodem i jeszcze jeden talerzyk z kieliszkiem na jajko, który przypomina tułów kobiety w spódnicy. Pod spódnicą jest ukryte drugie jajko – żeby nie wystygło. Kieliszek na jajko jest z białej porcelany z niebieskim paskiem.

Pierwsze jajko jest białe. Przesuwam trochę kieliszek, tak żeby znalazł się w kręgu wodnistej słonecznej światła, które sączy się przez okno i to jaśniejac, to przygasając, to znów jaśniejac, pada na tacę. Skorupka jest niby gładka, ale jednocześnie jakby gruzełkowata; maleńkie grudki wapnia, uwypuklone przez słońce, przypominają kratery na Księżycu. Krajobraz nagi, ale doskonały; coś w rodzaju pustyni, na którą udawali się święci, aby ich myśli nie ulegały dystrakcji na skutek obfitości. Tak musi chyba wyglądać Bóg: jak jajko. Życie księżyca może kwitnąć wcale nie na

zewnątrz, tylko w środku.

Jajko jarzy się teraz, jak gdyby miało wewnątrz jakąś swoją własną energię. Patrząc na nie, odczuwam dojmującą przyjemność.

Słońce się przesuwa i jajko przygasa.

Wyjmuję je z kieliszka i przez chwilę trzymam w dłoni. Jest ciepło. Kiedyś kobiety wkładały sobie jajka między piersi, „wysiadując” je w ten sposób. To musiało być bardzo przyjemne uczucie.

Życie zminimalizowanych potrzeb. Jajko jako przyjemność. Radości, które można policzyć na palcach jednej ręki. Ale może właśnie o to chodzi, o wywołanie we mnie takiej reakcji. Skoro mam jajko, to czego więcej mogę jeszcze pragnąć?

W trudnych warunkach instynkt życia czepia się dziwnych przedmiotów. Chciałabym mieć jakiegoś zwierzaka: powiedzmy ptaka czy kota. Coś swojskiego. Cokolwiek. Mógłby być nawet i szczur, ale to wykluczone. W tym domu jest za czysto.

Odcinam łyżeczką czubek jajka i wyjadam zawartość.

Przy drugim jajku słyszę syrenę, początkowo bardzo daleką, która się zbliża, klucząc pomiędzy wielkimi domami i przystrzyżonymi trawnikami – cieniutki dźwięk jak brzęczenie owada, a potem coraz bliższy, słyszę, jak się otwiera niby kwiat dźwięku, coraz szerzej, przechodząc w trąbę. Ta syrena to proklamacja. Odkładam łyżkę, serce mi wali, znów podchodzę do okna: czy będzie niebieska, nie po mnie? Ale widzę, jak skręca za róg, nadjeżdża ulicą, zatrzymuje się przed domem, ryczy w dalszym ciągu – jest czerwona. Wieści radość świata, jakże rzadką w tych czasach. Zostawiam drugie jajko niedojedzone, spieszę do szafy po płaszcz i już słyszę na schodach kroki i głosy.

– Szybko – mówi Cora – nie będą cały dzień czekać. – Podaje mi

płaszcz i naprawdę się uśmiecha.

Niemal biegnę korytarzem, sunąc po schodach jak na nartach, drzwi frontowe szeroko otwarte, dziś przechodzę swobodnie, strażnik mi salutuje. Zaczęło padać, mży, w powietrzu wisi brzemienny zapach ziemi i trawy.

Czerwony porodowóz stoi zaparkowany na podjeździe. Tylne drzwi są otwarte, wsiadam. Na podłodze czerwony dywan, w oknach czerwone zasłony. Zastaję w środku już trzy kobiety – siedzą na ławkach pod ścianami; po obu stronach wozu. Strażnik rygluje podwójne drzwi, a sam wskakuje do szoferki i zajmuje miejsce obok kierowcy. Przez okienko ze zbrojonego szkła widzimy tyły ich głów. Ruszamy z nagłym szarpnięciem, nad nami wyje syrena: z drogi, z drogi!

– Która to? – pytam sąsiadkę, nachylając się do jej ucha czy raczej do miejsca, w którym pod białym czepkiem powinno być ucho. Hałas jest taki, że muszę niemal krzyczeć.

– Warrena! – krzyczy w odpowiedzi. Pod wpływem impulsu łapie mnie za rękę, ściska ją, kiedy w nagłym przechyle skręcamy za róg; odwraca się do mnie i wtedy widzę jej twarz – mokrą od łez – łez czego? Zazdrości? Rozczarowania? Nie, ona się śmieje, zarzuca mi ręce na szyję, nigdy jej dotąd nie widziałam, ściska mnie, ma duże piersi pod czerwonym habitem, ociera twarz rękawem. W taki dzień możemy robić wszystko.

Poprawiam się: prawie wszystko.

Naprzeciwko nas jedna z kobiet się modli, oczy ma zamknięte, złożone ręce na wysokości ust. A może wcale się nie modli, może obgryza paznokcie. Po prostu usiłuje zachować spokój. Trzecia kobieta już jest spokojna. Siedzi z założonymi rękami i uśmiecha się lekko. Syrena wyje i wyje. Ten dźwięk zwykle oznacza śmierć –

wydają go karetki pogotowia i wozy strażackie. Być może i dzisiaj będzie to dźwięk wieszczący śmierć. Wkrótce się przekonamy. Co urodzi Warrena? Dziecko, zgodnie z ogólnymi oczekiwaniami? A może co innego, niedziecko, z główką jak szpilka, z psim pyszczkiem, podwójnym ciałem albo dziurą w sercu, albo bez ramion czy z błonami pławnymi u rąk i nóg? Kto wie. Kiedyś, owszem, potrafili to stwierdzić, za pomocą specjalnych urządzeń, ale teraz zabroniono takich praktyk. Zresztą, co z tego, nawet gdyby się wiedziało. I tak nie można przerwać ciąży, obojętne jaka jest, trzeba ją donosić do końca.

A szansa jest jak jeden do czterech, tyle wiemy z Centrum. Do powietrza, niegdyś, przedostało się za dużo zanieczyszczeń, różnych oparów, wszystko promieniuje, woda stała się aż gęsta od toksycznych cząsteczek, oczyszczenie środowiska to całe lata, a tymczasem wszystko to wpęła do twojego ciała, osiada w komórkach tłuszczowych. Sama nie wiesz, kiedy twoje własne ciało staje się skażone, brudne jak zalana ropą plaża – pewna śmierć dla ptactwa wodnego i nienarodzonych dzieci. Sęp mógłby się otruć twoim mięsem. A może świecisz w ciemności jak starodawny zegarek. Jak kołatek. Taki żuk, co grzebie ścierwo.

Czasem nie mogę myśleć o sobie, o swoim ciele, żeby nie widzieć szkieletu: zastanawiam się, jaka muszę się wydawać elektronowi. Kolebka życia, zbudowana z kości, a w środku same niebezpieczeństwa, zniekształcone proteiny, złe kryształy jak powyszczerbiane szkło. Kobiety brały lekarstwa, pigułki, mężczyźni opryskiwali drzewa, krowy jadły trawę, a całe to świństwo spływało do rzek. Nie mówiąc już o wybuchach elektrowni atomowych jak wzdłuż Uskoku Świętego Andrzeja podczas trzęsień ziemi czy o mutacjach syfilisu, których nie ima się

żaden antybiotyk. Niektóre robiły sobie to same, dawały się podwiązywać katgutem czy okaleczać chemikaliami. Jak mogły, mówiła Ciotka Lidia, ach, jak one mogły robić coś podobnego? Jezebele! Tak gardzić darami bożymi! – I załamywała przy tym rękę.

Podejmujecie ryzyko, mówiła Ciotka Lidia, ale jesteście oddziałami szturmowymi, które pierwsze wkroczą na niebezpieczny teren. Im większe ryzyko, tym większa chwała. Klaskała przy tym w rękę, promieniejąc cała z poczucia wmówionej nam odwagi. Spuszczaliśmy oczy na ławki. Przejść przez to wszystko i dać życie jakiemuś potworkowi to niezbyt miła perspektywa. Właściwie nie wiedziałyśmy, co się dzieje z dziećmi, które nie zostaną zakwalifikowane. Z niedziećmi. Wiedziałyśmy tylko, że bardzo szybko się ich pozbywają.

Przyczyna jest niejedna, mówi Ciotka Lidia. Stoi przed nami w swojej sukni koloru khaki, ze wskazówką w rękę. Na tablicy, tam gdzie dawniej wisiałaby mapa, znajduje się wykres przedstawiający wskaźnik urodzeń na tysiąc mieszkańców, obejmujący wiele lat: stromy spadek w dół aż poza linię zerową i dalej stale w dół.

Oczywiście, niektóre kobiety uważały, że nie ma przyszłości, że świat eksploduje. To pretekst, jakim się zasłaniały, mówiła Ciotka Lidia. Twierdziły, że rozmnażanie się nie ma sensu. Nozdrza Ciotki Lidii się zwężają: co za podłość. Te kobiety to lenie. Flądry.

Wierzch mojej ławki jest pokryty wydłubanymi w drewnie inicjałami: towarzyszą im daty. Te inicjały składają się czasem z dwóch części, połączonych słowem „kocha”. „J.H. kocha B.P. 1954”.

„O.R. kocha L.T.”. Przypomina mi to inskrypcje, o których czytałam, wyryte na kamiennych ścianach jaskiń albo napisane farbą zrobioną z mieszaniny sadzy i zwierzęcego tłuszczu. Wydają mi się niewiarygodnie stare. Ławka jest z jasnego drewna; pochyła, z prawej strony oparcie na rękę dla piszącego, na papierze, piórem. Pod pulpitem można trzymać różne rzeczy: książki, zeszyty. Te zwyczaje z dawnych czasów wydają mi się teraz rozrzutne, niemal dekadentkie – niemoralne, prawie jak orgie barbarzyńskich ludów. „M. kocha G., 1972”. Ten napis, wykonany ołówkiem metodą wielokrotnego żłobienia zniszczonej politurę ławki, ma w sobie patos wszystkich zaginionych cywilizacji. Jak odcisk ręki w kamieniu. Ktokolwiek jest jego autorem, był kiedyś żywy.

W połowie lat osiemdziesiątych kończą się napisy. Widocznie jest to jedna z tych szkół, które zostały wtedy zamknięte z braku dzieci.

Popełniano błędy, mówi Ciotka Lidia. Nie chcemy ich powtarzać. Jej ton jest podniosły, protekcyjny, typowy dla tych, co z obowiązku, dla naszego dobra, mówią nam nieprzyjemne rzeczy. Mam ochotę ją udusić. Odsuwam od siebie tę myśl niemal w tej samej chwili, kiedy przychodzi mi ona do głowy.

Ceni się tylko to, mówi, co jest rzadkie i trudne do osiągnięcia. – A my chcemy, żebyście były cenione, dziewczęta. – Nie szczędzi pauz, które smakuje. – Myślcie o sobie jako o perłach. – A my, siedząc przed nią w rzędach, słuchamy tych jej morałów. To ona nas określa, musimy znosić jej przymiotniki.

Myślę o perłach. Perły to zastygła ślina małżów. Powiem to Moirze, później, jak będę mogła.

My tutaj, wszyscy, jesteśmy po to, żeby nadać wam doskonały kształt, mówi Ciotka Lidia, bardzo z siebie zadowolona.

Wóz zatrzymuje się, otwierają się tylne drzwi, strażnik nas wygania. U frontowych drzwi stoi inny strażnik z tępą spluwą przewieszoną przez ramię. Ruszamy szeregiem, w mżawce, do drzwi frontowych; strażnicy salutują. Wielki wóz pogotowia, taki z różnymi maszynami i „ruchomymi” lekarzami, stoi zaparkowany dalej przy półkolistym podejździe. Widzę jednego z lekarzy, jak wygląda przez okno karetki. Zastanawiam się, co oni tam robią. Najprawdopodobniej grają w karty albo czytają – oddają się jednemu z ulubionych męskich zajęć. Rzadko są potrzebni; prosi się ich tylko wtedy, kiedy już wszystko zawiedzie.

Dawniej było inaczej, dawniej oni kierowali porodem. Wstyd, powiedziała Ciotka Lidia, wielki wstyd. Właśnie pokazała nam film zrobiony w szpitalu z tamtych czasów: kobieta w ciąży połączona drutami z maszyną, ze wszystkich części jej ciała wychodzą elektrody, tak że wygląda jak zepsuty robot, do ramienia podłączona kroplówka. Jakiś mężczyzna, przyświecając sobie latarką, zagląda jej między nogi, gdzie jest dokładnie wygolona jak nieopierzone dziewczątko; obok taca z błyszczącymi wysterylizowanymi narzędziami, wszyscy w maskach. Jest to pacjentka współpracująca. Kiedyś usypiali kobiety, wywoływali porody, cięli, zszywali. Koniec z tym. Teraz nie ma już mowy nawet o znieczuleniu. Ciotka Elizabeth powiedziała, że tak jest lepiej dla dziecka, ale również: „Do niewiasty powiedział: «Obarczę cię niezmiernie wielkim trudem twej brzemienności, w bólu będziesz rodziła dzieci...»”^[*]. Na lunch dostałyśmy kanapki z ciemnego chleba z sałatą.

Idąc po schodach na górę – stopnie są szerokie, po obu stronach kamienne urny, bo Komendant Warreny musi mieć wyższy status – znów słyszę syrenę. Tym razem nadjeżdża niebieski

porodomobil dla Żon. To Serena Joy przybywa z całą pompą. W tych porodomobilach zamiast ławek są prawdziwe, wyściełane siedzenia. Żony siedzą zgodnie z kierunkiem jazdy, przy odsłoniętych oknach. One wiedzą, dokąd jadą.

Prawdopodobnie Serena Joy bywała już wcześniej w tym domu na herbacie. Prawdopodobnie Warrena, dawna Janina, ta wiecznie zawodząca suka, paradowała przed nią i przed innym Żonami, tak żeby mogły sobie obejrzeć jej brzuch, a może go nawet pomacać i pogratulować Żonie. Silna dziewczyna, mocne mięśnie. W jej rodzinie nie było Czynnika Pomarańczowego^[**], sprawdziliśmy w aktach, ostrożności nigdy za wiele.

– A może ciasteczko, kochanie? – pyta, w tym momencie, jedna z łaskawszych Żon.

– Nie, nie, daj spokój, nie należy ich zbyt psuć, a poza tym nadmiar cukru nie jest dla nich wskazany.

– Ale przecież jedno nie zaszkodzi, tylko ten jeden raz, Mildred. Na co ta lizuska Janina:

– Och tak, bardzo proszę, mogę, proszę pani?

– Co za miłe dziecko, jakie grzeczne, nie tak jak inne, tylko by robiły, co do nich należy, i koniec. Można powiedzieć, że jest dla was jak córka. Ktoś z rodziny. – Chichoty, atmosfera macierzyńskiego ciepła. – To wszystko, kochanie, możesz iść do siebie.

A po jej wyjściu:

– To wszystko kurewki, ale czy można grymasić? Człowiek bierze, co mu dają, prawda, dziewczyny? – To Żona Komendanta.

– Ale i tak miałaś dużo szczęścia. Niektóre z nich są po prostu brudne. I nawet się taka do ciebie nie uśmiechnie, siedzi tylko nadęta w swoim pokoju. Żeby choć głowę umyła, a ten smród...

Muszą to robić Marty. Trzeba ją bez mała na siłę trzymać w wannie, niemal przekupywać, żeby się raczyła wykąpać, a nieraz trzeba i grozić.

– Ja musiałam wziąć się za moją ostro, to znów teraz przestała przyzwoicie jadać kolacje; a co do tego drugiego, to rzadko kiedy, a u nas zawsze było tak regularnie. Bo wy z tej waszej możecie być dumni. To już przecież lada dzień, musisz być bardzo podniecona, prawda? Jest wielka jak góra, pewnie nie możesz się doczekać, co?

– Jeszcze herbaty? – Skromnie zmienia temat.

Wiem dokładnie, jak to jest.

A Janina – co też porabia Janina, kiedy się już znajdzie u siebie? Oblizuje usta, w których ma jeszcze smak cukru, i wygląda przez okno. Robi głębokie wdechy i wydechy. Pieści swoje wezbrane piersi. Nie myśli o niczym.

[*] Rdz 3, 16.

[**] Agent Orange – substancja trująca, rozpylana w postaci proszku w Wietnamie.

20

Schody frontowe są szersze od naszych i po obu stronach mają wygięte poręcze. Z góry słyhać śpiew kobiet, które przybyły tu przed nami. Idziemy, szeregiem, stąpając ostrożnie, żeby nie nadebrać na wlokący się brzeg sukni poprzedniczki. Na lewo podwójne drzwi do pokoju jadalnego stoją otworem – wewnątrz widać długi zastawiony stół, biały obrus i zimne dania: szynka, ser, pomarańcze – mają pomarańcze? – świeżo upieczone chleby i ciasta. My dostaniemy mleko i kanapki na tacach, później. Dla nich jest kawa i wino, bo dlaczegóż by Żony nie miały sobie popić w tak uroczystym dniu? Najpierw będą czekały na wynik, a potem się rzucają na żarcie. Teraz siedzą w salonie po drugiej stronie schodów i fetują Żonę Komendanta. Warrena, drobna, szczupła kobieta, leży teraz na podłodze w białej nocnej koszuli, z rozsypanymi po dywanie włosami, które wyglądają jak pleśń, a one masują jej wątły brzuch, jakby to rzeczywiście ona miała rodzić.

Komendanta oczywiście nigdzie nie widać. Poszedł sobie tam, gdzie zwykle w takich sytuacjach chodzą mężczyźni, w jakieś odosobnienie. Prawdopodobnie zastanawia się, kiedy dostanie awans, jeśli wszystko pójdzie dobrze. Jest pewny awansu, już teraz.

Warrena przebywa w sypialni, gdzie Komendant z Żoną spędzają

noce. Siedzi na ich łożu małżeńskim, podparta poduszkami: Janina, nadmuchana, ale jednocześnie jakby zredukowana, pozbawiona swojego poprzedniego imienia. Ma na sobie białą koszulę, poddartą aż na uda; długie włosy w kolorze miotły zaczesane do tyłu i związane, żeby nie przeszkadzały. Powieki ma mocno zaciśnięte i w tej pozie niemal ją lubię. Ostatecznie jest jedną z nas, przecież nie pragnęła niczego innego, jak tylko tego, żeby przeżyć życie możliwie najprzyjemniej. Czegóż innego pragnie każda z nas? Człowiek łapie, co mu się trafi. Jak na te warunki, wiecie jej się nie najgorzej.

Dwie kobiety, których nie znam, stoją po jej obu stronach i trzymają ją za ręce czy też może ona je trzyma. Trzecia unosi jej koszulę, leje oliwkę dziecięcą na wzgórek jej brzucha i wciera ruchem ku dołowi. U jej nóg stoi Ciotka Elizabeth w swojej sukni koloru khaki z wojskowymi kieszeniami na piersiach. To ona prowadziła Wych. Gin. Widzę tylko jej głowę z boku, profil, ale wiem, że to ona, poznaję ją po wydatnym nosie i ładnej linii brody, surowej. Przy niej stoi fotel porodowy, z podwójnym siedzeniem; tylne wznosi się nad tym przednim jak tron. Nie posadzą tam Janiny, dopóki nie przyjdzie jej czas. Prześcieradła są w pogotowiu, mała wanienska, pojemnik z lodem, żeby Janina miała co ssać.

Pozostałe kobiety siedzą na dywanie po turecku – całkiem pokaźny tłumek. Wymaga się obecności wszystkich kobiet z tej dzielnicy, czyli dwudziestu pięciu do trzydziestu. Bo nie każdy Komendant ma Podręczną: niektóre Żony mają dzieci. Od każdej – głosi hasło – według jej możliwości; każdemu według jego potrzeb. Recytowałyśmy je po trzy razy po każdym deserze. To z Biblii, a przynajmniej tak nam mówiono. Znów święty Paweł, Dzieje Apostolskie.

Wy jesteście pokoleniem przejściowym, mówiła Ciotka Lidia. Wam jest najciężej. Wiemy, jakich ofiar się od was wymaga. Ciężko wam, kiedy ludzie pomstują. Tym, co przyjdą po was, będzie lżej. Przyjmą swoje obowiązki z wdzięcznym sercem.

Nie powiedziała: Ponieważ nie zaznały niczego lepszego.

Powiedziała: Ponieważ nie będą pragnęły rzeczy niemożliwych.

Raz w tygodniu miałyśmy film – po lunchu, przed drzemką. Siedziałyśmy na podłodze pracowni zajęć domowych, na swoich małych, szarych dywanikach, i czekałyśmy, aż Ciotki Helena i Lidia skończą majstrować przy aparaturze projekcyjnej. Przy odrobinie szczęścia film nie szedł do góry nogami. Przypominało mi to lekcje geografii w mojej szkole średniej, tysiące lat temu, gdzie pokazywano nam resztę świata na filmach; kobiety w długich spódnicach albo w tanich, kretonowych sukienkach, niosące wiązki chrustu, kosze albo plastikowe wiadra wody, z takiej czy innej rzeki, z dziećmiakami przewieszonymi na plecach w chustach albo siatkowych nosidłach. Patrzyły na nas z ekranu spode łba albo ze strachem – wiedziały, że machina ze szklanym okiem coś im robi, ale nie wiedziały co. Te filmy działały kojąco, ale zarazem trochę nużyły. Robiłam się śpiąca nawet wtedy, kiedy na ekranie pokazywali się mężczyźni prezentujący gołe mięśnie, rozbijający stwardniałą ziemię prymitywnymi kilofami i łopatami i wyciągający głazy. Ja wolałam filmy z tańcami, ze śpiewem, z maskami okolicznościowymi, piórami i rzeźbionymi przedmiotami do muzykowania: mosiężnymi guzikami, muszlami, bębnami. Lubiałam patrzeć na tych ludzi, kiedy byli szczęśliwi, lecz nie wtedy, kiedy cierpieli z głodu i wycieńczenia, kiedy dosłownie przypłacali życiem sprawy tak proste jak kopanie studni, melioracja terenu czy inne, które już od niepamiętnych czasów nie

stanowiły problemu dla społeczeństw cywilizowanych. Myślałam zawsze wtedy, że ktoś powinien dać im odpowiednią technologię i pozwolić, by wykorzystali ją, tak jak chcą.

Ciotka Lidia takich filmów nie pokazywała.

Czasem pokazywała stare filmy porno z lat siedemdziesiątych czy osiemdziesiątych. Kobiety na klęczkach, związane sznurami czy łańcuchami, ssące penisy albo pistolety, kobiety z psimi obrożami na szyjach, kobiety zwisające z drzew głową na dół, nagie, z rozchyłonymi nogami, kobiety gwałcone, bite, mordowane. Kiedyś musiałyśmy na przykład patrzeć na powolne ćwiartowanie kobiety, której palce i piersi odcinano sekatorem ogrodowym, a z brzucha wypruwano wnętrzności.

Zastanówcie się nad alternatywą, powiedziała Ciotka Lidia. Zobaczcie, jak to było dawniej. Pomyślcie, jak wtedy traktowano kobiety. Głos jej drżał z oburzenia.

Moira zwróciła mi później uwagę, że te filmy nie są autentyczne, że je kręcono z aktorami, ale jak było naprawdę, trudno powiedzieć.

Czasami Ciotka Lidia nazywała takie filmy dokumentami na temat niekobiet. – Co za strata czasu – mówiła – zamiast robić coś rzeczywiście pożytecznego. Bo wtedy, dawniej, niekobiety zawsze traciły czas. Zachęcano je nawet do tego. Rząd im za to płacił. Niektóre rzeczy były nawet zdrowe – ciągnęła z pewnością siebie osoby powołanej do wydawania sądów. – Nawet i dziś można by niektóre zaakceptować. Ale tylko niektóre, zapamiętajcie to sobie – dodawała z udaną skromnością, grożąc nam palcem. – Bo one były bezbożne, i na tym polega cała różnica, chyba się ze mną zgodzicie.

Siedzę na moim dywaniku, z założonymi rękami, Ciotka Lidia odstepuje na bok, tak żeby nie zasłaniać ekranu, światła gasną,

a ja się zastanawiam, czy mogę, w ciemności, wychylić się w prawo, niepostrzeżenie, i szepnąć coś do mojej sąsiadki. Ale co ja mam jej szepnąć? Zapytam ją, czy widziała Moirę. Bo nikt nie widział Moiry, nie było jej na śniadaniu. Ale w pomieszczeniu, choć panuje mrok, nie jest jednak dostatecznie ciemno, koncentruję się więc na tym, żeby wytrzymać, a to można wziąć za skupienie. Te filmy puszczają bez ścieżki dźwiękowej; dźwięk jest tylko na filmach porno. Chcą, żebyśmy słyszały wrzaski, jęki i krzyki wyrażające szalony ból albo szaloną rozkosz, albo oba te uczucia naraz, ale nie wolno nam słyszeć, co mówią niekobiety.

Najpierw na ekranie pojawiają się tytuł i jakieś nazwiska, zamazane na taśmie pisakiem, tak żebyśmy nie mogły ich przeczytać, a potem moja matka. Matka młoda, młodsza, niż ją kiedykolwiek widziałam, taka, jaka musiała być przed moim urodzeniem. Ma na sobie strój, typowy, jak nam powiedziała Ciotka Lidia, dla niekobiet z tamtych czasów: kombinezon dżinsowy, a pod nim koszula w kratę zielono-fioletową i tenisówki; coś takiego, co nosiła kiedyś Moira, i w czym ja sama, pamiętam, chodziłam dawno temu. Włosy ma wsunięte pod związaną z tyłu fioletową chustkę. Twarz bardzo młodą, bardzo poważną, nawet ładną. Zapomniałam, że moja matka była kiedyś taka ładna, taka poważna. Występuje w grupie innych kobiet, podobnie ubranych, trzyma kij, nie, to fragment flagi, drzewce. Kamera idzie w górę i widzimy napis, wymalowany farbą na czymś, co musiało być prześcieradłem: **ZABIERZCIE NOC**. Napis nie został zamazany, mimo że nie powinnyśmy go czytać. Siedzące wokół mnie kobiety wciągają powietrze. W pomieszczeniu robi się poruszenie, jakby po trawie przeszedł podmuch wiatru. Czy to przeoczenie, czyżby nam się trafiła gratka? A może miałyśmy przeczytać ten transparent –

żeby nam przypomniał dawne czasy pełne niebezpieczeństw.

Za tym transparentem pojawiają się inne, które kamera muska tylko przelotnie: WOLNOŚĆ WYBORU: KAŻDE DZIECKO DZIECKIEM CHCIANYM. CZY UWAŻASZ, ŻE MIEJSCE KOBIETY JEST NA RZEŹNICKIM STOLE? Pod tym ostatnim tekstem szkic leżącego na stole kobiecego ciała, z którego cieknie krew.

A teraz moja matka zbliża się, uśmiecha, śmieje, wszystkie kobiety ruszają do przodu, podnoszą w górę pięści. Kamera pokazuje niebo, gdzie unoszą się setki balonów wlokących za sobą sznurki – czerwone balony z wymalowanymi kólkami, które mają ogonki jak jabłka, tyle że w kształcie krzyżyka. Tam, na ziemi, moja matka wmieszała się w tłum i już jej nie widzę.

– Urodziłam cię, mając trzydzieści siedem lat – poinformowała mnie matka. – Było to ryzykowne. Mogłaś przyjść na świat z jakąś wadą. Ale byłaś dzieckiem chcianym, co nie znaczy, że wiele osób naprawdę nie dało mi popalić! Moja najlepsza przyjaciółka, Tricia Foreman, zarzuciła mi na przykład, że jestem pronatalistką, małpa jedna. Kładę to na karb zazdrości. Inne były niby w porządku, ale gdy doszłam do szóstego miesiąca ciąży, zaczęły mi przysyłać różne publikacje o tym, jak to u kobiet po trzydziestcepiątce drastycznie wzrasta procent dzieci rodzących się z wadami. Tylko tego mi wtedy brakowało. I o tym, jak to trudno być samotną matką. Pies was trącał – powiedziałam. Jak już zaczęłam, to skończę. W szpitalu wpisali mi do karty: „Stara pierwiastka”, złapałam ich na tym. Tak cię nazywają, jak rodzisz pierwsze dziecko po trzydziestce. Po trzydziestce, na miłość boską. Bzdura – ja im na to – biologicznie mam dwadzieścia dwa lata. Biję was na głowę. Urodzę trojaczki i wyjdę stąd, zanim wy się podniesiecie z łóżek.

Kiedy mówiła takie rzeczy, wysuwała do przodu podbródek. Pamiętam ją właśnie taką: podbródek do przodu, przed nią na kuchennym stole szklaneczka z drinkiem; już nie była taka młoda, szczerą i ładną jak na filmie, tylko chuda, ostra i stara, z tych, co to cię nigdy nie wpuszczą do kolejki w domu towarowym. Lubiła do nas przychodzić, kiedy szykowaliśmy z Łukaszem obiad. Siadała wtedy, popijając i opowiadając, co było złego w jej życiu, a to się nieuchronnie sprowadzało do tego, co jest złego w naszym życiu. Oczywiście wtedy już była siwa. Nie chciała się farbować. Po co udawać – mówiła. – A zresztą na co mi to, chłopca na stałe nie potrzebuję, co z niego za pożytek, poza tą krótką chwilą przyjemności. Mężczyzna to dla kobiety sposób na robienie innych kobiet. Nie chcę powiedzieć, że twój ojciec nie był fajnym facetem i w ogóle, ale do ojcostwa to on nie dorósł. Wcale tego zresztą po nim nie oczekiwałam. Zrób swoje i spieprzaj – powiedziałam mu, zarabiam nieźle, stać mnie na żłobek. No więc pojechał na wybrzeże i przysyłał kartki świąteczne. Choć trzeba przyznać, że miał bardzo piękne niebieskie oczy. Ale mężczyznom czegoś brakuje, nawet tym najsympatyczniejszym. Jakby cały czas byli nieobecni, jakby nie mogli zapamiętać, jak się nazywają. Za bardzo bujają w obłokach. Przestają widzieć, co mają pod nogami. Nie umywają się nawet do kobiet, poza tym, że lepiej sobie radzą z samochodami i lepiej grają w futbol, a więc mają to, czego nam brakuje do doskonałości, no, czyż nie?

Takie właśnie rzeczy wygadywała moja matka, nawet w obecności Łukasza. Ale jemu to nie przeszkadzało, lubił się z nią prekomarzać, udawał, że jest taki strasznie męski, mówił, że kobiety nie są zdolne do abstrakcyjnego myślenia, a ona nalewała sobie następnego drinka i uśmiechała się do niego.

– Szowinistyczna świnia – mówiła.

– Czy twoja matka to nie oryginał? – Łukasz zwracał się do mnie, a matka robiła filuterną, niemal łobuzerską minę.

– Mam prawo – mówiła. – Jestem już w tym wieku, że swoje zobowiązania pospłacałam i teraz mogę sobie być oryginałem. A ty jeszcze ciągle jesteś żółtodziób. Szczeniak.

– Co do ciebie – zwracała się następnie do mnie – to jesteś po prostu wypadkiem przy pracy. Szczęśliwy traf. Mam nadzieję, że historia mi wybaczy.

Ale na takie gadki pozwalała sobie dopiero po trzecim drinku.

– Wy, młodzi, nie doceniacie różnych rzeczy – mówiła. – Nie zdajecie sobie sprawy, przez co musiałyśmy przejść, żeby wam stworzyć odpowiednie warunki. Popatrz na niego, jak sieka tę marchew. Nie wiecie nawet, ile kobiet oddało życie, ile oddało ciała, ile czołgów musiało się przez nie przetoczyć, żeby to było możliwe.

– Gotowanie to moje hobby – odpowiadał Łukasz. – Sprawia mi przyjemność.

– Hobby-śmobby – mówiła matka. – Nie musisz mi się tłumaczyć. Dawniej nie mógłbyś mieć takiego hobby. Okrzyknęliby cię zboczeńcem.

– Mamo – usiłowałam im przerwać – nie kłóćmy się o bzdury.

– Bzdury – powtarzała z goryczą. – Nazywasz to bzdurami. Bo nic nie rozumiesz. Nie masz zielonego pojęcia, o czym ja mówię. Czasem płakała.

– Byłam taka samotna – skarżyła się. – Nie wyobrażasz sobie nawet, jak bardzo samotna. A przecież miałam przyjaciół, należałam do szczęściarzy. I mimo to byłam samotna.

Pod wieloma względami podziwiałam moją matkę, chociaż

stosunki między nami nigdy właściwie nie układały się dobrze. Uważałam, że za dużo ode mnie wymaga. Oczekiwała, że znajdzie we mnie uzasadnienie swego życia, swoich wyborów. A ja nie chciałam żyć na jej modłę. Nie chciałam być wzorowym potomkiem, wcieleniem jej ideałów. Kłóciłyśmy się o to. „Nie mam zamiaru być uzasadnieniem twojego istnienia” – powiedziałam jej kiedyś.

Chcę ją odzyskać. Chcę odzyskać wszystko, tak jak było. Ale co z tego, że chcę.

21

Jest gorąco i za głośno. Dokoła siebie słyszę coraz większy gwar, ciche skandowanie, które jest i tak dla mnie za głośne po wielu dniach ciszy. W rogu pokoju zakrwawione prześcieradło, zgniecione i ciśnięte, leży tutaj od czasu, kiedy odeszły wody. Nie zauważyłam go z początku.

W pokoju śmierdzi, jest duszno, powinni otworzyć okno. Jest to organiczny smród naszych własnych ciał, pot leciutko zalatujący żelazem, zapach krwi na prześcieradle i jeszcze inny, bardziej zwierzęcy, który pochodzi niewątpliwie od Janiny: odór nor, zamieszkanym jaskiń, zapach kraciastego pledu na łóżku, z czasów, kiedy okociła się na nim kotka, zanim została wytrzebiona. Odór macicy.

– Oddychać, oddychać – skandujemy, tak jak zostałyśmy nauczone. – Wstrzymać oddech, wstrzymać, wypuścić powietrze. Wciągnąć. Wytrzymać. Wypuścić.

Janina, z zamkniętymi oczami, usiłuje spowolnić swój oddech. Ciotka Elizabeth maca, czy są skurcze.

Janina robi się niespokojna, chce spacerować. Tamte dwie kobiety pomagają jej zejść z łóżka, podtrzymują pod pachy. Przychodzi skurcz i Janina zwija się wpół. Jedna z kobiet klęka, masuje jej plecy. Wszystkie to umiemy, brałyśmy specjalne lekcje. Poznaje Glenę, moją partnerkę od zakupów, siedzi trzecia ode

mnie. Ciche mruczenie otula nas jak błona.

Pojawia się Marta, niosąc tacę: dzbanek soku owocowego, takiego z proszku, wygląda na winogronowy, i stertę papierowych kubeczków. Stawia to na dywanie przed skandującymi kobietami. Glena, nie gubiąc rytmu, nalewa i papierowe kubeczki wędrują wzdłuż szeregu.

Odbieram kubek, nachylam się, żeby go podać dalej, i sąsiadka szepcze mi cicho do ucha:

– Szukasz kogoś?

– Moiry – odpowiadam równie cicho. – Ciemne włosy, piegi.

– Nie – mówi – nie znam takiej, nie była ze mną w Centrum, chociaż widywałam podobną na zakupach, rozejrzę się.

– A ty? – pytam.

– Alma – odpowiada. – A jak ty masz naprawdę na imię?

Mam ochotę jej powiedzieć, że w Centrum była ze mną taka jedna Alma. Chcę jej podać swoje prawdziwe imię, ale Ciotka Elizabeth podnosi głowę i rozgląda się po pokoju. Musiała usłyszeć zakłócenie rytmu naszego skandowania, więc nie mogę sobie już na to pozwolić. Czasem w Dniu Narodzin można dowiedzieć się wielu różnych, ciekawych rzeczy. Ale pytanie o Łukasza nie miałoby sensu. Nie byłoby go w żadnym z tych miejsc, w których mogłyby go zobaczyć te kobiety.

Skandujemy dalej. Zaczyna mnie to brać. To ciężka praca, wymagająca koncentracji. Musicie się utożsamić z własnym ciałem – mówiła Ciotka Elizabeth. Już czuję w brzuchu lekkie bóle, nabrzmiewają mi piersi. Janina krzyczy, cicho, jest to coś pomiędzy krzykiem a jękiem.

– Wpada w trans – mówi Ciotka Elizabeth.

Jedna z pomocnic wyciera Janinie czoło mokrą szmatką. Janina

się poci, mokre kosmyki włosów wymykają się spod opaski elastycznej, przylepiają do czoła i szyi. Cała jest wilgotna, nasączona wodą, błyszcząca.

– Dysz, dysz, dysz! – skandujemy.

– Chcę wyjść – mówi Janina. – Chcę iść na spacer. Czuję się dobrze. Muszę iść do kibla.

Zdajemy sobie sprawę, że Janina jest w transie, nie wie, co robi. Które z tych życzeń należy uznać za uzasadnione? Prawdopodobnie ostatnie. Ciotka Elizabeth daje znak, dwie kobiety stają koło przenośnego klozetu, na którym delikatnie sadzają Janinę. Do istniejących już w pokoju odorów dochodzi jeszcze jeden. Janina jęczy, głowę ma zwieszoną, widzimy tylko włosy. Przycupnięta w ten sposób przypomina starą, zniszczoną, porzuconą w jakimś kącie lalkę, podpartą pod boki.

Janina wstała, znów chodzi.

– Chcę usiąść – mówi.

Od jak dawna tu jesteśmy? Czy są to minuty, czy godziny? Pocę się, sukienkę mam mokrą pod pachami, czuję słony smak na górnej wardze, łapią mnie fałszywe bóle, inne też to czują, łatwo poznać po tym, jak się kołyszą. Janina ssie kostkę lodu. A potem, w odległości cali czy może mil:

– Nie! – krzyczy. – Och nie, nie, och nie! – Jest to jej drugie dziecko, miała już jedno, dawniej, wiem to z Centrum, bo je po nocach opłakiwała, tak jak i my wszystkie, tylko głośniej. Powinna więc pamiętać, jak to jest, co ją czeka. Ale kto pamięta ból, kiedy już minął? Zostaje po nim jedynie cień, i to nie w świadomości, w ciele. Ból odciska piętno, ale zbyt głęboko, by je dostrzec. Co z oczu, to z serca.

Ktoś zakropił sok winogronowy alkoholem. Ktoś świsnął butelkę,

z dołu. Nie po raz pierwszy przy tego typu okazji, ale patrzą na to przez palce. I my mamy prawo do jakichś orgii.

– Przygaście światło – mówi Ciotka Elizabeth. – Powiedzcie jej, że już czas.

Ktoś wstaje, podchodzi do ściany, światło przygasa, w pokoju robi się półmrok, nasze głosy cichną, przechodzą w chór skrzypnięć, niskich szeptów jak wieczorna kapela świerszczy. Dwie opuszczają pokój, dwie prowadzą Janinę na fotel porodowy, sadzają na niższym stopniu. Jest teraz spokojniejsza, oddycha rytmicznie, pochylamy się, bolą nas napięte mięśnie pleców i brzucha. Nadchodzi, nadchodzi, jak trąbka, sygnał do boju, jak wałęsa się ściana, czujemy to w sobie niby obsuwający się ciężki kamień, jakby go w nas ktoś ciągnął, wydaje nam się, że pękniemy. Łapiemy się nawzajem za ręce, już nie jesteśmy samotne.

Wbiega Żona Komendanta w swojej śmiesznej, białej koszuli, spod której wystają jej chude nogi. Dwie Żony w niebieskich sukienkach i welonach trzymają ją pod ręce, jakby potrzebowała pomocy; na twarzy ma wymuszony uśmiezek, jak gospodyni przyjęcia, którego wolałaby nie wydawać. Musi wiedzieć, co o niej myślimy. Wdrapuje się na fotel porodowy, siada na siedzeniu za i ponad Janiną, tak że stanowi dla niej jakby obramowanie: chude nogi Żony po bokach rodzącej wyglądają jak poręcze ekscentrycznego fotela. Żeby było dziwniej, ma na nich białe bawełniane skarpetki i niebieskie ranne pantofle z kosmatego materiału, przypominające futerał na deskę klozetową. Ale my nie zwracamy uwagi na Żonę, ledwie ją dostrzegamy, nasze oczy spoczywają na Janinie. W przyćmionym świetle, w swojej białej koszuli jarzy się jak Księżyc w lisiej czapie.

Stęka teraz z całych sił.

– Przyj, przyj, przyj – szepczemy. – Przerwa. Oddychaj. Przyj, przyj, przyj. – Jesteśmy z nią, jesteśmy tym samym co ona, jesteśmy pijane. Ciotka Elizabeth klęka z rozpostartym rącznikiem, żeby złapać dziecko, a oto ukoronowanie wysiłku, chwała, ukazuje się główka, purpurowa, wymazana jakby jogurtem, jeszcze jedno parcie i wymyka się całe, śliskie od śluzu i krwi, w nasze oczekiwanie. Och. chwała, chwała.

Wstrzymujemy oddech, podczas gdy Ciotka Elizabeth ogląda noworodka: dziewczynka, biedactwo, ale dobre i to, przynajmniej wszystko jest z nią w porządku, to widać – rączki, nóżki, oczy, liczymy po cichu, wszystko na swoim miejscu. Ciotka Elizabeth, trzymając dziecko, uśmiecha się do nas. I my się uśmiechamy, jesteśmy jednym uśmiechem, takie jesteśmy szczęśliwe, że płyną nam łzy.

Ten nastrój to po części wspomnienia. Przypomina mi się Łukasz, jak stoi w szpitalu przy mojej głowie i trzyma mnie za rękę. Jest w zielonym fartuchu i białej masce. Och – powiedział wtedy – o Jezu i westchnął głęboko z podziwu. Tej nocy w ogóle nie mógł spać, jak twierdził, tak był podniecony.

Ciotka Elizabeth delikatnie obmywa noworodka, mała troszeczkę popłakuje, ale zaraz przestaje. Jak najciszej, tak żeby nie przestraszyć dziecka, otaczamy Janinę, ściskając ją i poklepując. I ona płacze. Dwie ubrane na niebiesko Żony pomagają tej trzeciej, gospodyni, zejść z tronu porodowego i położyć się do łóżka, gdzie ją układają i otulają kołdrą. Z całym namaszczeniem oddają jej w ramiona umyte już i spokojne dziecko. Żony, roztrącając nas, pchają się teraz na górę. Mówią za głośno, niektóre mają w rękach talerzyki, filiżanki z kawą, kieliszki z winem, inne ruszają jeszcze ustami, tłoczą się wokół łóżka, wokół matki i dziecka,

przemawiając pieszczotliwie, gratulując. Emanuje z nich zazdrość, czuję ją w powietrzu, lekkie smużki kwasu zmieszane z ich perfumami. Żona Komendanta spogląda na dziecko, jakby to był bukiet kwiatów: coś, na co zasłużyła, hołd.

Zgromadzone tu Żony mają uczestniczyć w nadawaniu dziecku imienia. To ich rola, przynajmniej tutaj.

– Angela – mówi Żona Komendanta.

– Angela, Angela – powtarzają w podnieceniu. – Co za słodkie imię. Och, jaka ona jest rozkoszna!

Stajemy pomiędzy Janiną i łóżkiem, żeby tego nie widziała. Ktoś podaje jej sok winogronowy, mam nadzieję, że z winem, Janina w dalszym ciągu cierpi, te bóle to efekt obkurczania się macicy, płacze bezradnie, żałośnie, jakby wypalona od środka. Mimo to jesteśmy radosne, święcimy wspólne zwycięstwo. Udało się.

Przez kilka miesięcy będzie jej wolno karmić dziecko: wierzą w dobrodziejstwo naturalnego pokarmu. Potem zostanie przeniesiona do innego domu; trzeba sprawdzić, czy może jeszcze urodzić, komuś innemu, następnemu w kolejce. Ale nigdy jej nie wyślą do Kolonii. Nigdy nie zostanie niekobietą. I to jej cała nagroda.

Porodomobil czeka, żeby nas porozwozić. Doktorzy są w dalszym ciągu w swoim wozie; w oknie widać ich twarze, białe plamy, jak buzie chorych dzieci, skazanych na przebywanie w domu. Jeden z nich otwiera drzwi i podchodzi do nas.

– Dobrze poszło? – pyta z niepokojem.

– Tak – odpowiadam. Jestem wyżęta, wyczerpana. Piersi mnie bolą, trochę się z nich nawet sączy. Coś w rodzaju mleka. Takie rzeczy się zdarzają niektórym z nas. Podczas jazdy siedzimy na ławkach naprzeciwko siebie; już minęły emocje, prawie nic nie

czujemy, przypominamy czerwone tobołki. Całe jesteśmy obolałe. Każda z nas trzyma w objęciach zjawę, dziecko widmo. Teraz, kiedy podniecenie minęło, zostało nam poczucie własnej klęski. Mamo – myślę. – Gdziekolwiek jesteś, czy mnie słyszysz? Marzyła ci się kultura kobieca. No więc ją masz. Nie o to ci chodziło, ale ona jest. Poprzestawaj na małym.

22

Kiedy porodomobil zajeżdża przed dom, jest już późne popołudnie. Słońce ledwie się sący przez chmury. W powietrzu unosi się zapach mokrej, rozgrzanej trawy. Cały dzień asystowałam przy porodzie; człowiek traci poczucie czasu. Zakupy spadły dziś na Corę, ja jestem zwolniona ze wszystkich obowiązków. Idę na górę, z trudem wlokąc nogi, trzymam się poręczy. Czuję się tak, jakbym od wielu dni nie zmrużyła oka, a potem forsownie biegła – boli mnie w piersiach, w mięśniach mam kurcze, jakby w moim organizmie brakowało cukru. Raz wreszcie cieszę się z samotności.

Leżę na łóżku. Chciałabym odpocząć, przespać się, ale jestem zbyt zmęczona, a jednocześnie zbyt podniecona, oczy mi się nie zamykają. Gapię się w sufit, wodząc wzrokiem po liściach wieńca. Dziś kojarzy mi się on z kapeluszami o szerokich rondach, jakie w dawnych czasach nosiły kobiety: kapelusze jak wielkie aureole, ozdobione owocami, kwiatami i piórami egzotycznych ptaków, kapelusze jak wyobrażenie rajy unoszącego się tuż nad głową, ucieleśnienie myśli.

Jeszcze chwila i wieniec przybierze barwę, a ja zacznę widzieć różne rzeczy. Bo tak właśnie jestem zmęczona: jakbym prowadziła samochód przez całą noc, aż do świtu, z jakichś przyczyn, o których wolę teraz nie myśleć, i jakbyśmy nie dawali sobie nawzajem zasnąć, snując różne opowieści i zmieniając się przy kierownicy.

I wtedy, o wschodzie słońca, widzi się kątem oka różne rzeczy: purpurowe zwierzęta w krzakach przy drodze, rozmazane sylwetki mężczyzn, którzy znikają, kiedy spojrzy się na nich wprost.

Jestem zbyt zmęczona, żeby snuć dalej tę historię. Jestem zbyt zmęczona na to, żeby się zastanawiać, gdzie jestem. Mam lepszą opowieść. O tym, co się stało z Moirą.

Część tej historii dośpiewałam sama, część usłyszałam od Almy, która usłyszała ją od Dolores, która z kolei usłyszała ją od Janiny. A Janina usłyszała ją od Ciotki Lidii. Sojusze są możliwe nawet w takich miejscach, nawet w takich okolicznościach. I to jest to, na co można liczyć: że zawsze będą sojusze, takie czy inne.

Ciotka Lidia wezwała Janinę do swojego gabinetu.

– Niech będzie błogosławiony owoc, Janino – powiedziała, z pewnością nie podnosząc głowy znad biurka, przy którym coś pisała. Bo każda reguła ma swoje wyjątki. Tego też można być pewnym. Ciotkom wolno czytać i pisać.

– Niechaj Bóg otworzy – odpowiedziała Janina głosem bezbarwnym, przezroczystym jak surowe białko jajka.

– Wiem, że mogę na tobie polegać, Janino. – Ciotka Lidia podniosła w końcu oczy znad stronicy, przygważdżając Janinę przez okulary tym swoim spojrzeniem, które potrafiło jednocześnie zawierać w sobie i groźbę, i błaganie, i jedno, i drugie naraz. Pomóż mi, mówiło to spojrzenie, wszystkie jedziemy na tym samym wózku. – Jesteś dziewczyną, na której można polegać – ciągnęła – nie tak jak te inne.

Uważała, że te szloch Janiny i ta jej skrucha są szczerze, myślała, że Janina została złamana, sądziła, iż uwierzyła naprawdę. Ale Janina była już wtedy jak szczeniak, którego zbyt wielu kopało zbyt często za byle co: łasiła się do każdego,

powiedziałyby wszystko za jedną chwilę łaski.

Na to Janina:

– Mam nadzieję, Ciotko Lidio. Mam nadzieję, że można na mnie polegać. – Albo coś w tym rodzaju.

– Janino – powiedziała Ciotka Lidia – stało się coś strasznego.

Janina wbiła wzrok w podłogę. Obojętne, co się stało, wiedziała, że wina nie spadnie na nią, że ona jest niewinna. Ale ta niewinność – co jej dała w przeszłości? Miała więc jednocześnie i poczucie winy, tak jakby czekała ją kara.

– Wiesz, co się stało? – spytała łagodnie Ciotka Lidia.

– Nie, Ciotko Lidio – odparła Janina. Wiedziała, że w tym momencie należało podnieść wzrok, należało spojrzeć Ciotce Lidii prosto w oczy. Już po chwili jej się to udało.

– Bo jeśli wiesz, to będę bardzo zawiedziona – rzekła Ciotka Lidia.

– Bóg mi świadkiem – odparła Janina, okazując pewne ożywienie.

Ciotka Lidia zastosowała jedną ze swoich pauz. Bawiła się piórem.

– Moiry już nie ma wśród nas – powiedziała w końcu.

– Och – rzekła Janina, nie zdradzając żadnych uczuć. Moira nie należała do jej przyjaciółek. – Nie żyje? – spytała po chwili.

I wtedy Ciotka Lidia opowiedziała jej całą historię. Podczas ćwiczeń Moira podniosła rękę na znak, że chce iść do ubikacji. I wyszła. W toalecie miała akurat dyżur Ciotka Elizabeth – stała jak zwykle pod drzwiami; Moira weszła do środka. Po chwili zawołała na Ciotkę Elizabeth, że ubikacja się przelewa i czy Ciotka może przyjść i coś z tym zrobić. To prawda, że czasem klozety się zatykały. Jakieś nieznane osoby zapychały je specjalnie kulkami

papieru toaletowego. Ciotki myślały nad sposobem zapobiegania tym głupim figlom, ale brakowało pieniędzy i trzeba było sobie jakoś radzić, a nie opracowały jeszcze metody zamykania papieru toaletowego. Być może powinny trzymać go na zewnątrz na stoliku i wydzielać każdej wchodzącej po arkusiku albo po kilka. Ale to była sprawa przyszłości. Zawsze musi trochę potrwać, zanim się coś nowego dopracuje.

Ciotka Elizabeth, niczego nie podejrzewając, weszła do toalety. Ciotka Lidia musiała przyznać, że było to z jej strony trochę lekkomyślne. Ale przecież już nieraz wchodziła przetykać toaletę i nic się złego nie działo.

Moira nie kłamała, na podłodze stała woda z resztkami fekaliiów. Nie było to przyjemne i Ciotka Elizabeth się zdenerwowała. Moira usunęła się grzecznie i Ciotka Elizabeth weszła do wskazanej kabiny, i pochyliła się nad muszlą klozetową. Zamierzała unieść porcelanowe wieko zbiornika i pogmerać w znajdującym się wewnątrz urządzeniu. Miała na tym wieku obie ręce, kiedy poczuła, jak od tyłu wbija jej się między żebra coś twardego i ostrego, i najprawdopodobniej metalowego.

– Nic ruszaj się – powiedziała Moira – bo ci wbiję to całe, a wiem gdzie, i przedziurawię ci płuco.

Później odkryli, że zdemontowała urządzenie do spuszczenia wody w jednej z toalet: wyjęła długą, ostro zakończoną dźwignię, tę, która z jednej strony jest przymocowana do rączki, a z drugiej do łańcucha. Nic trudnego, jeśli się wie, jak to zrobić, a Moira miała techniczną smykałkę, sama sobie na przykład robiła drobne naprawy samochodowe. Wkrótce potem te porcelanowe wieka zostały zabezpieczone łańcuchami i zdejmowanie ich do naprawy trwało bardzo długo. Toteż mieliśmy kilka powodzi.

– Ciotka Elizabeth nie wiedziała, co ją kłuje – powiedziała Ciotka Lidia. – To dzielna kobieta...

– O, tak – potwierdziła Janina.

– Ale nie lekkomyślna – dodała Ciotka Lidia, marszcząc czoło. Zachowanie Janiny było zbyt entuzjastyczne, co ma czasami odwrotny skutek.

– Zrobiła to, czego zażądała od niej Moira – ciągnęła Ciotka Lidia. – Moira złapała za jej przęt i gwizdek, i kazała Ciotce Elizabeth odczepić je od paska. A następnie pognęła ją na dół do piwnic. Były na drugim piętrze, nie na trzecim, więc miały do pokonania tylko dwie kondygnacje schodów. A ponieważ trwały zajęcia w klasach, na korytarzach nie spotkały nikogo. Widziały wprawdzie jedną z Ciotek, ale była w drugim końcu korytarza i nie patrzyła w ich stronę. W tym momencie Ciotka Elizabeth mogła wprawdzie krzyknąć, ale wiedziała, że z Moirą nie ma żartów; Moira miała złą opinię.

– O, tak – zgodziła się Janina.

– Moira poprowadziła Ciotkę Elizabeth korytarzem, wzdłuż pustych szafek, koło drzwi do sali gimnastycznej, do kotłowni. Tam kazała jej się rozebrać...

– Och – powiedziała cicho Janina, jakby na znak protestu przeciwko takiemu świętokradztwu.

– ...i wtedy Moira rozebrała się sama i włożyła na siebie ubranie Ciotki Elizabeth, które wprawdzie nie pasowało na nią idealnie, ale wystarczająco dobrze. Moira nie była jakoś szczególnie okrutna w stosunku do Ciotki Elizabeth; pozwoliła jej włożyć swoją czerwoną sukienkę. Welon podarła na strzępy, którymi skrepowała Ciotkę i zostawiła ją za piecem. Zakneblowała jej jeszcze usta i przewięzała knebel kawałkiem materiału. Zrobioną ze szmaty

pętlę włożyła jej następnie na głowę i koniec przymocowała Ciotce Elizabeth z tyłu do stóp. Moira jest kobietą przebiegłą i niebezpieczną – powiedziała Ciotka Lidia.

Janina spytała:

– Czy mogę usiąść? – Jakby tego wszystkiego było dla niej za wiele. Wreszcie miała coś do sprzedania, choćby nawet za kupon.

– Tak, Janino, możesz – odparła Ciotka Lidia, zdziwiona, wiedziała jednak, że w tym momencie nie może jej odmówić. Ciotce zależało na uwadze Janiny, na jej współpracy. Wskazała krzesło w rogu. Janina przysunęła je bliżej.

– Wiesz, że mogłabym cię zabić – powiedziała Moira, kiedy Ciotka Elizabeth siedziała już bezpiecznie ukryta za piecem. – Mogłabym cię paskudnie okaleczyć, tak że już nigdy nie byłabyś w pełni zdrowa. Mogłabym cię tym dźgnąć albo ci to wsadzić w oko. Ale jak przyjdzie co do czego, to pamiętaj, że jednak tego nie zrobiłam.

Ciotka Lidia nic takiego nie mówiła Janinie, ale ja przypuszczam, że Moira musiała coś w tym rodzaju powiedzieć. W każdym razie nie zabiła Ciotki Elizabeth ani jej nie okaleczyła, bo w kilka dni później, kiedy już Ciotka Elizabeth pozbierała się po tych siedmiu godzinach spędzonych za piecem i prawdopodobnie po przesłuchaniu – jako że zmowa wcale nie była wykluczona, ani przez Ciotki, ani przez inne osoby – znów podjęła swoje obowiązki w Centrum.

Moira wyprostowała się, patrząc przed siebie pewnym wzrokiem. Ramiona do tyłu, kręgosłup jak struna, wargi zaciśnięte. Nie była to nasza zwykła postawa. Chodziłyśmy z głową pochyloną, ze wzrokiem wbitym w rękę albo w ziemię. Moira zupełnie nie przypominała Ciotki Elizabeth, nawet w brązowym kwefie, ale jej

sztynna postawa wystarczyła, by zmylić Aniołów, którzy nigdy nam się specjalnie nie przyglądali, podobnie jak i – a może w szczególności – Ciotkom. Moira wyszła więc frontowymi drzwiami zdecydowanym krokiem osoby, która wie, dokąd zmierza, została pozdrowiona, pokazała przepustkę Ciotki Elizabeth, której nikt nie kwapił się sprawdzić, bo i któż by w ten sposób obrażał Ciotki? Po czym zniknęła.

– Och – powiedziała Janina. Kto wie, co czuła? Może miała ochotę wyrazić radość. Jeśli tak, to starannie to ukryła.

– A więc, posłuchaj, Janino, czego po tobie oczekuję. – Janina szeroko otworzyła oczy, jak przystało na osobę niewinną i pilnie zasłuchaną. – Chcę, żebyś miała uszy otwarte. Może jeszcze któraś była w to zamieszana.

– Tak, Ciotko Lidio – odparła Janina.

– No i wtedy przyjdiesz i mi to wszystko powiesz, zgoda, kochanie? Naturalnie, gdybyś coś słyszała.

– Tak, Ciotko Lidio – powtórzyła Janina. Wiedziała, że od tej pory już nie będzie musiała klęczeć przed całą klasą i słuchać, jak my wszystkie wykrzykujemy, że to jej wina. Teraz przez jakiś czas będzie to udziałem którejś innej. Miała to chwilowo z głowy.

Fakt, że o tym spotkaniu w gabinecie Ciotki Lidii opowiedziała Dolores, nie miał żadnego znaczenia. Nie znaczył bynajmniej, że nie będzie na nas donosiła. Nie miałyśmy co do tego najmniejszych wątpliwości. Nauczyłyśmy się już traktować Janinę, jak się traktuje tych inwalidów bez nóg, którzy na rogach ulic handlują ołówkami. Kiedy to było możliwe, unikałyśmy jej, a kiedy się nie dało inaczej, okazywałyśmy jej litość. Stanowiła dla nas zagrożenie, o czym bardzo dobrze wiedziałyśmy.

Dolores prawdopodobnie poklepała ją po ramieniu i powiedziała,

że równa z niej dziewczyna, że nam to powiedziała. A kiedy doszło do tej rozmowy? W sali gimnastycznej, kiedy szykowałyśmy się do łóżek. Dolores spała obok Janiny.

Tej nocy historia ta obiegła całą sypialnię; podawałyśmy ją sobie z ust do ust, szeptem, w półmroku.

A więc Moira była gdzieś tam, na wolności, albo już nie żyła. Co zamierzała zrobić? Myśl o tym, co zrobi Moira, rozprzestrzeniała się wśród nas, aż wypełniła cały pokój. W każdej chwili mogła nastąpić straszliwa eksplozja – szkło z potłuczonych szyb wpadnie do środka, drzwi staną otworem... Moira miała teraz władzę, wypuścili ją na wolność, wypuściła się, puściła się.

Musiało nas to przerazić.

Moira była jak winda bez ścian. Przyprawiała nas o zawrót głowy. Bo nam już przestawało zależeć na wolności, te mury, w których nas trzymali, dawały nam poczucie bezpieczeństwa. W wyższych rejonach atmosfery człowiek się rozpada, wyparowuje, nie ma tam ciśnienia, które trzyma go do kupy.

Mimo to Moira zawładnęła naszą wyobraźnią. Przytulałyśmy ją do siebie po kryjomu, wespół z nią po kryjomu chichotałyśmy; była płynną lawą pod skorupą codzienności. Dzięki niej Ciotki wydawały się mniej przerażające, bardziej absurdalne. Oto ich władza jest jednak ułomna: można je było zniewolić i zamknąć w toalecie. Zuchwałość nam imponowała.

Spodziewałyśmy się, że lada chwila przywłoką ją z powrotem, tak jak już nieraz bywało. Zupełnie nie wyobrażałyśmy sobie, co z nią zrobią tym razem. Na pewno coś bardzo złego, obojętne, co to będzie.

Ale nic się nie działo. Moira się nie pojawiała. Jeszcze nie.

23

To jest rekonstrukcja. Całość stanowi rekonstrukcję. Rekonstrukcję, która powstaje teraz, w mojej głowie, kiedy tak leżę płasko na łóżku, układając sobie w myśli, co powinnam, a czego nie powinnam powiedzieć, co powinnam, a czego nie powinnam robić, jak powinnam to rozegrać. O ile w ogóle się stąd kiedykolwiek wydostanę...

Ale zatrzymajmy się na tym. Mam zamiar się stąd wydostać. To przecież nie może trwać wiecznie. Przedtem, w złych czasach, inni też myśleli takie rzeczy i zawsze mieli rację, zawsze w ten czy inny sposób się wydostawali i to nie trwało wiecznie. Chociaż dla nich mogło to trwać całe „wiecznie”, jakie mieli przed sobą.

Kiedy się stąd wydostanę, o ile zdołam ułożyć to w jakąś całość, choćby w formie ustnej relacji, to też będzie rekonstrukcja, kolejne przybliżenie. Opowiedzenie czegoś dokładnie, tak jak było, jest niemożliwe, ponieważ to, co mówimy, nie może być idealnie dokładne, zawsze coś trzeba opuścić, za dużo jest w tym części, stron, krzyżujących się prądów, niuansów; zbyt wiele gestów, które mogą znaczyć to czy tamto, zbyt wiele kształtów, których się nie da w pełni opisać, zbyt wiele aromatów w powietrzu czy smaków na języku, za dużo odcieni. Ale jeśli przypadkiem okażesz się mężczyzną, kiedyś, w przyszłości, i jeśli dojdiesz do tego miejsca, to proszę cię, pamiętaj o jednym: nigdy nie będziesz podlegał

pokusie, żeby przebaczyć mężczyźnie jako kobieta. A takiej pokusie trudno się oprzeć, możesz mi wierzyć. Pamiętaj również, że przebaczenie to zarazem władza. Żebrać o nie to władza, odmawiać go czy udzielać to też władza, może największa.

Być może to wszystko nie dotyczy władzy. Może w gruncie rzeczy nie chodzi o to, kto ma kogo na własność, kto może komu co bezkarnie zrobić, włącznie z odebraniem życia. Może nawet nie chodzi o to, kto może siedzieć, a kto musi klęczeć, stać czy leżeć z rozłożonymi nogami. Może chodzi o to, kto może komu co zrobić i uzyskać przebaczenie. Nie mówcie mi, że w gruncie rzeczy to się sprowadza do tego samego.

– Chcę, żebyś mnie pocałowała – powiedział Komendant.

Cóż, oczywiście coś musiało być przedtem. Takie propozycje nie biorą się z powietrza.

Mimo wszystko zasnęłam i śniło mi się, że mam w uszach kolczyki i że jeden z nich jest złamany; nic poza tym, po prostu jakby mózg przeglądał swoją kartotekę. Obudziła mnie Cora, która przyniosła tacę z kolacją; czas wrócił w swoją kolejną.

– Udane dziecko? – pyta Cora, stawiając tacę. Musi już wiedzieć, mają przecież swoją pantoflową pocztę, wieści rozchodzą się od domu do domu, ale ona chce to usłyszeć jeszcze raz, jakby moje słowa czyniły ten fakt bardziej realnym.

– Wspaniale. Królowa. Dziewczynka.

Cora uśmiecha się do mnie znacząco. W takich chwilach jak ta musi jej się wydawać, że to, co robi, jest tego warte.

– To dobrze – mówi. Wyczuwam w jej głosie niemal tęsknotę i myślę: oczywiście. Chciałaby tam być. To jest jak przyjęcie, na które nie mogła pójść.

– Może i nam się wkrótce urodzi – zaczyna nieśmiało. Mówiąc „nam”, ma na myśli mnie. Ode mnie samej zależy, czy odpłacę się zespołowi, czy zarobię na życie, jestem jak królowa w mrowisku, przeznaczona do składania jajeczek. Rita może być na mnie o to zła, ale nie Cora. Cora na mnie polega. Ma nadzieję, której spełnienie zależy ode mnie.

A jej nadzieja wiąże się z czymś najprostszym. Jej się marzy Dzień Urodzin, tu u nas, z gośćmi, dobrym jedzeniem i prezentami, jej się marzy małe dziecko, które mogłaby psuć, któremu mogłaby prasować ubranka i podtykać słodycze, kiedy nikt nie widzi. I ja jestem tą, która mogłaby jej tych radości dostarczyć. A ja czułabym się lepiej, gdyby okazała mi niechęć, bo na niechęć w moim pojęciu bardziej zasłużyłam.

Na kolację jest gulasz wołowy. Nie bardzo mogę go skończyć, ponieważ w trakcie jedzenia przypomina mi się to, co wypadki dnia zdążyły już zatrzeć w mojej świadomości. To prawda, co mówią – że rodzenie czy choćby uczestniczenie w rodzeniu jest niby trans; człowiek jak gdyby gubi wątek swego życia i skupia się na tej jednej chwili. Ale właśnie teraz to wszystko do mnie wraca, a ja jestem nieprzygotowana.

Zegar w korytarzu na dole wybija dziewiątą. Przyciskam ręce do ud, biorę głęboki oddech, wyruszam korytarzem i ostrożnie schodzę na dół. Serena Joy jest pewnie dalej w domu narodzin; całe szczęście, że on tego nie mógł przewidzieć. W tym okresie Żony znikają na wiele godzin – siedzą w tamtym domu, pomagając rozpakowywać prezenty, plotkując i upijając się. Trzeba coś robić, żeby złagodzić ich zazdrość. Wracam tym samym korytarzem, mijam kuchnię i podchodzę do następnych drzwi, jego. Stoję pod drzwiami jak dziecko w szkole, wezwane do gabinetu dyrektora.

Co ja takiego przeskrobałam?

Moja obecność tutaj jest nielegalna, przebywanie sam na sam z Komendantami zakazane. My służymy tylko do rozmnażania: nie jesteśmy konkubinami, gejszami, kurtyzanami. Przeciwnie – zrobiono wszystko, żeby nas z tej kategorii kobiet usunąć. Ma nie być w nas nic rozrywkowego, nie dopuszcza się, byśmy mogły stanowić obiekt potajemnych pragnień – ani oni od nas, ani my od nich nie mamy prawa doznawać żadnych szczególnych łask, ma nie być żadnego punktu zaczepienia dla miłości. Jesteśmy dwunogimi łonami, niczym więcej: świętymi naczyniami, próbkami laboratoryjnymi.

Dlaczego więc chce mnie tu widzieć, w nocy, samą?

Jeśli mnie na tym złapią, będę zdana na łaskę Sereny.

Dyscyplina domowa to nie jego sprawa, to domena kobiet. A potem reklasyfikacja. Mogę skończyć jako niekobieta.

Ale odmowa przyścia mogłaby być gorsza. Nie ma wątpliwości co do tego, kto tu naprawdę rządzi.

Musi czegoś ode mnie chcieć. A to oznacza słabość. I właśnie ta słabość, obojętne jaka ona jest, mnie intryguje. Przypomina nieznaczną szczelinę w murze, do tej pory nieprzeniknionym. Jeśli przyłożę do tej szczeliny, tej jego słabości, oko, to zobaczę przed sobą wyraźnie, dokąd powinnam pójść.

Jestem ciekawa, czego on może ode mnie chcieć.

Podnoszę rękę, stukam do drzwi tego zakazanego pokoju, w którym nigdy jeszcze nie byłam, do którego kobiety, łącznie z Sereną Joy, nie mają wstępu i nawet sprzątanie robią tu strażnicy. Jakie tajemnice, jakie męskie totemy kryje ten pokój?

Mówi mi, żebym weszła. Otwieram drzwi, wchodzę.

A za tymi drzwiami jest normalne życie. Czy raczej powinnam

powiedzieć: a za tymi drzwiami jest coś, co wygląda na normalne życie. Stoi tu oczywiście biurko, z komputerem, i czarny skórzany fotel. Na biurku – kwiat w doniczce, komplet do piór, papiery. Na podłodze orientalny dywan; jest też kominek, ale się w nim nie pali. Urządzenia dopełniają niewielka sofa, przykryta brązową, pluszową narzutą, telewizor, stolik i dwa krzesła.

A dokoła, pod ścianami, wszędzie półki. Pełne książek. Książki i książki, i jeszcze raz książki, dostępne dla wzroku, bez żadnego zamknięcia, bez szafek. Nic dziwnego, że nam tu nie wolno wchodzić, do tego zakazanego przybytku. Usiłuję się nie gapić.

Komendant stoi na tle kominka, tyłem do niego, jednym łokciem wsparty o drewniany, rzeźbiony gzyms, z ręką w kieszeni. Poza wystudiowana, jak lśniąca ilustracja z dawnego pisma, przedstawiająca obywatela ziemskiego. Prawdopodobnie zdecydował zawczasu, że kiedy wejdę, przyjmie taką pozę. Pewnie słysząc pukanie, rzucił się do kominka i tak się ustawił. Powinien mieć na jednym oku czarną klapkę i krawat w podkowsy.

Cieszę się z tych myśli, szybkich jak staccato – są jak drgawki mózgu, wewnętrzna drwina. Ale to przejaw paniki. W gruncie rzeczy jestem przerażona.

Nie odzywam się.

– Zamknij za sobą drzwi – mówi dość sympatycznie. Spełniam polecenie i odwracam się do niego.

– Jak się masz.

Jest to stara formuła powitalna. Nie słyszałam jej od bardzo dawna, od lat. W tych okolicznościach wydaje się niestosowna, nawet komiczna, jak cofnięcie w czasie, zatrzymany kadr. Nie przychodzi mi do głowy żadna sensowna odpowiedź.

Chce mi się płakać.

Musiał to zauważyć, bo patrzy na mnie zaskoczony, lekko marszcząc czoło. Tłumaczę to sobie jako przejaw troski, chociaż może oznaczać jedynie irytację.

– O tu – mówi – możesz sobie usiąść. – Wysuwa krzesło i stawia je dla mnie przed biurkiem. A potem okrąża biurko i sam siada powoli w sposób, który nazwałabym ceremonialnym. Chce mi dać do zrozumienia, że nie sprowadził mnie tutaj po to, żeby mnie w jakikolwiek sposób dotykać, wbrew mojej woli. Uśmiecha się. Ten uśmiech nie jest ani złowrogi, ani drapieżny. Po prostu uśmiech, dość formalny, przyjacielski, ale trochę z dystansem, jakbym była siedzącym w oknie kociakiem, na którego patrzy, ale nie zamierza kupić.

Siadam sztywno na krześle z rękami złożonymi na kolanach. Mam takie uczucie, jakby moje nogi w płaskich czerwonych pantoflach niezupełnie dotykały podłogi. Ale oczywiście dotykają.

– Musi ci się to wydawać dziwne – zagaduje.

A ja po prostu na niego patrzę. Eufemizm roku, jak mówi moja matka. Jak mówiła.

Czuję się jak cukrowa wata: cukier i powietrze. Wystarczyłoby mnie ścisnąć, żeby została ze mnie mała, lepka, różowoczerwona mdła kulka.

– Przyznaję, że to trochę dziwne – powtarza, jakbym mu odpowiedziała.

Powinnam chyba mieć na głowie kapelusz zawiązany pod brodą na kokardkę.

– Chciałbym... – zaczyna.

Usiłuję nie okazywać nadmiernego zainteresowania. Tak? No więc, o co chodzi? Chciałby czego? Ale nie zdradzę się z tą swoją ciekawością. Spotkanie ma na celu jakąś wymianę, będziemy

handlować. Ta, co się nie waha, jest zgubiona. Nie mam zamiaru nic dawać, w grę wchodzi tylko sprzedaż.

– Chciałbym... – mówi – ale to zabrzmiało głupio. – I rzeczywiście robi wrażenie zmieszanego, jest potulny, w każdym razie tak to się kiedyś nazywało. Jest wystarczająco stary na to, żeby pamiętać, jak się robi taką minę i jakie to wywiera wrażenie na kobietach. Młodzi nie znają tych sztuczek. Nigdy nie musieli się do nich uciekać.

– Chciałbym, żebyś zagrała ze mną w scrabble – kończy.

Siedzę zupełnie sztywno. Panuję nad twarzą, która jest całkowicie nieruchoma. A więc to jest w zakazanym pokoju! Scrabble! Chce mi się śmiać, wrzeszczeć ze śmiechu, spaść z krzesła. Kiedyś była to gra starych ludzi, kobiet i mężczyzn; grywali w to latem albo w domach starców, kiedy nie było nic ciekawego w telewizji. Albo młodzieży, dawno, dawno temu. Moja mama miała tę grę, trzymała ją głęboko w szafie, w przedpokoju, razem z zabawkami na choinkę, pochowanymi do tekturowych pudełek. Kiedyś chciała mnie tą grą zainteresować, gdy miałam trzynaście lat. Byłam bardzo nieszczęśliwa i nie wiedziałam, co ze sobą zrobić.

Teraz to zupełnie co innego. Teraz ta gra jest dla nas zakazana. Teraz jest niebezpieczna. Teraz jest nieprzyzwoita. Teraz jest czymś, czego nie może robić z własną żoną. Czymś pożądanym. Ta propozycja go kompromituje. Jakby mi podsuwał narkotyki.

– Dobrze – mówię, udając obojętność. A tak naprawdę ledwie mogę dobyć głos.

Nie wyjaśnia mi, dlaczego chce grać ze mną w scrabble. A ja go nie pytam. Po prostu z jednej z szuflad biurka wyjmuję pudełko i otwiera. Poznają drewniane powleczone plastikiem kostki,

planszę podzieloną na kwadraty, małe podpórki do ustawiania liter. Wysypuje żetony na biurko i zaczyna je odwracać. Po chwili przyłączam się do niego.

– Umiesz w to grać? – pyta.

Kiwam głową.

Gramy dwie partie. Krt ań – literuję. Wartościowość.

Pigwa. Zygot a. Trzymam błyszczące kostki, czując ich gładkie brzegi, wymacuję litery. Zmysłowe doznanie. To jest wolność. Na jedno mgnienie. Wiotki – literuję. – Wąwóz. – Co za rozkosz. Kostki są jak cukierki miętowe, w każdym razie tak samo chłodne. Nazywały się Blagiery. Mam ochotę wziąć je do ust. Miały też smak cytrynowy. Litera C. Cytryna, lekko kwaśny smak na języku, rozkoszny.

Wygrywam pierwszą partię, pozwalam mu wygrać drugą: w dalszym ciągu nie znam warunków, nie wiem, o co będę mogła poprosić w zamian.

Wreszcie mówi mi, że czas, żebym już szła do domu. Używa dokładnie tych słów: do domu. Ma na myśli mój pokój. Pyta mnie, czy dam sobie radę, jak gdyby schody były ciemnym zaułkiem. Mówię, że tak. Uchylamy drzwi jego gabinetu, ledwie ledwie, i nasłuchujemy odgłosów z zewnątrz.

Czuję się, jakbym była na randce. Jakbym wracała chyłkiem, spóźniona, do sypialni w Centrum.

Konspiracja.

– Dziękuję ci – mówi – za grę. – I dodaje: – Chciałbym, żebyś mnie pocałowała.

Myślę o tym, jak by tu rozmontować klozet w mojej łazience, w wieczór kąpieli, szybko i cicho, tak żeby mnie siedząca pod drzwiami Cora nie usłyszała. Mogłabym wyjąć tę ostrą dźwignię,

schować ją w rękawie i przemyścić do gabinetu Komendanta następnym razem, bo po tego typu żądaniu zawsze jest jakiś następny raz, obojętne, czy się powie tak, czy nie. Myślę o tym, jak podchodzę do Komendanta – żeby go pocałować, sam na sam, zdjęć mu marynarkę, w geście przyzwolenia czy zachęty do czegoś więcej, do prawdziwej miłości – objąć go i jednocześnie wbić mu szpikulec ostrym końcem między zębra. Myślę o krwi, jaka z niego pocieknie, gorącej jak zupa, zmysłowej, na moje ręce.

Tak naprawdę to o niczym takim nie myślę. Dopiero później układałam sobie tę całą historię. Być może powinnam była o tym pomyśleć, właśnie wtedy, ale nie myślałam. Jak już mówiłam, jest to rekonstrukcja.

– Dobrze. – Podchodzę do niego i przytykam usta, zamknięte, do jego warg. Czuję płyn po goleniu, zwykły, delikatny zapach naftaliny, tak dobrze mi znany. Ale on sam jest jak ktoś, kogo dopiero co poznałam.

Odsuwa się, spogląda na mnie. Znowu pojawia się ten sam potulny uśmiech. Co za bezpośredniość.

– Ale nie tak – mówi. – Tak jakbyś to robiła naprawdę. Jest bardzo smutny.

I to też jest rekonstrukcja.

IX

NOC

24

Mrocznym korytarzem i wyłożonymi chodnikiem schodami ukradkiem wracam do siebie. Potem siedzę na krześle, po ciemku, w mojej czerwonej sukience, całkowicie pozapinanej. Myśleć jasno może tylko człowiek ubrany.

Jest mi potrzebna perspektywa. Złudzenie głębi, jakie daje rama, układ kształtów na płaskiej powierzchni. Perspektywa jest niezbędna. W przeciwnym razie są tylko dwa wymiary.

W przeciwnym razie żyjesz z twarzą przylepioną do ściany i wszystko jest jednym wielkim pierwszym planem samych detali, zbliżeń: pojedyncze włosy, faktura prześcieradła, cząsteczki twarzy. A twoja własna skóra przypomina mapę, diagram powierzchni, poprzecinany mikroskopijnymi drogami, prowadzącymi donikąd. W przeciwnym razie żyjesz w obrębie chwili. A to nie jest miejsce, w którym chciałabym żyć.

Ale żyję, i nie ma od tego ucieczki. Czas to pułapka, w którą wpadłam. Muszę zapomnieć o moim tajnym imieniu i o tym wszystkim, co było. Mam na imię Freda i żyję tutaj.

Żyj chwilą obecną, wyciągnij z tego, ile się da, to jest wszystko, co masz.

Czas na podsumowanie.

Mam trzydzieści trzy lata. Jestem ciemną blondynką. Bez butów mam pięć stóp siedem cali wzrostu. Nie bardzo pamiętam, jak

wyglądałam. Mam czynne jajniki. A więc mam jeszcze jedną szansę.

Ale coś się zmieniło, teraz, dziś wieczór. Zmieniły się okoliczności.

Mogę o coś poprosić. Prawdopodobnie niewiele, ale to zawsze coś.

Mężczyźni to maszyny do uprawiania seksu, mawiała Ciotka Lidia, i niewiele poza tym. Chcą tylko jednego. Musicie się nauczyć manipulować nimi dla własnego dobra. Wodzić ich za nos, jak to się mówi. Taka już ich natura. Wola boża. Tak już w życiu jest.

Może Ciotka Lidia nie używała dokładnie tych słów, ale we wszystkim, co mówiła, krył się taki właśnie sens. To przesłanie unosiło się nad jej głową jak złociste aureole nad głowami świętych w mrocznych wiekach. I niczym owi święci Ciotka Lidia była sucha i pozbawiona ciała.

Ale jak w to wkomponować Komendanta, z tym jego gabinetem, grammi w słowa i pragnieniem – czego? Żeby z nim pograć i pocałować go delikatnie, jakbym to robiła naprawdę.

Wiem, że muszę brać poważnie tę jego potrzebę. To może być ważne, to może być dla mnie przepustka albo mój upadek. Muszę tę sprawę traktować serio, muszę ją sobie przemyśleć. Obojętne jednak, co zrobię, siedząc tutaj w ciemności, w prostokącie okna oświetlonym od zewnątrz reflektorami, których blask wpada przez zasłony, zwiewne jak suknia ślubna panny młodej, jak ektoplazma – a więc obojętne, co zrobię, siedząc tu z dłonią w dłoni i kiwając się nieznacznie w przód i w tył – jest w tym wszystkim coś zabawnego.

Chciał, żebym z nim grała w scrabble i żebym go pocałowała, jakby to było naprawdę.

Jest to jedna z najbardziej niezwykłych rzeczy, jakie mi się

w życiu przydarzyły, kiedykolwiek.

O wszystkim decyduje kontekst.

Pamiętam pewien program telewizyjny – powtórzenie filmu nakręconego wiele lat wcześniej. Musiałam mieć wtedy z siedem czy osiem lat, byłam za mała, żeby go zrozumieć. Był to jeden z ulubionych programów mojej matki: historyczny, wychowawczy. Usiłowała mi później wytłumaczyć, że to zdarzenia autentyczne, ale ja w tym widziałam tylko wymyśloną przez kogoś fabułę. Sądzę, że wszystkie dzieci podobnie traktują to, co się wydarzyło przed ich urodzeniem. Jak opowiastkę, a tym samym nic strasznego.

Był to program dokumentalny, o jednej z tych wojen. Wywiady z ludźmi, fragmenty czarno-białych filmów z tamtych czasów, zdjęcia. Niewiele mi z tego zostało, ale zapamiętałam jakoś zdjęć, jak gdyby mieszaninę światła słonecznego i kurzu, która spowijała obraz, i głębokie cienie na twarzach ludzi, pod brwiami i wzdłuż kości policzkowych.

Wywiady z żyjącymi bohaterami filmu były w kolorze. Najlepiej zapamiętałam wywiad z kochanką szefa jednego z tych obozów, w których umieszczali Żydów przed ich straceniem, w piecach, jak utrzymywała moja matka. Ale ponieważ zdjęć tych pieców nie było, nabrałam niejasnego przekonania, że chodziło o zwykłe kuchnie.

Taka wizja była dla dziecka szczególnie przerażająca. Piec a kuchnia to prawie to samo. Kuchnia to gotowanie, a więc czynność poprzedzająca jedzenie. Myślałam, że ich po prostu zjadano. I w pewnym sensie chyba tak było.

Z tego, co mówili, wynikało, że mężczyzna był okrutny i brutalny. Kochanka – matka wytłumaczyła mi to słowo, nie uznawała żadnych mistyfikacji, w wieku czterech lat miałam już

książeczkę, z której wyskakiwały wycięte z kartonu organy płciowe – no więc ta kochanka była kiedyś ponoć bardzo piękna. Pokazali jej czarno-białe zdjęcie; jej i jeszcze innej kobiety, w dwuczęściowych kostiumach kąpielowych, w butach na grubych podszwach i kapeluszach z tamtych czasów; na oczach miały „kocie” przeciwsłoneczne okulary i siedziały na leżakach, nad brzegiem basenu. Basen znajdował się obok ich domu położonego w pobliżu obozów, tych z piecami. Kobieta twierdziła, że nie zauważyła nic podejrzanego. Utrzymywała, że nie wiedziała o piecach.

W czasach kiedy robiono z nią ten wywiad, a więc czterdzieści czy pięćdziesiąt lat później, umierała na rozedmę płuc. Kasłała i była bardzo chuda, niemal wyniszczona, ale w dalszym ciągu dumna ze swojej urody. (Popatrz no – powiedziała matka trochę z zazdrością, a trochę z podziwem. – Ona w dalszym ciągu jest dumna ze swojej urody). Miała staranny makijaż, rzęsy grubo umalowane tuszem, róż na kościach policzkowych, na których skóra była napięta jak gumowa rękawiczka. A na szyi perły.

– Nie był potworem – oświadczyła. – Ludzie twierdzą, że był potworem, ale to nieprawda.

O czym ona mogła myśleć? Chyba w ogóle niewiele myślała, w każdym razie wtedy, w tamtych czasach. Myślała o tym, jak nie myśleć. Czasy były nienormalne. Była dumna ze swojej urody. Nie wierzyła, że on jest potworem. Nie był potworem, dla niej. Prawdopodobnie miał jakąś miłą cechę charakteru: gwizdał pod prysznicem fałszując, uwielbiał trufle, nazywał swoją suczkę Liebchen i kazał jej służyć, zanim dostała kawałek surowego mięsa. Jakie to proste wyposażyć kogoś w ludzkie cechy, obojętne kogo. Jaka łatwa pokusa. Duże dziecko – powiedziałyby

prawdopodobnie do siebie. Serce zmiękłoby jej jak wosk, odgarnęłaby mu włosy z czoła, pocałowała w ucho, i to nie żądając niczego w zamian. Po prostu odruch pocieszania, łagodzenia. No, no, no, cicho, cicho – mówiłaby, jakby się budził z koszmarnych snów. Wiem, że ci ciężko. I musiałyby w to wszystko wierzyć, bo jak by inaczej mogła żyć? Bo pod tą urodą była bardzo pospolita. Uważała, że należy być przyzwoitym, dobrze traktowała swoją służącą Żydówkę, nawet bardzo dobrze, w każdym razie lepiej, niż musiała.

W kilka dni po sfilmowaniu tego wywiadu popełniła samobójstwo. Tak powiedzieli, wprost, w telewizji.

Nikt jej nie spytał, czy go kochała, czy nie.

A najlepiej ze wszystkiego pamiętam teraz jej makijaż.

Wstaję w ciemności i zaczynam rozpinąć guziki. A potem coś słyszę, wewnątrz swego ciała. Coś sobie musiałam złamać, coś pękło, tak, to musi być to. Hałas narasta, wydostaje się na zewnątrz ze złamanego miejsca w mojej twarzy. Bez ostrzeżenia: nie myślałam o „tutaj”, o „tam”, czy o czymkolwiek. Jeśli pozwolę temu dźwiękowi wydrzeć się i ulecieć w powietrze, to będzie to śmiech, zbyt głośny, będzie go za dużo, ktoś go musi usłyszeć, a wtedy – spieszne kroki, rozkazy i – kto wie? Werdykt: emocje niestosowne do sytuacji. Histeria – jak na ogół uważają. A potem igła i pigułka. A to się może źle skończyć.

Zatykam usta rękami, jakbym miała zwymiotować, padam na kolana, w moim gardle wzbiera śmiech – niby lawa. Wczołguję się do szafy, podciągam kolana, mało się nie uduszę. Żebra bołą mnie od powstrzymywania śmiechu, trzęsę się, podskakuję, sejsmicznie, wulkanicznie, och, pęknę. Czerwono w całej szafie, „dogodzić” rymuje się z „rodzić”, och, umrzeć ze śmiechu.

Duszę ten śmiech w fałdach zwisającego płaszcza, zaciskam powieki i z oczu płyną mi łzy. Usiłuję się opanować.

Po chwili wszystko przechodzi, jak atak epilepsji. I oto jestem w szafie. *Nolite te bastardes carborundorum*. Nie widzę tego napisu w ciemności, ale czubkami palców wyczuwam cieniutkie, wyskrobane literki, jakby były napisane alfabetem Braille'a. Te słowa brzmią teraz w mojej głowie nie tyle jak modlitwa, ile jak komenda – ale co zrobić? Tak czy siak, ten starożytny hieroglif, do którego kod został zgubiony, jest dla mnie całkowicie bezużyteczny. Dlaczego ona to napisała, po co zadała sobie tyle trudu. Przecież stąd nie ma wyjścia.

Leżę na podłodze, oddycham zbyt szybko, więc zwalniam, wyrównuję oddech jak w ćwiczeniach przedporodowych. Jedyne, co teraz słyszę, to odgłos mego serca, które otwiera się i zamyka, otwiera i zamyka, otwiera...

X

„ZWOJE DUCHOWE”

25

Nazajutrz rano obudziły mnie krzyk i trzask. To Cora upuściła tacę ze śniadaniem. W dalszym ciągu połową ciała tkwiłam w szafie, z głową na zwiniętym płaszczu. Musiałam ściągnąć płaszcz z wieszaka i ułożyć się tu do snu; przez chwilę nie wiedziałam, gdzie jestem. Zobaczyłam klęczącą przy mnie Corę, poczułam jej rękę na swoich plecach. Znow krzyknęła, kiedy się poruszyłam.

– Co się stało? – spytałam. Przewróciłam się na bok, podparłam ręką i usiadłam.

– Och – powiedziała – myślałam...

Ale co myślała?

– Jakby...

Jajka potłukły się, dokoła pełno było rozlanego soku pomarańczowego i potłuczonego szkła.

– Muszę przynieść drugą porcję – oświadczyła Cora. – Co za strata. Co robiłaś taka skulona na podłodze? – Ciągnęła mnie do góry, usiłując ustawić w przyzwoitej, pionowej pozycji.

Nie chciałam jej mówić, że się w ogóle nie kładłam. Nie miałabym jej tego jak wytłumaczyć. Powiedziałam, że musiałam zemdleć. Też źle, bo się tego uczepliła.

– To jeden z pierwszych objawów – ucieszyła się. – Omdlenia i wymioty. – Powinna wiedzieć, że jeszcze za wcześnie, ale ona tego tak bardzo pragnęła.

– Nie, to nie to – odparłam. – Jestem pewna, że nie to. Po prostu zakręciło mi się w głowie. Stałam tutaj i nagle zrobiło mi się ciemno przed oczami.

– To napięcie – powiedziała – dnia wczorajszego, i w ogóle. Wyczerpujące przeżycie.

Miała na myśli Narodziny i przyznałam jej, że istotnie. W tym momencie siedziałam już na krześle; a ona klęczała, zbierając z podłogi kawałki potłuczonego szkła i zgarniając je na tacę. Sok pomarańczowy częściowo wytarła bibułkową serwetką.

– Muszę przynieść ścierkę. Będą ciekawe, dlaczego biorę tyle jajek. Chyba że się obejdziesz. – Patrzyła na mnie chytrze, z ukosa i zorientowałam się, że dla nas obu będzie lepiej, jeśli udamy, że mimo wszystko zjadłam śniadanie. Gdyby powiedziała, że mnie znalazła leżącą na podłodze, byłoby za dużo pytań. W każdym razie musiałaby się tłumaczyć z potłuczonego szkła, a Rita i tak byłaby wściekła, że musi przygotowywać kolejną porcję.

– Obejdę się bez śniadania – powiedziałam – nie jestem taka głodna. – To było zręczne posunięcie – logiczny skutek zawrotu głowy. – Mogę zjeść grzanekę – dodałam. Nie chciałam zostać tak zupełnie bez żadnego posiłku.

– Upadła na ziemię – przypomniała mi Cora.

– To nie szkodzi. – Jadłam ciemnego tosta, podczas gdy Cora poszła do łazienki spuścić w klozecie jajko, którego już się nie dało uratować. Po chwili wróciła.

– Powiem, że upuściłam tacę na schodach, po wyjściu od ciebie.

Zrobiło mi się miło, że chce skłamać ze względu na mnie, nawet w tak błahej sprawie, nawet dla własnego dobra. Bo to już ustanawiało między nami jakąś więź.

Uśmiechnęłam się do niej.

– Mam nadzieję, że nikt tego nie słyszał.

– Muszę przyznać, że się zdenerwowałam – powiedziała, stojąc w drzwiach z tacą. – W pierwszej chwili myślałam, że to tylko twoje ubranie leży rzucone, tak to wyglądało. A potem zapytałam sama siebie: a co by to ubranie robiło tu na podłodze? Pomyślałam, że tyś może...

– Uciekła? – dopowiedziałam.

– Ale... ale to byłaś ty.

– Tak – odparłam.

No więc rzeczywiście, byłam to ja, i Cora wyszła z tacą i wróciła ze ścierką, żeby wytrzeć rozlany sok pomarańczowy, a Rita po południu zrobiła uszczypliwą uwagę na temat tych, co to mają dwie lewe ręce. Głowy zaprzątnięte nie wiadomo czym, nie patrzą pod nogi, powiedziała, a myśmy się dalej zachowywały jakby nigdy nic.

To było w maju. Tymczasem wiosna minęła. Tulipany przeżyły już swoje wielkie chwile i zaczęły właśnie tracić płatki jeden po drugim, jak zęby. Pewnego dnia natknęłam się w ogrodzie na Serenę Joy; klęczała na poduszce, a obok niej na trawie leżała jej laska. Serena obcinała sekatorem torebki nasienne tulipanów. Przechodząc z koszykiem pomarańczy i kotletów jagnięcych, obserwowałam ją kątem oka. Najpierw starannie nastawiała ostrza sekatora, a następnie gwałtownym, konwulsyjnym ruchem cięła. Czyżby powoli ogarniał ją artretyzm? Czy może to blitzkrieg, rodzaj samobójstwa, którego dopuszczała się na pęczniejących genitaliach kwiatów? Na owocującym ciele. Obcinanie torebek nasiennych ma służyć składowaniu energii w cebulkach.

Święta Serena dokonująca na kolanach aktu pokuty.

Często zabawiałam się w ten sposób – pełnymi goryczy złośliwymi żarcikami na jej temat, ale nie starczało mi to na długo.

Takie obserwowanie Sereny Joy z tyłu to mało.

Mnie był potrzebny sekator.

Cóż. A potem rozkwitły irysy – wznosiły się piękne i chłodne na swoich wysokich łądygach, jak dmuchane szkło, jak woda w pastelowych kolorach, zastygła nagle w rozprysku, jasnobłękitnym, bladofiołkowym; albo te ciemniejsze, aksamitne i fioletowe, kocie uszy czarne w słońcu, indygo w cieniu, i krwawiące serca, tak kobiece w kształcie; aż dziw, że już dawno nie zostały wyrwane z korzeniami. Jest coś przewrotnego w tym ogrodzie Sereny – w jego symbolice: coś, co zostało głęboko pogrzebane, strzela w górę, bez słów, ku światłu, jakby po to, żeby pokazać, żeby powiedzieć: to, co zostało zagłuszone, upomni się kiedyś o posłuchanie, choćby i bezgłośnie. Ogród Tennysonowski, ciężki od zapachów, senny; powrót słowa omdlewać. Z nieba leje się na niego światło słoneczne, to prawda, ale jednocześnie z dołu, od samych kwiatów, bije w górę ciepło, czuje się je – jakby się trzymało dłoń w odległości cała od ramienia: ogród oddycha w upale, wdychając siebie. Dziś, idąc przez ogród w porze kwitnienia peonii i goździków, dostaję zawrotu głowy.

Wierzby płaczące, w pełnym listowiu, też mi nie pomagają swymi aluzyjnymi szeptami. Rendez-vous, mówią, tarasy; syczące spółgłoski uderzają mi do głowy, drzę jak w gorączce. Letnia sukienka szeleści na moich udach, pod nogami mam trawę, kątem oka widzę ruch wśród gałęzi; pióra, krzątania, trele, drzewo zamienia się w ptaka, szalejąca metamorfoza. Możliwe są teraz nawet boginie, powietrze przesycone jest żądzą. Nawet cegły, z których wybudowano dom, miękną, robią się niemal plastyczne – gdybym się o nie oparła, poddałyby się, byłyby ciepłe. To zdumiewające, co może zdziałać niedostatek. Czyżby widok mojej

kostki wczoraj na punkcie kontrolnym, kiedy upuściłam przepustkę i pozwoliłam mu ją podnieść, przyprawił go o zawrót głowy, omdlenie? W braku chusteczki do nosa czy wachlarza posługuję się tym, co mam pod ręką.

Zima nie jest taka niebezpieczna. Potrzebna mi jest twardość, chłód, sztywność; nie ta ociężałość, jakbym była melonem na lodydze, ta soczysta dojrzałość.

Mam z Komendantem pewien układ. Nie jest to pierwszy tego typu układ w historii, aczkolwiek ten ma dość niecodzienny charakter.

Odwiedzam go dwa albo trzy razy w tygodniu, zawsze po kolacji, ale tylko wtedy, gdy da mi sygnał. A ten sygnał to Nick. Jeśli pucuje samochód, kiedy wychodzę po zakupy albo kiedy wracam, i ma czapkę na bakier lub jest z gołą głową, to znaczy, że mam iść. Jeśli zaś nie ma Nicka albo jeśli ma czapkę założoną prosto, siedzę u siebie jak zwykle. Oczywiście z wyjątkiem nocy Ceremonii.

Trudność, jak zwykle, stanowi Żona. Po kolacji idzie do ich sypialni, skąd oczywiście mogłaby usłyszeć, jak się skradam korytarzem, chociaż staram się zachowywać jak najciszej. Albo siedzi w salonie, produkując na użytek Aniołów kilometry szali, które pokrywa pracowicie tłumami bezużytecznych, wełnianych ludzików – co prawdopodobnie stanowi jedyny dostępny jej rodzaj prokreacji. Drzwi do salonu są zwykle wtedy uchylone i oczywiście nie mam odwagi się koło nich przemknąć. Kiedy dostanę sygnał, a nie mogę przejść schodami czy korytarzem koło drzwi salonu, Komendant to rozumie. Rozumie moją sytuację bardzo dobrze. Zna reguły.

Czasem jednak Sereny Joy nie ma, jest na przykład w odwiedzinach u którejś z Żon, chorej, bo to praktycznie jedyne

miejsce, dokąd mogłaby, nie budząc podejrzeń, iść sama wieczorem. Bierze wtedy ze sobą coś do jedzenia: jakieś ciasto, pieróg, bochenek upieczonego przez Ritę chleba albo słoik galaretki z liści mięty, która rośnie u niej w ogrodzie. One często chorują, te Żony Komendantów – stanowi to jakieś urozmaicenie ich życia. Co do nas, Podręcznych, czy nawet Mart, to raczej unikamy chorób. Marty boją się, że zostaną wypchnięte na emeryturę, a wtedy – kto wie, gdzie wylądują? Niewiele widzi się starych kobiet. Dla nas każda poważniejsza choroba – dłuższa dolegliwość, osłabienie, utrata wagi czy apetytu, wypadanie włosów czy zaburzenia w funkcjonowaniu gruczołów – to śmierć. Pamiętam, jak wczesną wiosną Cora chodziła z grypą, dosłownie trzymając się drzwi, kiedy jej się wydawało, że nikt nie widzi, i uważając, żeby broń Boże nie zakasłać. Lekkie przeziębienie – zapewniała Serenę.

Sama Serena też czasem bierze kilka dni wolnego i kładzie się do łóżka. To ona wtedy przyjmuje wizyty, to do niej ochoczo walą inne Żony, rozbawione i rozgadane, to ona dostaje ciasta i pierogi, galaretki i bukiety kwiatów z ich ogrodów.

Zmieniają się. Istnieje coś w rodzaju listy, niepisanej, niewypowiedzianej. Każda uważa, żeby nie ściągać na siebie większej uwagi, niż wypada.

W te wieczory, kiedy Serena ma wyjść, mogę być pewna, że Komendant mnie wezwie.

Za pierwszym razem nie wiedziałam, co o tym sądzić. Jego potrzeby były dla mnie niejasne, a to, co zdołałam z nich zrozumieć, wydawało mi się śmieszne, niepoważne, jak fetyszyzacja sznurowanych bucików.

Poza tym odczuwałam coś w rodzaju rozczarowania. Czego bowiem oczekiwałam, wtedy, za pierwszym razem, za tymi

zamkniętymi drzwiami? Czegoś niezwykłego – chodzenia na czworakach, perwersji, pejczów, okaleczeń? A już co najmniej jakichś sztuczek seksualnych, jakichś niedostępnych mu teraz dawnych igraszek, zakazanych przez prawo i karanych amputacją? Ale żeby poprosić o grę w scrabble, jakbyśmy byli starym małżeństwem czy dwójką dzieci – wydało mi się to czymś w najwyższym stopniu nienormalnym, swego rodzaju pogwałceniem reguł gry. Życzeniem bardzo mętnym.

Kiedy więc opuszczałam jego pokój, w dalszym ciągu nie było dla mnie jasne, czego chciał, i dlaczego, albo czy mogłam to spełnić. W każdej transakcji należy z góry ustalić warunki. A tego on z pewnością nie zrobił. Pomyślałam więc, że może to rodzaj gry, że bawi się ze mną w kotka i myszkę, teraz jednak wydaje mi się, że jego motywy i pragnienia nie były jasne nawet dla niego samego. Nie sięgnęły jeszcze poziomu słów.

Drugi wieczór rozpoczął się tak samo jak pierwszy. Podeszłam do zamkniętych drzwi, zapukałam i zostałam zaproszona do wejścia. Po czym rozegraliśmy te same dwie partie gry z gładkimi beżowymi kostkami. Pumeks, kwarc, kwant, sylfida, rytm – wszystkie te stare numery ze spółgłoskami, jakie tylko mogłam wymyślić czy spamiętać. Język mi się plątał od literowania. Jakbym usiłowała mówić w języku, który kiedyś znałam, ale prawie całkowicie zapomniałam, w języku, który miał coś wspólnego z dawno minionymi obyczajami: *café au lait* przy stoliku na świeżym powietrzu i do tego *brioche* i absynt w wysokiej szklance albo krewetki w rożku z gazety – jakby to było coś, o czym się kiedyś czytało, ale czego się nigdy nie widziało na własne oczy. Jak próba chodzenia bez kul, jak te zmyślane sceny w starych filmach telewizyjnych. Poradzisz sobie. Wiem, że

poradzisz. Tak więc mój umysł brnął i potykał się o sterczące „r” i „t”, ślizgając się na jajowatych samogłoskach jak na kamykach.

Komendant okazywał cierpliwość, kiedy się wahałam albo go pytałam o właściwą pisownię. Zawsze możemy sprawdzić w słowniku – mówił. Mówił: możemy. Za pierwszym razem, jak się zorientowałam, pozwolił mi wygrać.

Tego wieczora spodziewałam się, że wszystko przebiegnie tak samo, łącznie z pocałunkiem na dobranoc. Ale kiedy skończyliśmy drugą partię, Komendant odchylił się w fotelu. Oparłszy łokcie na poręczach, zetknął czubki palców i patrzył na mnie.

– Mam dla ciebie mały prezencik – powiedział.

Uśmiechnął się nieznacznie, otworzył górną szufladę biurka i coś stamtąd wyjął. Przez chwilę trzymał to od niechcienia w dwóch palcach, jakby się zastanawiał, czy mi dać. Ale mimo że widziałam ten przedmiot do góry nogami, poznałam go od razu jako rzecz kiedyś powszednią. Było to pismo, magazyn kobiecy, jak wynikało ze zdjęcia modelki na błyszczącym papierze – rozwiane włosy, na szyi chustka, umalowane usta: moda jesienna. Myślałam, że wszystkie te pisma zostały zniszczone, ale oto jedno przetrwało, w prywatnym gabinecie Komendanta, tam gdzie najmniej można by się go spodziewać. Spojrzał na modelkę, odwróconą do niego właściwą stroną; uśmiechał się w dalszym ciągu tym swoim rozmarzonym uśmiechem. Tak się patrzy w zoo na zwierzęta z niemal wymarłego gatunku.

Ogromnie pragnęłam tego pisma, kiedy tak machał mi nim przed nosem jak przynętą. Pragnęłam go aż do bólu w czubkach palców. Ale jednocześnie uznawałam to pragnienie za śmieszne i wręcz absurdalne, ponieważ nigdy nie traktowałam takich pism poważnie. Czytywałam je w poczekalni u dentysty czy w samolocie;

kupowałam, idąc do hotelu, żeby wypełnić czas do przyjścia Łukasza. Po przekartkowaniu wyrzucałam je do śmieci, ponieważ jak nic innego nadawały się, by je natychmiast wyrzucić. W dzień czy dwa później i tak już nie pamiętałam, co w nich było.

Ale pamiętam teraz. Zawierały w sobie obietnicę. Oferowały przeobrażenia; sugerowały nieskończoną liczbę możliwości, ciągnących się jak odbicia w dwóch lustrach, ustawionych naprzeciwko siebie – replika za repliką, aż do zaniku. Obiecywały przygodę za przygodą, kolejne stroje, coraz doskonalsze wersje, męczyznę za męczyzną. Obiecywały odmłodzenie, przewyciężenie bólu, wieczną młodość. A ta prawdziwa obietnica to była nieśmiertelność.

I właśnie coś takiego trzymał Komendant, sam o tym nie wiedząc. Kiedy poruszał kartkami pisma, czułam, jak się do niego nachyłam.

– To stary numer. Swego rodzaju unikat. Chyba z lat siedemdziesiątych. „Vogue”. – Powiedział to tak, jak koneser podający nazwę wina. – Pomyślałem, że może chciałabyś sobie przejrzeć.

Odchyliłam się. To mogła być próba, może sprawdza, jak głęboko uległam indoktrynacji.

– To jest zabronione.

– Tutaj nie – odparł cicho. Zrozumiałam, o co chodzi. Skoro złamałam główny zakaz, dlaczego miałabym nie złamać pomniejszego? Czy jeszcze jednego i jeszcze? Kto wie, gdzie koniec? Za tymi jedynymi drzwiami pojęcie zakazu zanika.

Wzięłam od niego pismo i odwróciłam we właściwą stronę. Oto miałam znów przed oczami postacie z dzieciństwa: śmiałe, odważnie kroczące przed siebie, ufne, z ramionami wyciągniętymi,

jakby chciały zagarnąć wszechświat, z rozstawionymi nogami, mocno wparte stopami w ziemię. Było w ich pozach coś renesansowego, ale wówczas pomyślałam o księżętach, a nie o ufryzowanych i upierścienionych dziewicach. Te szczerze oczy, ocienione makijażem, owszem, ale to oczy kota gotowego do skoku. Żadnego w nich lęku, żadnej miękkości, w każdym razie nie w tych pelerynach, w szorstkich tweedach i w butach do kolan. Te kobiety to piratki; ze swoimi damskimi torbami na łup, ze swoimi końskimi, potwornymi zębami.

Przewracając kartki pisma czułam, że Komendant mi się przygląda. Wiedziałam, że robię coś, czego nie należy robić, i że patrzeć na to sprawia mu przyjemność. Powinnam mieć poczucie winy; według standardów Ciotki Lidii byłam zła. Ale nie czułam się zła. Czułam się jak stara edwardiańska karta pocztowa znad morza: frywolna. Ciekawe, co mi da następnym razem. Pas do pończoch?

– Skąd się to u pana wzięło? – spytałam.

– Niektórzy z nas – odparł – wciąż cenią sobie takie stare rzeczy.

– Ale przecież to wszystko miało zostać spalone. Były przeszukania w domach, palenie...

– To, co jest niebezpieczne w rękach tłumu – odparł z czymś, co mogło być ironią – jest zupełnie bezpieczne w rękach tych, którzy są...

– ...poza wszelkim podejrzeniem – dopowiedziałam.

Skinął głową. Trudno powiedzieć, czy na znak potwierdzenia.

– Ale dlaczego pan mi to pokazuje? – spytałam i zaraz poczułam się głupio. Cóż mógł mi odpowiedzieć? Że się zabawia moim kosztem? Bo przecież musiał zdawać sobie sprawę, jak bolesne jest dla mnie wspomnienie dawnych czasów.

Ale na to, co powiedział, nie byłam przygotowana.

– A komu miałbym pokazać? – rzekł. I znów ten dziwny smutek.

Zastanawiałam się, czy mogę się posunąć dalej. Nie chciałam naciskać go za mocno, zbyt szybko. Wiedziałam, że jestem przedmiotem jednorazowego użytku. Mimo to powiedziałam, zbyt cicho:

– A pańska Żona?

Wyglądało na to, że się zastanawia.

– Nie – odparł. – Ona by tego nie zrozumiała. Zresztą i tak niewiele ze mną rozmawia. Ostatnio stosunki między nami nie są najlepsze.

A więc wszystko jest jasne: Żona go nie rozumie.

Dlatego tu jestem. Ta sama stara historia. To zbyt banalne, żeby mogło być prawdziwe.

Trzeciego wieczora poprosiłam go o jakąś emulsję do rąk. Nie chciałam, żeby to wyglądało na zebranie, chciałam wyciągnąć, co się da.

– O co ci chodzi? – zapytał, szarmancki jak zawsze. Siedział naprzeciwko mnie za biurkiem. Prawie mnie nie dotykał, poza tym jedynym obowiązkowym pocałunkiem. Żadnego macania, dyszenia, niczego z tych rzeczy; byłoby to nie na miejscu, zarówno z jego, jak i z mojego punktu widzenia.

– O emulsję do rąk – powtórzyłam. – Albo do twarzy. Mamy bardzo przesuszoną skórę. – Z jakichś względów zamiast „mam”, powiedziałam „mamy”. Chciałam go jeszcze poprosić o olejek kąpielowy, w małych kolorowych kulkach, które kiedyś były w sklepach i zawsze wydawały mi się zaczarowane, kiedy stały w szklanej kuli w łazience u mojej matki. Ale bałam się, że nie będzie wiedział, o co chodzi. Poza tym mogli ich już nie

produkować.

– Przesuszoną? – zdziwił się Komendant, jakby się nigdy do tej pory nie spotkał z takim problemem. – A jak sobie radzicie?

– Używamy masła – odparłam – jak mamy. Albo margaryny. Przeważnie jest to margaryna.

– Masła... – powtórzył w zadumie. – Bardzo sprytnie. Masło. – Roześmiał się.

Miałam ochotę wymierzyć mu policzek.

– Spróbuję się o coś takiego postarać – powiedział, jakby spełniał kaprys dziecka, które nagle zapragnęło gumy do żucia. – Ale ona może poczuć od ciebie zapach.

Zastanawiałam się, czy te obawy to pozostałość z dawnych czasów. Odległa przeszłość: szminka na kołnierzyku koszuli, perfumy na mankietach, jakaś scena, późno w nocy, w kuchni czy w sypialni. Mężczyźnie, który czegoś takiego nie przeżył, nie przyszłoby to do głowy. Chyba że jest sprytniejszy, niż na to wygląda.

– Będę ostrożna – zapewniłam go. – A poza tym ona się nigdy do mnie aż tak nie zbliża.

– Czasem się zbliża – odrzekł.

Spuściłam oczy. Zapomniałam. Czułam, jak się rumienię.

– W te dni nie będę używała kremu.

Czwartego wieczoru wręczył mi emulsję do rąk w plastikowej buteleczce bez etykiety. Jakość była nie najlepsza, emulsja lekko pachniała olejem roślinnym. Według mnie żadna tam „Konwalia”. Mogło to być coś, czego używają w szpitalach na odleżyny.

Wszystko jedno, i tak mu podziękowałam.

– Problem polega na tym – powiedziałam – że ja nie mam gdzie tego trzymać.

– W swoim pokoju – odparł, jakby to było coś oczywistego.

– Znajdą. Ktoś to na pewno znajdzie.

– Znajdzie? – spytał, jakby rzeczywiście nie wiedział. A zresztą mógł nie wiedzieć. Nie po raz pierwszy dawał dowód na to, że istotnie nie ma pojęcia, w jakich żyjemy warunkach.

– Bo szukają – wyjaśniłam. – Regularnie przeszukują nasze pokoje.

– W jakim celu? – zapytał.

Wydaje mi się, że musiałam w tym momencie z lekka stracić panowanie nad sobą.

– Brzytwy. Książki, słowo pisane, przedmioty czarnorynkowe. Szukają wszystkiego, czego nam nie wolno mieć. O Chryste, pan chyba powinien wiedzieć. – W moim głosie było więcej złości, niżbym chciała, ale Komendant nawet nie mrugnął.

– Wobec tego musisz to trzymać tutaj.

I tak też zrobiłam.

Przypatrywał mi się, jak wcierałam emulsję w rękę, a potem w twarz, z tym samym wyrazem, jakby mnie podglądał. Miałam ochotę odwrócić się do niego tyłem – czułam się tak, jakby wszedł ze mną do łazienki – ale nie śmiałam.

Dla niego – powinnam o tym pamiętać – byłam tylko kaprysem.

26

Kiedy znów nastąpiła noc Ceremonii, w dwa czy trzy tygodnie później, stwierdziłam, że wiele się zmieniło. Pojawiło się między nami pewne skrępowanie, którego nie było poprzednio. Poprzednio traktowałam to jako obowiązek, przykry obowiązek, który należało jak najprędzej odwalić i mieć go z głowy. Uzbrój się – mawiała moja matka przed egzaminami, których się bałam, czy przed skokiem do zimnej wody. Nie zastanawiałam się wtedy nad znaczeniem tego słowa, ale wiedziałam, że ma coś wspólnego z metalem, ze zbroją, i właśnie to robiłam: uzbrajałam się. Udawałam, że mnie nie ma, przynajmniej ciałem.

Ten stan nieobecności, istnienia w oderwaniu od ciała, dał się też zauważyć u Komendanta, teraz to sobie uświadomiłam. Prawdopodobnie przez cały czas, kiedy był ze mną – z nami, bo przecież w te wieczory towarzyszyła nam zawsze Serena Joy – myślał o czym innym. Na przykład o tym, co robił w ciągu dnia, o golfie, albo co jadł na kolację. Sam akt seksualny, który wypełniał od niechcienia, musiał być z jego strony w znacznej mierze nieświadomy, jak drapanie się.

Ale tej nocy, pierwszej od zawiązania się między nami tego nowego układu – nie wiem zresztą, jak to nazwać – byłam skrępowana. Przede wszystkim czułam na sobie jego wzrok i bardzo mi to nie odpowiadało. Światła były jak zwykle zapalone,

ponieważ Serena Joy unikała wszystkiego, co mogłoby wytworzyć atmosferę romantyzmu czy erotyzmu, choćby w najmniejszym stopniu. Paliły się więc światła górne, ostre pomimo baldachimu, a mnie w ich pełnym blasku wydawało się, jakbym znalazła się na stole operacyjnym albo na scenie. Myślałam o moich nogach, o tym, że są owłosione, obrośnięte w nieładny sposób jak nogi kiedyś golone; myślałam o swoich pachach, chociaż oczywiście nie mógł ich widzieć. Było mi głupio. Ten akt kopulacji czy może zapłodnienia, który nie powinien stanowić dla mnie nic więcej niż to, czym jest dla kwiatu muśnięcie pszczoły, stał się niesmaczny, krępujący i nieprzyzwoity jak nigdy do tej pory.

Komendant przestał być dla mnie przedmiotem. I na tym polegał problem. Tamtej nocy zdałam sobie z tego sprawę i ta świadomość we mnie pozostała. A to przeszkadza.

Mój stosunek do Sereny Joy też się zmienił. Kiedyś jej po prostu nienawidziłam – za rolę, jaką odgrywa w tym, co ze mną robią, za to, że i ona mnie nienawidzi, za to, że ją złości moja obecność, że gdyby mimo wszystko udało mi się urodzić dziecko, ona by je wychowywała. Ale teraz, chociaż jej w dalszym ciągu nienawidziłam – nie mniej niż wtedy, kiedy łapała mnie za ręce tak mocno, że jej pierścionki wrzynały mi się w ciało, ciągnąc te ręce jednocześnie do tyłu, tak żeby mi było maksymalnie niewygodnie – to jednak ta nienawiść zdawała się już nie tak czysta i prosta. W pewnej mierze byłam o Serenę zazdrosna – tylko że jak ja mogłam być zazdrosna o tę zasuszoną i najwyraźniej nieszczęśliwą kobietę? Przecież można być zazdrosnym tylko o kogoś, kto ma to, co uważasz, że należy się tobie. A jednak byłam.

No i poza tym miałam w stosunku do niej poczucie winy. Czułam się jak intruz na cudzym terytorium. Teraz, kiedy widywałam

Komendanta po kryjomu – nawet jeśli tylko po to, by grać w te jego gry czy słuchać, jak mówi – nasze funkcje nie były już tak rozdzielone, jak teoretycznie powinny. Coś jej odbierałam, mimo że ona o tym nie wiedziała. Z czegoś ją okradałam. Nieważne, że to było coś, czego ona, przynajmniej pozornie, nie chciała, do czego nie miała zastosowania czy nawet coś, co odrzucała – bo przecież to coś należało do niej i jeśli jej zabiorę to tajemnicze coś, czego nie potrafiłam nazwać – bo przecież Komendant nie był we mnie zakochany, nie wyobrażałam sobie, żeby mógł żywić dla mnie aż tak silne uczucie – to co zostanie dla niej?

Ale co mnie to właściwie obchodzi? – zadawałam sobie pytanie. Nic nas nie łączy, nie cierpi mnie, pozbyłaby się mnie z domu w jednej chwili, gdyby tylko znalazła jakiś pretekst. Gdyby nas na przykład nakryła, Komendant nawet nie mógłby interweniować, ratować mnie w jakikolwiek sposób; wykroczenia kobiet na terenie domu – czy to Mart, czy Podręcznych – podlegały wyłącznej jurysdykcji Żon. A ona była złośliwa i mściwa. Mimo to jednak nie mogłam się pozbyć tych niewielkich wyrzutów sumienia.

Poza tym: miałam teraz nad nią pewną władzę, chociaż ona o tym nie wiedziała. I sprawiało mi to przyjemność. Nie bójmy się słów: sprawiało mi to wielką przyjemność.

A przecież Komendant tak łatwo mógł się zdradzić – spojrzeniem, gestem czy jakimś nieopatrzonym słowem, czytelnym dla kogoś, kto by nas obserwował. O mało czegoś takiego nie zrobił właśnie w noc Ceremonii: uniósł rękę, jakby chciał dotknąć mojej twarzy; umknęłam głową w bok, żeby go ostrzec, w nadziei, że Serena Joy tego nie zauważyła, i wtedy cofnął rękę, cofnął się w siebie, kontynuując tę swoją obsesyjną podróż.

– Niech pan tego więcej nie robi – powiedziałam mu przy

najbliższej okazji, kiedy byliśmy sami.

– Czego mam nie robić? – zapytał.

– Nie próbować mnie w ten sposób dotykać, kiedy jesteśmy...
kiedy ona jest z nami.

– A ja próbowałem? – zdziwił się.

– Przez pana mogłabym zostać wysłana – powiedziałam. – Do
Kolonii. Pan przecież wie. Albo jeszcze gorzej. – Uważałam, że
wobec ludzi powinien mnie dalej traktować, jakbym była wielką
wazą czy oknem – elementem tła, nieożywionym czy
przezroczystym.

– Przepraszam – powiedział. – Ja nie chciałem. Ale dla mnie... to
jest... takie...

– Jakie? – spytałam, widząc, że nie kończy.

– Bezosobowe – odparł.

– Kiedy pan doszedł do tego wniosku? – Już choćby po tym, jak
się do niego zwracałam, widać było, że nasze wzajemne stosunki
zmieniły charakter.

Przyszłe pokolenia, mówiła Ciotka Lidia, będą miały znacznie
lepiej. Kobiety będą żyły razem, w harmonii, wszystkie w jednej
rodzinie; będziecie dla nich jak córki, a kiedy poziom populacji
znów wzrośnie, obejdzie się bez przenoszenia was z domu do domu,
będzie was dość. W tych warunkach, dodała mrugając do nas
porozumiewawczo, powstaną nawet więzy prawdziwego uczucia.
Kobiety zjednoczone we wspólnej sprawie! Wspierając się
nawzajem w codziennych obowiązkach, we wspólnym marszu
przez życie, wykonując powierzone im zadania. Niby dlaczego
jedna kobieta miałaby brać na siebie wszystko, czego wymaga
zapewnienie domowi spokoju i pogody? Byłoby to nierozsądne
i nieludzkie. Wasze córki będą miały więcej wolności. Naszym

celem jest mały ogródek dla każdego, dla każdej z was – a to tylko jeden przykład. I znów ten uniesiony palec, którym Ciotka Lidia nam grozi, bo przecież nie możemy być takie bezczelne i zachłanne i żądać wszystkiego już dzisiaj, nieprawdaż?

Tak więc zostałam jego kochanką. Wysoko postawieni mężczyźni zawsze mieli kochanki – dlaczego teraz miałyby być inaczej? Okoliczności się zmieniły, to jasne. Dawniej trzymano kochanki w garsonierach, choć czasem mieszkały we własnych mieszkaniach, teraz wszystko jest pomieszane. Ale w istocie sprowadza się do tego samego. Mniej więcej. Że, jak to się mówiło, mężczyzna ma kogoś na boku. Ja jestem właśnie kimś takim „na boku”. Moja rzecz – zapewnić Komendantowi to, czego mu brakuje. Nawet scrabble. Pozycja równie absurda, upokarzająca.

Czasami myślę, że ona wie. Że są w zмовie. Że on to robi z jej poduszczenia, a ona się ze mnie śmieje, tak jak ja się nieraz śmieję z ironią z siebie samej. A niechże weźmie cały ten ciężar na własne barki – może tak sobie mówi. Może już całkiem machnęła ręką; może taka jest jej wizja wolności.

Ale nawet z tym wszystkim – aż głupio – jestem szczęśliwsza, niż byłam. Bo mam przynajmniej jakieś zajęcie. Coś, co wypełnia czas, wieczorami, zamiast samotnego siedzenia w pokoju. Coś, o czym można myśleć. Nie kocham Komendanta ani nic w tym sensie, ale stanowi dla mnie przedmiot zainteresowania, zajmuje przestrzeń, jest czymś więcej niż cieniem.

Tak jak ja dla niego. Dla niego nie jestem już tylko ciałem, które ma do dyspozycji. Statkiem bez ładunku, kielichem bez wina czy – mówiąc dosadniej – piecem bez bochna. Dla niego nie jestem po prostu pusta.

27

Idziemy z Gleną letnią ulicą. Jest ciepło, wilgotno. Kiedyś byłaby to pogoda na letnią sukienkę i sandały. Każda ma w koszyku truskawki – jest teraz sezon truskawkowy, więc będziemy się opychały nimi aż do przejedzenia – i zawiniętą w papier rybę. Rybę kupiliśmy w sklepie „Pieczywo i Ryby”, z drewnianym szyldem, przedstawiającym uśmiechniętą rybę z rzęsami. Ale pieczywa już tam nie sprzedają. Prawie wszyscy pieką sami, chociaż w razie czego można w „Chlebie Codziennym” dostać czerstwe bułki i suche pączki. Sklep „Pieczywo i Ryby” rzadko kiedy bywa otwarty. Po co otwierać, jak nie ma czym handlować? Sklepy z rybami morskimi już dawno przestały istnieć; te nieliczne ryby, które jeszcze zostały, pochodzą z hodowli i pachną mułem. W dzienniku mówią, że tereny nadbrzeżne „odpoczywają”. Sola, pamiętam, łupacz, mieczniki, mule, tuńczyk; homary, nadziewane i pieczone, łosoś, różowy i tłusty, całe płaty z rusztu. Czy to możliwe, że te wszystkie stworzenia wyginęły jak wieloryby? Dotarła do mnie taka plotka – bezdźwięczny szept, prawie bez ruchu ust – kiedyśmy stały w kolejce, czekając na otwarcie sklepu, zwabione obrazkiem przedstawiającym soczysty, biały filec. Wystawiają ten obrazek w sklepie, kiedy coś mają, a zabierają, jak nie ma towaru. Język znaków.

Glena i ja idziemy dziś wolno, jest nam gorąco w tych naszych

długich sukienkach, mamy mokro pod pachami. Jesteśmy zmęczone. W taki upał nie nosimy przynajmniej rękawiczek. Gdzieś tu w okolicy był kiedyś sklep z lodami. Nie mogę sobie przypomnieć nazwy. Wszystko się tak szybko zmienia, z dnia na dzień rozbierają budynki albo zmieniają im przeznaczenie, że trudno to zapamiętać. Można było wziąć podwójną porcję i na życzenie polewali ją jeszcze czekoladą. Takie lody nazywały się jakoś od męskiego imienia. „Jaśki”? „Jacki”? Nie pamiętam.

Chodziłyśmy tam, jak była mała. Podsadzałam ją, żeby mogła zobaczyć przez szybę pojemniki z lodami w pastelowych kolorach: bladopomarańczowe, jasnozielone i jasnoróżowe. Czytałam jej wtedy nazwy, żeby mogła sobie wybrać. Ale i tak nie wybierała według nazw, tylko po kolorach. Jej sukienki i kombinezony też były pastelowe jak lody.

O, „Jakubki”, tak się te lody nazywały.

Glena i ja już się lepiej ze sobą czujemy, przyzwyczaiłyśmy się do siebie. Jesteśmy jak syjamskie siostry. Witając się, nie robimy już żadnych ceremonii, tylko uśmiechamy się do siebie i ruszamy jako tandem, sunąc gładko naszą codzienną drogą. Od czasu do czasu zmieniamy sobie trasę; nikt nam tego nie może zabronić, pod warunkiem że trzymamy się w granicach szlabanów. Szczur może się swobodnie poruszać w labiryncie, pod warunkiem że go nie opuszcza.

Byłyśmy już w sklepach i w kościele, a teraz jesteśmy przy Murze. Dziś nikt na nim nie wisi. W lecie nie zostawiają ciał na tak długo jak w zimie z powodu much i smrodu. Było to kiedyś królestwo sprayów o różnych zapachach, ludzie pamiętają o tym do dziś, szczególnie Komendanci, którzy głoszą czystość w każdej dziedzinie.

– Masz już wszystko z listy zakupów? – pyta mnie właśnie Glena, chociaż wie, że mam. Nasze spisy nigdy nie są długie. Ostatnio Glena nie jest już taka bierna ani taka melancholijna. Często zagaduje pierwsza.

– Tak – odpowiadam.

– Chodź, przespacerujemy się. – Ma na myśli pójście nad rzekę. Dawno tam nie chodziliśmy.

– Dobra – odpowiadam. Ale nie odwracam się od razu, tylko przez chwilę jeszcze stoję w miejscu, po raz ostatni spoglądając na Mur. Widzę czerwone cegły, widzę reflektory, drut kolczasty i haki. O dziwo, Mur taki pusty jak teraz wygląda jeszcze bardziej złowrogo. Kiedy ktoś na nim wisi, to przynajmniej wie się najgorsze. Ale pusty kryje w sobie groźne możliwości, jak nadchodzący sztorm. Widząc konkretne ciała, z ich rozmiarów i sylwetek poznaję, że to nie Łukasz, i mogę się przynajmniej ludzić, że on jeszcze żyje.

Nie wiem, dlaczego spodziewam się go zobaczyć na tym Murze. Są setki innych miejsc, w których mogli go zabić, ale mnie prześladuje myśl, że on jest w tej chwili tam, za tymi ślepyimi czerwonymi cegłami. Usiłuję sobie wyobrazić, w którym budynku.

Pamiętam rozmieszczenie budynków za Murem w czasach, kiedy był to uniwersytet, mogliśmy się tam wtedy swobodnie poruszać. Od czasu do czasu i teraz chodzimy tam na Kobiece Wybawienia. Większość budynków też jest z czerwonej cegły – niektóre mają łukowate odrzwia przypominające styl romański, z dziewiętnastego wieku. Teraz już nas do tych budynków nie wpuszczają, ale kto by chciał tam wchodzić? Te budynki należą do Oczu.

Może jest w Bibliotece, gdzieś w podziemiach. Wśród regałów.

Biblioteka przypomina świątynię. Długi szereg białych stopni

proceedzi do rzędu drzwi. A potem, wewnątrz, znów białe schody, na górę. Po obu stronach, na ścianach, anioły. I mężczyźni walczący albo zabierający się do walki. Są czyści i szlachetni z oblicza, a nie brudni, zakrwawieni i śmierdzący, jacy musieli być w rzeczywistości. Po jednej stronie wewnętrznego korytarza Zwycięstwo, które prowadzi ich naprzód, po drugiej – Śmierć. Jest to malowidło ścienne dla upamiętnienia jakiejś wojny. Ludzie, znajdujący się po tej samej stronie co Śmierć, są w dalszym ciągu żywi. Idą do nieba. Śmierć jest przedstawiona jako piękna kobieta, ze skrzydłami i z jedną piersią niemal nagą – czy może to właśnie jest Zwycięstwo? Nie pamiętam.

Tego nie mogli zniszczyć.

Odwracamy się tyłem do Muru, idziemy w lewo. Mijamy kilka pustych lokali sklepowych, z wystawami zamazanymi mydłem. Usiłuję sobie przypomnieć, co w nich kiedyś sprzedawano. Kosmetyki? Bizuterię? Większość sklepów z rzeczami dla mężczyzn jest w dalszym ciągu otwarta; zamknięto tylko te, które – jak mówią – służyły zaspokajaniu próżności.

Na rogu jest sklep zwany „Zwojami Duchowymi”. Tego rodzaju sklepy, takie „Zwoje Duchowe”, znajdują się w centrach wszystkich miast i na każdym przedmieściu – a przynajmniej tak słyszałam. Muszą przynosić wielkie dochody.

Wystawa takiego sklepu jest z nietłukącego szkła. Wewnątrz całymi szeregami stoją maszyny drukarskie; te maszyny są zwane świętymi rolkami, ale tylko przez nas, ponieważ jest to określenie lekceważące. Maszyny drukują modlitwy, rolka za rolką – bez końca. Zamawia się je przez kompufon, słyszałam kiedyś, jak Żona Komendanta składała takie zamówienie. Zamawianie modlitw w „Zwojach Duchowych” jest uważane za dowód pobożności

i wierności reżimowi, dlatego Żony Komendantów robią to często. To pomaga ich mężom w karierze.

Istnieje pięć różnych modlitw: o zdrowie, o majątek, o śmierć, o narodziny i o grzech. Wybierasz tę, o którą ci chodzi, wydziurkowujesz numer modlitwy, następnie swój numer, tak żeby mogli obciążyć twoje konto, i wreszcie odpowiednią liczbę – w zależności od tego, ile razy modlitwa ma być powtórzona.

Podczas drukowania tekstów modlitw maszyny mówią; jeśli chcesz, możesz wejść do środka i sobie posłuchać, jak bezbarwnym, metalicznym głosem powtarzają w kółko jedno i to samo. Kiedy już modlitwy zostaną wydrukowane i odmówione, papier przewija się w drugą stronę do ponownego wykorzystania. W budynku nie ma żadnych ludzi; wszystko robią automaty. Nie słychać głosów z zewnątrz, tylko szum, szept, jakby nabożnego tłumu zanoszącego na klęczkach modły. Każda z maszyn ma wymalowane z boku złote oko z małymi skrzydełkami.

Usiłuję sobie przypomnieć, co tu sprzedawano dawniej, zanim powstały „Zwoje Duchowe”. O ile dobrze pamiętam, był to chyba sklep z bielizną. Różowe i srebrne pudła, kolorowe rajstopy, staniki z koronką, jedwabne chustki? Coś, co przepadło bezpowrotnie.

Glena i ja stoimy przed nietłukącą szybą wystawy „Zwojów Duchowych” i obserwujemy, jak modlitwy wychodzą z maszyn, a następnie znikają w otworze, ponownie wędrując do królestwa niewypowiedzianego. Przenoszę wzrok. To, co widzę teraz, to już nie maszyny, to odbicie Gleny, która patrzy prosto na mnie.

Możemy spojrzeć sobie w twarz. Po raz pierwszy patrzę w oczy Gleny, prosto, uparczywie, nie ukradkiem. Jej twarz jest owalna, różowa, pulchna, ale nie tłusta, oczy okrągławe.

Wytrzymuje moje spojrzenie w szybie, spokojnie, bez

mruknięcia. Teraz trudno oderwać wzrok. Jest w tym widzeniu coś szokującego – jakby się oglądało kogoś nago, po raz pierwszy. Nagle powiało ryzykiem, którego przedtem między nami nie było. Nawet w tym spotkaniu naszych oczu czai się niebezpieczeństwo. Chociaż nie ma nikogo w pobliżu.

Wreszcie Glena przerywa milczenie.

– Czy sądzisz, że Bóg słucha tych maszyn? – Mówi szeptem, to nawyk wyniesiony z Centrum.

Dawniej byłaby to zupełnie błaha uwaga, akademicka spekulacja. Obecnie to zbrodnia.

Mogłabym zacząć krzyczeć. Uciekać. Odwrócić się od niej w milczeniu, żeby jej pokazać, że nie zamierzam tolerować czegoś podobnego w mojej obecności. To działanie wywrotowe, bunt, bluźnierstwo, herezja – wszystko razem.

Zbieram siły.

– Nie – mówię.

Wypuszcza powietrze w długim westchnieniu ulgi. Razem przekroczyliśmy niewidzialną granicę.

– Ja też tak sądzę.

– Chociaż może niektórzy w to wierzą – podejmuję. – Były przecież młynki tybetańskie.

– A co to takiego? – pyta Glena.

– Ja o nich tylko czytałam – wyjaśniam. – Były poruszane przez wiatr. Już ich nie ma. Przepadły.

– Jak wszystko – mówi. Dopiero teraz przestajemy na siebie patrzeć.

– Czy tu jest bezpiecznie? – szepczę.

– Według mnie to jest najbezpieczniejsze miejsce. Wyglądamy tak, jakbyśmy się po prostu modliły.

– A oni?

– Oni? – powtarza w dalszym ciągu szeptem. – Zawsze najbezpieczniej jest poza domem – żadnych mikrofonów, bo i po co mieliby je tu instalować? Uważają, że tu nikt by się nie ośmielił. No, ale już za długo tutaj stoimy. Wypada ruszać. – Odwracamy się jednocześnie. – Idź z opuszczoną głową – mówi Glena – i nachyl się trochę w moją stronę. Tak cię lepiej słyszę. I nie mów nic, jak ktoś będzie nadchodził.

Idziemy z głowami pochylonymi jak zwykle. Jestem tak podniecona, że ledwie mogę oddychać, ale trzymam równy krok. Teraz bardziej niż kiedykolwiek muszę unikać zwracania na siebie uwagi.

– Myślałam, że ty jesteś naprawdę wierząca – mówi Glena.

– A ja myślałam, że ty.

– Zawsze byłaś tak cholernie pobożna.

– Ty tak samo. – Mam ochotę śmiać się, krzyczeć, uściskać ją.

– Możesz do nas przystąpić – mówi Glena.

– Do was? – pytam. A więc są jakieś „wy”, jakieś „my”. Tak mi się też zdawało.

– Nie myślałaś chyba, że jestem tylko ja jedna?

Nie, nie myślałam. Przychodzi mi do głowy, że Glena może być szpiegiem, prowokatorką podstawioną po to, żeby mnie zwabić w pułapkę; taka jest gleba, na której wyrastamy. Nie mogę w to jednak uwierzyć; nadzieja wzbiera we mnie jak soki w drzewie. Krew w ranie. Dokonałyśmy nacięcia.

Mam ochotę ją spytać, czy widziała Moirę, czy można by się dowiedzieć, co z Łukaszem, co z moim dzieckiem, nawet z matką, ale mamy niewiele czasu; zbyt szybko dochodzimy do rogu głównej ulicy, tej przed pierwszym szlabanem. Będzie za dużo ludzi.

– Tylko nie puść pary – ostrzega mnie Glena, zupełnie niepotrzebnie, na wszelki wypadek.

– Oczywiście, że nie puszcę – odpowiadam. Niby do kogo.

W milczeniu idziemy główną ulicą, mijamy „Lilie”, mijamy „Wszelkie Ciało”. Dziś po południu jest na mieście więcej ludzi niż zwykle: wywabiła ich z domów ciepła pogoda. Kobiety ubrane na zielono, niebiesko, czerwono, w paski; mężczyźni też, niektórzy w mundurach, inni w cywilnych ubraniach. Słońce jest za darmo, jeszcze można się nim bezkarnie cieszyć. Chociaż już nikt się nie opala, w każdym razie nie publicznie.

Jest też i więcej samochodów – tornada z szoferami i ważnymi pasażerami, i skromniejsze wozy prowadzone przez skromniejszych ludzi.

Coś się stało: jest jakieś zamieszanie, zauważam nieład wśród ławic samochodów. Niektóre zjeżdżają na bok, jakby ustępowały komuś z drogi. Szybko patrzę w tamtą stronę: czarny wóz z okiem o białych skrzydłach. Nie jedzie wprawdzie na syrenie, ale mimo to samochody mu ustępują. Sunie wolno ulicą, jakby czegoś poszukiwał – rekin wypatrujący zdobyczy.

Zamieram, robi mi się zimno. A jednak musiały być mikrofony, musieli nas mimo wszystko słyszeć.

Glena pod osłoną rękawa łapie mnie za łokieć.

– Nie zatrzymuj się – szepcze. – Udawaj, że nie widzisz.

Ale ja nie mogę nie widzieć. Wóz zatrzymuje się dokładnie przed nami. Dwoje Oczu, w szarych ubraniach, wyskakuje przez podwójne tylne drzwi. Łapią idącego ulicą mężczyznę, mężczyznę z teczką, wyglądającego zupełnie normalnie, i rzucają nim o czarny bok wozu. Stoi tak chwilę rozkrzyżowany na metalu, jakby przyklepiony; po chwili jeden z Oczu rusza na niego, zadaje brutalny

i gwałtowny cios i mężczyzna zwija się w pół na kształt bezwładnego, szmacianego tobołka. Łapią go i wrzucają do wozu jak worek z pocztą. A potem sami wskakują, zamykają drzwi i odjeżdżają.

W ciągu kilku sekund jest po wszystkim, ruch uliczny wraca do normy, jakby nigdy nic.

Ogarnia mnie uczucie ulgi. To nie ja.

28

Dziś po południu nie ma mowy, bym się mogła zdrzemnąć, jeszcze ciągle za dużo jest we mnie adrenaliny. Siedzę w oknie i wyglądam przez półprzezroczyste zasłony. Biała nocna koszula. Okno jest otwarte najszerszej jak można, wieje wiatr, ciepły w słońcu, i zarzuca mi białą tkaninę na twarz. Z zewnątrz muszę przypominać kokon, ducha, z twarzą tak spowitą, że widać tylko same zarysy: nosa, zabandażowanych ust, ślepych oczu. Ale ja lubię to uczucie, kiedy delikatna tkanina ociera się o moją skórę – jakbym była w chmurze.

Dali mi mały elektryczny wentylator, który w tej wilgoci przynosi ulgę. Warczy na podłodze, w kącie, obraca skrzydełkami uwięzionymi w metalowych prętach. Gdybym była Moirą, wiedziałabym, jak go rozebrać, tak żeby się dostać do ostrych łopatek. Nie mam śrubokrętu, ale gdybym była Moirą, poradziłabym sobie bez niego. Nie jestem Moirą.

Ciekawe, co by mi powiedziała na temat Komendanta, gdyby tu była. Prawdopodobnie byłaby ze mnie niezadowolona. Tak jak nie podobało jej się, że jestem z Łukaszem. Nie chodziło o samego Łukasza, tylko o to, że był żonaty. Powiedziała, że jestem kłusowniczką na terenach należących do innej kobiety. Tłumaczyłam jej, że Łukasz to nie ryba ani bezwolny przedmiot, że jest istotą ludzką i może sam o sobie decydować. Oświadczyła, że

dorabiam teorię do świństwa. Powiedziałam, że jestem zakochana. Ona, że to jeszcze nie wszystko. Moira zawsze była bardziej logiczna ode mnie.

Powiedziałam, że ona już tego problemu nie ma, skoro zdecydowała, że woli kobiety, i, o ile się zorientowałam, nie ma najmniejszych skrupułów, żeby je kraść innym czy je od innych pożyczać, kiedy ma na to ochotę. Moira się odgryzła, że to zupełnie inna sprawa, ponieważ szanse między kobietami są wyrównane i w tej sytuacji seks jest transakcją fifty-fifty. Powiedziałam jej, że sformułowanie „fifty-fifty” w tym kontekście ma charakter seksistowski, i że tak czy siak, nasza dyskusja jest nie na czasie. Moira uznała, że bagatelizuję problem i że jeśli uważam, że nasza dyskusja jest nie na czasie, to znaczy, że chowam głowę w piasek.

Wszystko to mówiłyśmy sobie u mnie w kuchni, popijając kawę przy moim kuchennym stole, głosami przyciszonymi, ale podnieconymi, jak to na ogół się zdarzało podczas naszych dyskusji w okresie tuż po studiach, kiedy miałyśmy niewiele ponad dwadzieścia lat.

Była to kuchnia nędznego mieszkania, mieszczącego się w drewnianej ruderze w pobliżu rzeki – z rodzaju dwupiętrowych domów o koślawych, zewnętrznych, kuchennych schodach. Zajmowałam pierwsze piętro, co oznaczało, że dochodziły do mnie hałasy z góry i z dołu – moimi sąsiadami byli bowiem dwaj miłośnicy płyt stereo, którzy łomotali do późnej nocy. Studenci. Byłam wtedy ciągle jeszcze na mojej pierwszej posadzie, na której niewiele zarabiałam: obsługiwałam komputer w towarzystwie ubezpieczeniowym. Tak więc hotele, z Łukaszem, oznaczały dla mnie nie tylko miłość czy nawet nie tylko seks. Oznaczały także czas spędzony z dala od karaluchów, ciekącego zlewu, linoleum

odłóżącego całymi płatami, a nawet moich własnych wysiłków, zmierzających do poprawienia sytuacji przez przyklejanie plakatów do ścian i wieszanie w oknach pryzmatów. Miałam też rośliny doniczkowe, zawsze jednak były oplecione pajęczynami albo umierały z braku wody. Wychodziłam na randkę z Łukaszem i zapominałam o nich.

Odpowiedziałam, że istnieje więcej niż jeden sposób chowania głowy w piasek i że jeśli Moira sobie wyobraza, że stworzy jakąś utopię, zamykając się w kobiecej enklawie, to jest w grubym błędzie. To nie tylko sprawa odsunięcia mężczyzn, ich się nie da po prostu zignorować.

– To zupełnie jakbyś mówiła, że złapiesz syfa tylko dlatego, że on istnieje.

– Czy chcesz powiedzieć, że Łukasz to choroba społeczna?

Moira roześmiała się.

– Ależ my pieprzemy. Gadamy zupełnie jak twoja matka.

Wtedy roześmiałyśmy się obie, a kiedy Moira wychodziła, uściskałyśmy się, jak zwykle. Był czas, kiedyśmy się przestały całować – po tym, jak mi wyznała, że jest lesbijką; ale wyjaśniła, że nie ma do mnie obrzydzenia, co mnie uspokoiło, i znów zaczęłyśmy to robić. Mogłyśmy się kłócić, wymyślać sobie i bić się, ale to nic między nami nie zmieniało. Była w dalszym ciągu moją najserdeczniejszą przyjaciółką.

Jest.

Potem dostałam lepsze mieszkanie, które zajmowałam przez te dwa lata potrzebne Łukaszowi do odzyskania wolności. Komorne płaciłam sama dzięki mojej nowej posadzie. Pracowałam w bibliotece, nie tej dużej ze Śmiercią i Zwycięstwem na ścianach, tylko w mniejszej.

Do moich obowiązków należało przenoszenie książek na dyski, żeby oszczędzić miejsca w magazynach i kosztów związanych z odnawianiem zasobów. Siebie nazywaliśmy dyskdzokejami, a bibliotekę dyskoteką – był to taki nasz dowcip. Po wczytaniu tekstu książki zanosilo się na przemiał, ale niektóre zabierałam do domu. Lubiłam czuć je w rękach i patrzeć na nie. Łukasz powiedział, że mam mentalność antykwariusza. Podobało mu się to, też lubił stare rzeczy.

Jakie to dzisiaj dziwne, że człowiek miał pracę. Robotę. Śmieszne słowo. Mieć coś do roboty. Zrobił w majtki – mówiło się o dzieciach. Czy o psach: zrobił na dywan. Takiego psa należało trzepnąć zwiniętą w rulon gazetą – według mojej matki. Pamiętam te czasy, kiedy były gazety, chociaż nigdy nie miałam psa, tylko koty.

Albo te wszystkie kobiety, które pracowały – trudno to sobie wyobrazić, ale były ich tysiące, miliony. I uważano to za coś normalnego. Tak jak papierowe pieniądze, kiedy jeszcze były. Matka miała kilka takich banknotów przyklejonych w albumie ze zdjęciami. Już wtedy wyszły z obiegu i nie można było nic za nie kupić. Kawałki papieru, dosyć grube, tłustawe w dotyku, zielone, z obrazkami po obu stronach. Po jednej jakiś stary mężczyzna w peruce, po drugiej piramida, a nad nią oko i napis: Bogu ufamy. Matka mówiła, że niektórzy kasjerzy dla żartu umieszczali sobie koło kas napis: „Bogu ufamy, od innych pieniędzy żądamy”. Teraz uznano by to za świętokradztwo.

Idąc po zakupy, brało się te papiery, ale do czasu kiedy miałam dziewięć czy dziesięć lat, potem większość ludzi używała już tylko plastikowych kart. Nie dotyczyło to jednak artykułów żywnościowych, to przyszło później. Ten system wydaje się dziś

szalenie prymitywny, jak totemizm, jak płacenie muszelkami. Sama przez jakiś czas używałam takich pieniędzy, póki wszystkim nie zajął się Kompubank.

Przypuszczam, że tylko w ten sposób mogli to zrobić, wszystko naraz, tak żeby nikt wcześniej nic nie wiedział – z kompletnego zaskoczenia. Gdyby w dalszym ciągu były tradycyjne pieniądze, byłoby znacznie trudniej.

Po katastrofie zastrzelili prezydenta, z automatu skosili cały Kongres i wojsko ogłosiło stan wyjątkowy. A potem zwalili to na ekstremistów islamskich.

Zachować spokój – mówili w telewizji. – Panujemy nad sytuacją.

Ośłupiałam. Wszyscy ośłupieli. Nie mogliśmy uwierzyć. Żeby tak cały rząd... Jak oni się tam dostali? Jak to się mogło stać?

A doszło do tego, kiedy zawiesili konstytucję. Powiedzieli, że to czasowe. Nawet nie było żadnych demonstracji. Ludzie siedzieli po domach i gapili się w telewizory, czekali na jakieś wskazówki. Nie było nawet żadnego konkretnego wroga, przeciw któremu można by się obrócić.

– Widzisz – powiedziała mi Moira przez telefon. – Już się szykuje.

– Ale co się szykuje? – spytałam.

– Poczekaj, to zobaczysz. Wszystko do tego zmierzało. Możemy najwyżej walić głową w mur, ty i ja, kochasiu. – Cytowała pewne powiedzenie mojej matki, ale tym razem nie miał to być dowcip.

Tygodniami trwał taki stan zawieszenia, chociaż wiele się w tym czasie działo. Zaczęto cenzurować prasę, a niektóre gazety w ogóle zlikwidowano – jakoby ze względu na bezpieczeństwo. Pojawiły się na ulicach zapory, wprowadzono karty identyfikacyjne. Wszyscy to popierali, no bo ostrożności nigdy za wiele. Mówili też, że będą

nowe wybory, ale że to musi potrwać, bo trzeba je przygotować. A na razie mamy się zachowywać normalnie.

Po zamykano jednak sklepy porno, zniknęły „Bajzel na Kólkach” i „Wesoła Dorożka”, które dawniej krążyły po Placu. Ale mnie to akurat nie przeszkadzało. Wszyscy wiemy, ile z tym było kłopotu.

– Najwyższy czas, żeby coś z tym zrobili – powiedziała sprzedawczyni w sklepiku, w którym zwykle kupowałam papierosy. Sklep mieścił się na rogu i mieli tam wszystko: gazety, słodycze i papierosy. Kobieta była starsza, siwa, z pokolenia mojej matki.

– Czy je po prostu pozamykali, czy co? – spytałam.

Wzruszyła ramionami.

– Kto tam ich wie, komu na tym zależy – powiedziała. – Może je gdzieś przenieśli. Próbować pozbyć się ich całkowicie, to tak jak chcieć wytępić myszy. – Wydziurkowała mój numer, prawie na niego nie patrząc; byłam już wtedy stałą klientką. – Ludzie narzekali – dodała.

Nazajutrz rano, w drodze do biblioteki, wstąpiłam do tego samego sklepiku, bo mi się skończyły papierosy. W tym czasie paliłam więcej z powodu ogólnego napięcia, które narastało jak podziemny pomruk, chociaż pozornie było spokojnie. Zaczęłam też pić więcej kawy i miałam kłopoty ze spaniem. Wszyscy zrobili się drażliwi. W programie radiowym dawali coraz więcej muzyki, a coraz mniej słyszało się w nim słów.

Byliśmy już wtedy od lat po ślubie; mała miała trzy czy cztery lata i chodziła do przedszkola.

Wstaliśmy normalnie i zjedliśmy śniadanie, płatki, jak dziś pamiętam. Łukasz zawiózł ją do przedszkola w ubranku, które jej kupiłam przed kilkoma tygodniami – kombinezon w paski

i niebieska koszulka. Jaki to był miesiąc? Musiał być wrzesień. Kursował wprawdzie przedszkolny autobus, który zabierał dzieci, ale z jakichś względów wolałam, żeby ją odwiózł Łukasz, przestałam ufać nawet przedszkolnym autobusom. Dzieci już właściwie nie chodziły do szkół i przedszkoli pieszo, za dużo było tajemniczych zniknięć.

Kiedy weszłam do sklepiku, okazało się, że nie ma tej kobiety co zwykle. Zamiast niej był mężczyzna – młody, najwyżej dwudziestoletni.

– Chora? – spytałam, wręczając mu moją kartę.

– Kto? – spytał dość, jak mi się wydało, agresywnie.

– Ta kobieta, która tu zwykle była – odparłam.

– A skąd ja mogę wiedzieć? – Wydziurkował mój numer, studiując każdą cyfrę po kolei i przyciskając guziki jednym palcem. Widać było, że robi to po raz pierwszy. Bębniłam palcami o kontuar, nie mogąc się doczekać papierosa i zastanawiając się, czy nikt mu nie mówił, że tych pryszczycy na szyi można się pozbyć. Doskonale pamiętam: wysoki, lekko przygarbiony, krótko przyszczyżone ciemne włosy, piwne oczy, których spojrzenie jakby się koncentrowało dwa cale za nasadą mojego nosa, no i ten trądzik. Przypuszczam, że zapamiętałam go tak dokładnie z powodu tego, co powiedział zaraz potem:

– Przykro mi, ale ten numer jest nieważny.

– To śmieszne – odparłam – musi być ważny, mam na koncie tysiące. Dostałam wyciąg z konta zaledwie przed dwoma dniami. Niech pan spróbuje jeszcze raz.

– Numer jest nieważny – powtórzył z uporem. – Widzi pani to czerwone światełko? To znaczy, że numer jest nieważny.

– Pan się musiał pomylić. Niech pan spróbuje jeszcze raz.

Wzruszył ramionami ze znużonym uśmiechem, ale spróbował.

Tym razem obserwowałam jego palce przy każdej cyfrze, sprawdzając jednocześnie numer na monitorze, i rzeczywiście był to mój numer, tyle że towarzyszyło mu czerwone światełko.

– Widzi pani? – powtórzył z tym samym uśmiechem, jakby miał na myśli jakiś dwuznaczny dowcip, którego nie zamierzał mi powiedzieć.

– Zadzwońię do nich z biblioteki. – Zdarzało się i do tej pory, że system zawodził, ale zawsze parę telefonów załatwiało sprawę. Mimo to byłam zła, jakby mnie niesłusznie posądzono o coś, o czym nawet nie wiedziałam. Jakbym to ja sama popełniła błąd.

– Niech pani dzwoni – powiedział obojętnie. Zostawiłam papierosy na kontuarze, ponieważ nie zapłaciłam za nie, i pomyślałam sobie, że pożyczę od kogoś w pracy.

Z biblioteki zadzwoniłam do banku, ale odpowiedział mi jedynie głos z taśmy. Linia jest przeciążona, powiedział. – Czy mogłabym zadzwonić później?

Linia była przeciążona cały ranek – jak się okazało. Dzwoniłam jeszcze kilka razy, ale z tym samym skutkiem. Jednak nawet i w tym nie było nic niezwykłego.

Około drugiej, po lunchu, wszedł do nas dyrektor.

– Mam wam coś do zakomunikowania – powiedział. Wyglądał okropnie; włosy miał zmierzwione, oczy czerwone i rozbiegane, jakby pił.

Spojrzeliliśmy na niego, wyłączając komputery. Musiało być nas w pokoju ośmioro czy dziewięcioro.

– Przykro mi – rzekł – ale to jest zarządzenie. Bardzo mi przykro.

– Z jakiego powodu? – ktoś spytał.

– Muszę was zwolnić. Takie jest zarządzenie, muszę.
Wszystkich – dodał niemal łagodnie, jakbyśmy byli dzikimi stworzeniami, na przykład żabami, które trzymał w słoiku i chciał nam to wynagrodzić.

– Jesteśmy wyrzuceni z pracy? – spytałam. Wstałam. – Ale dlaczego?

– Nie wyrzuceni. Zwolnieni. Nie możecie tu więcej pracować. Takie jest zarządzenie. – Przeczesał palcami włosy, a ja pomyślałam: zwariował. Nie wytrzymał tego całego napięcia i mu odbiło.

– Pan nie może tego zrobić, ot tak sobie – zaprotestowała kobieta, która siedziała obok mnie. Zabrzmiało to fałszywie, nieprawdopodobnie, jak coś, co się mówi w telewizji.

– To nie moje zarządzenie – bronił się. – Nic nie rozumiecie. Proszę was bardzo, idźcie już. – Mówił coraz bardziej podniesionym głosem. – Nie chciałbym żadnych kłopotów. Jak będą kłopoty, możemy stracić książki, poniszczą nasze rzeczy... – Obejrzał się przez ramię. – Są obok, w moim gabinecie. Jeżeli zaraz nie wyjdziecie, sami tutaj przyjdą. Dali mi dziesięć minut. – W tym momencie jego głos brzmiał już histerycznie.

– On jest pomyłony – powiedział ktoś głośno, ale z pewnością wszyscyśmy tak myśleli.

Kiedy jednak wyjrzałam na korytarz, zobaczyłam dwóch mężczyzn w mundurach i z pistoletami maszynowymi. Wydało mi się to zbyt teatralne, żeby mogło być prawdziwe, ale był to fakt – pojawili się nagle, jak Marsjanie. Mieli w sobie coś z sennych majaków; byli zbyt żywi, za bardzo nie pasowali do otoczenia.

– Tylko zostawcie maszyny – powiedział dyrektor, kiedy

zbieraliśmy swoje rzeczy, wychodząc. Jakbyśmy je mogli zabrać.

Staliśmy w zbitej grupce na schodach, przed drzwiami biblioteki. Nie wiedzieliśmy, co powiedzieć. Nie rozumieliśmy nic z tego, co się stało, więc też i niewiele mieliśmy do powiedzenia. Patrzyliśmy po sobie i widzieliśmy w swoich twarzach przerażenie i wstyd, jakbyśmy zostali złapani na gorącym uczynku.

– To jest oburzające – powiedziała jedna z kobiet, ale jakoś bez przekonania. Jak to możliwe, że czuliśmy się tak, jakbyśmy na to zasłużyli?

W domu nie zastałam nikogo. Łukasz był w pracy, mała w przedszkolu. Byłam zmęczona, dosłownie skonana, więc usiadłam, ale nie na długo, nie mogłam usiedzieć na miejscu. Chodziłam z pokoju do pokoju. Pamiętam, że dotykałam przedmiotów, nawet niezupełnie świadomie, po prostu kładłam na nich palce; na takich rzeczach jak: maszynka do robienia tostów, cukiernica, popielniczka w saloniku. W pewnym momencie wzięłam na ręce kotkę i już dalej chodziłam z nią. Chciałam, żeby wrócił Łukasz. Uważałam, że powinnam coś zrobić, podjąć jakieś kroki, ale nie wiedziałam, jakie.

Znów spróbowałam zadzwonić do banku, ale usłyszałam ten sam głos z taśmy. Nalałam sobie mleka – pomyślałam, że na drugą filiżankę kawy jestem zbyt roztrzęsiona – i poszłam do living roomu. Usiadłam na kanapie i ostrożnie postawiłam szklanę z mlekiem na stoliku, nie tknąwszy go. Tuliłam kota do piersi, słuchając, jak mruczy pod moją brodą.

Po jakimś czasie zadzwoniłam do matki, ale nikt nie odpowiadał. Do tej pory matka już się jakoś ustabilizowała, przestała się co kilka lat przeprowadzać; mieszkała teraz po drugiej stronie rzeki w Bostonie. Odczekałam jeszcze trochę i zadzwoniłam do Moiry.

Jej też nie zastałam, ale kiedy zadzwoniłam ponownie, za jakieś pół godziny, Moira już była. Pomiedzy tymi telefonami po prostu siedziałam na kanapie. Myślałam w tym czasie o drugich śniadaniach mojej córki, które szykowałam jej do przedszkola – że daję jej za dużo kanapek z masłem z orzeszków ziemnych.

Powiedziałam Moirze, że mnie wyrzucili z pracy. Oświadczyła, że zaraz przyjeżdża. Pracowała wtedy w organizacji kobiecej w dziale wydawniczym. Publikowali książki na temat kontroli urodzin, gwałtów i tym podobnych spraw, chociaż nie było takiego zapotrzebowania na te rzeczy jak dawniej.

– Jadę do ciebie – powiedziała; z mojego tonu musiała wywnioskować, że jest mi to bardzo potrzebne.

I rzeczywiście, wkrótce się pojawiła.

– No i co? – powiedziała. Zrzuciła żakiet i rozparła się w ogromnym fotelu. – Mów. Ale najpierw się czegoś napijmy.

Wstała, poszła do kuchni, nalała nam po szklaneczce whisky i znów usiadła, a ja próbowałam jej opowiedzieć, co mnie spotkało. Kiedy skończyłam, spytała:

– Czy próbowałaś dziś coś kupić na swoją kompukartę?

– Tak – odparłam i opowiedziałam jej również i o tym.

– Zamrozili je. Moją też. I organizacyjną. Wszystkie rachunki oznaczone literą K, a nie M. Wystarczyło im tylko nacisnąć kilka guzików. Jesteśmy odcięte.

– Ale ja mam na koncie ponad dwa tysiące dolarów – powiedziałam, jakby liczył się tylko mój rachunek.

– Kobietom nie wolno nic posiadać – odparła. – Nowe zarządzenie. Oglądałaś dzisiaj telewizję?

– Nie.

– Trąbią o tym na okrągło. – Nie robiła wrażenia takiej osłupiałej

jak ja. W jakiś dziwny sposób była nawet radosna, jakby tego od dawna oczekiwała, a teraz okazało się, że miała rację. Wydała mi się nawet bardziej ożywiona, bardziej zdecydowana. – Łukasz może używać tej karty w twoim imieniu – powiedziała. – Przeniosą twój numer na niego, a przynajmniej tak mówią. Na męża albo na najbliższego krewnego płci męskiej.

– No, a co z tobą? – spytałam. Nie miała nikogo.

– Zejdę do podziemia – oświadczyła. – Niektórzy homoseksualiści przejmą nasze numery i będą nas zaopatrywać w różne rzeczy.

– Ale po co to wszystko? – spytałam. – Dlaczego to zrobili?

– Nie nasza rzecz zastanawiać się dlaczego. Musieli to zrobić w ten sposób – jednocześnie i kompukonta, i praca. Czy wyobrażasz sobie, co by się działo na lotniskach, gdyby tego tak nie załatwili? Założę się, że chcą nas zatrzymać w kraju.

Pojechałam po moją córkę do przedszkola. Prowadziłam samochód z przesadną ostrożnością. Kiedy Łukasz przyszedł do domu, siedziałam przy stole kuchennym. Ona w rogu koło lodówki, pod ścianą wytapetowaną jej obrazkami, rysowała flamastrami przy swoim małym stoliku.

Łukasz ukląkł przy mnie i wziął mnie w ramiona.

– Usłyszałem to przez radio w samochodzie, w drodze do domu. Nie martw się, to chwilowe.

– Ale czy wyjaśnili dlaczego? – spytałam.

Nie odpowiedział.

– Damy sobie radę. – Przytulił mnie pocieszająco.

– Ty nie wiesz, jak to jest – powiedziałam. – Czuję się, jakby mi obcięli stopy. – Nie płakałam. Ale nie byłam w stanie go objąć.

– To tylko praca – usiłował mnie pocieszyć.

– Całe moje pieniądze przechodzą na ciebie. A przecież ja jeszcze

nie umarłam – próbowałam zażartować, ale zabrzmiało to makabrycznie.

– Szsz... – uciszył mnie. W dalszym ciągu klęczał. – Wiesz, że zawsze będę się tobą opiekował.

Pomyślałam, że już chce mną rządzić. A potem uświadomiłam sobie, że właściwie to paranoja.

– Wiem – powiedziałam. – Kocham cię.

Później, przy kolacji, kiedy ona już leżała w łóżku, a ja nie byłam tak zdenerwowana, opowiedziałam mu, co się wydarzyło po południu: jak przyszedł dyrektor i jak to wszystko z siebie wyrzucił.

– Byłoby to nawet śmieszne, gdyby nie było takie straszne. Wydawało mi się, że sobie popił, może zresztą miał w czubie. I było wojsko, i w ogóle.

A potem przypomniało mi się coś, co widziałam, a na co wtedy nie zwróciłam uwagi. To nie było nasze wojsko. To było jakieś inne wojsko.

Były naturalnie marsze protestacyjne – tłumy kobiet i trochę mężczyzn – ale mniejsze, niżby się można spodziewać. Ludzie się po prostu bali. A kiedy stało się jasne, niemal zaraz na początku, że policja czy wojsko, czy co tam było, otworzy ogień do demonstrantów, marsze ustały. Kilka obiektów, jak urzędy pocztowe i stacje kolei podziemnej, zostało wysadzonych w powietrze. Ale na dobrą sprawę nie było wiadomo, czyja to robota. Może wojska; może chcieli uzasadnić w ten sposób rewizje w poszukiwaniu komputerów i rutynowe przeszukania mieszkań.

Nie brałam udziału w tych marszach. Łukasz twierdził, że to całkowicie bezcelowe, i utrzymywał, że powinnam myśleć o rodzinie, o nim i o niej. Owszem, myślałam o rodzinie. Bardziej

zajęłam się domem, zaczęłam więcej piec. Podczas posiłków powstrzymywałam się od płaczu. Bo już wtedy zaczęłam popłakiwać nagle, bez uprzedzenia, i siadywać w sypialni, wyglądając przez okno. Znałam niewielu sąsiadów, a z tymi, z którymi spotykaliśmy się na ulicy, wymienialiśmy jedynie niezbędne, powściągliwe pozdrowienia. Nikt nie chciał, żeby na niego doniesiono, że jest nielojalny.

Wspominając tamte czasy, myślę także o matce. Musiałam mieć czternaście czy piętnaście lat, a więc byłam w wieku, w którym córki najbardziej krytycznie oceniają matki. Pamiętam, jak właśnie wróciła do jednego z naszych ówczesnych domów z grupą kobiet stanowiącą część jej wiecznie zmieniającego się kręgu przyjaciół. Tego dnia brały udział właśnie w marszu – było to w okresie demonstracji przeciwko pornografii czy też przerywaniu ciąży, zresztą nie wiem, bo jedne następowały po drugich. Zdarzało się też wtedy wiele zamachów bombowych na szpitale, sklepy ze sprzętem wideo; nie mogłam za tym wszystkim nadążyć.

Matka miała na twarzy siniaka i trochę krwi.

– Trudno wystawić rękę przez szybę, nie kalecząc się – wyjaśniła. – Cholerne świnię.

– Krwawe świnię – powiedziała jedna z jej przyjaciółek. Przeciwników nazywały krwawymi świniami ze względu na znaczki, jakie nosili: Niech krwawią. Musiały to być jednak manifestacje w sprawie skrobanek.

Poszłam do swojej sypialni, żeby im nie przeszkadzać. Mówiły za dużo i za głośno. Nie zauważały mnie, a ja byłam na nie wściekła. Na matkę i na te jej zwariowane przyjaciółki. Nie rozumiem, dlaczego tak się ubierała – dlaczego chodziła w kombinezonach, jakby była młoda, i dlaczego tak klęła.

– Jesteś taka pruderyjna – mawiała do mnie tonem w zasadzie zadowolonym. Podobało jej się to, że jest bardziej przebojowa i buntownicza ode mnie. – Młódzież jest dzisiaj taka pruderyjna.

Mój bunt był częściowo rzeczywiście powierzchowny, jakby rutynowy, to pewne. Ale także oczekiwałam po mojej matce, że stworzy mi życie bardziej stabilne, bez prowizorki i uników.

Byłaś dzieckiem chcianym, Bóg mi świadkiem, mawiała kiedy indziej, pochylając się nad albumami moich zdjęć; te albumy pękały w szwach od niemowlaków, ale w miarę jak dorastałam, moje podobizny przerzedzały się, jakby populacja moich duplikatów została dotknięta jakąś zarazą. Mówiła to z pewnym żalem, jakbym zawiodła jej oczekiwania. Żadna matka nie odpowiada w idealnym stopniu wyobrażeniu dziecka o tym, jaka być powinna, i sądzę, że działa to również i w drugą stronę. Dogadywałyśmy się jednak nie najgorzej, w każdym razie nie gorzej niż większość matek i córek.

Szkoda, że jej tu nie ma, i że nie mogę jej tego powiedzieć.

Ktoś wyszedł z domu. Słyszę daleki odgłos zamykanych drzwi gdzieś z boku i kroki na ścieżce. To Nick, teraz już go widzę; zboczył ze ścieżki na trawnik, żeby powdychać wilgotne powietrze, duszne od kwiatów, nabrzmiałego mięzsza, pyłku wyrzucanego na wiatr garściami, jakby to były jajeczka ostryg w morzu. Całe to marnotrawstwo rozmnażania. Nick przeciąga się w słońcu, widzę wzdłuż jego ciała węzły mięśni, prężą się jak kot. Jest bez marynarki, gołe ręce wystają mu bezwstydnie z podwiniętych rękawów. W którym miejscu kończy się opalenizna? Nie rozmawiałam z nim od tamtego wieczoru w sennym krajobrazie zalanego światłem księżyca salonu. Jest jedynie moją flagą, moim semaforem. Język ciała.

W tej chwili ma czapkę na bakier, to znaczy, że Komendant mnie wzywa.

Ciekawe, co on za to ma, za tę rolę pазia. Jak się czuje, rajfurząc w ten dwuznaczny sposób Komendantowi? Czy napawa go to niesmakiem, czy może bardziej dzięki temu mnie pragnie? Ponieważ on nie ma pojęcia, co się tam naprawdę dzieje wśród tych książek. Wie tylko, że jakieś akty perwersji. Komendant i ja smarujemy się atramentem, a potem go z siebie zlizujemy albo się kochamy na stosach zakazanych gazet. No cóż, niewiele by się pomylił.

Daję głowę, że nie robi tego bezinteresownie. Każdy korzysta w ten czy inny sposób. Może dostaje za to jakieś ekstrapapierosy? Dodatkowe przywileje, zakazane dla innych? Tak czy siak, co mógłby nam udowodnić? Byłoby to po prostu jego słowo przeciwko słowu Komendanta, chyba żeby przyprowadził policję. Kopniakiem otworzyłyby wtedy drzwi i – proszę, a nie mówiłem? Złapałyby nas na gorącym uczynku, na grzesznej grze w scrabble. Tfu, wypluj te słowa.

Może mu po prostu sprawia satysfakcję to, że coś o mnie wie. Że – jak to mówią – ma na mnie haka. Takiej władzy można użyć tylko raz.

Chciałabym móc lepiej o nim myśleć.

Tej nocy, po tym, jak straciłam pracę, Łukasz chciał, żebyśmy się kochali. Dlaczego się wzbraniałam? Sama rozpacz powinna mnie ku temu skłaniać. Ale w dalszym ciągu byłam odrętwiała. Ledwie czułam na sobie dotyk jego rąk.

– Co się stało? – spytał.

– Nie wiem.

– Przecież w dalszym ciągu mamy... – powiedział. Ale nie

dokończył, co mamy w dalszym ciągu. Pomyślałam sobie, że nie powinien mówić „mamy”, skoro, o ile wiedziałam, jemu nie odebrano nic.

– W dalszym ciągu mamy siebie – dokończyłam za niego. Była to prawda. Dlaczego więc moje słowa zabrzmiały, nawet dla mnie, tak obojętnie?

Pocałował mnie, jakby teraz, kiedy to powiedziałam, wszystko mogło wrócić do normy. Ale coś się przesunęło, została naruszona równowaga. Czułam się jakby skurczona, tak że kiedy mnie objął, próbując do siebie przyciągnąć, byłam mała jak lalka. Miałam uczucie, że miłość idzie naprzód beze mnie.

Jemu to nie przeszkadza, pomyślałam, ani trochę. Może jest nawet zadowolony. Już nie należymy do siebie. To ja należę do niego.

Niegodnie, niesprawiedliwie, nieprawdziwie. Ale tak się właśnie stało.

A więc, Łukaszu, chciałabym cię teraz zapytać, bo muszę wiedzieć: czy miałam rację? Nigdy przecież na ten temat nie rozmawialiśmy. Kiedy był czas, bałam się. Nie mogłam sobie pozwolić na to, żeby cię stracić.

29

Siedzę w gabinecie Komendanta, po drugiej stronie biurka, w pozycji klienta, jakbym usiłowała wynegocjować w banku poważną pożyczkę. Ale niezależnie od mojej pozycji nasz wzajemny stosunek przestał mieć charakter formalny. Już nie siedzę sztywna, wyprostowana, z nogami równo ustawionymi na podłodze, z czujnym wzrokiem. Teraz jestem odprężona, a nawet swobodna. Czerwone pantofle zrzuciłam, nogi podwinęłam pod siebie. Wystają spod obrębka czerwonej spódnicy, to prawda, ale jednocześnie siedzę na nich jak przy ognisku w dawnych, piknikowych czasach. Gdyby tak jeszcze na kominku płonął ogień, to jego blask migotałby na gładkich powierzchniach i połyskiwał ciepło na naszych ciałach. A więc wzbogacam ten obraz o ogień w kominku.

Co do Komendanta, jest dziś swobodny aż do przesady. Zdjął marynarkę i podparł się łokciami. Do tego, żeby przedstawiał obraz wiejskiej demokracji jak na akwaforcie ze starej, popstrzonej przez muchy i nadpalonej książki, brakowało mu tylko wykałaczki w kąciku ust.

Kratki leżącej przede mną krzyżówki wypełniają się: rozgrywam przedostatnią partię tego wieczoru.

- Rzyć – literuję, wygodne słowo z jedną samogłoską.
- Jest takie słowo? – pyta Komendant.

– Możemy sprawdzić – mówię. – To jest słowo archaiczne.

– Niech będzie, zaliczam ci – uśmiecha się. Lubi, jak się staram, wykazując bystrość niby pilny psiak – uszy nastawione, pełna gotowość. Jego aprobata omywa mnie jak ciepła kąpiel.

Nie wyczuwam w nim żadnej niechęci, którą czasem wyczuwałam u mężczyzn, nawet u Łukasza. Nie mówi o mnie w myśli: ta kurwa. Tak naprawdę jest życzliwie ojcowski. Świadomość, że ta gra to dla mnie rozrywka, sprawia mu przyjemność; a jest to rozrywka, z pewnością.

Sprawnie oblicza nasze punkty na kieszonkowym komputerku.

– No, udało ci się – mówi. Podejrzewam, że oszukuje, żeby mi się przypodobać, żeby mnie wprowadzić w dobry humor. Ale dlaczego? To pytanie pozostaje bez odpowiedzi. Co mu z tego przyjdzie, że będzie mnie rozpieszczał? Coś mu pewnie przyjdzie.

Odchyła się do tyłu, czubki palców złączone, znam dobrze ten gest. Mamy już cały repertuar takich znajomych gestów, takich poufałości. Patrzy na mnie nie bez życzliwości, ale zarazem z ciekawością, jakbym była łamigłówką do rozwiązania.

– No, co dzisiaj poczytamy? – pyta. Co stało się już rutyną. Do tej pory przeczytałam „Mademoiselle”, jakiś stary numer „Esquire’a” z lat osiemdziesiątych, „Ms.”, to pismo, które mgliście pamiętam z rozlicznych mieszkań mojej matki z czasów, kiedy byłam dorastającą dziewczyną, i „Reader’s Digest”. Komendant ma nawet książki. Przeczytałam u niego jakiegoś Chandlera, a teraz jestem w połowie *Ciężkich czasów* Dickensa. Czytam szybko, po łebkach, dosłownie pozeram tekst, żeby przełknąć jak najwięcej przed następnym, długim okresem głodu. Gdyby chodziło o jedzenie, przypominałoby to obżarstwo wygłodzonego, gdyby to był seks – pospieszny, ukradkowy stosunek gdzieś w zaułku.

Kiedy czytam, Komendant obserwuje mnie, nic nie mówiąc, ale i nie spuszczając ze mnie wzroku. Ciekawe, ale to obserwowanie ma coś z aktu seksualnego i kiedy tak na mnie patrzy, czuję się, jakbym była naga. Chciałabym, żeby się odwrócił, wstał, poprzehadzał się po pokoju i sam coś poczytał. Wtedy bym się może odprężyła, zwolniła nieco tempo. A tak to moje zakazane czytanie nabiera charakteru jakiegoś przedstawienia.

– Ja bym raczej wolała porozmawiać – mówię. Jestem zdziwiona, słysząc te słowa z własnych ust.

Komendant znów się uśmiecha. Nie robi wrażenia zdziwionego. Może spodziewał się tego albo czegoś w tym rodzaju.

– Tak? A o czym byś chciała porozmawiać?

Waham się.

– O czymkolwiek. Choćby i o panu.

– O mnie? – dalej się uśmiecha. – O mnie nie ma tak znów wiele do powiedzenia. Jestem takim sobie zwykłym facetem.

Fałszywość tego stwierdzenia, a nawet fałszywość użycia samego słowa „facet” nagle mnie uderzyły. Zwykli faceci nie zostają Komendantami.

– Pan musi być w czymś dobry.

Wiem, że mu schlebiam, że mówię pod niego, i sama siebie za to nienawidzę, robi mi się niedobrze, to fakt. Ale prowadzimy szermierkę. Albo on mówi, albo ja. Wiem to, czuję, jak wzbierają we mnie słowa, tak dawno już z nikim normalnie nie rozmawiałam. Sucha, szeptana wymiana zdań z Gleną podczas naszego dzisiejszego spaceru właściwie się nie liczy; ale to pobudziło apetyt, stało się wstępem. Zasmakowawszy rozkoszy, choćby i takiej rozmowy, chcę więcej.

Ale jak już zacznę mówić, to powiem coś niewłaściwego, z czymś

się zdradzę. Czuję, jak to nadchodzi, ta zdrada siebie samej. Nie chcę, żeby wiedział za dużo.

– Ach tak, na początku zajmowałem się badaniem rynku – mówi nieśmiało. – A potem założyłem własną firmę.

Uświadamiam sobie, że chociaż wiem, iż on jest Komendantem, to nie wiem czego. Za co odpowiada, w jakiej jest, jak to mówią, branży. Oni nie mają żadnych specjalnych tytułów.

– Aha – mówię, starając się stworzyć wrażenie, że wiem, o co chodzi.

– Można powiedzieć, że jestem kimś w rodzaju uczonego – wyjaśnia. – Naturalnie do pewnego stopnia.

Potem przez jakiś czas w ogóle się nie odzywa, ja też milczę. Jedno stara się przetrzymać drugie.

Ja się łamię pierwsza.

– No cóż, może mógłby mi pan wyjaśnić pewną sprawę, nad którą się zastanawiałam.

Okazuje zainteresowanie.

– Mianowicie?

Wiem, że weszłam na śliską drogę, ale nie mogę się powstrzymać.

– Chodzi mi o takie zdanie, gdzieś je przeczytałam, nie wiem, gdzie. – Lepiej nie mówić, gdzie. – To jest chyba po łacinie i pomyślałam sobie, że może... – Wiem, że ma słownik łaciński. Ma różne słowniki, na najwyższej półce, na lewo od kominka.

– No, słucham – mówi. Z dystansem, ale zarazem i z większą czujnością. Czy może tak mi się wydaje?

– *Nolite te bastardes carborundorum* – recytuję.

– Co takiego? – pyta.

Nie wymówiłam tego we właściwy sposób. Nie umiem.

– Mogłabym to przeliterować – proponuję. – Napisać.

Waha się wobec tego nowego pomysłu. Może nie pamięta, że umiem pisać. Nigdy, będąc u niego, nie miałam w ręku pióra ani ołówka, nawet po to, żeby notować nasze wyniki. Kobiety nie potrafią dodawać – powiedział kiedyś żartem. Kiedy go zapytałam, co ma na myśli, odparł, że dla nich jeden plus jeden, plus jeden, plus jeden wcale nie jest cztery.

– A ile? – spytałam, spodziewając się, że powie pięć albo trzy.

– Po prostu jeden i jeden, i jeden, i jeden – odrzekł.

Ale tym razem mówi „w porządku” i rzuca mi przez biurko swój długopis niemal wyzywająco, jakby to był akt odwagi. Rozglądam się za czymś, na czym mogłabym mu to napisać, i Komendant podaje mi bloczek do notowania wyników z roześmianym słoneczkiem u góry. I pomyśleć, że jeszcze ciągle robią takie rzeczy.

Piszę starannie, drukowanymi literami, z głowy, to, co znalazłam we wnętrzu mojej szafy. *Nolite te bastardes carborundorum*. Tutaj, w tym kontekście, nie jest to ani modlitwa, ani rozkaz, jest to żaloszny napis, kiedyś nabazgrany na murze, a potem zapomniany. Trzymając między palcami długopis, mam zmysłowe doznanie, wydaje mi się on czymś żywym, czuję jego siłę, siłę słów, które w sobie zawiera. Długopis to zazdrość, mawiała Ciotka Lidia, cytując jeszcze jedno porzekadło rodem z Centrum, a zarazem ostrzegając przed takimi przedmiotami. Miała rację. Długopis to rzeczywiście zazdrość. Samo trzymanie go napawa zazdrością. Zazdroścę Komendantowi jego długopisu. To jeszcze jedna rzecz, którą miałabym ochotę ukraść.

Komendant bierze ode mnie kartkę z roześmianym słoneczkiem i patrzy na nią. A potem zaczyna się śmiać i... czyżby się

zarumienił?

– To nie jest prawdziwa łacina – mówi. – To taki żart.

– Żart? – pytam już teraz zaskoczona. Ale to przecież nie może być jedynie żart. Czyżbym podjęła takie ryzyko, sięgnęła po tę wiedzę jedynie dla żartu? – Jaki żart?

– Wiesz, jacy są chłopcy – mówi. Jego śmiech jest, teraz to widzę, pełen tęsknoty za dawnym sobą. Wstaje, podchodzi do półek i wyjmuję książkę ze swojego skarbca, nie jest to jednak słownik, tylko stara książka, coś w rodzaju podręcznika, z oślimi uszami i zaplamiona atramentem. Przed pokazaniem mi jej kartkuje książkę sam, wolno, z zastanowieniem. I wreszcie:

– O, tu – kładzie przede mną na biurku otwartą.

Przede wszystkim rzuca mi się w oczy czarno-biała ilustracja przedstawiająca Wenus z Milo, z wąsami, w czarnym biustonoszu i z niezdarnie dorysowanym owłosieniem pod pachami. Na przeciwległej stronie jest Koloseum rzymskie, podpisane po angielsku, a pod tym koniugacja: *sum, es, est, sumus, estis, sunt*.

– O, tu – pokazuje i widzę na marginesie wypisane tym samym atramentem, którym Wenus ma dorysowane włosy pod pachami, *Nolite te bastardes carborundorum*.

– Dla kogoś, kto nie zna łaciny, to wcale nie jest śmieszne – mówi. – Wypisywaliśmy najróżniejsze rzeczy tego rodzaju. Nie wiem, skąd je znaleźliśmy, pewnie od starszych chłopców. – Zapominając o mnie i o sobie, przewraca strony. – O, popatrz. – Obrazek jest podpisany „Sabinki”, a na marginesie ktoś nabazgrał: *hic, haec, hoc, huius, huius, huius...* Przerywa i wraca na ziemię, speszony. Znów się uśmiecha, tym razem, można powiedzieć, ironicznie. Wyobrażam sobie jego piegi, niesforny kosmyk włosów. W tej chwili niemal go lubię.

– Ale co to znaczyło? – pytam.

– Które? Aha, to znaczyło: „Nie dajcie się pognać sukinsynom”.
Wydawało nam się wtedy, że jesteśmy szalenie dowcipni.

Zmuszam się do uśmiechu, ale już wszystko jest dla mnie jasne. Zrozumiałam, dlaczego napisała to na ścianie szafy, ale jednocześnie nie mam wątpliwości, że nauczyła się tego tutaj, w tym pokoju. Bo gdzie indziej? Nigdy przecież nie była chłopcem. Tu z nim, w jakimś poprzednim okresie wspominków szkolnych i wymiany zwierzeń. A więc nie jestem pierwsza, która przełamała jego milczenie, zabawiała go dziecienną grą w słowa?

– Co się z nią stało? – spytałam.

– A czy w jakiś sposób ją znałaś? – odpowiada niespeszony.

– Można tak powiedzieć.

– Powiesiła się – mówi; w zadumie, bez smutku. – Dlatego zlikwidowaliśmy górne oświetlenie w twoim pokoju. – Przerywa. – Serena się zorientowała – dodaje, jakby to wszystko wyjaśniało. Bo też i wyjaśnia.

Jak ci zdechnie pies, to bierzesz sobie następnego.

– W jaki sposób? Na czym? – pytam.

Ale Komendant nie chce mi podsuwać żadnych pomysłów.

– A czy to ważne? – Prawdopodobnie na podartym prześcieradle, domyślam się. – Nawet się nad tym zastanawiałem.

– Pewnie Cora ją znalazła – mówię. – I dlatego tak wrzeszczała.

– Tak – odpowiada. – Biedna dziewczyna. – Ma na myśli Corę.

– Może nie powinnam tu więcej przychodzić.

– Myślałem, że ci to sprawia przyjemność – mówi lekko, ale nie spuszcza ze mnie oczu, które stały się uważne, bystre. Gdybym była naiwna, pomyślałabym, że to strach. – Chciałbym, żeby tak było.

– Pan chce, żeby moje życie było dla mnie znośne? – mówię. Brzmi to nie jak pytanie, tylko beznamiętne stwierdzenie; beznamiętne i płaskie. Bo jeśli moje życie jest znośne, to może mimo wszystko to, co oni robią, jest w porządku.

– Tak – mówi. – Chcę. Byłbym zadowolony.

– Aha. – To zmienia postać rzeczy. Mam teraz na niego haka. A tym hakiem jest moja ewentualna śmierć. I jego wina. Wreszcie.

– Co byś chciała? – pyta mnie, w dalszym ciągu lekkim tonem, jakby to była jedynie zwykła transakcja handlowa, i to błaża: cukierki, papierosy.

– To znaczy poza emulsją do rąk, tak?

– Poza emulsją do rąk – przytakuje.

– Chciałabym... Chciałabym wiedzieć. – Moje słowa brzmią niezdecydowanie, a nawet głupio, mówię to bez zastanowienia.

– Wiedzieć co? – pyta.

– To, co można wiedzieć. – Wypada to zbyt impertynencko. – Co jest grane.

XI

NOC

30

Zapada noc. Czy może już zapadła. Dlaczego noc zapada, a nie wstaje, jak ranek? A przecież kiedy spojrzeć na wschód, o zachodzie słońca, widać, jak noc wstaje, a nie zapada; ciemność dźwiga się w górę, ku niebu, od horyzontu, jak czarne słońce za zasłoną chmur. Jak dym z niewidzialnego ognia, linii ognia tuż pod linią horyzontu – pożar lasu, płonące miasto. Może noc zapada, ponieważ jest ciężka – gruba zasłona zaciągnięta na oczy.

Wełniany koc. Szkoda, że tak mało widzę w nocy.

A więc zapadła noc. Czuję, jak mnie przygniata niby kamień. Cisza, nawet najmniejszego podmuchu wiatru. Siedzę przy uchylonym oknie; zasłony są odsunięte, ponieważ na zewnątrz nie ma nikogo, nie ma się kogo wstydzić. Nocna koszula – nawet w lecie z długimi rękawami – żeby nas ustrzec przed pokusą własnego ciała, żebyśmy się nawet same nie obejmowały gołymi ramionami. Nic nawet nie drgnie w reflektorach księżycowego światła. Zapachy ogrodu biją jak ciepło od ludzkiego ciała, w ogrodzie muszą być nocne kwiaty, tak silny jest ich zapach. Widzę go niemal, w postaci czerwonego promieniowania, płynącego w górę jak rozedrgane powietrze nad asfaltem autostrady w południe.

Tam za oknem, na trawniku, w kałuży mroku pod wikliną, wyłania się jakaś postać i przekracza linię światła – z długim

cieniem mocno przytwierdzonym do obcasów. Czy to Nick, czy ktoś inny, nieważny? Zatrzymuje się, spogląda w moje okno, widzę biały owal jego twarzy. Nick. Patrzymy na siebie nawzajem. Ja nie mam róży, żeby mu rzucić, on nie ma lutni. Ale pragnienie jest to samo.

Pragnienie, którego nie mogę zaspokoić. Zaciągam lewą część zasłony; zapada między nas, przecinając moją twarz, i po chwili Nick odchodzi za róg, w niewidzialność mroku.

Komendant mówił prawdę. Jeden i jeden, i jeden, i jeden to wcale nie jest cztery. Każde jeden pozostaje czymś odrębnym. Nie da się ich połączyć, wymienić jednego na drugie. Nie mogą się nawzajem zastąpić. Nick Łukasza czy Łukasz Nicka. Słowo „powinien” nie ma tu zastosowania.

– Nie masz wpływu na to, co czujesz – powiedziała kiedyś Moira – ale możesz mieć wpływ na swoje zachowanie.

Czyli że wszystko w porządku.

Najważniejszy jest kontekst, czy może to dojrzałość? Jedno albo drugie.

Nocą poprzedzającą opuszczenie przez nas domu, tej ostatniej nocy, chodziłam po pokojach. Nic nie było spakowane, ponieważ niewiele ze sobą braliśmy, a poza tym nie mogliśmy w najmniejszy nawet sposób zdradzić się, że wyjeżdżamy. Chodziłam więc z kąta w kąt, gapiąc się na różne rzeczy, na życie, jakie sobie stworzyliśmy. Przyszło mi do głowy, że dzięki temu później będę pamiętała, jak to wszystko wyglądało.

Łukasz był w saloniku. Wziął mnie w ramiona. Oboje czuliśmy się nieszczęśliwi. Skąd mieliśmy wiedzieć, że nawet wtedy byliśmy jeszcze szczęśliwi? Bo mieliśmy przynajmniej tyle: ramiona, którymi mogliśmy się obejmować.

– A kot? – powiedział wtedy Łukasz.

– Kot? – spytałam z twarzą ukrytą w jego swetrze.

– Przecież nie możemy go tutaj tak po prostu zostawić.

Nie pomyślałam o kocie. Żadne z nas nie pomyślało. Nasza decyzja była nagła, planowanie zaczęło się potem. Musiałam po prostu przyjąć za oczywiste, że kotka jedzie z nami. Ale przecież nie mogła, jak tu wziąć kota w całodzienną podróż przez granicę?

– To nie zamykajmy jej w domu – zaproponowałam. – Przecież możemy zostawić ją na zewnątrz.

– Będzie się pętała i miauczała pod drzwiami. Ktoś się zorientuje, że wyjechaliśmy.

– To dajmy ją komuś. Komuś z sąsiadów. – Ale zanim skończyłam mówić, zorientowałam się, co plotę.

– Ja się tym zajmę – zaofiarował się Łukasz. Ale ponieważ powiedział „tym”, zamiast „nią”, wiedziałam, że postanowił ją zabić. To jest właśnie to, co musisz zrobić, zanim zabijesz.

Stworzyć jakieś „to”; tam gdzie nie było do tej pory nic. Najpierw stwarzasz coś takiego w swojej głowie, a potem nadajesz temu realną postać. A więc tak oni to robią – pomyślałam. Jakbym tego nigdy do tej pory nie wiedziała.

Łukasz wyciągnął kotkę, która schowała się pod naszym łóżkiem. – Zwierzęta zawsze wiedzą – i poszedł z nią do garażu.

Nie mam pojęcia, co z nią zrobił, i nigdy go o to nie spytałam.

Siedziałam w jadalni z założonymi rękami. Powinnam była z nim iść, wziąć na siebie choćby cząstkę odpowiedzialności.

A przynajmniej spytać go o to po wszystkim, żeby nie dźwigał tego ciężaru sam, bo ta mała ofiara, to przemilczenie w imię miłości, to też było dla mnie.

To jest właśnie jedna z tych rzeczy, które oni robią. Zmuszają do tego, żeby człowiek zabijał sam w sobie.

Okazało się to bezcelowe. Ciekawe, kto nas sypnął. Mógł to być ktoś z sąsiadów, kto akurat widział, jak rano wyruszamy samochodem, i doniósł, żeby się komuś zasłużyć. A może człowiek, który nam załatwiał paszporty – dlaczego nie wziąć pieniędzy dwa razy – wtyczka wśród fałszerzy paszportów, pułapka na nieostrożnych. Oczy Boga obejmują całą kulę ziemską.

Bo one były w pogotowiu, czekały na nas. Chwila zdrady jest najgorsza, chwila, w której ponad wszelką wątpliwość wiesz, że zostałeś zdradzony, że jakaś druga ludzka istota życzy ci aż tak źle.

To jakby człowiek siedział w windzie, którą ktoś odciął na górze. Spadasz, spadasz i nie wiesz, kiedy uderzysz o ziemię.

Usiłuję ich wywołać – żeby podnieść się na duchu – stamtąd, gdzie są. Muszę pamiętać, jak wyglądają. Pragnę zatrzymać pod powiekami ich twarze, jak zdjęcia w albumie. Ale oni nie chcą tkwić tam nieruchomo, kręcą się, widzę uśmiech, który po chwili znika, ich rysy zwijają się, wyginają jak płonący papier, pochłania ich ciemność. Przebłysk, leciutkie drganie powietrza; poświata, łuna, taniec elektronów, a potem znów twarz, twarze. Ale one zanikają, mimo że wyciągam do nich ręce, wymykają mi się jak duchy z nastaniem dnia. Wracają tam, skąd przyszły. Zostańcie ze mną – mam ochotę powiedzieć. Ale oni nie zostaną.

To moja wina. Za dużo zapominam.

Dziś wieczór odmówię moje modlitwy.

Ale już nie tak jak wtedy, przy łóżku, z kolanami na twardych deskach podłogi sali gimnastycznej. W dwuskrzydłowych drzwiach Ciotka Elizabeth z założonymi rękami i prętem elektrycznym, takim jak na bydło, u paska. Ciotka Lidia przechadza się pomiędzy

rzędami klęczących kobiet w nocnych koszulach, poszturchując nas lekko w plecy, stopy, pośladki czy ramiona – jest to zaledwie muśnięcie, dotyk drewnianej linijki, kiedy któraś z nas się zgarbi czy pochyli. Chodzi o to, żeby nasze głowy były pochylone właściwie, palce u nóg złączone i wyciągnięte, łokcie zgięte pod odpowiednim kątem. Częściowo jej zainteresowanie tą sprawą wynikało z pobudek estetycznych: lubiła patrzeć, jak wyglądamy. Chciała, żebyśmy przypominały coś w stylu anglosaskim, jak rzeźba nagrobna; jak zastępy aniołów z kart świątecznych, w naszych sukniach. Ale Ciotka знаła także duchową wartość dyscypliny cielesnej, wysiłku mięśni: ból, choćby niewielki, uszlachetnia – mawiała.

A myśmy się modliły o to, byśmy były puste, byśmy były godne napełnienia: łaską, miłością, wyrzeczeniem, nasieniem, dziećmi.

O Boże, Królu wszechświata, dzięki Ci, że nie stworzyłeś mnie mężczyzną.

O Boże, oczyść mnie. Uczyni mnie płodną. Umartw moje ciało, abym mogła się rozmnożyć. Niech zostanę wypełniona...

Niektóre z dziewcząt taka modlitwa porywała. Popadały w ekstazę ponizenia. Jęczały i płakały.

– Nie trzeba robić z siebie przedstawienia, Janino – powiedziała Ciotka Lidia.

Modłę się tam, gdzie siedzę, przy otwartym oknie, i patrzę z za zasłony na pusty ogród. Nawet nie zamykam oczu. Tam na zewnątrz i w mojej głowie panuje ta sama ciemność. Albo światło.

Mój Boże. Który jesteś w Niebie, czyli w duchu.

Proszę Cię, wyjaw mi swoje imię, to znaczy prawdziwe imię. Choć właściwie „Ty” wystarczy za wszystko.

Proszę Cię, wyjaw mi swoje zamiary. Ale jakiegokolwiek one są,

daj mi siłę, bym wytrzymała. Aczkolwiek to, co się dzieje, z pewnością nie dzieje się za Twoją sprawą; ani przez chwilę nie wierzę, że Ty tego chciałeś.

Mam dość chleba powszedniego, więc nie będę traciła na to czasu. To nie jest najważniejszy problem. Problem polega na tym, żeby go przełknąć i się nie zadławić.

A teraz przebaczenie. Nie trudź się przebaczeniem mi właśnie w tej chwili. Są rzeczy ważniejsze. Na przykład: czuwaj nad bezpieczeństwem innych, o ile są bezpieczni. Niech zbyt wiele nie cierpią. Jeśli mają umrzeć, spraw, aby stało się to szybko. Mógłbyś im nawet zapewnić niebo. Do tego nam jesteś potrzebny. Piekło zapewniamy sobie sami.

Powinnam też powiedzieć, że przebaczam tym, którzy to wszystko zrobili i robią dalej. Spróbuję, ale to nie jest łatwe.

A teraz pokusa. W Centrum pokusa nie wykraczała poza sferę jedzenia i spania. Wiedza to pokusa. – Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal – mawiała Ciotka Lidia.

Być może tak naprawdę to ja nie chcę wiedzieć, co się dzieje. Może wolę nie wiedzieć. Może nie mogłabym tej wiedzy udźwignąć. Upadek pierwszego człowieka było to przejście od nieświadomości do wiedzy.

Za wiele myślę o żyrandolu, chociaż go już nie ma. A może by hak w szafie... Rozważałam wszystkie możliwości. Wystarczyłoby tylko przywiązać się i rzucić do przodu bezwładnie.

Ocal nas od złego.

No i wreszcie Królestwo Boże, moc i chwała. Trzeba wielkiego wysiłku, żeby w to uwierzyć właśnie teraz. Ale mimo to spróbuję. W Bogu nadzieja – jak piszą na nagrobkach.

Musisz się czuć bardzo rozdarty. Pewnie nie po raz pierwszy.

Na Twoim miejscu miałabym tego dość. Naprawdę chce się rzygać od tego wszystkiego. Ale na tym pewnie polega różnica między Tobą a mną.

Przemawiając tak do Ciebie, czuję się zupełnie nierzeczywista. Czuję się, jakbym mówiła do ściany. Chciałabym, żebyś mi odpowiedział. Jestem taka samotna.

Żeby tak chociaż zadzwonić. Chyba że dzwonkiem. A zresztą, gdybym nawet miała telefon, i tak nie miałabym do kogo zadzwonić.

O Boże, to nie żart. O Boże, o Boże! Jak dalej żyć?

XII

„U JEZEBEL”

31

Co wieczór, idąc spać, mam zawsze to samo uczucie – że rano obudzę się w moim własnym domu i wszystko będzie jak dawniej.

Ale i tego ranka tak się nie stało.

Wkładam ubranie, letnie, jest w dalszym ciągu lato – tak jakby się wszystko zatrzymało na lecie. Lipiec: duszne dni i noce jak sauna, trudno spać. Pilnuję się bardzo, żeby nie stracić ciągłości.

Powinnam wydrapywać znaki na ścianie, na każdy dzień tygodnia, a potem, jak uzbieram siedem, połączyć je linią. Ale właściwie po co, przecież to nie wyrok, tu nie ma żadnego określonego czasu, który można odsiedzieć i mieć to z głowy. W końcu wystarczy przecież zapytać i będę wiedziała, co to za dzień. Wczoraj na przykład był Czwarty Lipca, dawne Święto Niepodległości, obecnie zniesione. Pierwszy września, Dzień Pracy, zachowali^[*]. Choć nie miał on nic wspólnego z macierzyństwem.

Ale ja określam czas za pomocą Księżyca. Księżycowy, nie słoneczny.

Schylam się, żeby zasznurować moje czerwone pantofle; teraz nosimy trochę lżejsze obuwie, z dyskretnymi szparkami, oczywiście nie tak śmiałe jak sandały. To schylanie się sprawia mi trudność; pomimo ćwiczeń czuję, jak moje ciało stopniowo poddaje się, odmawia posłuszeństwa. Tak sobie kiedyś wyobrażałam późną

starość. Wydaje mi się, że nawet chodzę jak staruszka – pochylona, z kręgosłupem wygiętym w znak zapytania, z kośćmi odwapnionymi i porowatymi jak wapień. Kiedy sobie w czasach młodości wyobrażałam wiek podeszły, myślałam, że człowiek, mając niewiele czasu, bardziej sobie różne rzeczy ceni. Zapomniałam o spadku energii. Są dni, kiedy rzeczywiście bardziej sobie cenię takie rzeczy jak na przykład jajka czy kwiaty, ale zawsze potem uświadamiam sobie, że to tylko atak sentymentalizmu, że wszystko blaknie, staje się pastelowe, jak cukierkowe widokówki przedstawiające zachód słońca, których tyle produkują w Kalifornii.

Nie daj Boże, żeby to zszarzało.

Chciałabym, żeby tu, w tym pokoju, podczas kiedy się ubieram, był ze mną Łukasz – żebyśmy się z nim mogła pokłócić. To bzdura, ale tego bym właśnie pragnęła. Marzy mi się kłótnia o to, kto włoży brudne naczynia do maszyny, czyja kolej przygotować bieliznę do prania, umyć klozet; coś codziennego i błahaego w wielkim, ogólnym planie. Moglibyśmy się nawet kłócić o to, co ważne, a co nieważne. Cóż to byłby za luksus. Nic dlatego, żebyśmy się tak znów często kłócili. Obecnie odtwarzam z wyobraźni wszystkie te nasze nieporozumienia, i te pojednania po nich też.

Siedzę w fotelu, a wieniec na suficie unosi się nad moją głową jak zamrożona aureola, zero. Dziura w przestrzeni kosmicznej tam, gdzie eksplodowała gwiazda. Krąg na wodzie w miejscu, gdzie wrzucono kamień. Wszystkie rzeczy białe i koliste. Czekam, aż dzień się rozwinie, aż ziemia się obróci zgodnie z okrągłą, nieubłaganą twarzą zegara. Geometryczne dni, które idą w koło, gładko, jak naoliwione. Z górną wargą pokrytą kroplami potu

czekam na nieuchronne jajko, które będzie miało letnią temperaturę tego pokoju i zielonkawą błonkę na żółtku, i lekki zapaszek siarki.

Tego samego dnia, później, z Gleną podczas naszej wyprawy po zakupy.

Idziemy do kościoła, jak zwykle, i patrzymy na groby. A potem do Muru. Dzisiaj wisi tylko dwóch: katolik, chociaż nie ksiądz, naznaczony krzyżem odwróconym do góry nogami, i członek jakiejś sekty, której nie znam. Ciało jest oznaczone tylko literą Ż – czerwoną. Ale to nie oznacza Żyda; dla Żydów były żółte gwiazdy. A zresztą zostało ich już niewiele. Jako synom Jakuba, a więc szczególnie uprzywilejowanym, dano im wybór: mogą się nawrócić albo emigrować do Izraela. Jeśli wierzyć oficjalnym źródłom, wielu z nich już wyjechało. Widziałam nawet w telewizji statek pełen Żydów: wychyleni przez relingi, w swoich czarnych chałatach i kapeluszach, z długimi brodami, w ubraniach jakby przeniesionych z przeszłości, starali się wyglądać jak najbardziej po żydowsku. Kobiety w szalach na głowach, machające z uśmiechem, ale trochę jakby sztywno, to prawda, jakby pozowały do zdjęcia, i drugie ujęcie przedstawiające bogatszych Żydów, jak stoją w kolejce do samolotu. Glena twierdzi, że także jacyś inni ludzie się pod nich podszywali, ale to by nie było takie proste ze względu na testy, jakie trzeba było przejść, no i na obostrzenia, jakie ostatnio zostały wprowadzone.

Ale przecież nie wiesz się ludzi jedynie za to, że są Żydami. Wieszają tylko tych, co robią dużo szumu i nie chcą dokonać wyboru. Albo tych, co udają, że chcą się nawrócić. I to też pokazywali w telewizji: nocne najścia, wyciąganie spod łóżek ukrytych skarbów, takich jak Tory, tałesy, gwiazdy Dawida. No

i ich właścicieli – niepokornych ludzi o zaciętych twarzach, poustawianych przez Oczy pod ścianami, gdy spiker zbolałym głosem mówi nam o ich perfidii i niewdzięczności.

A więc to „Ż” nie oznacza Żyda. A co może oznaczać? Przedstawiciela jakiejś innej sekty? Obojętne – cokolwiek oznacza, ten człowiek nie żyje.

Po tych rytualnych oględzinach ruszamy w dalszą drogę, szukając jak zwykle jakiejś otwartej przestrzeni, żeby porozmawiać. O ile to można nazwać rozmową – te urywane szepty nadawane przez tunele naszych białych skrzydeł. Bardziej przypomina to telegraf, słowną sygnalizację. Amputowany język.

Nigdy nie możemy zatrzymać się na dłużej w jednym miejscu. Nie chcemy, żeby nas nakryto na wałęsaniu się.

Dzisiaj udajemy się w przeciwnym kierunku niż „Zwoje Duchowe”, w stronę czegoś w rodzaju parku, z dużym starym budynkiem, ozdobnym, późnowiktoriańskim, z witrażami. Nazywano to „Przybytkiem Pamięci”, choć nigdy nie wiedziałam czyjej. Pewnie jakichś zmarłych ludzi.

Moira mówiła mi kiedyś, że dawniej, za czasów uniwersytetu, mieściła się tu stołówka studencka.

– Jak wchodziła tam kobieta, rzucali w nią bułkami – powiedziała.

– Dlaczego? – spytałam. Z biegiem lat Moira stawała się skarbnicą takich anegdot. Nie bardzo mi się podobał jednak taki krytyczny stosunek do przeszłości.

– Żeby ją zmusić do wyjścia – wyjaśniła.

– Może to miało znaczyć tyle co rzucanie orzeszkami ziemnymi w słońca – skomentowałam.

Moira roześmiała się – do tego zawsze była skora.

– Egzotyczne potwory – powiedziała.

Stoimy więc i patrzymy na ten budynek, który z kształtu bardziej przypomina kościół, katedrę. Glona mówi:

– Podobno tutaj Oczy urządzają sobie bankiety.

– Kto ci to powiedział? – pytam. W pobliżu nie ma nikogo, możemy mówić swobodniej, ale z przyzwyczajenia ściszymy głosy.

– Poczta pantoflowa – wyjaśnia. Przerywa, spogląda na mnie z ukosa, widzę białą smugę, kiedy porusza skrzydłami. – Mamy hasło – mówi.

– Hasło? – pytam. – Po co?

– Żeby można było ustalić, kto jest, a kto nie jest. – Nie bardzo widzę, po co mi to w tej chwili do wiadomości, ale jednak pytam:

– A jakie to hasło?

– Mayday – odpowiada. – Kiedyś próbowałam go na tobie.

– Mayday – powtarzam. Przypominam sobie ten dzień. *M'aidez*.

– Nie używaj go bez wyraźnej potrzeby – mówi Glona. – Powinno się wiedzieć jak najmniej o innych ludziach z organizacji. Tak jest bezpieczniej w razie wypadki.

Trudno mi traktować poważnie te szeptaki, te rewelacje, chociaż w danym momencie zawsze w nie wierzę. Dopiero później wydają się nieprawdopodobne, nawet dziecinne, jak różne zabawy – na przykład w klub dziewczynek czy nasze sekrety w szkolnych czasach. Albo powieści szpiegowskie, które czytałam w weekendy, zamiast się uczyć, czy jak oglądanie późnego programu telewizyjnego. Hasła, rzeczy, o których nie należy mówić, ludzie ukrywający swą tożsamość, ciemne powiązania: nie wydaje się, aby taka miała być naprawdę postać świata. Ale to moja własna iluzja, kac pozostały po tej wersji rzeczywistości, którą poznałam w poprzednim czasie.

I organizacja. Robota organizacyjna – jedno z wyrażeń mojej matki, zatęchły żargon przeszłości. Nawet po sześćdziesiątce robiła coś, co w ten sposób nazywała, chociaż, o ile wiem, sprowadzało się to do zjedzenia lunchu w towarzystwie jakiejś innej kobiety.

Zostawiam Glenę na rogu.

– Do zobaczenia – mówi. Odpływa chodnikiem, a ja idę w stronę domu. Zastaję tam Nicka z czapką na bakier; dziś nawet na mnie nie patrzy. Musiał jednak czekać, żeby mi przekazać tę milczącą wiadomość, bo jak tylko stwierdził, że go zobaczyłam, machnął jeszcze raz irchą po karoserii tornada i szybko poszedł do garażu.

Idę zwirowaną ścieżką pomiędzy skrawkami jaskrawej zieleni. Serena Joy siedzi pod wierzbą w swoim fotelu, obok pod ręką ma opartą łaskę. Jej sukienka to chłodna, marszczona bawełna. Ona nosi błękity, pastelowe, nie tę naszą czerwień, która wchłania żar i jednocześnie nim bucha. Siedzi profilem do mnie, robi na drutach. Jak ona może znieść dotyk wełny w taki upał? Ale może jej skóra jest drętwa, może nic nie czuje, jak po oparzeniu.

Spuszczam wzrok, przemykam się koło niej, w nadziei, że jestem niewidoczna; wiem, że i tak zostanę zignorowana. Ale nie tym razem.

– Freda – mówi Serena.

Zatrzymuję się, niepewna.

– Tak, ty.

Zwracam ku niej mój oślepiiony wzrok.

– Podejdz no, tutaj do mnie. Jesteś mi potrzebna.

Idę przez trawę i staję przed nią, patrząc w ziemię.

– Możesz usiąść – mówi. – O tu, weź sobie tę poduszkę.

Potrzebna mi pomoc przy zwijaniu wełny. – Serena pali papierosa, popielniczka stoi w trawie, obok filiżanka kawy albo herbaty. –

Tam w środku jest cholernie duszno. Brakuje świeżego powietrza – objaśnia. – Siadam i stawiam koszyk – znów te truskawki, znów te kurczęta – zauważam też słowo „cholernie”: coś nowego. Zakłada pasmo wełny na moje wyciągnięte, rozstawione ręce i zaczyna zwijać. Jestem na smyczy, przynajmniej tak to wygląda, zakuta w kajdany; czy może raczej zasnuta pajęczyną. Wełna jest szara i wchłonęła wilgoć z powietrza, przypomina mokrą pieluchę, pachnie lekko wilgotną owcą. Przynajmniej będę miała ręce przesiąknięte lanoliną.

Serena zwija wełnę, papieros w kąciku jej ust żarzy się, wydzielając kuszący dym. Zwija powoli, z trudem, z powodu postępującej niesprawności rąk, ale z determinacją. Być może robienie na drutach wymaga od niej siły woli; może jest nawet bolesne. Może zalecił jej to lekarz: dziesięć rządków dziennie prawych oczek, dziesięć lewych. Ale ona musi robić więcej. Widzę teraz te wiecznie zielone drzewa i geometryczne dziewczynki i chłopców w innym świetle – jako świadectwo jej uporcu, i to nie byle jakiego.

Moja matka nie robiła na drutach, ani nic w tym stylu. Ale ilekroć przynosiła rzeczy z pralni, jakieś lepsze bluzki czy zimowe płaszcze, wyjmowała z nich agrafki i łączyła je w łańcuch. Następnie gdzieś ten łańcuch przypinała, żeby nie pogubić agrafek – do łóżka, do poduszki, do oparcia krzesła, do kuchennych rękawic – po czym o nim zapominała. A ja się na niego natykałam – to tu, to tam, w domu, w domach; ślady jej obecności, świadectwo jakiejś zagubionej intencji, jak znak drogowy ustawiony przy drodze, która prowadzi donikąd. Atawistyczne pragnienie ciepła domowego.

– No i co – mówi Serena. Przystaje zwijać, choć moje ręce wciąż tkwią w girlandzie zwierzęcej sierści, i wyjmuję z ust papierosa, żeby go zdusić. – Jeszcze nic?

Wiem, co ma na myśli. Tematów, na które mogłybyśmy rozmawiać, my dwie, jest nie tak wiele. W ogóle niewiele mamy wspólnego, poza tą jedną tajemniczą i delikatną sprawą.

– Nie – odpowiadam. – Nic.

– To niedobrze. – Trudno mi wyobrazić ją sobie z dzieckiem. Ale przecież i tak zajmowałyby się nim Marty. Chciałaby już jednak, żebym zaszła w tę ciążę, żeby już było po wszystkim i żeby miała mnie z głowy. Dość upokarzającej kotłowaniny spoconych ciał, dość trójkątów pod jej gwiaździstym baldachimem w srebrne kwiaty. Cisza i spokój. Nie wyobrażam sobie, żeby chciała mi życzyć takiego szczęścia z jakiegokolwiek innego powodu.

– Twój czas się kończy – mówi. To nie pytanie, to rzeczowe stwierdzenie faktu.

– Tak – odpowiadam obojętnie.

Zapala następnego papierosa, próbując wykrzesać ogień z zapalniczki. Z rękami Sereny jest wyraźnie coraz gorzej. Ale zaoferowanie jej pomocy byłoby błędem, poczułaby się urażona. Błędem byłoby dostrzeżenie w niej jakiegokolwiek słabości.

– A może to jego wina – mówi.

Nie wiem, kogo ma na myśli. Komendanta czy Boga? Gdyby mówiła o Bogu, powiedziałałaby „wola”. Tak czy siak, to herezja. Wina może być tylko po stronie kobiety, bo tylko kobiety bywają uszkodzone, niepełnowartościowe, uparcie zamknięte.

– Właśnie – mówię. – Może.

Podnoszę na nią wzrok. Spuszcza głowę. Po raz pierwszy od dawna patrzyłyśmy sobie w oczy. Od kiedyśmy się poznały. Ta

chwila przedłuża się między nami, posępna, monotonna. Serena usiłuje wybadać, czy dorosłam do sytuacji.

– Może – mówi, trzymając papierosa, którego nie udało jej się zapalić – może powinnaś spróbować w jakiś inny sposób.

To znaczy jak? – na czworakach?

– W jaki inny sposób? – pytam. Muszę być poważna.

– Z innym mężczyzną.

– Przecież pani wie, że mi nie wolno. – Staram się nie zdradzić mojego rozdrażnienia. – To by było niezgodne z prawem. Pani się chyba orientuje, co za to grozi.

– Tak – mówi Serena. Jest na wszystko przygotowana, przemyślała sprawę gruntownie. – Wiem, że oficjalnie byś nie mogła. Ale takie rzeczy się robi. Nawet często. Cały czas.

– To znaczy z lekarzami? – mówię; przypominają mi się współczujące piwne oczy, dłoń bez rękawiczki. Ostatnim razem był jakiś inny lekarz. Może tamtego złapali na gorącym uczynku, może jakaś kobieta na niego doniosła. Choć i tak by jej nie uwierzyli bez dowodów.

– Niektóre na to idą – mówi Serena teraz już niemal uprzejmie, choć z dystansem; zupełnie jakbyśmy dobierały kolor lakieru do paznokci. – Warrena tak załatwiła sprawę. Oczywiście za wiedzą Żony. – Robi pauzę, żeby ta informacja do mnie dotarła. – Ja też bym ci pomogła. Już moja w tym głowa, żeby wszystko było w porządku.

Zastanawiam się.

– Ale nie z lekarzem.

– Nie – zgadza się ze mną i przynajmniej w tej chwili jesteśmy kumpelkami, mógłby tu być stół kuchenny, a my mogłybyśmy omawiać szczegóły jakiejś randki, dziewczęce fortele i flirty. – Oni

czasem szantażują. Ale przecież to nie musi być lekarz. Może być ktoś zaufany.

– Kto? – pytam.

– Miałam na myśli Nicka – mówi głosem niemal łagodnym. – Pracuje u nas od bardzo dawna. Jest lojalny. Mogłabym to z nim załatwić.

Aha, więc to on jej robi różne drobne czarnorynkowe zakupy. Ciekawe, czy zawsze dostaje w zamian coś takiego.

– A co z Komendantem? – pytam.

– No cóż – mówi stanowczo; więcej – z mocą, jakby zatrzasnęła portmonetkę. – Przecież mu o tym nie powiemy, prawda?

Ten pomysł wisi pomiędzy nami, niemal widzialny, niemal namacalny; ciężki, bezkształtny, ciemny; rodzaj zмовы, zdrady. Serena bardzo chce tego dziecka.

– To niebezpieczne – protestuję. Ryzykuję życie, ale i tak ryzykuję, czy to zrobię, czy nie. Tyle wiemy obie.

– Co za różnica – mówi Serena. A ja myślę dokładnie to samo.

– W porządku – zgadzam się. – Dobrze.

Serena pochyla się.

– Może mogłabym coś dla ciebie zrobić? – pyta. No tak, byłam grzeczna. – Spełnić jakieś twoje życzenie – dodaje niemal przymilnie.

– Jakie życzenie? – Nie przychodzi mi do głowy nic takiego, na czym by mi rzeczywiście zależało, a co chciałaby czy mogła mi dać.

– Zdjęcie – wyjaśnia, jakby robiła przyjemność dziecku – obiecywała mu loda czy wycieczkę do zoo. Znów spoglądam na nią zaskoczona.

– Jej zdjęcie – dodaje. – Twojej małej. Ale to nic pewnego.

Wie zatem, co z nią zrobili, gdzie ją trzymają. Wiedziała cały

czas. Coś mnie dusi w gardle. Co za suka – żeby mi nie powiedzieć, nie przekazać żadnych wiadomości, nawet nie puścić pary z ust. Jest z drewna, z żelaza, bez odrobiny wyobraźni. Ale nie mogę tego powiedzieć. Nie mogę przegapić nawet takiego drobiazgu. Nie mogę się pozbawić choćby i takiej nadziei. Nie mogę mówić.

Teraz Serena się uśmiecha, nawet kokieteryjnie – wspomnienie dawnego wcielenia, gwiazdy małego ekranu, przemknęło przez jej twarz jak chwilowe zakłócenie.

– Jest na to za gorąco, nie uważasz? – Zdejmuje z moich rąk motek wełny, który trzymałam do tej pory. Następnie bierze papierosa, którym się zabawiała, i trochę niezdarnie wciska mi go do ręki, zamykając na nim moje palce. – Skombinuj sobie zapalkę – dodaje. – Są w kuchni, poproś Ritę, żeby ci dała. Możesz jej powiedzieć, że ja kazałam. Ale tylko jedną – podkreśla z szelmowską miną. – Chodzi o twoje zdrowie!

[*] Labor Day (ang.) – dzień pracy; *labor* znaczy również poród.

32

Rita siedzi w kuchni przy stole. Przed nią szklana salaterka, w której pływają kostki lodu. Wśród nich unoszą się kwiatki z rzodkiewek, róże czy może tulipany. Na desce też rzodkiewki, które Rita kroi swoimi dużymi, sprawnymi, obojętnymi rękami. Reszta jej ciała jest nieruchoma, twarz też. Wygląda, jakby to robiła we śnie, tę sztuczkę z nożem. Na białej emaliowanej powierzchni piętrzą się rzodkiewki, umyte, ale niepokrojone. Małe azteckie serca.

Kiedy wchodzę, ledwie podnosi wzrok.

– Dostałaś wszystko? – Patrzy, jak wydaję paczki.

– Czy mogę sobie wziąć zapałkę? – pytam. To dziwne, jak przez swoją groźną minę, swoją obojętność potrafi sprawić, że czuję się wobec niej zebrzącym dzieckiem, natrętnym i skomlącym.

– Zapałki? A po co ci zapałki?

– Powiedziała, że mogę sobie wziąć zapałkę – odpowiadam, nie chcąc się przyznać do papierosa.

– Kto powiedział? – Podejmuje krojenie rzodkiewek, nie wypadając z rytmu. – Po co ci zapałki? Jeszcze spalisz dom.

– Możesz iść i ją spytać, jak chcesz – mówię. – Siedzi tam na trawniku.

Rita wznosi oczy do nieba, jakby wzywała na pomoc jakieś bóstwo. Następnie wzdycha, wstaje ciężko i ostentacyjnie wyciera

ręce w fartuch, żeby mi pokazać, ile jej sprawiam kłopotu. Nie spiesząc się, podchodzi do wiszącej nad zlewem szafki, szuka w kieszeni kluczy, otwiera drzwiczki.

– W lecie trzymam je tutaj – mówi jakby do siebie. – W taką pogodę nietrudno o ogień. – Przypominam sobie, że od kwietnia, w chłodniejsze dni, w salonie i w jadalni rozpala ogień Cora.

Zapałki są z drewna, w tekturowych, zasuwanych pudełeczkach, które tak bardzo były mi kiedyś potrzebne na szuflady dla lalek. Rita otwiera pudełko, zagląda do niego, jakby się zastanawiała, którą zapałkę mi dać.

– Jej sprawa – mamrocze. – I tak nic jej nie można powiedzieć. – Sięga swoją dużą łapą, wybiera zapałkę i wręcza mi ją. – Tylko czego nie podpal – mówi. – Uważaj na zasłony w swoim pokoju. Straszny upał.

– Nie podpalę – zapewniam ją. – Nie po to ją biorę.

Nie zniży się nawet do tego, żeby mnie spytać, po co mi ta zapałka.

– Mnie tam wszystko jedno, możesz ją nawet zjeść. Jak ona mówi, że mam ci dać, to ci daję.

Rita odwraca się ode mnie i znów siada przy stole. Następnie wyławia ze szklanej miski kostkę lodu i wrzuca ją sobie do ust. To niezwykle jak na nią. Nigdy nie widziałam, żeby podczas pracy podjadała.

– I ty możesz sobie wziąć kostkę lodu. To wstyd, że w taki upał każą wam nosić na głowie te wszystkie poszewki na poduszki.

Jestem zdziwiona: nigdy mnie niczym nie częstowała. Może uważa, że jeśli awansowałam na tyle, że mi dają zapałkę, to i ona może sobie pozwolić na mały gest w stosunku do mnie. Czyżbym się stała nagle kimś, kogo należy przekupywać?

– Dziękuję – mówię. Ostrożnie wkładam zapałkę do rękawa zasuwanego na zamek błyskawiczny, tam, gdzie wsadziłam papierosa, żeby nie zawilgł, biorę kostkę lodu. – Jakie ładne są te rzodkiewki – dodaję w rewanżu za prezent, który mi dała z własnej woli.

– Jak coś robię, to lubię robić dobrze, i tyle – odpowiada, znów opryskliwie. – Inaczej to nie ma sensu.

Idę korytarzem, potem po schodach na górę, spieszę się. W wypukłym lustrze, obok którego się przemykam, widzę kątem oka czerwony kształt, smugę czerwonego dymu. Owszem, mam głowę nabitą dymem, czuję go już niemal w ustach, czuję, jak go wciągam do płuc, jak mnie wypełnia długim, gęstym, brudnym, cynamonowym haustem, a potem nagły szok, kiedy nikotyna dostaje się do krwi.

Po tak długiej przerwie może mi się zrobić niedobrze. W każdym razie by mnie to nie zdziwiło. Ale nawet ta myśl jest mi miła.

Idę więc korytarzem – gdzie mam to zrobić? W łazience, puściwszy wodę dla odświeżenia powietrza? W sypialni, wypuszczając przez otwarte okno kłęby łapczywie wciąganego dymu? Kto mnie na tym złapie? Kto wie?

Ale nawet pławiąc się w tej wizji przyszłości i smakując w ustach rozkosz oczekiwania, myślę o czymś innym.

Nie muszę palić tego papierosa.

Mogłabym go poszarpać na kawałki i spuścić w klozecie. Albo zjeść i w ten sposób się sztachać, tak też można, po troszku, oszczędzając resztę na później.

W ten sposób zostałaaby mi zapałka. Zrobiłabym małą dziurkę w materacu i wsunęła ją tam ostrożnie. Tego by nikt nie zauważył. Leżałaby tam sobie pode mną, w nocy, a ja bym na niej spała.

Mogłabym podpalić dom. Co za wspaniała myśl, aż mnie przejmuje dreszczem.

Ucieczka, szybka i niebezpieczna.

Leżę na łóżku i udaję, że śpię.

Wspominam ostatni wieczór. Komendant siedzi, palce ma złączone, patrzy, jak wcieram w ręce oleistą emulsję. Dziwne – pomyślałam, żeby go poprosić o papierosa, ale w końcu się rozmyślałam. Nie jestem głupia, wiem, że nie należy żądać zbyt wiele naraz. Nie chcę, żeby pomyślał, że go wykorzystuję. A poza tym nie chcę mu przeszkadzać.

Wczoraj wieczorem popijał whisky z wodą sodową. Nabrał zwyczaju popijania przy mnie, żeby się rozluźnić po całym dniu, jak mówi. Z tego wnoszę, że jest napięty. Nigdy mnie jednak nie częstuje, a ja się nie dopominam: oboje wiemy, czemu ma służyć moje ciało. Kiedy go całuję na dobranoc, tak jakby to było szczere, jego oddech pachnie alkoholem, a ja ten zapach wdycham, jak dym papierosowy. Przyznaję, że ta odrobina rozpuszty sprawia mi przyjemność.

Czasami, po kilku drinkach, zaczyna się wygłupiać i oszukuje w scrabble. Zachęca mnie nawet, żebym robiła to samo, i wtedy dobieramy litery i tworzymy z nich nieistniejące słowa, jak mędry i skrapuł, i chichoczymy. Czasami nastawia radio i przez minutę czy dwie słuchamy Radia Wolna Ameryka – chce mi pokazać, na co może sobie pozwolić. – Cholerni Kubańcy – mówi. – Całe to pieprzenie o powszechności przedszkoli.

Czasami, po zakończeniu gry, siada na podłodze koło mojego krzesła i trzyma mnie za rękę. Jest wtedy nieco niżej i żeby na mnie spojrzeć, zadziera głowę do góry. Musi go bawić ta udawana

podległość.

Komendant ma wysoką pozycję – jak twierdzi Glena. Jest na szczycie, to znaczy na samym szczycie.

W takich chwilach trudno sobie to wszystko wyobrazić.

Od czasu do czasu usiłuję postawić się w jego sytuacji. Robię to ze względów taktycznych – żeby z góry ustalić, jak się będzie wobec mnie zachowywał. Nie mogę uwierzyć, że mam nad nim jakąkolwiek władzę, ale mam, choć jest to władza dwuznaczna. Czasem wydaje mi się, że widzę siebie, choć niezbyt ostro, jego oczyma. Rzeczy, których chce mi dowieść, dary, które chce mi ofiarować, przysługi, które chce wyświadczać, czułości, które chce prowokować.

Owszem, zwłaszcza po kilku drinkach.

Są chwile, kiedy staje się kłótniwy, to znów popada w nastrój filozoficzny; albo próbuje mi wyjaśniać różne rzeczy, usprawiedliwia się. Jak choćby wczoraj.

– Główny problem wcale nie dotyczył kobiet, tylko mężczyzn. Bo już nic dla nich nie zostało.

– Nic? – dziwię się. – Ale przecież oni mieli...

– Nie mieli już nic do roboty – wyjaśnia Komendant.

– Mogli na przykład zarabiać pieniądze – mówię trochę złośliwie. Akurat w tej chwili się go nie boję. Trudno się bać mężczyzny, który siedzi i gapi się, jak smarujesz sobie ręce. Ale ten brak lęku jest niebezpieczny.

– To mało. To zbyt abstrakcyjne. Mam na myśli, że nie mieli co robić z kobietami.

– W jakim sensie? – pytam. – A te wszystkie sklepy porno, wszędzie było tego pełno, nawet objazdowe.

– Nie mówię o seksie – odpowiada. – To tylko część zagadnienia,

seks stał się zbyt dostępny. Każdy mógł go sobie kupić. Nie było się po co wysilać, o co walczyć. Mamy statystyki z tamtych czasów. Wiesz, na co się głównie skarżyli mężczyźni? Że nic nie czują. Uciekali od seksu. Uciekali od małżeństwa.

– A teraz coś czują?

– Tak – mówi, patrząc na mnie. – Czują. – Wstaje, okrąża biurko i podchodzi do krzesła, na którym siedzę. Kładzie mi ręce na ramionach, od tyłu. Nie widzę go.

– Lubię wiedzieć, co myślisz – słyszę jego głos za sobą.

– Myślę niewiele – odpowiadam lekko. Zależy mu na intymności między nami, ale tego mu dać nie mogę. – Po co ja mam w ogóle myśleć? Przecież to nie ma żadnego znaczenia.

Dzięki temu może mi mówić różne rzeczy.

– Ale wiele rozumiesz. – Naciska nieco moje ramiona. – Interesuje mnie twoje zdanie. Jesteś wystarczająco inteligentna, żeby je mieć.

– Zdanie na jaki temat? – pytam.

– Na temat tego, cośmy zrobili. I co z tego wynikło.

Staram się być bardzo spokojna. I opróżnić swój umysł. Myślę o niebie, nocą, kiedy nie ma księżyca.

– Ja nie mam żadnego zdania – mówię.

Wzdycha, zwalnia ucisk, ale nie zdejmuje rąk z moich ramion. I tak wie, co myślę.

– Nie usmażysz omletu, nic tłukąc jajek – mówi. – Myśleliśmy, że nam pójdzie lepiej.

– Lepiej? – pytam ściszone głosem. Jak on może myśleć, że tak jest lepiej?

– „Lepiej” nigdy nie znaczy lepiej dla wszystkich – mówi. – Zawsze dla niektórych jest gorzej.

Leżę płasko – nade mną warstwa wilgotnego powietrza jak wieko. Jak ziemia. Chciałabym, żeby zaczęło padać. A jeszcze lepiej, żeby była burza, z piorunami, z czarnymi chmurami, z błyskawicami, z ogłuszającym hukiem. Mogliby wyłączyć elektryczność. A wtedy zeszłabym do kuchni, powiedziała, że się boję, usiadłabym sobie z Corą i Ritą przy stole, a one zrozumiałyby ten mój strach, jedyny, jaki ze mną dzielą, i wpuściłyby mnie. W kuchni paliłyby się świece, a my byśmy obserwowały nawzajem swoje twarze, jak zanikają i wyłaniają się w migotliwym świetle, w białych, ostrych błyskach. O Boże – mówiłaby Cora. – Boże, miej nas w swojej opiece.

Powietrze stałoby się potem czystsze i lżejsze.

Patrzę w sufit, na girlandę gipsowych kwiatów. Narysuj kółko, wejdź w nie, to kółko cię ochroni. Ze środka zwisał żyrandol, a z żyrandola linka skręcona z podartego prześcieradła. Na tym właśnie kołysała się, lekko, jak wahadło; tak jak w dzieciństwie ja sama huśtałam się nieraz, uwieszona gałęzi drzewa. Była wtedy bezpieczna, chroniona, dopóki Cora nie otworzyła drzwi. Czasem wydaje mi się, że dalej jest tu ze mną.

Czuję się pogrzebana.

33

Późne popołudnie, niebo zamglone, słońce się sączy ciężkie, wszechobecne, jak pył z brązu. Suniemy z Gleną chodnikiem, stanowimy parę, przed nami inna para; po drugiej stronie ulicy jeszcze jedna. Musimy ładnie wyglądać z daleka, malowniczo, jak holenderskie dójki na tapecie, jak półka pełna ceramicznych solniczek i pieprzniczek w kształcie postaci w strojach z epoki, jak flotylla łabędzi – cokolwiek, co się powtarza; byle z wdziękiem i bez żadnych zmian. Miłe dla oka, dla oczu, Oczu, bo to przecież dla nich ten pokaz. Idziemy na Modliwil, żeby zademonstrować, jak jesteśmy posłuszne i pobożne.

Nigdzie w polu widzenia nawet jednego mlecza, trawniki wyskubane do czysta. A ja marzę choćby o jednym, tylko jednym, beczelnym, przypadkowym mleczu, trudnym do wyplenienia, co roku żółtym jak słońce. Radosnym i plebejskim, świecącym jednakowo dla wszystkich. Wiłyśmy z nich wianki i naszyjniki, przypłacając to poplamieniem sobie palców mleczkiem. Albo wkładałam jej kwiatek pod brodę. Lubisz mleczko? – pytałam. Wąchając kwiat, zawsze musiała sobie ubrudzić czubek nosa żółtym pyłkiem. Albo dmuchawce: widzę ją, jak biegnie przez trawnik, ten właśnie, który mam przed sobą, dwu- czy trzyletnia, i wymachuje dmuchawcem jak sztucznym ogniem; małym berłem białego płomienia, a wokół powietrze wypełnia się maleńkimi

spadochronami. Zdmuchnij, a dowiesz się, która godzina. Cały ten czas jakby zdmuchnięty przez letni wietrzyk. A stokrotki to miłość. Wróżyłyśmy sobie z płatków.

Stoimy w kolejce – jak okiem sięgnąć pary i pary – do punktu kontrolnego. Wyglądamy jak żeńska szkoła prywatna, która wyszła na spacer i zabawiła zbyt długo. Za długo o całe lata, dlatego wszystko jest wyrosnięte: nogi, ciała, sukienki. Jesteśmy jak zaczarowane. Bajka, w którą chciałabym uwierzyć. Ale niestety: sprawdzają nas, dwójkami, i idziemy dalej.

Po chwili skręcamy w prawo, mijamy „Lilie” i kierujemy się dalej, w stronę rzeki. Marzy mi się, żeby pójść aż tam, gdzie są szerokie plaże, gdzie wylegiwaliśmy się kiedyś na słońcu, gdzie nad nurtem wznoszą się mosty. Idąc dalej wzdłuż koryta rzeki, wzdłuż jej sprężystych zakrętów, doszłoby się wreszcie do morza, ale co z tego? Co by tam człowiek robił, poza zbieraniem muszelek i wylegiwaniem się na mokrych kamieniach?

Ale my nie idziemy nad rzekę, nie zobaczymy małych kopulek, wieńczących budynki po drodze, białych, z niebieskimi i ze złotymi szlaczkami – przejaw niewinnej radości. Zatrzymujemy się przed nowocześniejszym budynkiem z wielkim, rozciągniętym nad drzwiami transparentem głoszącym: **DZIŚ MODLIWIL DLA KOBIET**. Transparent zasłania poprzednią nazwę budynku – nazwisko prezydenta, którego zastrzelili. Pod czerwonym napisem mniejszy, czarny, ze skrzydlatym okiem po bokach: **BÓG TO NAJWYŻSZE DOBRO NARODU**. Przy drzwiach po dwóch nieodzownych strażników z każdej strony, w sumie czterech, z bronią u boku i wzrokiem wbitym przed siebie. Przypominają manekiny sklepowe, gładko uczesani, w wyprasowanych mundurach i o gipsowo martwych młodych twarzach. Dziś nie ma

pryszczatych. Każdy z nich ma w pogotowiu pistolet maszynowy, na wypadek jakichś niebezpiecznych czy wywrotowych działań wewnątrz, o które nas podejrzewają.

Modliwil będzie się odbywać w krytym patio o wydłużonym kształcie i szklanym suficie. Nie jest to Modliwil dla całego miasta, ten odbywa się na stadionie, tylko dzielnicowy. Wzdłuż prawego boku ustawiono rzędy składanych krzeseł dla Żon i córek wysoko postawionych funkcjonariuszy i oficerów – tu nie ma wielkich różnic. Wyżej, na galeriach z betonowymi poręczami są miejsca przeznaczone dla niżej postawionych kobiet; Mart i Gospożon w ich kolorowych, pasiastych sukniach. Dla nich obecność nie jest obowiązkowa, zwłaszcza kiedy mają służbę czy małe dzieci, ale i tak galerie się zapełniają. Przypuszczam, że jest to dla nich coś w rodzaju rozrywki, jak teatr czy cyrk.

Wiele Żon, ubranych w najlepsze haftowane błękity, już siedzi. Wchodząc z przeciwnej strony, parami, w naszych czerwonych sukienkach, czujemy na sobie ich wzrok. Jesteśmy oglądane, oceniane, jesteśmy tematem szeptów – czujemy to wszystko jak maleńkie mrówki na gołej skórze.

Tutaj nie ma krzeseł. Przestrzeń przeznaczona dla nas jest odgrodzona jedwabistą, czerwoną liną, taką samą, jakiej używano w kinach dla powstrzymania publiczności. Ta lina jest narzędziem segregacji, oddziela nas od innych, chroniąc ich przed skażeniem, jakim grozi kontakt z nami, robi dla nas coś w rodzaju zagrody czy corralu – wchodzimy tam więc, ustawiając się w wiadomy nam sposób, rzędami, i klękamy na betonowej podłodze.

– Idź do tyłu – mamrocze koło mnie Glena. – Będzie nam lepiej rozmawiać.

Kiedy klękamy, z lekko pochylonymi głowami, słyszę wokół

siebie jakby brzęczenie owadów w wysokiej suchej trawie: otacza nas chmura szeptów. To jest jedno z tych miejsc, gdzie możemy nieco swobodniej wymieniać informacje, przekazując je jedna drugiej. Trudno się zorientować, która to z nas właśnie mówi i co. A poza tym nie chcieliby zakłócać uroczystości, zwłaszcza w obecności kamer telewizyjnych.

Glena daje mi łokciem kuksańca w bok, żeby zwrócić moją uwagę, a ja spoglądam powoli, ukradkiem. Z tego miejsca mamy doskonały widok na wejście, którym bez przerwy napływają ludzie. Glena najwyraźniej pokazuje mi Janinę; bo oto właśnie wchodzi Janina, w parze z jakąś inną dziewczyną, nie tą, co zwykle, bo jej nie poznaję. Co świadczy o tym, że Janina została przeniesiona do nowego domu, na nową placówkę. To jakoś za wcześnie, czyżby z jej pokarmem stało się coś złego? Byłby to bowiem jedyny powód takiego przeniesienia, chyba że wybuchła jakaś awantura o dziecko, co się zdarza częściej, niż można by sobie wyobrazić. Mogła nie chcieć go oddać. Tak, tak musiało być. Pod czerwoną sukienką robi wrażenie bardzo szczupłej, niemal wychudzonej, i straciła ten blask, który ją opromieniał, kiedy była w ciąży. Twarz ma bladą i mizerną, jakby z niej wyssano wszystkie soki.

– Nie udało się – mówi Glena gdzieś tuż koło mojej głowy. – Mimo wszystko był to zbuk.

Ma na myśli dziecko Janiny, dziecko, które przez nią przeszło w drodze dokądś. Dziecko o imieniu Angela. Był to błąd: za szybko dali jej imię. Czuję w dołku wzbierające mdłości. Nie, nie mdłości, pustkę. Nie chcę wiedzieć, co się stało z tym dzieckiem.

– O Boże – mówię – przejść przez to wszystko i nic. Właściwie gorzej niż nic.

– To jej drugie – mówi Glena. – Nie licząc jej własnego,

przedtem. Poroniła w ósmym miesiącu, nie wiedziałaś?

Patrzemy, jak Janina wchodzi na teren odgradzony liną, spowita w welon własnego nieszczęścia. Widzi mnie, musi mnie widzieć, ale patrzy przeze mnie na wylot. Tym razem nie ma tryumfalnego uśmiechu na twarzy. Odwraca się, klęka i teraz widzę już tylko jej plecy i chude pochylone ramiona.

– Ona uważa, że to jej wina – szepcze Glena. – Bo miała jedno po drugim. Kara za grzech. Mówią, że zrobiła to z lekarzem, to nie było jej Komendanta.

Nie mogę się przyznać, że wiem, bo Glena zacznie się dziwić, skąd. W jej przekonaniu ona jest jedynym moim źródłem tego typu informacji, których ma zadziwiająco dużo. Ale skąd może wiedzieć o Janinie? Od Mart? Od dziewczyny, która towarzyszy Janinie przy zakupach? Może podsłuchuje Żony, kiedy plotą przy herbacie czy winie. Ciekawe, czy Serena Joy będzie tak o mnie mówiła, kiedy zrobię to, do czego mnie namawia? „Zgodziła się od razu, w gruncie rzeczy było jej wszystko jedno, byleby miał dwie nogi i dobrego wiecie-co. One nie są wybredne, nie czują tak jak my”. A reszta, przejęta zgrozą i niezdrową ciekawością, nachyla się w fotelach. Mój Boże, jak ona mogła? Kiedy? Gdzie?

Jak to niewątpliwie było w przypadku Janiny.

– To straszne – mówię. Choć myślę, że to bardzo w jej stylu: wziąć to wszystko na siebie, uznać, że wady dziecka to tylko jej wina. Ludziom najtrudniej się przyznać, że ich życie nie ma żadnego znaczenia. Żadnego celu. Żadnej treści.

Pewnego ranka, podczas ubierania, zauważyłam, że Janina jeszcze ciągle jest w białej bawełnianej nocnej koszuli. I że siedzi sobie po prostu na brzegu łóżka.

Spojrzałam w stronę dwuskrzydłowych drzwi sali gimnastycznej,

gdzie zwykle stała Ciotka, żeby się przekonać, czy to widzi, ale Ciotki nie było. Wtedy już trochę bardziej nam ufały; czasem zostawiały nas na chwilę bez dozoru w klasie czy nawet w kafeterii. Prawdopodobnie poszła zapalić czy napić się kawy.

– Popatrz – powiedziałam do Almy, która spała koło mnie.

Alma spojrzała na Janinę. A następnie obie do niej podeszłyśmy.

– Ubieraj się – powiedziała Alma do jej białych pleców. – Nie chcemy mieć przez ciebie dodatkowych modlitw. – Ale Janina ani drgnęła.

Wtedy zdążyła już podejść do niej Moira. Było to, zanim uciekła po raz drugi. Jeszcze utykała po tym, co jej zrobili w stopy.

Obeszła łóżko dokoła, tak żeby widzieć twarz Janiny.

– Chodźcie no tutaj – zwróciła się do mnie i do Almy. Inne dziewczęta też zaczęły podchodzić i po chwili zebrał się tłumek. – Idźcie stąd – poleciła im Moira. – Nie róbcie z tego sprawy, chcecie, żeby ona przylazła?

Patrzyłam na Janinę. Oczy miała szeroko otwarte, ale mnie nie widziała. Te oczy były okrągłe, wielkie; jej zęby zaś obnażone w jakimś zastygłym uśmiechu. Poprzez ten uśmiech, przez zęby, Janina coś do siebie szeptała. Musiałam się nad nią nisko pochylić, żeby to usłyszeć.

– Hej – mówiła, ale nie do mnie. – Mam na imię Janina. Dziś rano jestem twoją pokojówką. Czy mogę ci na początek podać kawę?

– Chryste! – powiedziała Moira tuż koło mnie.

– Nie wzywaj imienia Chrystusa – zwróciła jej uwagę Alma.

Moira złapała Janinę za ramiona i potrząsnęła nią.

– Obudź się, Janino – powiedziała szorstko – i nie używaj tego słowa.

Janina uśmiechnęła się.

– Ładny dziś dzień – wymamrotała.

Moira wymierzyła jej policzek, dwukrotnie, raz i dwa.

– Wracaj! – krzyknęła. – Wracaj natychmiast! Jesteś tutaj, nie tam. To wszystko już się skończyło.

Uśmiech Janiny zgasł. Uniosła rękę do policzka.

– Za co mnie uderzyłaś? – spytała. – Czy nie była dobra? Mogę ci przynieść drugą. Nie musiałaś mnie bić.

– Czy ty nie wiesz, co oni z tobą zrobią? – Moira mówiła cicho, ale szorstko, stanowczo. – Spójrz na mnie. Mam na imię Moira, to jest Czerwone Centrum. Spójrz na mnie.

Wzrok Janiny stał się przytomniejszy.

– Moira? – zdziwiła się. – Ja nie znam żadnej Moiry.

– Nie wyślą cię do infirmerii, nie masz co o tym marzyć – zapewniła ją Moira. – Nie będą sobie zawracali głowy żadnym leczeniem. Nawet nie zadadzą sobie trudu, żeby cię wyekspediować do Kolonii. Jeśli do tego dojdzie, wezmą cię po prostu do laboratorium chemicznego i tam cię zastrzelą. A potem cię spalą razem ze śmieciami jak niekobietę. Więc lepiej daj spokój.

– Ja chcę do domu – powiedziała Janina i zaczęła płakać.

– Jezu – westchnęła Moira. – Dość tego. Zobaczysz, ona tu za chwilę będzie. Dobrze ci radzę: włóż na siebie te cholerne ciuchy i zamknij się.

Janina wprawdzie szlochała dalej, ale wstała i zaczęła się ubierać.

– Jak powtórzy ten numer, a mnie już tu nie będzie – zwróciła się do mnie Moira – musisz jej wtedy tak samo dać w gębę. Nie możesz jej pozwolić tak się załamywać. To jest zaraźliwe.

Już wtedy musiała planować swoją ucieczkę.

34

Miejsca siedzące w patio są już zajęte; szuramy nogami i czekamy. Wreszcie wchodzi Komendant odpowiedzialny za przebieg ceremonii. Jest łysiejący, krępy i wygląda jak podstarzały trener futbolu. Ma na sobie mundur w nobliwym czarnym kolorze, z rzędami dystynkcji i odznaczeń. Robi to wrażenie, ale ja się temu nie poddaję i wyobrażam go sobie w łóżku z Żoną i Podręczną, którą zapładnia jak szalony, niby łoś podczas tarła, i jak udaje, że mu to nie sprawia przyjemności. Kiedy Pan powiedział, żeby ludzie się rozmnażali, czy miał na myśli tego mężczyznę?

Komendant wchodzi po stopniach na podium, obite czerwonym materiałem, z wyhaftowanym wielkim białym skrzydlatym okiem. Obrzuca wzrokiem zebranych i nasze szepty cichną. Nie musi nawet unosić rąk. Po chwili jego głos wpada do mikrofonu, a następnie wychodzi przez głośniki, już z obciętymi niskimi tonami, tak że brzmi ostro, metalicznie, jakby nie był produkowany przez jego usta, jego ciało, tylko przez same głośniki. Ten głos ma kolor metalu, a kształt rogu.

– Dzisiaj jest dzień dziękczynienia – zaczyna – dzień pochwały.

Udaje mi się jakoś nie słyszeć przemówienia na temat zwycięstwa i poświęcenia. Potem odmawiamy długą modlitwę o niegodnych naczyniach i wreszcie śpiewamy hymn: *Jest balsam w Gileadzie*.

Moira zwykle śpiewała: „Jest bomba w Gileadzie”.

Teraz następuje główny punkt programu. W asyście honorowej wchodzi dwudziestu Aniołów, którzy właśnie, świeżo udekorowani, wrócili z różnych frontów – maszerują raz-dwa, raz-dwa w stronę pustego miejsca pośrodku. Baczność, spoczniej. W tym momencie dwadzieścia córek, podtrzymywanych za łokcie przez matki, w welonach i w bieli, występuje nieśmiało do przodu. Bo to matki, a nie ojcowie, wydają dziś za mąż swoje córki, to one je wyswatały. Bo małżeństwa są oczywiście kojarzone. Tym dziewczętom od lat nie wolno było przebywać sam na sam z mężczyzną; przez te lata, od kiedy to wszystko się zaczęło.

Czy są dostatecznie duże, żeby coś pamiętać z czasu minionego? Jak ubrane w dzinsy i tenisówki grywały w baseball czy jeździły na rowerze? Jak niekontrolowane przez nikogo czytały książki? Mimo że niektóre z nich nie mają więcej niż czternaście lat – trzeba je szybko wprowadzać w życie, taka jest polityka, nie ma chwili do stracenia – to przecież będą pamiętać. I te, co przyjdą po nich też – przez trzy, cztery czy pięć lat; a potem zapomną. Dla nich zawsze będzie ta biel, te dziewczęta, w grupach, milczące.

– Daliśmy im więcej, niż zabraliśmy – powiedział Komendant. – Pomyśl tylko o problemach, jakie dawniej miały kobiety. Zapomniałaś już o barach dla samotnych, o ponizających randkach „w ciemno” w szkolnych czasach? Handel żywym towarem. I ta straszliwa przepaść między tymi, które mogły sobie łatwo znaleźć partnera a tymi, które nic mogły. Jedne z rozpaczły głodziły się, żeby schudnąć, to znów inne wstrzykiwały sobie do piersi silikon, obcinały nosy i tak dalej. Pomyśl o tej całej ludzkiej nędzy.

Machnął ręką w stronę stosu starych pism.

– Zawsze narzekały. A to taki problem, a to siaki. Pamiętasz te

ogłoszenia w dziale „matrymonialne”? „Inteligentna, przystojna, lat trzydzieści pięć...”. W ten sposób każda znajdowała w końcu partnera, ale co z tego, zawsze mogła zostać sama z jednym czy z dwójką dzieci, kiedy mu się po prostu znudziła. Facet zniknął, a ona z dziećmi – na zasilek. Albo wtedy, gdy taki co prawda zostawał, lecz bijął ją i dzieci. Czy wtedy, gdy matka pracowała, dzieci szły do żłobka albo trafiały w ręce jakiejś okropnej ciemnej baby i za to wszystko biedne kobiety musiały jeszcze płacić ze swoich nędznych zarobków. Pieniądz był jedynym miernikiem wartości, dla wszystkich, a kobiety jako matki nie cieszyły się żadnym szacunkiem. Nic dziwnego, że uciekały od swoich obowiązków. Nie tak jak teraz, kiedy są pod wszechstronną opieką i mogą w spokoju wypełniać swoje biologiczne posłannictwo. Z pełnym poparciem i zachętą. Powiedz mi. Jesteś inteligentna, ja się naprawdę liczę z twoim zdaniem. Co takiego przeoczyliśmy?

– Miłość – powiedziałam.

– Miłość? – zdziwił się Komendant. – Jaką miłość?

– Zakochanie się – odparłam.

Komendant spojrzał na mnie swoimi szczerymi, chłopięcymi oczami.

– No tak – rzekł. – W pismach o tym właśnie trąbili. Ale popatrz na statystykę, moja droga. Czy rzeczywiście jest o co robić szum? Zakochanie. Małżeństwa kojarzone sprawdzały się z reguły nie gorzej, jeśli nie lepiej od małżeństw z miłości.

– Miłość – mówiła z niesmakiem Ciotka Lidia. – Nie chciałabym którejs z was na tym złapać. Żadnych obmacywanek, żadnych randek przy księżycu, dziewczęta. – I groziła nam przy tym palcem. – Nie o miłość chodzi.

– Te czasy, mówiąc historycznie, to była anomalia – powiedział

Komendant. – Taki wyskok. Myśmy po prostu tylko przywrócili naturalny porządek rzeczy.

Kobiece Modliwile odbywają się zwykle z okazji ślubów grupowych. Męskie służą uczczeniu sukcesów militarnych. Jedne i drugie mamy traktować jako nasze największe rozrywki. Czasem jednak okazją do kobiecego Modliwilu bywa tak zwane zrzućcie sukni przez którąś z zakonnice. Szczególnie dawniej, kiedy urządzano na nie regularne obławy. Ale teraz od czasu do czasu wyciągają je z podziemia, gdzie się kryją niby krety, które zresztą przypominają z wyglądu: prawie niewidome, oślepięte ostrym światłem. Stare z miejsca wysyłają do Kolonii, ale młode, płodne, próbują nawrócić i kiedy im się to uda, wszystkie przybywamy tutaj, by posłuchać, jak uroczyście wyrzekają się swego celibatu, poświęcając go na ołtarzu ogólnego dobra. Klękają wtedy, podczas gdy Komendant się modli, a potem wkładają czerwone welony, tak jak kiedyś my. One też nie mogą zostać Żonami; w dalszym ciągu są uważane za zbyt niebezpieczne, niegodne tak wysokiej pozycji. Traktowane są jako coś w rodzaju czarownic, mają w sobie coś tajemniczego i egzotycznego, co w nich pozostaje mimo zabiegów oczyszczających, których śladem są pręgi na stopach, mimo czasu, który spędziły w Samotni. Jak wieść niesie, wszystkie mają te pręgi i wszystkie doświadczyły odosobnienia – nie poddają się łatwo. Niejedna dobrowolnie wybiera Kolonie. Żadna z nas nie chce wylosować takiej nawróconej zakonnicy na partnerkę w zakupach. Są jeszcze dokładniej złamane niż my; trudno czuć się swobodnie w ich towarzystwie.

Matki poustawiały dziewczęta w białych welonach na wyznaczonych miejscach i wróciły na swoje krzesła. Widać, jak

popłakują, poklepują się wzajemnie, ściskają sobie ręce, ostentacyjnie używając chusteczek do nosa. Komendant dalej prowadzi nabożeństwo:

„Niechaj kobiety stroją się w skromne szaty – mówi – a wstydlivość i wstrzemięźliwość niechaj im towarzyszą, niech nie zaplatają włosów, unikają złota, pereł i kosztownych ubiorów. Niech (jak przystoi niewieście bogobojnej) stroją się w cnoty. Niech kobieta uczy się w milczeniu i z całym poddaniem. – Tu spogląda po nas. – Z całym – powtarza – poddaniem. Niech się nie waży pouczać czy wynosić ponad mężczyznę, jej sprawą jest milczeć. Albowiem Adam został stworzony pierwszy, a dopiero potem Ewa. I to nie Adam dał się zwieść, lecz kobieta, popełniając tym samym wykroczenie. Pomimo to jednak może zostać zbawiona przez urodzenie dziecka, o ile żyć będzie w wierze, miłosierdziu, świątobliwości i wstrzemięźliwości.

Zbawiona przez urodzenie dziecka, myślę. Ciekawe, na co liczyliśmy, chcąc być zbawione w poprzednim czasie?

– Niech to mówi Żonom – mamrocze Glena – kiedy sobie popijają sherry. – Ma na myśli to, co mówił o wstrzemięźliwości. Już znów można rozmawiać. Komendant skończył główną część ceremonii, teraz jest nakładanie obrączek, podnoszenie welonów.

Bzdura – myślę. Dobrze się przyjrzyj, bo już jest za późno. Aniołowie będą się później ubiegali o Podręczne, zwłaszcza kiedy się okaże, że te nowe Żony są bezpłodne. Ale wy, dziewczyny, jesteście załatwione. Bierzecie, co wam dają, z dobrodziejstwem inwentarza. Tyle że nie musicie ich kochać. Bardzo szybko się zresztą o tym przekonacie. Macie po prostu w milczeniu spełniać swój obowiązek. A w razie wątpliwości, kiedy leżycie płasko powalone na obie łopatki, to zawsze możecie sobie popatrzeć

w suficie. Kto wie, co tam zobaczą? Wieńce pogrzebowe i anioły, konstelacje pyłu, gwiazdowego czy innego, rebusy pozostawione przez pająki. Dociekliwy umysł zawsze ma się czym zająć.

Czy coś jest nie tak, kochanie? – jak mówi stary kawał.

– Nie. A bo co?

– Bo się poruszyłaś.

Po prostu się nie ruszać.

– Główny cel – jak twierdzi Ciotka Lidia – to rozbudzenie wśród kobiet ducha koleżeństwa. Musimy działać zespołowo.

– Gówno nie koleżeństwo – mówi Moira przez dziurę w ścianie klozetu. – Gadaj zdrów. Idę o zakład, że rzuciła Janinę na kolana. Ciekawe, do czego one się tam potrafią posunąć w tym gabinecie. Na pewno Janina zaczęła bluzgać na tę starą, zasuszoną, kosmatą...

– Moira! – syknęłam.

– Co Moira, co Moira? – szepcze. – Sama przecież tak myślisz.

– Z takiego gadania nic dobrego nie wyniknie – mityguję ją, czując jednocześnie, że wzbiera we mnie chichot. Ale wtedy jeszcze sama przed sobą udawałam, że powinnyśmy zachować coś w rodzaju godności.

– Zawsze byłaś cholernym mięczakiem – mówi Moira, ale z czułością. – To takie wygodne. Naprawdę wygodne.

Ale Moira ma rację, wiem o tym teraz, kiedy klęczę na tej niezaprzeczalnie twardej podłodze, uczestnicząc we wlokącej się w nieskończoność uroczystości. Jest jakaś siła w takim szeptaniu świństw o przedstawicielach władzy. W tym zakazanym akcie niesubordynacji jest coś rozkosznego, a zarazem podniecającego. Co przypomina czary. Jakby się z nich wypuszczało powietrze, sprowadzało do wspólnego z nami mianownika, do poziomu, na

którym można sobie z nimi poradzić. Na ścianie kabiny prysznicowej ktoś nabazgrał: Ciotka Lidia ciągnie druta. To tak jakby ktoś pomachał flagą buntowniczą z wierzchołka wzgórza. Sama myśl o tym, że Ciotka Lidia mogłaby coś takiego robić, jest krzepiąca.

Tak więc teraz wśród tych Aniołów i ich wymoczkowatych panien młodych – wyobrażam sobie te pomruki i poty, wilgotne, kosmate spotkania; albo jeszcze lepiej: sromotne porażki, kutasy jak zwiędłe marchewki, rozpaczliwe gmeranie po ciałach, zimnych i obojętnych jak nieugotowana ryba.

Kiedy wreszcie jest już po wszystkim i wychodzimy, Glena mówi do mnie swoim cichym, ale wyraźnym szeptem:

– My wiemy, że spotykasz się z nim sam na sam.

– Z kim? – pytam, z trudem powstrzymując się przed spojrzeniem w jej stronę. Wiem przecież, z kim.

– Z twoim Komendantem – mówi. – Wiemy, że się spotykacie. Pytam ją skąd.

– Po prostu wiemy. O co mu chodzi? O jakieś perwersje seksualne?

Trudno by mi było wytłumaczyć, o co mu chodzi, bo jak do tej pory sama nie umiem powiedzieć. Jak mam opisać, co się rzeczywiście między nami dzieje? Przede wszystkim by ją to rozśmieszyło. Łatwiej mi jest powiedzieć:

– W pewnym sensie. – Jest w tym przynajmniej jakaś godność człowieka zmuszonego.

Glena zastanawia się nad tym.

– Zdziwiłabyś się – mówi – jak wielu z nich ma takie wymagania.

– Nic na to nie mogę poradzić. Nie mogę powiedzieć, że nie

przyjdę. – Powinna sama wiedzieć, jak to jest.

Znajdujemy się teraz na chodniku i rozmowa przestaje być bezpieczna. Oddaliśmy się na tyle od innych, że szmer tłumu już nas nie chroni. Idziemy więc w milczeniu, wlokąc się z tyłu, aż wreszcie Glena decyduje się przerwać ciszę:

– Oczywiście, że nie możesz. Ale zbadaj to i powiedz nam.

– Co mam zbadać? – pytam.

Wyczuwam, bardziej niż widzę, lekki skręt jej głowy.

– Wszystko, co tylko możesz.

35

Powstała przestrzeń do wypełnienia w zbyt ciepłym powietrzu mojego pokoju i jakiś czas; czasoprzestrzeń pomiędzy tu i teraz, tam i wtedy, przebita przez kolację. Przybycie tacy, wniesionej na górę jak dla chorego. Kogoś, kto nie może sam zejść. Wyjść. Kogoś bez wyjścia.

Tak jak w dniu, kiedy próbowaliśmy znaleźć wyjście i przekroczyć granicę, z naszymi nowymi paszportami, które mówiły, że nie jesteśmy tymi, kim byliśmy: że Łukasz na przykład nigdy nie był rozwiedziony, że wobec tego jesteśmy legalną parą wobec nowego prawa.

Po naszych wyjaśnieniach, że jedziemy na piknik, mężczyzna zajrzał do samochodu i zobaczył tam naszą córeczkę, śpiącą wśród swojego zoo sfatygowanych zwierzątek, a następnie wszedł z naszymi paszportami do budynku. Łukasz poklepał mnie po ramieniu i wysiadł z samochodu, jakby chciał rozprostować kości, obserwując jednocześnie mężczyznę przez okno biura imigracyjnego. Ja zostałam w samochodzie. Zapaliłam papierosa, na uspokojenie, i zaciągnęłam się głęboko, udając zrelaksowaną. Przyglądałam się dwóm żołnierzom w nieznanym mundurach, które już wtedy zaczynały się robić powszechne; stali bezczynnie przed pomalowanym w żółto-czarne pasy szlabanem. Nic właściwie nie robili. Jeden z nich przypatrywał się stadu ptaków, mew, które

zrywały się do lotu, zataczały kręgi, a następnie siadały na poręczy widocznego w dali mostka. Obserwując mężczyznę, obserwowałam jednocześnie ptaki. Były tego samego koloru co zwykle, tylko jaskrawsze.

Wszystko będzie dobrze, mówiłam, modliłam się w myśli. Daj, żeby było. Przekroczymy tę granicę, przeprowadź nas. Ten jeden jedyny raz; zrobię wszystko. Nigdy się nie dowiem, co właściwie miałam zrobić dla tego kogoś, kto słuchał.

W tym momencie wrócił do samochodu Łukasz, jakoś zbyt pospiesznie, przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył do tyłu. Tamten facet dzwoni w naszej sprawie, powiedział. I potem zaczął jechać bardzo szybko i wypadliśmy na polną drogę, a następnie był las, wyskoczyliśmy z samochodu, po czym zaczęliśmy uciekać.

Mysleliśmy o jakimś letnim domku, żeby się schować, czy jakiejś łódce, nie umiem już dziś powiedzieć, o czym dokładnie.

Powiedział, że paszporty są w porządku, ale tak mało mieliśmy czasu na jakiegokolwiek plany. Choć może on miał jakiś plan, jakąś mapę w głowie. Co do mnie, to po prostu uciekałam: byle dalej.

Wolę nie opowiadać tej historii.

A zresztą wcale nie muszę. Nic nie muszę opowiadać. Ani sobie, ani komukolwiek innemu. Mogę tu po prostu siedzieć w spokoju.

Cofnąć się. Można się daleko schować w sobie, tak bardzo w głąb i wstecz, że nigdy człowieka stamtąd nie wywloką.

Nolite te bastardes carborundorum. Na wiele jej się to zdało.

Po co walczyć?

To się nigdy na nic nie zda.

– Miłość? – rzekł Komendant.

To już lepiej. To jest coś, co znam. O tym możemy rozmawiać.

– Zakochać się – powiedziałam. Wpaść; wtedy każdemu z nas się to zdarzało, w ten czy inny sposób. Jak on mógł coś takiego zbagatelizować. Nawet wyszydzić. Jakby to było dla nas czymś bez znaczenia, zbytkiem, kaprysem. A to, przeciwnie, było w rzeczywistości sprawą poważną, zasadniczą. Która pozwalała zrozumieć siebie. Ktoś, komu się to nigdy nie przytrafiło, był jak mutant, jak przybysz z kosmosu. Każdy o tym wiedział.

Zakochać się – mówiłyśmy. Bujam się w nim. I rzeczywiście było w tym coś z bujania – ten ruch – rozkoszny jak lot w górę i w dół, a jednocześnie tak zgubny, tak ostateczny, nieprawdopodobny. Bóg to miłość – powiedzieli kiedyś, ale myśmy to odwróciły i miłość – jak niebo – była zawsze w zasięgu ręki. Im trudniej było kochać jakiegoś określonego mężczyznę, tym bardziej wierzyłyśmy w Miłość przez wielkie M, abstrakcyjną i totalną. I czekałyśmy na jej ucieleśnienie. Czekaliśmy, by słowo stało się ciałem.

I czasem się stawało, na jakiś czas. Bo taka miłość przychodzi i odchodzi, i potem trudno ją sobie przypomnieć, jak ból. Pewnego dnia patrzyłaś na takiego mężczyznę i myślałaś: ja cię kochałam – w czasie przeszłym – i ogarniało cię zdumienie, że mogłaś być taka głupia i lekkomyślna, i zaczynałaś rozumieć, dlaczego przyjaciele, wtedy, tak niechętnie o tym mówili.

Obecnie w rozpamiętywaniu tych spraw znajduję sporą pociechę.

Albo czasami, kiedy jeszcze kochałaś, budziłaś się nieraz w nocy, patrzyłaś, jak światło księżycy pada na jego śpiącą twarz, tworząc mu pod oczami głębokie doły cieni, i wtedy myślałaś: kto wie, co też oni robią sami albo w towarzystwie innych mężczyzn? Kto wie, co mówią i gdzie chodzą? Kim są tak naprawdę? Pod przykrywką swojej codzienności?

W takich chwilach przychodzi ci na myśl: a jeśli on mnie nie kocha?

Albo przypominają ci się różne przeczytane w prasie historie o kobietach – najczęściej są to kobiety, ale czasem również i mężczyźni albo, co gorsza, dzieci – znalezionych w rowach czy lasach, w lodówkach, w opuszczonych, wynajmowanych pokojach, w ubraniu albo bez, zgwałconych albo nie, w każdym razie zabitych. Były miejsca, w które się nie chodziło, i środki ostrożności, które się podejmowało, jak zamki u okien i drzwi, zaciąganie zasłon, zostawianie zapalonych świec. Te rzeczy przypominały modlitwę – człowiek wierzył, że się okażą skuteczne. I tak najczęściej bywało. A jak nie one, to co innego, i można było poznać po tym, że człowiek żył.

Ale to dotyczyło nocy i nie miało nic wspólnego z mężczyzną, którego kochałaś, przynajmniej w dzień. Z nim chciałaś, żeby wszystko grało, dla niego się starałaś, chciałaś dla niego zachować dobrą figurę, bo jeśli ty się będziesz starała, to być może i on się będzie starał. Może wspólnym staraniem osiągniecie cel, czyli rozwiązanie układanki, którą we dwoje tworzycie; w przeciwnym razie jedno z was, najprawdopodobniej mężczyzna, odejdzie po własnej trajektorii, zabierając ze sobą swoje grzeszne ciało i pozostawiając cię w rozpacz, którą może złagodzić jedynie wysiłek. Jeśli wam się nie udało, to dlatego że jedno z was miało do tego niewłaściwy stosunek. Wszystko, co się w twoim życiu działo, przypisywało się jakiejś pozytywnej czy negatywnej sile emanującej z wnętrza twojej głowy.

Jeśli ci się nie podoba, to zmień to – mawiałyśmy jedna do drugiej i każda do siebie. I wtedy zmieniało się mężczyznę – na innego. Nie miałyśmy wątpliwości, że zmiana zawsze musi być na

lepsze. Byłyśmy rewizjonistkami; rewidowałyśmy siebie.

To dziwne, jeśli sobie przypomnieć, jak wtedy myślałyśmy – jakby wszystko było do naszej dyspozycji, jakby nic nie zależało od przypadku, jakby nie było granic; jakbyśmy mogły dowolnie kształtować i przekształcać nieustannie rozszerzające się granice naszego życia. I ja też taka byłam, ja też tak myślałam. Łukasz nie był moim pierwszym mężczyzną i mógł nie być ostatnim. Gdyby nie został w ten sposób zamrożony. Zatrzymany nagle w powietrzu i w czasie, tam wśród drzew, w trakcie padania.

Dawniej przysłałiby ci małą paczkę z rzeczami osobistymi: z tym, co miał przy sobie w chwili śmierci. Tak robili na przykład w czasie wojny – opowiadała matka. Jak długo trwał okres żałoby? Co wówczas powtarzano? Niech twoje życie będzie świadectwem miłości dla ukochanego. A on był. Ukochany.

Jest, poprawiam się. Jest, jest, tylko te cztery litery, ty kretynko, nie możesz zapamiętać nawet tak krótkiego słowa?

Wycieram twarz rękawem. Dawniej bym tego nie zrobiła, bałabym się, że go zabrudzę, ale teraz nie ma czym. Obojętne, jaką mam minę, niewidoczną dla mnie, jest ona prawdziwa.

Musicie mi wybaczyć. Jestem uciekinierką z przeszłości i jak każdy uciekinier rozpamiętuję obyczaje i nawyki z życia, które porzuciłam lub zostałam zmuszona porzucić, i to wszystko, z tego miejsca, wydaje mi się dziwaczne, a mój stosunek do tego obsesyjny. Jak biały Rosjanin popijający herbatę w Paryżu i rzucony w wiek dwudziesty, wędruję w przeszłość, szukając dawnych ścieżek; robię się zbyt ckliwa, gubię się. Płaczę. Tak, właśnie, leję łzy. Siedzę na tym krześle i sączy się ze mnie jak z gąbki.

A więc. Znów czekanie. Nadzieja. Kobieta przy nadziei – tak

dawniej nazywano kobiety, które oczekiwały dziecka. Oczekiwać. Czego? Gdzie? Poczekalnia. To tam, gdzie czekasz. Dla mnie to oznacza ten pokój. Jestem pustym miejscem, tutaj, w nawiasach. Pomiędzy ludźmi.

Stukanie do drzwi. Cora, z tacą.

Ale to nie jest Cora.

– Przyniosłam ci to – mówi Serena Joy.

Podnoszę wzrok, rozglądam się, wstaję z krzesła i podchodzę do niej. Podaje mi odbitkę polaroidową, kwadratową i błyszczącą. A więc jeszcze produkują takie aparaty. To znaczy, że są i albumy rodzinne ze zdjęciami dzieci; ale bez Podręcznych. Z punktu widzenia przyszłej historii po nas nie będzie śladu. Ale dzieci będą w albumach, żeby Żony miały na co patrzeć, tam na dole, kiedy pojadają zimne dania, czekają na rozwiązanie.

– Ale mogę ci je dać tylko na chwilę – mówi Serena Joy konspiracyjnym szeptem. – Muszę je zwrócić, zanim się zorientują, że zniknęło.

Jakaś Marta musiała jej dostarczyć to zdjęcie. A więc Marty też muszą być w jakiś sposób zorganizowane, muszą coś z tego mieć. Dobrze wiedzieć.

Biorę od niej zdjęcie i obracam, bo widzę je do góry nogami. Czy to ona, to tak teraz wygląda? Mój skarb.

Taka wysoka i zmieniona. Uśmiecha się już trochę – jak szybko – jest w białej sukience, jakby od dawnej pierwszej komunii.

Czas nie stał w miejscu. Przepłynął po mnie, splukał mnie, jakbym była postacią z piasku, pozostawioną przez nieuważne dziecko zbyt blisko wody. Dla niej zostałam zatarta. Jestem teraz tylko cieniem, ukrytym głęboko pod gładką, błyszczącą

powierzchnią lej fotografii. Cieniem cienia, którym się staje zmarła matka. Widać to w jej oczach: nie ma mnie.

Ale ona jest, w swojej białej sukience. Rośnie i żyje. Czy to nie cudowne? Czy to nie błogosławieństwo?

A jednak nie mogę znieść tego, że zostałam tak zmazana. Lepiej, żeby mi Serena Joy nic nie przynosiła.

Siedzę przy małym stoliku i jem widelcem kukurydzę ze śmietanką. Mam widelec i łyżkę, ale nigdy noża. Jak jest mięso, kroją mi je sami, jakbym nie miała władzy w rękach albo zębów. Ale ja mam, jedno i drugie.

Dlatego nie dają mi noża.

36

Pukam do jego drzwi, słyszę głos, przybieram odpowiedni wyraz twarzy, wchodzę. Stoi przy kominku, trzyma w ręku niemal pustą szklankę z drinkiem. Zwykle z mocniejszym alkoholem czeka na moje przyjście, chociaż wiem, że do kolacji piją wino. Jest lekko zaczerwieniony na twarzy, usiłuję ocenić, ile wypił.

– Pozdrowienia – mówi. – Jak się dziś miewa nasza mała pieszczoszka?

Sporo, poznaję to po wystudiowanym uśmiechu, który przybiera, kierując się w moją stronę. Jest na etapie układności.

– Dziękuję, dobrze – odpowiadam.

– Mamy ochotę na jakąś małą rozrywkę?

– Proszę? – mówię. W jego zachowaniu wyczuwam zakłopotanie, niepewność co do tego, jak daleko może się wobec mnie posunąć i w którą stronę.

– Mam dziś dla ciebie małą niespodziankę – oznajmia. Śmieje się, ale ten śmiech raczej przypomina nerwowy chichot. Dziś wszystko jest „małe”. Chce wszystko pomniejszyć, łącznie ze mną. – Na pewno ci się spodoba.

– A co to takiego? – pytam. – Chińskie szachy? – Świadomie sobie pozwalam; wyraźnie mu się to podoba, zwłaszcza po kilku drinkach. Woli, jak jestem frywolna.

– Coś lepszego – mówi, chce się trochę ze mną podroczyć.

– Nie mogę się doczekać.
– No dobrze. – Podchodzi do biurka, grzebie w szufladzie, a następnie zbliża się do mnie, trzymając jedną rękę za plecami.
– Zgadnij – mówi.
– Zwierzę, roślina czy minerał? – pytam.
– O, zwierzę – odpowiada z udaną powagą. – Zdecydowanie zwierzę, powiedziałbym. – Wyjmuje rękę zza pleców. Trzyma w niej coś, co wyglądem przypomina garść beżoworóżowych piór. Strzepuje to coś. Chyba jakaś część garderoby kobiecej: miseczki na piersi, pokryte czerwonymi cekinami. Cekiny są w kształcie maleńkich gwiazdek. Otwory na uda obszyte piórkami, i góra też. A więc mimo wszystko z tym paskiem do podwiązek nie byłam taka daleka od prawdy.

Zastanawiam się, skąd to wytrzasnął. Wszelkie rzeczy tego rodzaju miały zostać zniszczone. Przypominam sobie, że widziałam to w telewizji w wiadomościach, takie migawki filmowe, kręcone po kolei w różnych miastach. W Nowym Jorku nazywało się to oczyszczaniem Manhattanu. Fajerwerki na Times Square, skandujące tłumy, kobiety wznoszące w górę ramiona w dziękczynnym geście, kiedy czuły na sobie kamery, i młodzi mężczyźni o wyrazistych, kamiennych twarzach ciskający w ogień najróżniejsze rzeczy: całe naręcza jedwabiu, nylonu i sztucznego futra – jaskrawozielone, czerwone, fioletowe; czarny atłas, złota lama, migotliwe srebro; majteczki bikini, przezroczyste staniki z różowymi atłasowymi serduszkami przyszytymi w miejscu sutków. A obok, na klęczkach, producenci, importerzy i sprzedawcy w papierowych stożkowatych czapkach na głowach, z nadrukowanym na czerwono słowem HAŃBA.

Ale niektóre rzeczy musiały uniknąć całopalenia – nie mogli

zniszczyć wszystkiego. Z pewnością zdobył to w ten sam sposób co pisma ilustrowane, nieuczciwie: na odległość pachnie mi to czarnym rynkiem. No i poza tym ten strój nie jest nowy, wyraźnie używany – materiał pod pachami pozagniatany, z lekkimi zaciekami potu innej kobiety.

– Nie znałem twojego rozmiaru – mówi. – Ale mam nadzieję, że będzie dobre.

– Czy mam to na siebie włożyć? – pytam. Wiem, że wyczuwa w tym pytaniu pruderię, dezaprobatę. A jednak sam pomysł wydaje mi się pociągający. Nigdy w życiu nie miałam na sobie nic, co by choć w odległy sposób przypominało ten strój, tak błyszczący i tak teatralny, bo w gruncie rzeczy to nic innego jak dawny kostium teatralny czy pozostałość występów w nieistniejących już dziś nocnych klubach; najbliższe temu z rzeczy, które kiedyś nosiłam, były kostiumy kąpielowe i komplet – stanik i majtki z morelowej koronki, który dostałam kiedyś od Łukasza. Mimo wszystko jest w tym coś kuszącego, powab dziecięcego przebierania się. Byłaby to ostentacja, grzeszna kpina z Ciotek, a zarazem świadectwo wolności. Wolność, jak wszystko inne, jest względna.

– No cóż – mówię, bo nie chcę, żeby to wypadło zbyt skwapliwie. Chcę, żeby wiedział, że to ja robię mu uprzejmość. Powoli poznamy i to – jego najgłębsze, prawdziwe pragnienia. Czy ma pejcz, ukryty za drzwiami? Czy wyjmie buty, oprze się o biurko i wypnie albo mnie się każe wypiąć?

– To jest przebranie – mówi. – Będziesz musiała się też umalować, mam wszystko, co może być do tego potrzebne. Inaczej by cię nie wpuścili.

– Nie wpuścili gdzie? – pytam.

– Dzisiaj wychodzimy.

– Wychodzimy? Dokąd? – To przestarzałe sformułowanie. Nie ma już dokąd wyjść, nie ma miejsca, do którego mężczyzna mógłby zaprosić kobietę.

– Wychodzimy stąd – odpowiada.

Wiem i nie musi mi tego mówić, że to, co mi proponuje, jest ryzykowne dla niego, przede wszystkim jednak dla mnie, ale i tak chcę iść. Mam ochotę na wszystko, cokolwiek przerwie tę monotonię, pogwałci ustalony, „przyzwoity” porządek rzeczy.

Mówię mu, że wolę, żeby nie patrzył, jak się przebieram; jeszcze ciągle krępuję się wobec niego swojej nagości. Uspokaja mnie, że się odwróci, i robi to, więc zdejmuję pantofle i pończochy, i bawełniane majtki, i pod osłoną sukienki stroję się w te piórka. A potem zdejmuję sukienkę i podciągam naszywane cekinami ramiączka. Są także pantofle, też beżowe, mają absurdalnie wysokie obcasy. Nic na mnie tak naprawdę nie pasuje, pantofle są trochę za duże, kostium w talii trochę za ciasny, ale ostatecznie może być.

– No już – mówię i Komendant się odwraca. Czuję się głupio, chciałabym się przejrzeć w lustrze.

– Czarująco – mówi. – A teraz twarz.

Ma tylko szminkę, starą i kiepską, pachnącą z lekka sztucznymi winogronami, jakąś kredkę do oczu i tusz. Żadnego cienia do powiek, żadnego różu. Na początku wydaje mi się, że już zapomniałam, jak się z tym obchodzić; pierwsza próba z kredką do oczu kończy się usmarowaniem na czarno powieki, co wygląda, jakbym miała podbite oko, zmywam to więc oliwą kosmetyczną do rąk i próbuję od nowa. Wzdłuż kości policzkowych robię kreski ze szminki, a następnie je rozcieram. Komendant cały czas trzyma przede mną oprawne w srebro ręczne lusterko. Poznaję lusterko

Sereny Joy. Musiał je pożyczyć z jej pokoju.

Ale z moimi włosami nic się nie da zrobić.

– Fantastycznie – chwali; jest już w tej chwili bardzo podniecony, jakbyśmy się szykowali na przyjęcie.

Podchodzi do szafy i wyjmuje pelerynę z kapturem, jasnoniebieską, w kolorze zarezerwowanym dla Żon. Peleryna też musi należeć do Sereny.

– Naciągnij kaptur na twarz – mówi. – Tylko nie rozmaż sobie makijażu. Chodzi o punkty kontrolne.

– A co z moją przepustką? – pytam.

– Tym się nie przejmuj. Mam dla ciebie przepustkę.

Tak więc wyruszyliśmy.

Suniemy razem przez ciemniejące ulice. Komendant trzyma mnie za prawą rękę, jakbyśmy byli nastolatkami w kinie. Otulam się dokładnie błękitną peleryną, jak przystało na dobrą Żonę. W tunelu kaptura widzę tył głowy Nicka. Czapkę ma włożoną prosto, trzyma się prosto, ma prostą szyję, cały jest bardzo prosty. Jego postawa wyraża dezaprobatę pod moim adresem czy też może tak mi się wydaje? Czy on wie, co mam pod tą peleryną – a może sam to sprokurował? Jeśli tak, to czy jest z tego powodu zazdrosny, zły, odczuwa żądzę, czy w ogóle cokolwiek odczuwa? Mamy ze sobą coś wspólnego: oboje powinniśmy być niewidzialni, oboje jesteśmy funkcjonariuszami. Zastanawiam się, czy on o tym wie. Kiedy otwierał drzwi samochodu dla Komendanta, a przy okazji i dla mnie, usiłowałam pochwycić jego spojrzenie, skłonić go, żeby na mnie popatrzył, ale on się zachowywał, jakby mnie nie widział. To zrozumiałe. Zależy mu na tej synekurze – spełnianie drobnych poleceń, świadczenie drobnych usług – w najmniejszym nawet stopniu nie chce ryzykować jej utratą.

Posterunki kontrolne nie przedstawiają żadnego problemu, wszystko idzie gładko, jak obiecywał Komendant, mimo gwałtownego bicia serca, pulsowania krwi w mojej głowie.

Kretynizm – powiedziałyby Moira.

Minąwszy drugi posterunek, Nick pyta:

– Czy to tutaj, sir?

Komendant odpowiada:

– Tak.

Samochód podjeżdża na miejsce i Komendant mówi:

– A teraz muszę cię prosić, żebyś się położyła na podłodze samochodu.

– Na podłodze? – pytam.

– Musimy przejechać przez bramę – odpowiada, jakby mi to cokolwiek wyjaśniało. Próbowałam go zapytać, dokąd jedziemy, ale powiedział, że chce mi zrobić niespodziankę. – Żon tu nie wpuszczają.

Rozpłaszczam się więc na podłodze, samochód rusza i przez najbliższe kilka minut nie widzę nic. Pod peleryną jest mi nieznośnie gorąco. To peleryna zimowa – nie bawełniana, letnia – i śmierdzi naftaliną. Musiał ją wziąć z magazynu, wiedząc, że Serena Joy nie zauważy. Komendant specjalnie odsunął nogi, żeby mi zrobić miejsce. Mimo to moje czoło opiera się o jego buty. Jeszcze nigdy nie byłam tak blisko jego butów. Robią wrażenie twardych, nieustępliwych, jak chitynowa skorupa żuka: są czarne, wypolerowane, nieprzeniknione. Jakby nie miały nic wspólnego z nogami.

Mijamy jeszcze jeden punkt kontrolny. Słyszę głosy, bezosobowe, pełne szacunku, i odgłos okna, które się elektrycznie opuszcza i podnosi, żeby można było pokazać przepustki. Tym razem nie

pokaże mojej, tej niby mojej, ponieważ oficjalnie przestałam jak na razie istnieć.

A potem samochód rusza i znów się zatrzymuje, i Komendant pomaga mi wstać.

– Musimy się pospieszyć – mówi. – To jest tylne wejście. Pelerynę zostaw Nickowi. O tej samej porze co zawsze – rzuca pod jego adresem. A więc i Nick musiał to już wcześniej robić.

Pomaga mi zdjąć pelerynę; drzwi samochodu są otwarte. Czuję powiew na mojej niemal gołej skórze i stwierdzam, że musiałam się spocić. Kiedy się odwracam, żeby zatrzaskać za sobą drzwi samochodu, widzę, jak Nick przygląda mi się przez szybę. Teraz mnie widzi. Czy to pogarda, czy obojętność – to, co czytam w jego twarzy – czy po prostu tego się po mnie spodziewał?

Jesteśmy w wąskim zaułku za budynkiem z czerwonej cegły, całkiem nowoczesnym. Przed drzwiami stoją szeregiem pojemniki na śmieci, unosi się tu smród psujących się smażonych kurcząt. Komendant ma klucz do drzwi, które są gładkie, szare, równe ze ścianą i, jak mi się wydaje, stalowe. Wewnątrz znajduje się korytarz z betonu, oświetlony jarzeniówkami zamocowanymi u sufitu, coś w rodzaju prowadzącego dokądś tunelu.

– Jesteśmy – oznajmia Komendant. Zakłada mi na przegub ręki numerek, czerwony, na gumce, niby przywieszkę na bagaż lotniczy. – Jak cię ktoś będzie pytał, powiedz, że jesteś wynajęta na wieczór – mówi. Bierze mnie za gołe ramię i steruje mną naprzód.

Ale ja marzę cały czas o lustrze, żeby sprawdzić, czy szminkami się nie rozmazała, czy pióra nie są zbyt śmieszne, zbyt nastroszone. W tym świetle muszę wyglądać niesamowicie. Ale i tak jest już za późno.

Idiotka, jak by powiedziała Moira.

37

Idziemy korytarzem i przez następne płaskie szare drzwi, i następny korytarz, tym razem oświetlony łagodnym światłem i wyłożony miękkim dywanem w kolorze grzybów – brunatnoróżowym. Wzdłuż korytarza ciągną się drzwi z numerami: sto jeden, sto dwa, tak się odlicza podczas burzy, żeby się przekonać, jak szybko cię trafi. A więc to hotel. Zza jednych drzwi dochodzi śmiech – męski, ale i kobiecy też. Dawno już czegoś takiego nie słyszałam.

Wychodzimy na wewnętrzny dziedziniec. Jest rozległy, a zarazem wysoki: kilka pięter do oszklonego sufitu. Pośrodku fontanna. Okrągła fontanna w kształcie dmuchawca. Tu i ówdzie widać doniczkowe rośliny i drzewa, z balkonów zwisa winorośl. W górę i w dół suną windy z wypukłymi szybami w ścianach kabin, jak gigantyczne mięczaki.

Wiem, gdzie jestem. Bywałam tu – z Łukaszem, popołudniami, dawno temu. Wtedy był to hotel. Teraz pełno tu kobiet.

Stoję spokojnie i gapię się na nie. Tu mogę się gapić, rozglądać dokoła, tu mi nie przeszkadzają białe skrzydła. Moja głowa, pozbawiona ich, wydaje mi się lekka, jakby zdjęto z niej ciężar, jakby ją pomniejszono.

Kobiety siedzą, snują się, spacerują, stoją wsparte jedna o drugą. Jest też wśród nich wielu mężczyzn, ale w swoich ciemnych

mundurach czy garniturach tak są do siebie podobni, że tworzą jedynie coś w rodzaju tła. Kobiety natomiast, przeciwnie, są tropikalnie kolorowe, ubrane w najrozmaitsze jaskrawe stroje. Niektóre mają kostiumy podobne do mojego – pióra i cekiny – odsłonięte uda, głębokie dekolty. Inne są w bieliźnie z dawnych czasów – krótkie nocne koszulki, piżamki baby-doll, tu i ówdzie przezroczysty negliż. Jeszcze inne w kostiumach kąpielowych jednoczęściowych lub bikini; jedna, jak widzę, ma na sobie szydełkowe wdzianko z dużymi muszelkami w miejscu sutków. Niektóre są w szortach do joggingu i opalaczach, inne w kostiumach do ćwiczeń, jak te, które pokazywali w telewizji – obcisłe, z dzianymi getrami, w pastelowych kolorach. Kilka kobiet ma na sobie stroje, których dawniej używały dziewczęta zagrzewające swe drużyny do walki – krótkie plisowane spódniczki, na piersi duży napis. Ogólnie rzecz biorąc, zbieranina tego, co zdołały zwędzić czy ocalić. Wszystkie mają makijaż, a ja przy okazji stwierdzam, jak bardzo się odzwyczaiłam od widoku umalowanej kobiety – ich oczy wydają mi się za duże, za ciemne i zbyt lśniące, usta za czerwone, zbyt wilgotne i błyszczące, jakby nabiegłe krwią, albo inaczej – zbyt podobne do ust błazna.

Na pierwszy rzut oka jest w tej scenie coś pogodnego. Coś z balu maskowego; te kobiety wyglądają jak przerośnięte dzieci, które poprzebierały się w stroje powyciągane z kufrów. Ale czy jest w tym radość? Mogłaby być, tylko czy ktoś je pytał o zdanie? Trudno to ocenić na oko.

Na sali pełno pośladeków. Odwykłam od takich widoków.

– To przypomina wycieczkę w przeszłość – mówi Komendant. Robi wrażenie zadowolonego; nawet zachwyconego. – Nie sądzisz? Usiłuję sobie przypomnieć, czy przeszłość rzeczywiście była taka.

Teraz już nie jestem pewna. Wiem, że były takie rzeczy, ale nigdy nie bywały tak zestawiane. Film o przeszłości to nie to samo co przeszłość.

– Tak – odpowiadam. Ale moje odczucie nie jest takie proste. Oczywiście, widok tych kobiet ani mnie nie przeraża, ani nie szokuje. Są według mnie czymś w rodzaju kurtyzan. Oficjalna wiara zaprzecza ich istnieniu, a jednak są. To już przynajmniej coś.

– Nie gap się – zwraca mi uwagę Komendant. – Zdradzisz nas. Zachowuj się naturalnie. – Znów mnie podprowadził kawałek do przodu. Jakiś mężczyzna pozdrowił go i ruszył w naszą stronę. Komendant mocniej zacisnął rękę na moim przedramieniu. – Spokojnie – szepcze. – Nie trać zimnej krwi.

Wystarczy – powtarzam sobie – trzymać buzię na kłódkę i robić z siebie słodką idiotkę. To nie powinno być trudne.

Komendant wszelkie wyjaśnienia bierze na siebie – i w stosunku do tego mężczyzny, i do wszystkich innych. Nie mówi o mnie wiele, nie musi. Wyjaśnia, że jestem nowa, a oni mierzą mnie wzrokiem, po czym bardzo szybko przestają zwracać na mnie uwagę i zaczynają rozmawiać o czym innym. Przebranie, w którym jestem, spełnia swoje zadanie. Komendant nie puszcza mego ramienia i w miarę rozmowy prostuje się niezauważalnie, wysuwa pierś do przodu, a w jego głosie coraz wyraźniej pobrzmiwają nuty młodzieńczej dziarskości i wesołości. Widać, że się chwali. Chwali się mną, przed nimi, a oni to doskonale rozumieją, i są dostatecznie przyzwoici, żeby trzymać ręce przy sobie, ale jednocześnie oceniają moje piersi, moje nogi, jakby nie było powodu, dla którego mieliby tego nie robić. Ale ten cyrk jest i z myślą o mnie. Komendant demonstruje wobec mnie swoje możliwości. Na ich oczach łamie wszelkie reguły, ostentacyjnie dłubie w nosie i wszystko to uchodzi

mu na sucho. Prawdopodobnie osiągnął stan upojenia władzą, w jakim człowiek zaczyna wierzyć, że jest niezastąpiony i wobec tego może robić wszystko, dosłownie wszystko, na co ma ochotę. Dwukrotnie, kiedy mu się wydaje, że nikt na niego nie patrzy, mruga do mnie.

Całe to nadęte przedstawienie uważam za dziecinadę, ale rozumiem go.

Kiedy już mam dość, odprowadza mnie na mocno wypchaną kanapę z rodzaju tych, jakie dawniej bywały w hotelowych hallach, a ściślej mówiąc w tym właśnie hallu – pamiętam nawet ten wzór: ciemnoniebieskie tło, a na nim różowe stylizowane kwiaty.

– Pomyślałem, że może ci się zmęczyły nogi – mówi – w tych pantoflach.

Ma rację; jestem mu wdzięczna, że o tym pomyślał. Sadza mnie, a następnie sam siada obok. Obejmuje mnie ramieniem, a ja skórą odwykłą od dotyku czuję szorstki materiał jego rękawa.

– No? – zagaduje. – Co myślisz o naszym małym klubie?

Znowu rozglądam się dokoła. Mężczyźni nie są jednakowi, jak początkowo myślałam. Koło fontanny stoi grupa Japończyków w jasnoszarych garniturach, a w dalszym rogu biała plama: Arabowie w swoich długich, białych burnusach, zawojach na głowach, pasiastych przepaskach.

– A to jest klub? – pytam.

– Tak to nazywamy między sobą. Klub.

– Myślałam, że takie rzeczy są surowo wzbronione – mówię.

– Oficjalnie tak – odpowiada. – Ale ostatecznie każdy z nas jest człowiekiem.

Czekam na dalsze wyjaśnienia, ale ponieważ milczy, pytam:

– Co to znaczy?

– To znaczy, że natury nie oszukasz. A natura domaga się różnorodności – natura mężczyzny. I to jest zgodne ze zdrowym rozsądkiem, tego wymaga strategia prokreacji. Natura ma swój plan. – Nie odzywam się, więc ciągnie dalej: – Kobiety wiedzą to instynktownie. Inaczej po co by w dawnych czasach kupowały tyle rozmaitych ubrań? Żeby wprowadzić mężczyznę w błąd – żeby uwierzył, że każda z nich to wiele różnych kobiet. Na każdy dzień inna.

Mówi tak, jakby w to wierzył, ale w ten sam sposób mówi wiele innych rzeczy. Może zresztą w to wierzy, a może nie, a może i tak, i nie. Trudno powiedzieć, w co on wierzy.

– To znaczy, że teraz, kiedy nie możemy zmieniać ubrań – mówię – zmieniacie po prostu kobiety. – Komendant nie przyjmuje do wiadomości mojej ironii.

– To rozwiązuje wiele problemów – odpowiada bez mrugnięcia okiem.

Nie odzywam się. Zaczynam mieć go dość. Zmroził mnie: resztę wieczoru spędzam w ponurym milczeniu. Chociaż właściwie nie mogę sobie na to pozwolić, i wiem o tym. Obojętne zresztą, jak ten wieczór spędzam, jest to jakieś spędzenie czasu poza domem.

A tak naprawdę to miałabym ochotę porozmawiać z tymi kobietami, ale szansa jest nikła.

– Kto to są ci ludzie? – pytam.

– To tylko dla funkcjonariuszy – wyjaśnia. – Ze wszystkich resortów; i dla wyższych urzędników. No i dla delegacji handlowych, oczywiście. To ożywia handel. Tu się poznaje ludzi. Bez tego nie ma interesów. Usiłujemy zapewnić im nie gorsze, niż mogą mieć gdzie indziej. A poza tym słyszy się to i owo; sposób zdobywania informacji. Czasem mężczyzna mówi kobiecie rzeczy,

których nigdy by nie powiedział drugiemu mężczyźnie.

– Nie – mówię. – Chodzi mi o kobiety.

– A, niektóre z nich to prawdziwe prostytutki. Dziewczynki – śmieje się – z dawnych czasów. Nie zasymilowały się; tak czy siak, większość z nich lepiej czuje się tutaj.

– A inne?

– Inne? – powtarza. – No cóż, mamy całkiem niezłą kolekcję. Ta tutaj, ta w zielonym, jest na przykład socjologiem. Czy raczej była. Ta była prawniczką, ta prowadziła interesy, zajmowała kierownicze stanowisko – jakaś sieć barów szybkiej obsługi czy może hoteli. Podobno można sobie z nią przyjemnie pogadać, jeśli oczywiście chodzi tylko o rozmowę. One też wolą być tutaj.

– Wolą od czego?

– Od alternatywy – wyjaśnia. – Ty też mogłabyś to woleć od swojej obecnej pozycji – mówi nieśmiało, chce, bym zaprzeczyła. Zdaję sobie sprawę, że na tym koniec poważnej części rozmowy.

– Nie wiem – odpowiadam takim tonem, jakbym rozważała taką możliwość. – To może być ciężka praca.

– Musiałabyś stale pilnować swojej figury, to pewne. Tu bardzo tego przestrzegają. Wystarczy przytyć dziesięć funtów i już odsyłają do Samotni. – Czyżby żartował? Prawdopodobnie, ale ciarki mnie przechodzą na myśl o tym, że mówi serio.

– No, a teraz – mówi – żeby cię wprowadzić w atmosferę tego miejsca, co byś powiedziała na małego drinka?

– Mnie nie wolno – odpowiadam. – Pan przecież wie.

– Jeden nie zaszkodzi. A zresztą, jak by to wyglądało, gdybyś nie wypila. Tu żadne zakazy nikotynowo-alkoholowe nie istnieją! Jak widzisz, to miejsce ma swoje zalety.

– No dobrze – zgadzam się. W głębi duszy jestem zadowolona.

Od lat nie miałam w ustach alkoholu.

– Na co masz ochotę? Tu jest wszystko. Z importu.

– Wobec tego dżin z tonikiem. Ale słaby. Żebym pana nie skompromitowała.

– Nie ma obawy – uśmiecha się szeroko. Wstaje, a następnie, ku mojemu zdumieniu, ujmuje moją dłoń i całuje. Po czym oddala się w stronę baru. Mógłby zawołać kelnerkę – jest tu ich kilka w identycznych czarnych spódniczkach mini i z dyndającymi na piersiach pomponikami, ale wygląda na to, że są bardzo zajęte i trudno uchwytne.

Nagle dostrzegam ją. Moirę. Stoi koło fontanny w towarzystwie dwóch innych kobiet. Muszę dobrze wysilić wzrok, znowu, żeby się upewnić, że to jest ona; robię to w szybkich, migawkowych spojrzeniach, tak żeby nikt nie zauważył.

Jest ubrana idiotycznie – w czarny strój z niegdyś błyszczącego atłasu, który wygląda tym gorzej, że jest zniszczony. Stanik bez ramiączek, usztywniony drutami, które wypychają piersi do góry, ale ten strój nie pasuje na Moirę, jest na nią za duży, tak że jedna pierś jest wypchnięta, a druga nie. Moira obojętnie podciąga stanik do góry. Z tyłu dynda jej się kłębuszek waty, widzę go, kiedy Moira odwraca się do mnie bokiem – przypomina podpaskę higieniczną, uprażoną jak ziarno kukurydzy. Uświadamiam sobie, że ma to imitować króliczy ogonek. Na głowie sterczy jej para uszu, króliczych czy jelenich, trudno powiedzieć; jedno straciło apreturę czy też druciany szkielet i zwisa klapnięte od połowy. Moira ma czarną muszkę, czarne siatkowe pończochy i czarne pantofle na wysokich obcasach. Zawsze nienawidziła wysokich obcasów.

Cały ten kostium, stary i dziwaczny, przypomina mi coś z przeszłości, ale nie mogę sobie uprzytomnić co. Sztukę sceniczną,

komedię muzyczną? Dziewczynki przebrane na Wielkanoc za króliczki? Jakie to ma znaczenie tutaj, dlaczego króliki mają być seksualnie atrakcyjne dla mężczyzn? Jak ten wyświechtany kostium może robić na kimkolwiek wrażenie?

Moira pali papierosa. Zaciąga się i podaje dziewczynie z lewej strony, która ma naszyte czerwone błyskotki, długi, spiczasty ogon i srebrzyste rogi – jest przebrana za diabła. Moira stoi teraz z rękami założonymi z przodu, pod usztywnionym biustem. Przepiękuje z nogi na nogę, muszą ją potwornie uwierać buty, jest lekko przygarbiona, rozgląda się dokoła bezmyślnie i bez zainteresowania. Widok musi być jej dobrze znany.

Siłą woli próbuję ją zmusić, żeby na mnie spojrzała, żeby mnie dostrzegła, jej wzrok jednak prześlizguje się po mnie, jakbym była jeszcze jedną palmą czy krzesłem. Ale przecież musi się wreszcie odwrócić, tak bardzo tego pragnę, musi na mnie spojrzeć, zanim podejdzie do niej któryś z mężczyzn, zanim zniknie. Tę drugą kobietę, która z nią stała, blondynkę w kusej różowej górze od piżamy, obszytej wyliniałym futerkiem, już ktoś porwał; wsiadła do oszklonej windy i śmignęła w górę, ginąc z oczu zebranych. Moira znów się rozgląda, prawdopodobnie oceniając szanse. Musi być przykro stać tak, bez przydziału, jak na szkolnej zabawie, czuć na sobie taksujące spojrzenia. Tym razem jej wzrok zatrzymuje się na mnie. Moira mnie widzi. Nie jest taka głupia, żeby dać to po sobie poznać.

Gapimy się na siebie, zachowując obojętny, apatyczny wyraz twarzy. Moira robi nieznaczny ruch głową, ledwie widoczne skinienie w prawo. Bierze papierosa od kobiety w czerwieni, przytyka do ust, daje mi znak ręką w powietrzu, ze wszystkimi pięcioma palcami wyprostowanymi. Następnie odwraca się do mnie

tyłem.

Nasz stary sygnał. Mam pięć minut na znalezienie się w damskiej toalecie, która musi być gdzieś na prawo od niej. Rozglądam się: ani śladu. Nie mogę też ruszyć się nigdzie w nieobecności Komendanta. Za mało wiem, nie znam warunków, to może być prowokacja.

Mija minuta, dwie. Moira powoli odchodzi, nie rozglądając się na boki. Może mieć tylko nadzieję, że odebrałam sygnał i że wkrótce pójdę jej tropem.

Wraca Komendant z dwoma drinkami. Uśmiecha się do mnie, stawia szklanki na długim czarnym stoliku przed kanapą, siada.

– Dobrze się bawisz? – Chciałby, żebym się dobrze bawiła.

Ostatecznie to ma być frajda.

Uśmiecham się do niego.

– Czy tu jest toaleta? – pytam.

– Oczywiście. – Sączy drinka, ale nie mówi nic więcej.

– Muszę iść. – Liczę w myślach sekundy, nie minuty.

– Jest tam. – Skinieniem wskazuje mi kierunek.

– A jak mnie ktoś zatrzyma?

– Pokażesz numerki. To wystarczy. Będą wiedzieli, że jesteś zajęta.

Wstaję i kuśtykam przez pomieszczenie. Chwieję się trochę, koło fontanny o mało się nie przewracam. To przez obcasy. Bez ramienia Komendanta tracę równowagę. Kilku mężczyzn patrzy na mnie, raczej ze zdziwieniem niż pożądaniem. Czuję się jak idiotka. Lewą rękę trzymam wyraźnie przed sobą, zgiętą w łokciu, numerkiem na zewnątrz. Nikt nic nie mówi.

38

Znajduję drzwi do damskiej toalety. W dalszym ciągu widnieje na nich wypisany złocistymi literami napis PANIE. Przede mną korytarz prowadzący do tych drzwi, przy których za stolikiem siedzi kobieta i pilnuje wchodzących i wychodzących. Starsza kobieta w czerwonym kaftanie, z oczami zrobionymi złotym cieniem, ale nie mam wątpliwości, że to Ciotka. Na stoliku leży elektryczny pręt, którego pętlę widać na przegubie jej ręki. Tu nie ma żartów.

– Piętnaście minut – zwraca się do mnie. Ze stosu leżącego na stole podaje mi podłużny czerwony kartonik. Pomieszczenie przypomina przymierzalnię w domu towarowym z czasu poprzedniego. Słyszę, jak mówi do kobiety wchodzącej za mną:

– Ty już tu byłaś.

– Ale znów potrzebuję – tłumaczy się tamta.

– Przerwa na odpoczynek raz na godzinę – mówi Ciotka. – Znasz przepisy.

Kobieta zaczyna protestować zrozpaczonym, zawodzącym głosem. Otwieram drzwi.

Przypominam sobie, jak wygląda takie pomieszczenie. Jest tu miejsce na wypoczynek, delikatnie oświetlone różowym światłem w różnych odcieniach, kilka foteli i sofa, pokryte zielonkawym kretonem w pędy bambusowe; u góry na ścianie zegar w ramie ze

złotego filigranu. Tu nie zlikwidowano luster – naprzeciwko sofy wisi długie lustro. Tutaj każda musi wiedzieć, jak wygląda. Przez drzwi widać rząd kabin, też różowych, z umywalkami i lustrami.

Na fotelach i na sofie siedzą kobiety, zdjęły buty i palą papierosy. Gapią się na mnie, kiedy wchodzę. W powietrzu unosi się zapach perfum, zastarzałego dymu i ludzkich ciał.

– Nowa? – pyta mnie jedna z dziewcząt.

– Tak – odpowiadam, rozglądając się w poszukiwaniu Moiry, której jednak nigdzie nie widać.

Kobiety nie uśmiechają się. Powracają do palenia papierosów, jakby to była bardzo poważna sprawa. W sąsiednim pomieszczeniu jedna z nich, w przebraniu kota, z ogonem z pomarańczowego sztucznego futra, poprawia sobie makijaż. Zupełnie jak w garderobie teatralnej: szminka, dym – elementy iluzji.

Stoję niezdecydowana, nie wiem, co robić. Nie chcę pytać o Moirę, nie wiem, czy to bezpieczne. W pewnej chwili słyszę odgłos spuszczonej wody i z jednej z różowych kabin wyłania się Moira. Chwiejnie zmierza w moją stronę; czekam na znak.

– W porządku – zwraca się do mnie i do pozostałych kobiet. – Znam ją. – Dziewczyny uśmiechają się, a Moira mnie przytula. Kiedy ją obejmuję, druciane rusztowanie podtrzymujące jej biust wbija mi się w piersi. Całujemy się, najpierw w jeden policzek, potem w drugi. Stajemy naprzeciwko siebie.

– Rany – mówi Moira. – Wyglądasz jak kurwa z Babilonu.

– A czy nie mam tak właśnie wyglądać? – pytam. – A ty wyglądasz jak psu z gardła wyjęta.

– Zgadza się. – Moira podciąga stanik. – To nie w moim stylu, a poza tym te łachy się już rozłazały. Marzę o tym, żeby tu przywlekli kogoś, kto jeszcze potrafi robić takie rzeczy. Tobym

przynajmniej mogła sobie skombinować coś przyzwoitszego.

– Wy sobie same wybieracie te ciuchy? – pytam. Myślę, że może sobie wybrała ten kostium, dlatego że był mniej krzykliwy od innych. Ostatecznie jest tylko czarno-biały.

– A skąd – mówi. – To sorty.

W dalszym ciągu nie mogę uwierzyć, że to ona. Znów dotykam jej ramienia. A potem zaczynam płakać.

– Nie rób tego – prosi mnie Moira. – Oczy ci się rozmażą. A poza tym szkoda czasu. Szorujcie. – To ostatnie rzuciła w typowy dla siebie szorstki, bezceremonialny i stanowczy sposób pod adresem dwóch kobiet siedzących na sofie, jak zwykle uchodzi jej to na sucho.

– Moja przerwa i tak już się kończy – mówi jedna z nich, ubrana w błękitny sznurowany gorset i białe pończochy. Wstaje, ściska moją rękę. – Witaj.

Druga kobieta posuwa się uprzejmie i obie z Moirą siadamy. Przede wszystkim zdejmujemy pantofle.

– Co ty tu, do diabła, robisz? – pyta. – Tak czy siak, cudownie, że cię widzę. Ale dla ciebie to wcale nie tak znów cudownie. Co przeskrobałaś? Śmiałaś się z jego kuśki?

Patrzę na sufit.

– Jest tu podsłuch? – Niepewnie wycieram sobie czubkami palców skórę wokół oczu. Schodzi czarne.

– Prawdopodobnie. Chcesz fajkę?

– Jeszcze jak – odpowiadam.

– O – zwraca się do kobiety, która koło niej siedzi. – Pożycz mi papierosa, co?

Kobieta bez szemrania wręcza jej papierosa. Moira w dalszym ciągu jest mistrzynią w pożyczaniu. Uśmiecham się na myśl o tym.

– A zresztą wcale nie jestem tego pewna – dodaje. – Ich nie obchodzi, co my mówimy. Większość już słyszeli, a poza tym i tak nikt się stąd nie wydestanie inaczej jak nogami do przodu. Ale skoro tu jesteś, to powinnaś o tym wiedzieć.

Przyciągam głowę Moiry tak, żebym jej mogła szeptać do ucha.

– Jestem tu czasowo. Tylko na ten wieczór. Mnie tu w ogóle nie wolno być. On mnie przemycił.

– Kto? – pyta szeptem. – Ten mydłek, z którym jesteś? Ja go miałam, to dno.

– To jest mój Komendant – mówię.

Kiwa głową.

– Niektórych to podnieca. Dla niego to tak, jakby się pieprzył na ołtarzu czy coś w tym rodzaju: bo ta cała wasza banda to takie „czyste naczynia”. Lubią na was patrzeć, jak jesteście tak wymalowane. Jeszcze jedna fanaberia dla ubogich.

Taka interpretacja nie przyszła mi do głowy. Próbuję ją odnieść do Komendanta, ale wydaje się zbyt naiwna, zbyt prymitywna jak na niego. Z całą pewnością jego motywy muszą być subtelniejsze. Ale może myślę tak tylko ze zwykłej próżności.

– Zostało nam już niewiele czasu. Powiedz mi wszystko – proszę. Moira wzrusza ramionami.

– Co za sens? – Wie jednak, że jest w tym sens, więc mówi.

A oto, co mi powiedziała czy może raczej wyszeptała: nie pamiętam dokładnie, bo nie miałam jak zapisać. Sama wypełniłam szczegółami zarys, który mi z braku czasu przedstawiła. Podzieliła swoją opowieść na dwie części – udało nam się spędzić razem jeszcze jedną przerwę. Staralam się, żeby to było w jej stylu – w ten sposób zachowuję ją niejako przy życiu.

– No więc zostawiłam tę starą wiedźmę Ciotkę Elizabeth za

piecem, związaną jak świąteczny indyk. Zamierzałam ją zabić, rzeczywiście miałam na to ochotę, ale teraz jestem zadowolona, że tego nie zrobiłam, bo moja sytuacja wyglądałaby o wiele gorzej. Nie mogłam uwierzyć, jak w gruncie rzeczy łatwo było wydostać się z Centrum. W tym brudnym stroju po prostu przeszłam przez teren ośrodka, a potem szłam dalej, jakbym dokładnie wiedziała, dokąd zmierzam, aż zniknęłam wszystkim z oczu. Nie miałam żadnego specjalnego planu; nie była to zorganizowana akcja, jak sobie wyobrażali, chociaż kiedy usiłowali to ze mnie wyciągnąć, naopowiadałam im, Bóg wie czego. Robi się takie rzeczy, kiedy używają elektrod i tym podobnych sposobów. Wtedy człowiekowi jest wszystko jedno, co mówi.

Szłam więc wyprostowana, z brodą do przodu, usiłując wymyślić, co dalej. Kiedy nakryli drukarnię, wpadło wiele kobiet, które znałam, i myślę, że do tej pory mają już resztę. Jestem przekonana, że musieli mieć listę. Byłyśmy naiwne, wyobrażając sobie, że to będzie dalej szło gładko, nawet w ukryciu, nawet mimo przeniesienia wszystkiego z biura i rozlokowania po ludziach, w ich piwnicach i schowkach, dlatego nie byłam taka głupia, żeby się pchać do któregoś z tych domów.

Miałam niejasne pojęcie, gdzie się znajduję w stosunku do centrum miasta, chociaż szłam ulicą, której sobie zupełnie nie przypominałam. Ale według słońca zorientowałam się, gdzie jest północ. Harcerstwo jednak na coś mi się przydało. Doszłam do wniosku, że idąc dalej w tamtą stronę, znajdę ten rynek czy plac, czy tam jeszcze co innego. Wtedy będę na pewno wiedziała, gdzie jestem. A poza tym, pomyślałam, lepiej dla mnie, jeśli się udam w kierunku centrum wydarzeń niż w odwrotnym. W ten sposób wydam się bardziej wiarygodna. W czasie naszego pobytu

w Centrum pozakładali znacznie więcej punktów kontrolnych – było ich pełno. Pierwszy napędził mi cholernego stracha, nadziałam się na niego niespodziewanie, wychodząc zza rogu. Zdawałam sobie sprawę, że nie mogę tak nagle, będąc na widoku, zawrócić, więc starałam się przejść jak gdyby nigdy nic, tak jak i bramę ośrodka – z tą samą skupioną, wyniosłą miną, wyprostowana. Patrzyłam dosłownie przez nich na wskroś, jakby byli ropiejącymi ranami. Wiesz przecież, z jaką miną Ciotki wymawiają słowo „mężczyzna”. Podziało to jak zaklęcie, tak zresztą jak i w innych punktach kontrolnych.

Ale w głowie miałam straszliwy kołowrót. Zostało mi niewiele czasu, dopóki nie znajdą tej starej ropuchy i nie narobią szumu. Wiedziałam, że wkrótce zaczną mnie poszukiwać – przebranej za Ciotkę, idącej piechotą. W myślach bez przerwy robiłam przegląd wszystkich znajomych. Usiłowałam z pamięci odtworzyć naszą listę adresów. Zniszczyłyśmy ją naturalnie, już na samym początku, ale zanim to zrobiliśmy, podzieliliśmy ją między siebie i każda z nas miała się nauczyć swojej części na pamięć. Były to czasy, kiedy używałyśmy jeszcze adresów, ale już nie umieszczaliśmy na kopertach swojego znaku organizacyjnego, stało się to zbyt niebezpieczne.

Próbowałam więc przypomnieć sobie swoją część listy. Nie powiem ci nazwiska, które wybrałam, bo nie chcę, żeby tamci ludzie mieli kłopoty, o ile już ich nie mieli. Możliwe, że ich sama sypnęłam, trudno zapamiętać, co się w takich okolicznościach mówi. Człowiek powiedziałby wszystko.

Wybrałam ich, bo byli małżeństwem, a małżeństwa są znacznie bezpieczniejsze niż ludzie samotni, zwłaszcza homoseksualiści. Poza tym zapamiętałam oznaczenie przy ich nazwisku: K. Czyli że

są kwakrami. Te religijne oznaczenia były ważne, ze względu na marsze. W ten sposób wiedziałyśmy, kto jest kim. Na przykład w sprawie skrobanek nie było co się zwracać do tych z oznaczeniem Kat. Nie powiem zresztą, żebyśmy ostatnio wiele tego robiły, ale ich adres też pamiętam. Przepytywałyśmy się nawzajem z tych list – ważne było, żeby je pamiętać bardzo dokładnie, z kodem i ze wszystkim.

Tymczasem doszłam do Massachusetts Avenue; wiedziałam już wtedy, gdzie jestem. I gdzie oni mieszkają. Teraz miałam inne zmartwienie: czy ci ludzie, widząc nadchodzącą Ciotkę, nie zamkną się na cztery spusty i nie będą udawali, że ich nie ma w domu? Tak czy siak, musiałam spróbować, była to moja jedyna szansa. Pomyślałam sobie, że mnie przecież nie zastrzelą; dochodziła już wtedy piąta po południu. Byłam zmęczona marszem, zwłaszcza że był to marsz w stylu Ciotek, czyli wojskowy, cały czas sztywno, jakbym połknęła cholerny kij, a poza tym od śniadania nic nie jadłam.

Nie miałam pojęcia, że wtedy, jeszcze na początku, mało kto wiedział o Ciotkach czy nawet o Centrum. Początkowo wszystko to było tajne, za drutem kolczastym. Już wtedy ich działalność mogła budzić zastrzeżenia. Dlatego, chociaż widywało się sporadycznie pojedyncze Ciotki, to jednak nikt nie zdawał sobie sprawy z ich roli. Brano je prawdopodobnie za jakieś wojskowe pielęgniarki. Przestali też już wtedy zadawać pytania, chyba że musieli.

Dlatego od razu mnie wpuszczono. Do drzwi podeszła kobieta. Powiedziałam jej, że przeprowadzam ankietę. Zrobiłam to, żeby nie wyglądała na zdziwioną, gdyby się okazało, że ktoś nas widzi. Ale gdy tylko znalazłam się w środku, zdjęłam nakrycie głowy i wyjaśniłam, kim jestem. Mogli oczywiście wezwać policję, czy coś

w tym rodzaju, zdawałam sobie sprawę, że ryzykuję, ale jak mówiłam, nie miałam wyboru. Nie wezwali jednak. Dali mi ubranie, jakąś sukienkę pani domu, a strój Ciotki i przepustkę spalili w piecu; wiedzieli, że to należy zrobić natychmiast. Nie byli zadowoleni, że się im zwaliłam, co do tego nie miałam wątpliwości, i widziałam, że są zdenerwowani. Mieli dwójkę małych dzieci, poniżej siedmiu lat, rozumiałam ich doskonale.

Poszłam do kibla, co za rozkosz. Wanna pełna plastikowych rybek, i w ogóle. A potem poszłam na górę do dziecinnego pokoju i bawiłam się z dziećmi klockami, podczas kiedy rodzice na dole zastanawiali się, co ze mną zrobić. Już wtedy się nie bałam; w gruncie rzeczy czułam się bardzo dobrze. Ty byś powiedziała, że to z mojej strony fatalizm. Kobieta zrobiła mi kanapkę i filiżankę kawy, a jej mąż oświadczył, że zabiera mnie do innego domu. Woleli nie dzwonić do tamtych ludzi.

Ten drugi dom też należał do kwaków i okazał się strzałem w dziesiątkę, ponieważ stanowił jedną ze stacji Podziemnego Szlaku Kobiecego. Po wyjściu tamtej pierwszej pary moi nowi gospodarze powiedzieli, że będą się starali przeszmygłować mnie jakoś z kraju. Nie zdradzę ci, w jaki sposób, bo niektóre stacje mogą jeszcze działać. Każda z nich była w kontakcie tylko z jedną, i to najbliższą na trasie. Miało to swoje zalety – szczególnie w razie wpadki – ale i wady, bo jeżeli jedna stacja została nakryta, automatycznie przestawał działać cały łańcuch, dopóki nie nawiązali kontaktu z którymś ze swoich kurierów, który wyznaczał trasę zastępczą. Ale PSK był lepiej zorganizowany, niż ci się wydaje. Zdołali przeniknąć do wielu ważnych instytucji, na przykład do poczty. Mieli tam swojego kierowcę z bardzo poręczną niewielką furgonetką. Przedostałam się przez most i do centrum

dotarłam dosłownie w worku z pocztą. Mogę ci to teraz powiedzieć, bo facet wpadł wkrótce potem. Skończył na Murze. Słszy się o takich rzeczach, byłabyś zdziwiona, jak często. Komendanci sami nam o tym mówią, pewnie sobie myślą dlaczego nie, i tak nie mamy komu tego powiedzieć, chyba że jedna drugiej, a to się nie liczy.

Jak się opowiada, wygląda to wszystko bardzo łatwo – ale wcale takie nie było. Przez cały czas robiłam w majtki ze strachu. Jedną z najtrudniejszych rzeczy okazała się świadomość, że inni ryzykują dla ciebie życie, chociaż wcale nie muszą. Ale oni mi wyjaśnili, że robią to ze względów religijnych i że nie powinnam mieć wyrzutów sumienia. To mi trochę pomogło. Codziennie wieczorem odbywali ciche modły. Początkowo nie mogłam się do tego przyzwyczaić, za bardzo mi to przypominało cały ten cyrk w Centrum. Szczerze mówiąc, rzygać mi się chciało. Wiele mnie kosztowało, żeby sobie wytłumaczyć, że to coś zupełnie innego. W każdym razie na początku tego nienawidziłam. Ale stwierdziłam, że dodaje im to siły. Wiedzieli mniej więcej, co ich czeka, gdyby zostali na tym złapani. Nie w szczegółach, ale z grubsza wiedzieli. Wtedy pokazywali już to i owo w telewizji – procesy i tak dalej.

To było w czasach, kiedy jeszcze na dobre nie zaczęły się czystki wśród sekt. Jeśli powiedziałaś, że jesteś taką czy inną chrześcijanką, zwłaszcza zamężną, oczywiście po raz pierwszy, to praktycznie zostawiali cię w spokoju. W pierwszym okresie koncentrowali się na innych. Kiedy opanowali wśród nich sytuację, przysła kolej na następnych.

Musiałam się ukrywać przez jakieś osiem czy dziewięć miesięcy. Przekazywano mnie z jednego bezpiecznego domu do drugiego, a było ich wtedy więcej niż teraz. Nie wszyscy byli kwakrami,

niektórzy nie byli nawet wierzący; po prostu nie podobało im się to wszystko.

Prawie mi się udało. Przesłali mnie w ten sposób do Salem, a stamtąd ciężarówką z ładunkiem kurcząt do Maine. Od tego smrodu robiło mi się niedobrze; nawet sobie nie wyobrażasz, jak to jest, kiedy sra na ciebie cały ładunek kurcząt, cierpiących na chorobę morską i wytrzeszonych przez jazdę samochodem. Chcieli mnie stamtąd przerzucić przez granicę; nie samochodem ani ciężarówką, bo to już było za trudne, tylko łodzią. Dowiedziałam się o tym dopiero tego dnia wieczorem – o każdym następnym kroku informowali w ostatniej chwili. Oczywiście ze względu na bezpieczeństwo.

Dlatego nie wiem, jak to się stało. Może ktoś dostał pietra, a może zaczęli coś podejrzewać. Może chodziło o łódź – może uznali, że faceta za długo nie ma w nocy z tą łodzią. W każdym razie już wtedy musiało być gęsto od Oczu i tam, i wszędzie w pobliżu granicy. Obojętne, jak było, zatrzymali nas zaraz – ledwie wyszliśmy tylnymi drzwiami, żeby się udać do portu. Zgarnęli mnie, tego faceta i jego żonę. Była to starsza para małżeńska, około pięćdziesiątki. Zanim załatwili przybrzeżne rybołówstwo, ten facet zajmował się handlem langustami. Nie wiem, co się z tymi ludźmi stało, bo mnie wzięli do innego samochodu.

Pomyślałam wtedy, że ze mną koniec. Albo że mnie wyślą z powrotem do Centrum – a Centrum to Ciotka Lidia i jej stalowy kabel. Jak wiesz, bardzo lubiła te rzeczy. Oczywiście udawała, że robi to wszystko z miłości do grzesznika i nienawiści do grzechu, ale w gruncie rzeczy sprawiało jej to wielką frajdę. Brałam nawet pod uwagę, że ucieknę, i może bym to zrobiła, gdyby była

jakakolwiek możliwość. Ale z tyłu w wozie posadzili dwóch, którzy patrzyli na mnie jak sępy; nic nie mówili, tylko patrzyli tym swoim kamiennym wzrokiem. Nie miałam swobody ruchu.

Ale nie pojechaliśmy do Centrum, tylko gdzie indziej. Nie będę się wdawała w szczegóły tego, co było później, wolę o tym nie mówić. W każdym razie nie zostawili mi żadnych śladów.

Jak już z tym skończyli, pokazali mi film. Wiesz o czym? O życiu w Koloniach. A w Koloniach spędza się czas na sprzątanii. Na przykład ciał po bitwie. Najgorsze są te w miejskich gettach. Leżą dłużej i bywają w stanie zaawansowanego rozkładu. Ta banda nie lubi, żeby ciała leżały za długo, boją się pewnie epidemii, dlatego obowiązkiem kobiet w Koloniach jest palenie tych zwłok. Inne Kolonie są jeszcze gorsze, tam się uprzęta toksyczne wysypiska i odpady promieniotwórcze. Tu ma się podobno najwyżej trzy lata, zanim odpadnie ci nos, a skóra zejdzie jak rękawiczka. Nie przejmują się też specjalnie wyżywieniem czy odzieżą ochronną, aby było jak najtaniej. Tak czy siak, są tam głównie ludzie, których chcą się pozbyć. Podobno są jeszcze jakieś inne Kolonie, nie takie ciężkie, nastawione na rolnictwo: bawełna, pomidory i inne uprawy. Ale ten film, który mi pokazali, nie był o nich.

Do Kolonii wywożą głównie stare kobiety – założę się, że nieraz pomyślałaś, dlaczego ich się prawie nie widzi – Podręczne, które spieprzyły swoje trzy szanse, i niepoprawne, takie jak ja. Ogólnie mówiąc – ludzkie odpady. Oczywiście wszyscy są bezpłodni. Jeżeli nie na początku, to na pewno po jakimś czasie. Jak są niepewni, robią ci małą operację, żeby nie popełnić żadnego błędu. Według moich obliczeń mniej więcej jedna czwarta mieszkańców Kolonii to mężczyźni. Nie zawsze Zdrajcy Rodzaju kończą na Murze.

Wszyscy noszą tam długie suknie, takie jak w Centrum, tylko że

szare. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni, sądząc ze zdjęć grupowych. Myślę, że to noszenie sukien przez mężczyzn ma osłabić w nich ducha. Mnie by to rzeczywiście podłamało. Jak ty to wytrzymujesz? Ja tam mimo wszystko wolę ten strój.

No więc na koniec powiedzieli, że jestem zbyt niebezpieczna, że nie zasłużyłam na to, żeby mnie odesłać z powrotem do Czerwonego Centrum. Że będę miała zły wpływ na inne. Mogę wybierać, powiedzieli, to albo Kolonie. Cholera, przecież poza zakonnica nikt by nie wybrał Kolonii. Nie jestem męczennicą. A ponieważ już i tak przed laty miałam podwiązane jajowody, nie musieli mi nawet robić operacji. Zresztą tu nie ma żadnej z czynnymi jajnikami; możesz sobie wyobrazić, co by to były za problemy.

No i tak się tutaj znalazłam. Dają nam tu nawet krem do twarzy. Trzeba się zastanowić, jak byś tu mogła się do nas dostać. Masz jeszcze przed sobą ze trzy czy cztery lata dobrego życia, zanim twój wdzięk zgaśnie i pójdiesz na złom. Jedzenie jest nie najgorsze; alkohol, a nawet narkotyki, jakbyś chciała, no i pracujemy tylko w nocy.

– Moira – mówię – przecież ty tak nie myślisz.

Przeraża mnie, bo słyszę w jej głosie obojętność, brak woli. Czyżby rzeczywiście z nią to zrobili, zabrali jej to coś – co? – co było dla niej zawsze takie ważne? Ale jak ja mogę po niej oczekiwać, że będzie dalej taka, jaka była, zgodnie z moim wyobrażeniem o jej odwadze, że to przeżyje, rozegra sensownie, skoro mnie samej na to nie stać?

Nie chcę, żeby była taka jak ja. Żeby się ugiwała, szła z prądem dla ocalenia własnej skóry. Bo do tego się to wszystko sprowadza. Oczekuję po niej brawury, zaczepności, heroizmu, przebojowości.

Tego wszystkiego, czego brak mnie.

– Nie bój się o mnie – mówi. Musi dokładnie wiedzieć, co myślę. – Jestem tu w dalszym ciągu, ale widzisz, zostałam sobą. Spróbuj spojrzeć na to w ten sposób: ostatecznie nie jest tak źle, popatrz, ile tu kobiet. Tylko rznąć. – Teraz już Moira przekomarza się ze mną, demonstruje energię, a ja od razu czuję się lepiej.

– Pozwalają wam na to? – pytam.

– Czy nam pozwalają? Do diabła, oni nas zachęcają. Wiesz, jak nazywają między sobą to miejsce? „U Jezebel”. Ciotki i tak uważają, że jesteśmy potępione, machnęły na nas ręką, więc wszystko jedno za co, a Komendantom dokładnie wisi, co my robimy w wolnym czasie. Ostatecznie tyle kobiet naraz, to ich w pewnym sensie nakręca.

– A co z innymi? – pytam.

– Można to ująć w ten sposób: nie przepadają za mężczyznami. – Znów wzrusza ramionami. Może to rezygnacja.

A oto, co naprawdę miałabym ochotę opowiedzieć. Miałabym ochotę opowiedzieć historię ucieczki Moiry – ale tym razem udanej.

A gdyby to było niemożliwe, to przynajmniej chciałabym opowiedzieć, jak Moira wysadziła w powietrze lokal „U Jezebel”, z pięćdziesięcioma Komendantami w środku. Bo jej koniec musi być bohaterski i spektakularny, musi to być jakiś brawurowy, efektowny wyczyn, coś na jej miarę. Nic takiego chyba się jednak nie wydarzyło. Nie wiem, jak skończyła, ani nawet czy skończyła, ponieważ nigdy jej więcej nie widziałam.

39

Komendant ma klucz do pokoju. Wziął go z głównej recepcji, podczas kiedy ja czekałam na kwiecistej sofie. Pokazuje mi go nieśmiało. Mam zrozumieć ten gest.

Jedziemy na górę windą w kształcie połowy jajka, mijając po drodze obrośnięte winem balkony. Mam także rozumieć, że zostałam wystawiona na pokaz.

Otwiera drzwi do pokoju. Wszystko jest tak samo, zupełnie tak samo, jak było dawno, dawno temu. Te same zasłony, ciężkie, kwieciste, dobrane do narzuty na łóżko – pomarańczowe maki na granatowym tle – i te drugie, cienkie, białe, chroniące przed słońcem; sekretera i nocne szafki, kwadratowe, bezosobowe; lampy, obrazy na ścianie: owoce w misce, stylizowane jabłka, kwiaty w wazonie, jaskry i kąkole pod kolor zasłon. Wszystko to samo.

Mówię Komendantowi: chwileczkę, i idę do łazienki. W uszach mi dzwoni od dymu, dżin wypełnił mnie znużeniem. Moczę myjkę i przyciskam ją do czoła. Po chwili rozglądam się, czy są mydełka w osobnych opakowaniach. Są. Takie z Cyganką, z Hiszpanii.

Wdycham zapach mydła, zapach środków dezynfekcyjnych, i stoję w białej łazience, nasłuchując dalekich odgłosów wody płynącej z kranu i wody spuszczonej w klozecie. W jakiś dziwny sposób działa to na mnie kojąco, czuję się jak w domu. Jest

w toaletach coś swojskiego. Przynajmniej fizjologiczne funkcje ciała pozostają demokratyczne. Każdy sra równo, jak by to powiedziała Moira.

Siedzę na brzegu wanny, patrząc na gładkie ręczniki. Był czas, że ten widok poruszyłby mnie. Kojarzyłby mi się z chwilą po kochaniu.

– Widziałam twoją matkę – powiedziała Moira.

– Gdzie? – spytałam. Wstrząsnęło to mną. Uświadomiłam sobie, że myślałam o niej jako o zmarłej.

– Nie osobiście, tylko na filmie. Na tym filmie o Koloniach, który nam pokazali. Poznałam ją na takim jednym zbliżeniu, i to była na pewno ona. Okutana w szarą szmatę, ale to musiała być ona.

– Dzięki Bogu – powiedziałam.

– Dlaczego dzięki Bogu? – spytała Moira.

– Myślałam, że nie żyje.

– Równie dobrze mogłaby nie żyć. Powinnaś jej tego życzyć.

Nie pamiętam ostatniego razu, kiedy ją widziałam. Zlewa mi się z innymi razami: okoliczności musiały być banalne. Wpadła do mnie na pewno, jak to się często zdarzało – wpadała i wypadała, jakbym to ja była jej matką, a ona dzieckiem. Zachowała tę swoją młodość. Czasami, kiedy się właśnie wprowadzała czy wyprowadzała, używała mojej pralki, może akurat przyszła coś pożyczyć: garnek czy suszarkę do włosów. I to miała w zwyczaju.

Nie wiedziałam, że to będzie ostatni raz, bo bym go lepiej zapamiętała. Nie przypominam sobie nawet, o czym rozmawialiśmy.

W tydzień, dwa, a może trzy tygodnie potem, kiedy już się zrobiło bardzo źle, usiłowałam do niej zadzwonić, ale nikt nie

odpowiadał. Tak samo później.

Nie mówiła mi, że gdzieś wyjeżdża, ale ostatecznie nie musiała mi się opowiadać. Miała samochód i nie była jeszcze za stara, by móc prowadzić.

W końcu dodzwoniłam się do dozorczy, ale powiedział, że jej ostatnio nie widuje.

Zaniepokoiło mnie to. Pomyślałam sobie, że może miała atak serca albo wylew, to przecież niewykluczone, chociaż nie była chora, a w każdym razie nic o tym nie wiedziałam. Cieszyła się dobrym zdrowiem. W dalszym ciągu pracowała w „Nautilusie” i co dwa tygodnie chodziła na basen. Zawsze mówiłam moim przyjaciołom, że moja matka jest zdrowsza ode mnie, i pewnie była to prawda.

Pojechaliśmy do śródmieścia i Łukasz zmusił dozorcę do otwarcia drzwi. – Może nie żyje, może leży gdzieś na podłodze – powiedział. – Im dłużej pozostawi się ją w takim stanie, tym gorzej. Czy pan sobie wyobraża, co to będzie za fetor? – Dozorca zasłaniał się brakiem zezwolenia, ale Łukasz potrafił przekonywać. Dał mu wyraźnie do zrozumienia, że nie zamierzamy ani czekać, ani odejść. Zaczęłam płakać. I może to w końcu poskutkowało.

Kiedy dozorca wreszcie otworzył drzwi, zastaliśmy tam kompletny bałagan. Poprzewracane meble, rozerwany materac, szuflady biurka powywracane do góry dnem, a ich zawartość wywalona na podłogę. Ale matki nie było.

– Dzwonię na policję. – Przestałam płakać; byłam lodowata od stóp do głów, zęby mi szczękały.

– Nie dzwoń – powiedział Łukasz.

– Dlaczego? – Rzuciłam mu piorunujące spojrzenie, byłam wściekła. A on stał w jadalni jak na poboju i tylko na mnie

spoglądał. Włożył ręce do kieszeni jednym z tych bezcelowych gestów, które ludzie wykonują, kiedy nie wiedzą, co zrobić.

– Po prostu nie dzwoń – powtórzył.

– Twoja matka jest fantastyczna – mawiała Moira, kiedy byliśmy w szkole. A potem: ma ikrę. I jeszcze później: ona jest postrzelona.

– Ona nie jest postrzelona, to moja matka.

– Jezu – powiedziała Moira. – Żebyś zobaczyła moją.

Myślę o matce wymiatającej jakieś toksyczne odpady, tak jak w Rosji używali starych kobiet do zamiatania śmieci. Tylko że te śmieci zabijają. Nie mogę w to uwierzyć. Wierzę, że dzięki swojej przebojowości, optymizmowi, energii i ikrze jakoś z tego wyjdzie. Coś z pewnością wymyśli.

Ale ja wiem, że to nieprawda. Że to tylko zwalanie na nią odpowiedzialności, jak to robią dzieci w stosunku do matek.

Ja ją już opłakałam. Ale będę opłakiwać jeszcze, bez końca.

Wracam do rzeczywistości, do hotelu. Tu jest moje miejsce.

Przyglądam się sobie w dużym lustrze, pod jasnym światłem.

Przyglądam się sobie bez pośpiechu, spokojnie. Jestem wrakiem. Tusz znów rozmazany, mimo poprawek Moiry, cyklamenowa szminka starta, włosy w bezładnych strąkach. Wyliniałe, różowe pióra, nędzne jak u karnawałowej kukły, niektóre cekiny w kształcie gwiazdek podpadały. Prawdopodobnie od początku ich nie było, tylko nie zauważyłam. Jestem parodią, w kiepskim makijażu i cudzym przebraniu, tandetną błyskotką.

Szkoda, że nie mam szczotki do zębów.

Mogłabym tak stać tutaj i rozmyślać o tym wszystkim, ale czas ucieka. Przed północą muszę być w domu, jak Kopciuszek. Jutro według kalendarza Ceremonia, więc Serena chce, żebym była dziś

wieczór obsłużona, a gdy mnie nie będzie, domyśli się dlaczego – i co wtedy?

A Komendant, dla odmiany, czeka. Słyszę, jak spaceruje po pokoju. Teraz zatrzymuje się pod drzwiami łazienki, chrząka – sceniczne „ahem”. Odkręcam kurek gorącej wody, sygnalizując gotowość czy coś w tym rodzaju. Muszę kończyć. Myję ręce. Muszę pamiętać o inercji.

Kiedy wychodzę, leży na wielkim łożu, zrzuciwszy, jak zauważyłam, buty. Kładę się obok niego, nie trzeba mi tego mówić. Robię to niechętnie, ale przyjemnie się położyć, jestem taka zmęczona.

Nareszcie sama, myślę. Tyle tylko, że ja nie chcę być sama z nim; w każdym razie nie w łóżku. Już bym wolała, żeby była z nami Serena. Już bym wolała grać w scrabble.

Ale moje milczenie wcale go nie peszy.

– Jutro, prawda? – mówi cicho. – Pomyślałem, że możemy to trochę przyspieszyć. – Odwraca się w moją stronę.

– Po co pan mnie tu przyprowadził? – pytam zimno.

Głaszcz mnie teraz, od stóp do głów, głaszczę pieśczośliwie po lewym boku, wzdłuż lewej nogi. Zatrzymuje się tuż przy stopie, palcami obejmuje kostkę, na chwilę, jak bransoletką, tam gdzie jest tatuaż, brajl, który może czytać, jestem napiętnowana jak trzoda – stanowią jego własność.

Uświadamiam sobie, że nie jest złym człowiekiem, że w innych okolicznościach nawet go lubię.

Jego dłoń zastyga.

– Pomyślałem sobie, że może podobałoby ci się coś takiego dla odmiany. – Wie, że to nie wystarczy. – Taki eksperyment. – Ale i tego za mało. – Mówiłaś, że jesteś ciekawa.

Siada. Zaczyna się rozpinąć. Czy z takim nagim, odartym z całego majestatu będzie jeszcze gorzej? Jest już rozebrany do koszuli; a pod nią – co za smętny widok – niewielki brzuszek, zmierzwione włosy na piersi.

Ściąga mi jedno z ramiączek, wsuwa rękę pomiędzy pióra, ale to nic nie pomaga, leżę jak zdechły ptak. Przecież nie jest żadnym potworem, myślę. Ale nie mogę sobie pozwolić na okazanie dumy ani awersji. Z tyłu rzeczy muszę w tej sytuacji zrezygnować.

– A może zgasić światło – proponuje Komendant, zawiedziony i niewątpliwie speszony. Widzę go jeszcze przez chwilę przed zgaszeniem światła. Bez munduru jest jakby starszy i mniejszy, jak coś wysuszonego. Problem polega na tym, że nie potrafię być z nim inna, niż jestem normalnie. A normalnie jestem bezwolna. Przecież musi tu być dla nas coś jeszcze poza tą jałowością i śmiesznością.

Udawaj! – nakazuję sobie w myślach. Przecież musisz pamiętać, jak się to robi. Miej to już z głowy, bo inaczej będziesz tu sterczała całą noc. Obudź się. Nie leń się, wzdychaj głośno, przynajmniej tyle możesz zrobić.

XIII

NOC

40

Upał w nocy jest gorszy od upału w dzień. Nawet przy włączonym wentylatorze nic się nie rusza, ściany gromadzą ciepło i oddają je potem jak piec. Na pewno wkrótce będzie deszcz. Dlaczego mi tak na nim zależy? Będzie to tylko oznaczało jeszcze więcej wilgoci. Gdzieś daleko błyskawica, ale bez grzmotu. Patrząc przez okno, widzę ją, błysk jak fosforescencja, która powstaje, kiedy się wzburzy wodę morską, gdzieś za niebem, zachmurzonym, bardzo niskim, w kolorze matowoszarej podczerwieni. Reflektory są pogaszone, co się nieczęsto zdarza. Przerwa w dostawie prądu. Albo sprawka Sereny.

Siedzę po ciemku. Nie ma sensu zapalać światła i przyznawać się, że jeszcze nie śpię. Jestem kompletnie ubrana, znów w mój czerwony habit – zrzuciłam świecidełka, papierem toaletowym wytarłam szminkę. Mam nadzieję, że nic po mnie nie widać, że nie pachnę tym – ani nim.

Zjawia się o północy, tak jak zapowiedziała. Słyszę ją – delikatne stukanie i szuranie na tłumiącym odgłosy chodniku w korytarzu, potem lekkie pukanie do drzwi. Bez słowa idę za nią korytarzem, a potem na dół po schodach. Może iść całkiem szybko, jest silniejsza, niż myślałam. Lewą dłoń zaciska na poręczy, może z bólu, ale się trzyma, to jej daje oparcie. Myślę: zagryza wargi, cierpi. Ale tak bardzo chce tego dziecka. Widzę nas dwie –

czerwoną i niebieską postać – migamy w szklanym oku lustra, schodząc na dół. Ja – w odwróceniu.

Wychodzimy przez kuchnię. Jest pusta, świeci się tylko słaba nocna lampa; panuje w niej spokój pustych kuchni nocą.

W mroku majaczą salaterki na bufecie, pojemniki i kamionkowe słoje, okrągłe i ciężkie. Noże leżą w drewnianych przegródkach.

– Nie wyjdę z tobą na zewnątrz – szepcze. Dziwne, szepcze, jakby była jedną z nas. Normalnie Żony nie zniżają głosu. – Po wyjściu zaraz skreć w prawo. Tam znajdziesz drugie drzwi, które są otwarte. Wejdiesz po schodach i zapukasz, on na ciebie czeka. Nikt cię nie zobaczy. Ja tu posiedzę. – A więc będzie na mnie czekała, na wypadek gdyby były jakieś kłopoty, gdyby z jakiegoś powodu obudziły się Cora i Rita i wyszły ze swojego pokoju za kuchnią. Co by im powiedziała? Że nie może spać. Że ma ochotę napić się ciepłego mleka. Starczy jej sprytu, żeby coś zręcznie zelgać, jestem o to spokojna.

– Komendant jest w swojej sypialni na górze – mówi. – Nie zejdzie na dół tak późno, nigdy nie schodzi. – Tak jej się przynajmniej wydaje.

Otwieram drzwi kuchenne, wychodzę, czekam chwilę, aż mi się przyzwyczai wzrok. Grzmi, zbliża się burza. Jak dawno nie byłam poza domem sama w nocy. Ciekawe, co zrobiła ze strażnikami. Mogliby mnie zastrzelić jako intruza. Pewnie ich przekupiła – papierosami, whisky, albo może wiedzą wszystko o jej stajni zarodowej, może jak się to nie uda, to następnym razem spróbuje ich?

Drzwi do garażu są w odległości zaledwie kilku kroków ode mnie. Przemykam bezszelestnie po trawie i wślizguję się szybko. Na schodach jest ciemno, nic nie widzę. Stopień po stopniu

wymacuję drogę – dywan, wyobrażam go sobie w kolorze grzybów. To musiało być kiedyś mieszkanie – dla studenta, dla jakiejś młodej, pracującej osoby. W wielu dużych domach były takie mieszkania. Mansarda, kawalerka – tak się one nazywały. Sprawia mi przyjemność, że to pamiętam. „Niekrepujące wejście” – tak mówiły ogłoszenia, a to znaczyło, że można się tam kochać, nie będąc widzianym.

Wchodzę na górę, stukam. Otwiera mi sam, a kogóż innego mogłam się spodziewać? Pali się lampa, tylko jedna, ale wystarczająco jasna, żebym musiała mrugać. Patrzę gdzieś obok niego, nie chcę spotkać jego wzroku. Jest to pojedynczy pokój ze składanym łóżkiem, teraz zasłanym, z wnęką kuchenną i drzwiami, które muszą prowadzić do łazienki. Pokój jest surowym niczym cela, zawiera minimum sprzętów. Na ścianach żadnych obrazków, żadnych roślin doniczkowych. Przychodzi tu tylko nocować. Koc na łóżku jest szary, oznaczony literami U.S.

Cofa się, ustępuje mi z drogi. Jest w samej koszuli i trzyma zapalonego papierosa. Czuję dym na nim, w ciepłym powietrzu, wszędzie. Mam ochotę się rozebrać, wykąpać w tym dymie, wetrzeć go sobie w skórę.

Nie ma żadnych wstępów; wie, po co tu przyszłam. Nawet nic nie mówi, szkoda czasu, ma zadanie do wypełnienia. Oddala się, gasi lampę. Za oknem, jakby zamierzony mocniejszy akcent, błysk i prawie natychmiast grzmot. Rozpina mi sukienkę, mężczyzna cień, nie widzę nawet jego twarzy, nie mogę oddychać, stać – nie stoję. Czuję na sobie jego usta, ręce, nie mogę się doczekać, ale on wchodzi we mnie, już, miłość, och, jak dawno, znów żyję w swojej skórze, ramiona wokół niego, spadam, mokro, delikatnie, wszędzie, bez końca. Wiedziałam, że to się nie może powtórzyć.

Wymyśliłam to wszystko. Było zupełnie inaczej. A oto, jak było.

Wchodzę po schodach na górę, stukam do drzwi. Otwiera mi sam. Pali się lampa. Mrugam. Nie patrzę mu w oczy. Pojedynczy pokój, zasłane łóżko, surowe, wojskowe. Żadnych obrazków; na kocu widnieje U.S. Jest w samej koszuli, trzyma papierosa.

– Masz – mówi. – Sztachnij się. – Żadnych wstępów, wie, po co tu przyszłam. Żeby mnie przeleciał, żebym wpadła, zaskoczyła – tak się na to kiedyś mówiło. Biorę od niego papierosa, zaciągam się głęboko, oddaję mu. Nasze palce prawie się nie dotykają. Nawet ta odrobina dymu działa na mnie oszołamiająco.

Nic nie mówi, po prostu na mnie patrzy, bez uśmiechu. Byłoby lepiej, jakoś cieplej, gdyby mnie dotknął. Czuję się głupia i brzydka, chociaż wiem, że ani jedno, ani drugie nie jest prawdą. Ale co on sobie myśli, dlaczego nic nie mówi? Może myśli, że się puszczałam „U Jezebel” z Komendantem, i nie tylko. Denerwuje mnie, że martwię się nawet o to, co on sobie o mnie myśli. Ale do rzeczy.

– Mam niewiele czasu – mówię. Brzmi to głupio i niezręcznie i wcale nie to chcę powiedzieć.

– Mogę to wstrzyknąć do butelki, a ty już sobie sama tam wlejesz – odpowiada bez uśmiechu.

– Nie musisz być ordynarny. – Może uważa, że go wykorzystuję. Może oczekuje czegoś ode mnie, bardziej emocjonalnego stosunku, potwierdzenia, że on też jest człowiekiem i może służyć nie tylko do zapładniania. – Wiem, że to trudna sytuacja – próbuję.

Wzrusza ramionami.

– Płacą mi – mówi z grubiaństwem punka. Ale w dalszym ciągu nie robi żadnego ruchu.

Tobie płacą, a mnie pieprzą – powtarzam sobie w myśli. A więc

w ten sposób mamy to robić. Nie podobał mu się makijaż ani cekiny. Nie będziemy się pieścić.

– Często tu przychodzisz? – pyta.

– Co pan sobie o mnie pomyśli – odpowiadam. Uśmiechamy się oboje, już jest lepiej. To potwierdzenie, że gramy, bo i cóż innego możemy robić w takich dekoracjach?

– Abstynencja czyni serce gorętszym – cytujemy z ostatnich filmów z czasu poprzedniego. A filmy były wtedy z czasów jeszcze dawniejszych, przed tamtymi. Ten sposób wyrażania się sięga okresu dobrze sprzed naszej ery. Nawet moja matka tak nie mówiła, w każdym razie kiedy ja ją znałam. Być może nikt nigdy tak nie mówił, może to wszystko było zmyślane od samego początku. A jednak to zdumiewające, jak łatwo te rzeczy przywodzi pamięć, te prostackie, pseudopedalskie erotyczne przekomarzanki. Teraz rozumiem, po co to jest, po co to zawsze było: żeby chronić jądro własnej istoty, uczynić je nietykalnym, niedostępnym.

Smutno mi – sposób, w jaki rozmawiamy, jest bezgranicznie smutny: przebrzmiała muzyka, zblakłe papierowe kwiaty, stary atlas, echo echa. Wszystko przeminęło. Już nie wróci. Bez żadnego uprzedzenia zaczynam płakać.

Wreszcie zbliża się do mnie, obejmuje mnie ramionami, głaszcze po plecach, tuli, pociesza.

– No, chodź – mówi. – Nie mamy wiele czasu. – Obejmując mnie ramieniem, prowadzi do łóżka, kładzie. Nawet uchyla koc. Zaczyna mnie rozpinać, głaszcze, całuje koło ucha. – Bez zbytnej czułości – mówi. – Okay?

Kiedyś mogło to znaczyć coś zupełnie innego: bez certolenia. Teraz: bez szarżowania. Czyli: nie ryzykuj dla mnie, jak przyjdzie co do czego.

No i tak to się właśnie odbywa.

Wiedziałam, że to się nie powtórzy. Do widzenia, pomyślałam, nawet wtedy, do widzenia.

Nie było wcale grzmotu, to też dodałam – żeby zagłuszyć odgłosy, które, o wstydzie, wydaję.

Ale i ta wersja nie jest prawdziwa. Nie mam pewności, jak to było rzeczywiście, nie całkiem. Jedyna możliwa wersja to rekonstrukcja: doznania miłosne można określić tylko w przybliżeniu.

Mniej więcej w połowie przypominam sobie o Serenie, która czeka na mnie w kuchni. I myśli: jakie to tanie. Rozkładają nogi przed każdym. Wystarczy dać im papierosa.

A ja pomyślałam potem: to zdrada. Nie sam fakt, tylko moja reakcja. Czy gdybym wiedziała na pewno, że on nie żyje, to byłaby jakaś różnica?

Chciałabym nie mieć wstydu. Chciałabym być bezwstydna. Chciałabym być ignorantką. Wtedy bym nie wiedziała, jak wielką jestem ignorantką.

XIV

WYBAWIANIE

41

Chciałabym, żeby ta historia była inna, bardziej cywilizowana. Żeby ukazała mnie w lepszym świetle – jeśli nie szczęśliwszą, to przynajmniej bardziej aktywną, mniej wahającą się, mniej rozpraszającą na drobiazgach. Chciałabym, żeby miała jakąś formę. Żeby to była historia o miłości albo o nagłych odkryciach o życiowym znaczeniu, lub choćby po prostu o zachodach słońca, ptakach, burzach czy śniegu.

Być może w pewnym stopniu jest ona o tym wszystkim naraz, ale równocześnie tyle jest rzeczy, które nasuwają się wbrew woli i aż się proszą, by ich nie pomijać w relacji – tyle szeptów, spekulacji na temat innych, tyle plotek nie do potwierdzenia, tyle niewypowiedzianych słów, skradania się i sekretów. I tyle czasu, który trzeba przetrzymać, czasu ciężkiego jak smażone potrawy czy gęsta mgła; a potem nagle te czerwone wydarzenia, jak wybuchy, na ulicach skądinąd dostojnych, sennych i pełnych spokoju.

Przykro mi, że jest w tej historii tyle bólu. Że jest ona poszarpana jak ciało przeszyte seriami strzałów.

Ale nic nie mogę na to poradzić.

Usiłowałam pomieścić w niej i rzeczy dobre. Jak na przykład kwiaty – dokąd byśmy zaszli bez kwiatów?

W każdym razie powtarzanie jej w kółko jest dla mnie bolesne.

Raz w zupełności wystarczy: czy wtedy, ten jeden raz to nie dosyć? Ale ciągnę dalej tę smutną, tę głodną i żalną, kulawą i okaleczoną historię, ponieważ mimo wszystko chciałabym, żebyś ją usłyszał, tak samo jak ja chciałabym usłyszeć twoją historię, jeśli kiedykolwiek będę miała okazję, jeśli się spotkamy lub jeśli uciekniesz, w przyszłości, w niebie, w więzieniu, w podziemiu, w jakimkolwiek innym miejscu. Jedyne, co mają wspólnego, to to, że ich tu nie ma. Mówiąc ci cokolwiek, przynajmniej wierzę w ciebie, wierzę, że jesteś, powołuję cię do życia mocą swojej wiary. Opowiadając ci tę historię, wymuszam twoje istnienie. Mówię, więc jesteś.

Dlatego będę mówiła dalej. Zmuszę się.

Zbliżam się do fragmentu, który ci się nie spodoba, ponieważ zachowałam się w nim niewłaściwie, ale mimo to postaram się nie opuścić. Po tym wszystkim, co przeszedłeś, masz prawo do tego, co pominęłam, choć jest tego niewiele, tyle że to prawda.

No więc było tak:

Przychodziłam do Nicka. Raz po raz. Z własnej woli i bez wiedzy Sereny. Niewzywana, bez żadnego pretekstu. Robiłam to nie dla niego, tylko wyłącznie dla siebie. Nie myślałam nawet o tym jako o akcie dawania mu siebie – bo i cóż ja miałam do dania? Nie czułam się szczodra, tylko wdzięczna, za każdym razem, kiedy mnie wpuszczał. Przecież nie musiał.

Żeby to móc robić, stałam się lekkomyślna, głupio ryzykowałam. Po wizycie u Komendanta wracałam na górę, jak zwykle, ale potem szłam dalej korytarzem, schodami kuchennymi i przez kuchnię. I za każdym razem, kiedy zamykały się za mną drzwi kuchni, miałam ochotę zawrócić – ich metaliczny dźwięk przypominał mi trzask pułapki albo chrzęst jakiejś broni – ale nie

zawracałam. Szybko pokonywałam skrawek oświetlonego trawnika – reflektory już znów się paliły – oczekując, że w każdej chwili przesyje mnie kula, zanim jeszcze usłyszę jej świst. Wspinałam się po omacku ciemnymi schodami, znajdując wytchnienie dopiero u drzwi – z pulsowaniem własnej krwi w uszach. Strach może skłonić do działania. A potem stukałam cicho – jak żebrak. Za każdym razem bałam się, że go nie zastanę, że mnie nie wpuści. Mógł powiedzieć, że ma już dość tego łamania zakazów, że nie będzie dla mnie ryzykował głową. Albo jeszcze gorzej: że już nie ma ochoty. A to, że nie zrobił żadnej z tych rzeczy, traktowałam jako niewiarygodną wprost wspaniałość z jego strony, uśmiech losu.

Mówiłam ci, że zachowałam się brzydko.

A oto, jak było.

Otwiera drzwi. Jest w samej koszuli, nieschowanej w spodnie, tylko wypuszczonej na wierzch; ma w ręku szczotkę do zębów, papierosa albo szklanekę z jakimś drinkiem. Z własnego, małego zapasu – podejrzewam, że pochodzenia czarnorynkowego. Zawsze ma coś w ręce, kiedy przychodzę, jakby się zajmował swoimi codziennymi sprawami, jakby się mnie nie spodziewał, nie czekał na mnie. Może się zresztą nie spodziewa i nie czeka. Może nie myśli o przyszłości, nie zawraca sobie tym głowy albo nie ma odwagi sobie jej wyobrazić.

– Czy nie za późno? – pytam.

Potrząsa głową. Wiemy już teraz oboje, że nigdy nie jest za późno, ale nigdy nie pomijam tego grzecznościowego rytuału. Mam wtedy złudzenie, że panuję nad sytuacją, jakby był jakiś wybór – że mogę zdecydować tak albo inaczej. Ustępuje mi z drogi, przechodzę obok niego, a on zamyka drzwi. Potem okno. Następnie

gasi światło. Niewiele do siebie mówimy, w każdym razie na tym etapie. Jestem już do połowy rozebrana. Rozmowę zostawiamy na później.

Przy Komendancie zamykam oczy, nawet jeśli tylko całuję go na dobranoc. Nie chcę widzieć go z bliska. Ale tutaj mam za każdym razem oczy otwarte. Marzy mi się jakieś światło, choćby świeczka wetknięta w butelkę – wspomnienie college’u – ale każda z tych rzeczy łączyłaby się ze zbyt dużym ryzykiem, muszę się więc zadowolić poświatą reflektorów sączącą się z dołu przez białe firanki, takie same jak moje. Chcę widzieć to, co jest do zobaczenia – z niego, chłonąć go, zapamiętywać, oszczędzać na później, tak żeby potem żyć tym obrazem: linie jego ciała, fakturę skóry, lśnienie potu na delikatnym meszku, pociągłą, sardoniczną, nieprzeniknioną twarz. Szkoda, że nie robiłam tego z Łukaszem, że nie zwracałam większej uwagi na szczegóły, na znamiona i blizny, na charakterystyczne zmarszczki; nie robiłam tego i jego obraz blaknie. Z każdym dniem, z każdą nocą oddala się ode mnie, a ja jestem coraz mniej wierna.

Dlatego tu nosiłabym różowe piórka, fioletowe gwiazdki – gdyby tego zażądał; obojętne co, choćby i króliczy ogon. Ale jemu nie zależy na takich ozdóbkach. Za każdym razem kochamy się tak, jakbyśmy nie mieli wątpliwości, że to się nie powtórzy, żadnemu z nas, z nikim, nigdy. A kiedy się powtarza, traktujemy to jak miłą niespodziankę, coś ekstra, dar.

Bycie tu z nim to poczucie bezpieczeństwa; jaskinia, w której tulimy się do siebie, gdy na zewnątrz szaleje burza. To oczywiście złudzenie. Ten pokój jest jednym z najbardziej niebezpiecznych miejsc. Gdyby mnie tu nakryli, nie mieliby dla mnie litości, ale ja już przestałam się tym przejmować. Jak jednak mogłam mu tak

zaufać – rzecz sama w sobie bardzo głupia. Jak mogę zakładać, że go znam, czy że cokolwiek wiem o nim lub o tym, czym on się naprawdę zajmuje?

Odsuwam od siebie te niemiłe podszepty. Za dużo mówię. Mówię mu rzeczy, których nie powinnam. Mówię o Moirze, o Glenie; ale nie o Łukaszu. Mam ochotę powiedzieć o dziewczynie, która przede mną zajmowała mój pokój, ale nie mówię. Jestem o nią zazdrosna. Jeśli ona tu była przede mną, w tym łóżku, to nie chcę o tym słyszeć.

Zdradzam mu swoje prawdziwe imię i czuję, że wobec tego wie o mnie za dużo. Zachowuję się jak osioł. Powinnam być mądrzejsza. Robię z niego idola, bóstwo z papieru.

On, przeciwnie, mówi niewiele: żadnych przekomarzanek czy żartów. Po prostu zadaje pytania. Robi wrażenie, jakby go nie obchodziło to, co mam do powiedzenia, jakby go interesowały jedynie możliwości mojego ciała, chociaż obserwuje mnie, kiedy mówię. Obserwuje moją twarz.

To niemożliwe, żeby mnie zdradził – ktoś, wobec kogo czuję taką wdzięczność.

Żadne z nas nie mówi słowa „miłość”, ani razu; byłoby to kuszenie losu; niepotrzebna ckliwość, zły omen.

Dziś są inne kwiaty, suchsze, bardziej określone, kwiaty późnego lata: margerytki, rudbekie – to już początek długiej drogi w dół, ku jesieni. Widzę je w ogrodach, kiedy spacerujemy z Gleną tam i z powrotem. Prawie nie słucham tego, co ona mówi, przestałam jej ufać. To, co szepcze, wydaje mi się nierealne. Nic mi teraz po tym.

– Mogłabyś iść do jego pokoju w nocy – mówi Glena. – Przeszukać jego biurko. Przecież muszą tam być jakieś papiery,

notatki.

– Drzwi są zamknięte – bąkam.

– Można by ci skombinować klucz – odpowiada. – Nie jesteś ciekawa, kim on jest, czym się zajmuje?

Ale Komendant przestał być już obiektem mojego bezpośredniego zainteresowania. Muszę na siebie uważać, żeby mu nie okazywać obojętności.

– Zachowuj się dokładnie jak do tej pory – mówi Nick. – Nic nie zmieniaj. W przeciwnym razie poznają. – Całuje mnie, nie spuszczając ze mnie oka. – Obiecujesz? Żebyś się na czymś nie potknęła.

Kładę jego rękę na swoim brzuchu.

– Stało się – mówię. – Czuję to. Jeszcze ze dwa tygodnie i będę miała pewność.

Wiem, że to tylko pobożne życzenia.

– Będzie cię kochał do śmierci – odpowiada. – I ona też.

– Ale to twoje – mówię. – Będzie twoje, naprawdę. Chcę, żeby było twoje.

Nie ciągniemy dłużej tego tematu.

– Nie mogę – odpowiadam Glenie. – Boję się. A poza tym ja jestem w takich sprawach beznadziejna, zaraz by mnie złapali.

Nawet nie dbam o to, żeby w moim głosie była nuta żalu, taka się zrobiłam leniwa.

– Mogłybyśmy cię z tego wyciągnąć – zapewnia mnie. – Potrafimy wyciągać ludzi, jeśli jest rzeczywiście taka potrzeba, jeśli są w niebezpieczeństwie. W bezpośrednim zagrożeniu.

Problem polega na tym, że ja już nie chcę uciekać, nie zależy mi na przekroczeniu granicy do wolności. Chcę być tutaj, z Nickiem, mieć do niego dostęp.

Wstyd mi siebie samej, kiedy się do tego przyznaję. Ale to nie wszystko. Dla mnie jest w tym przyznaniu się krztyna dumy. Chwalę się, bo w ten sposób pokazuję, jak bardzo jest to dla mnie ważne, a tym samym usprawiedliwione. Jak tego warte. Przypomina to opowieści o chorobach, z których się wyszło, i o śmierci, której cudem się uniknęło. O wojnie. Świadczy o randze problemu.

Taka powaga w traktowaniu mężczyzny, wtedy, dawniej, nie wydawała mi się możliwa.

Bywały dni, kiedy zachowywałam się rozsądniej. Nie oceniałam tego w kategoriach miłości. No cóż, jakoś tu sobie urządziłam życie – mówiłam. Tak musiały myśleć żony osadników i kobiety, które przeżyły wojnę i zachowały mężczyznę. Człowiek się tak łatwo przystosowuje – mawiała moja matka. To zdumiewające, do czego ludzie potrafią przywyknąć, jeśli tylko mogą to sobie jakoś powetować.

– No, już niedługo – mówi Cora, wydzielając mi moją miesięczną porcję podpasek. – Już niedługo. – Uśmiecha się do mnie nieśmiało, a zarazem domyślnie. Czyżby wiedziała? Czy ona i Rita orientują się, po co korzystam nocami z ich schodów? Czy może ja się zdradzam, śniąc na jawie, uśmiechając się bez powodu, dotykając lekko swojej twarzy, kiedy myślę, że nikt mnie nie widzi?

Glena rezygnuje ze mnie. Coraz mniej szepcze, coraz więcej mówi o pogodzie. Nie żałuję tego. Odczuwam ulgę.

42

Dzwoni dzwon; słyszymy go z daleka. Jest rano, ale dziś nie było śniadania. Dochodzimy do głównej bramy i wysypujemy się przez nią dwójkami. Po zewnętrznej stronie Muru stoi kordon wzmocnionych straży – oddziały specjalne Aniołów, z wyposażeniem do tłumienia rozruchów: hełmy z ciemnymi, wypukłymi maskami z pleksiglasu, długie pałki, pistolety gazowe. To w razie wybuchu hysterii. Haki na Murze są puste.

To jest okręgowa uroczystość Wybawiania tylko dla kobiet. Dla każdej płci odbywają się oddzielne ceremonie. Ta obecna została ogłoszona wczoraj. Uprzedzają najwyżej na dzień naprzód. Za mało czasu, żeby się do tej myśli przyzwyczaić.

W takt bicia dzwonów idziemy ścieżkami, używanymi dawniej przez studentów, mijamy budynki, niegdyś sale wykładowe i sypialnie. Dziwne uczucie – być tu znowu. Z zewnątrz nie widać, żeby się cokolwiek zmieniło, poza tym, że w większości okien są opuszczone żaluzje. Te budynki należą teraz do Oczu.

Wchodzimy rzędem na rozległy trawnik przed dawną biblioteką. I białe stopnie wiodące w górę, i główne wejście wciąż takie same. Na trawniku wzniesiono drewnianą scenę, podobną do tej, jaka co wiosnę służyła podczas uroczystości zakończenia roku szkolnego w czasie poprzednim. Wspominam kapelusze, pastelowe kapelusze niektórych matek i czarne oraz czerwone suknie dziewcząt. Ale ta

scena jest mimo wszystko inna – głównie ze względu na trzy słupy z pętlami, które na niej stoją.

Na samym przodzie sceny znajduje się mikrofon, a z boku zainstalowana dyskretnie kamera telewizyjna.

Raz tylko brałam w tym udział, dwa lata temu. Ceremonia Wybawiania dla kobiet zdarza się nieczęsto, nie ma takiej potrzeby. Tak dobre jest ostatnio nasze sprawowanie.

Niechętnie opowiadam tę historię.

Zajmujemy miejsca w zwykłym porządku: Żony i córki na drewnianych składanych krzesłach z tyłu, Gospożony i Marty po bokach i na stopniach do biblioteki, a Podręczne z przodu, tak żeby wszyscy nas widzieli. My nie siedzimy na krzesłach, my klęczymy; a tym razem mamy nawet małe czerwone poduszcзки, choć bez żadnego napisu, nawet „WIARA”.

Na szczęście pogoda dopisuje – nie jest za gorąco; niebo błękitne, na niebie obłoki. Klęczenie w deszczu byłoby koszmarem. Może dlatego zawiadamiają nas dopiero w ostatniej chwili – żeby mieć pewność co do pogody. Taki sam dobry powód jak każdy inny.

Klękam na mojej czerwonej aksamitnej poduszce. Próbuję myśleć o ubiegłej nocy, o kochaniu, w ciemności, w świetle odbitym od białych ścian. O tym, jak byłam w jego ramionach.

Przed pierwszym szeregiem poduszek, wzdłuż drugiego, pomiędzy rzędami krzeseł wije się jak wąż długa lina, zakręca jak bardzo stara, bardzo powolna rzeka widziana z lotu ptaka, i ginie gdzieś z tyłu. Lina jest gruba, brunatna i pachnie smołą. Jej przedni koniec wchodzi na scenę – przypomina lont albo sznur balona.

Na scenie, z lewej strony, znajdują się te, które mają być wybawione: dwie Podręczne i jedna Żona. Żony są tu rzadkością,

i wbrew sobie, patrzę na nią z zainteresowaniem. Jestem ciekawa, co ona takiego zrobiła.

Zostały tu przyprowadzone jeszcze przed otwarciem bramy. Wszystkie trzy siedzą na drewnianych składanych krzeselkach, jak kończące szkołę uczennice, którym za chwilę wręczą nagrody. Mają ręce złożone na kolanach, jakby były pod działaniem środków uspokajających. Pewnie dostały jakieś zastrzyki czy pigułki, żeby nie sprawiały kłopotu. Lepiej, jak wszystko idzie gładko. Czy są przywiązane do krzeseł? Trudno powiedzieć – nie widać tego pod fałdami sukien.

Do sceny zbliża się oficjalna procesja – wchodzi po stopniach z prawej strony: trzy kobiety – na przedzie Ciotka, krok za nią dwaj Wybawiciele w czarnych kapturach i pelerynach. Za nimi dalsze Ciotki. Nasze szepty cichną. Ustawiają się pierwsze trzy osoby, odwracając się do nas twarzami – pośrodku Ciotka, a po jej bokach dwaj ubrani w czarne szaty Wybawiciele.

Ciotka Lidia. Ileż to lat jej nie widziałam? Zaczęłam już nawet myśleć, że istniała tylko w mojej wyobraźni, ale oto jest, tyle że trochę starsza. Mam stąd bardzo dobry widok; widzę głębokie bruzdy po obu stronach nosa, zmarszczkę na czole. Ciotka Lidia mruga, uśmiecha się nerwowo, patrzy w lewo, w prawo, wodzi wzrokiem po zebranych, unosi rękę, żeby poprawić nakrycie głowy. Z głośnika dobiega jakiś dziwny, charczący odgłos – Ciotka Lidia odchrząkuje.

Dostaję dreszczy. Nienawiść wypełnia mi usta jak plwocina.

Wychodzi słońce i scena wraz z występującymi na niej postaciami jaśnieje jak szopka świąteczna. Widzę wory pod oczami Ciotki Lidii, bladość siedzących kobiet, meszek na biegnącej przed frontem poduszek linie, żdźbła trawy. Przede mną zonkil koloru

żółtka. Jestem głodna. Dzwon milknie.

Ciotka Lidia wstaje, rękami wygładza suknię, podchodzi do mikrofonu. – Witam panie – mówi i natychmiast rozlega się ogłuszający pisk w mikrofonie. Nie do wiary, ale słysząc śmiechy. Trudno się nie śmiać – jest to reakcja nerwowa na napięcie i widok wściekłości na twarzy Ciotki Lidii, która usiłuje nastawić mikrofon. Nastrój ma być uroczysty.

– Witam panie – powtarza Ciotka Lidia i tym razem jej głos jest metaliczny, spłaszczony. Mówi „panie” zamiast „dziewczęta” – z powodu Żon. – Z pewnością wszystkie zdajemy sobie sprawę ze smutnych okoliczności, które nas tu przywiodły w ten piękny poranek, kiedy oczywiście wolałybyśmy robić coś innego. W każdym razie mówię we własnym imieniu, ale obowiązek to surowy pan – czy też może w tym wypadku pani – a właśnie z poczucia obowiązku się tu dzisiaj znalazłyśmy.

Ciotka Lidia ciągnie w tym stylu jeszcze przez kilka minut, ale ja nie słucham. Słyszałam już to czy też bardzo podobne przemówienia wystarczająco wiele razy – te same banały, te same slogany, te same sformułowania: pochodnia przyszłości, kolebka rasy, stojące przed nami zadania. Trudno uwierzyć, że na zakończenie nie będzie oklasków, herbaty z ciasteczkami na trawie.

To pewnie wstęp – myślę. – Teraz przejdzie do rzeczy.

Ciotka Lidia grzebie w kieszeni, wyjmując zmięty świstek papieru. Rozwija go i przegląda przesadnie długo. Robi z tego na nasz użytek całe przedstawienie: mamy dobrze zapamiętać, kim ona jest, mamy ją obserwować, jak czyta cicho, celebrując swoją rolę. Coś obrzydliwego. Żeby już jak najprędzej mieć to z głowy.

– W przeszłości – podejmuje – przed rozpoczęciem ceremonii

Wybawiania mieliśmy zwyczaj podawać wszystkie zbrodnie, jakich się dopuścili skazani. Stwierdziliśmy jednak, że takie publiczne rozliczanie, zwłaszcza pokazywane w telewizji, niezmiennie powoduje wybuch, jeśli to można tak nazwać, a w każdym razie nasilenie podobnych przestępstw. W interesie więc wszystkich postanowiliśmy zaniechać tej praktyki. Wybawiania będą się teraz odbywały bez zbędnego szumu.

Z naszych szeregów wydobywa się zbiorowy pomruk. Przestępstwa innych to jakby nasz tajny język. Za jego pośrednictwem pokazujemy sobie nawzajem, do czego mimo wszystko byłybyśmy zdolne.

Nie jesteśmy zadowolone z tego komunikatu. Trudno jednak coś takiego powiedzieć o Ciotce Lidii, która mruga i uśmiecha się, jakby się pławiła w aplauzie. W ten sposób pozostawiono nas naszym własnym domysłom i spekulacjom. Pierwsza, ta, którą teraz podnoszą z krzesła, na ramionach ma dłonie w czarnych rękawiczkach – za czytanie? Nie, za czytanie tylko odcinają rękę – za trzecim razem. Nieczystość albo targnięcie się na życie Komendanta? Czy może raczej na życie Żony Komendanta. Tak się nam w każdym razie wydaje. A co do Żon, to przeważnie podlegają one Wybawianiu z jednego powodu. Bo mogą nam zrobić bezkarnie praktycznie wszystko, poza jednym: nie wolno im nas zabijać, a w każdym razie nie legalnie. Nie za pomocą drutów do robótek, sekatorów, noży wyniesionych z kuchni, a szczególnie nie wtedy, kiedy jesteśmy w ciąży. Może to być oczywiście cudzołóstwo. To może być zawsze.

Albo usiłowanie ucieczki.

– Charlesa – ogłasza Ciotka Lidia. Nie znam takiej.

Wyprowadzają ją naprzód. Idzie, jakby ta czynność wymagała, Bóg

wie, jakiego wysiłku: jedna noga, druga noga – jest z całą pewnością pod działaniem narkotyków. Jej usta wykrzywia głupawy, pijacki uśmiezek. Połowa twarzy kurczy się, jakby puszczała oko do kamery. Nigdy tego oczywiście nie pokażą, nie jest to program na żywo. Dwaj Wybawiciele wiążą jej z tyłu ręce.

Słysząc, jak za mną któraś wymiotuje.

Dlatego nie dają nam śniadania.

– To pewnie Janina – szepcze Glena.

Już to widywałam: zakładają jej na głowę biały worek, pomagają wejść na stołek, jakby ją podsadzali do autobusu, ustawiają delikatnie, zakładając pętlę na szyję niby szatę liturgiczną i wykopują stołek spod nóg. Słyszę gdzieś koło siebie ulatujące w górę przeciągłe westchnienie, jakby ktoś wypuścił powietrze z dmuchanego materaca, widzę, jak Ciotka Lidia kładzie rękę na mikrofonie, żeby stłumić inne odgłosy dochodzące spoza niej. Pochylam się, dotykam liny przed sobą, jednocześnie z innymi, rękami, liny włochatej i lepkiej od roztopionej w słońcu smoły, a potem kładę rękę na sercu na znak mojego zjednoczenia z Wybawicielami i mojego przyzwolenia – współdziału w śmierci tej kobiety. Widzę majtające nogi i tych dwóch w czerni, którzy ciągną za nie, uwieszeni całym ciężarem. Nie chcę na to więcej patrzeć. Patrzę na trawę. Opisuję linę.

43

Trzy ciała wiszą i nawet z białymi workami na głowach robią wrażenie jakoś dziwnie rozciągniętych, jak kurczaki powieszono za szyje na wystawie u rzeźnika, jak ptaki z poprzycinanymi skrzydłami, jak ptaki bezlotne, rozbite anioły. Trudno oderwać od nich wzrok. Spod obrąbków sukien dyndają nogi, dwie pary czerwonych pantofli, jedna niebieskich. Gdyby nie sznury i worki, można by tę scenę wziąć za jakiś fragment tańca, baletu, podskok uchwycony przez kamerę w powietrzu. Za coś zaaranżowanego. Przemysł rozrywkowy. Umieszczenie tej niebieskiej w środku to robota Ciotki Lidii.

– Dzisiejsza ceremonia Wybawiania jest zakończona – ogłasza Ciotka Lidia do mikrofonu. – Ale...

Odwracamy się do niej, słuchamy, obserwujemy ją. Zawsze umiała zawieszać głos we właściwym momencie. Wyglądamy jak zmarszczona powierzchnia wody, jest wśród nas poruszenie. Być może coś się jeszcze wydarzy.

– Możecie wstać i utworzyć koło. – Uśmiecha się do nas łaskawa, szczodra. Ma zamiar nam coś dać – obdarować nas. – No, teraz porządnie, po kolei.

Zwraca się do nas, do Podręcznych. Niektóre z Żon i córek zaczynają wychodzić. Większość jednak zostaje, ale trzymają się z tyłu, schodzą nam z drogi, przyglądają się. Nie należą do koła.

Dwaj strażnicy wystąpili do przodu, żeby zwinąć linę, która teraz przeszkadza. Inni sprzątaję poduszki. My drepczemy na skrawku trawy przed sceną – jedne walczą o miejsce w pierwszym rzędzie, inne prą do środka, chcą się schować. Zbyt ostentacyjne plasowanie się w którejkolwiek z grup jest ryzykowne – w ten sposób człowiek wystawia sobie świadectwo jako ktoś letni, komu brak zapału. Wzbierają w nas energia, pomruk, drżenie znamionujące gotowość, gniew. Ciała napięte, wzrok wyostrzony, jakby do strzału.

Nie chcę być ani z przodu, ani z tyłu. Nie jestem pewna, co się wydarzy, chociaż czuję, że nie będzie to nic takiego, co chciałabym oglądać z bliska. Ale Glena trzyma mnie za rękę, ciągnie za sobą i oto jesteśmy w drugim rzędzie, mamy przed sobą tylko cienką przegrodę ciał. Nie chcę patrzeć, ale jednocześnie się nie wycofuję. Doszła mnie plotka, w którą nie bardzo wierzę. Mimo wszystko już wiem, ale powtarzam sobie: nie, tak daleko się nie posuną.

– Znacie zasady Partycypacji – mówi Ciotka Lidia. – Czekacie na mój gwizdek. Potem robicie, co wam się żywnie podoba, dopóki nie zagwiżdżę ponownie. Jasne?

Wydajemy nieartykułowany pomruk – wyraz zgody.

– Zaczynamy – mówi Ciotka. Kiwa głową. Zza sceny wychodzą dwaj strażnicy, nie ci sami jednak, którzy usuwali linę. Pomiędzy sobą pół niosą, pół wloką trzeciego mężczyznę. I on jest w mundurze strażnika, nie ma jednak na głowie czapki, a jego mundur jest brudny i podarty. Twarz ma poranioną i potłuczoną – w ciemnych, czerwono-brązowych siniakach, opuchniętą, całą w guzach, pokrytą niegolonym zarostem. Nie przypomina twarzy, tylko jakieś nieznane warzywo, zdeformowaną cebulę czy bulwę, która wyrosła zwyrodniała. Czuję go nawet ze swojego miejsca;

śmierdzi odchodami i wymiotami. Blond włosy, pozlepiane – czym? – zaschniętym potem? – opadają mu na twarz.

Gapię się na niego z obrzydzeniem. Robi wrażenie pijanego. Pijanego, który wdał się w bójkę. Po co przyprowadzili tu pijaka?

– Ten mężczyzna – mówi Ciotka Lidia – został skazany za gwałt. – Jej głos drży z gniewu zaprawionego tryumfem. – Był kiedyś strażnikiem. Ale zbezczescił mundur. Zawiódł zaufanie. Jego partner w tej zbrodni został właśnie zastrzelony. Gwałt jest, jak wiecie, karany śmiercią. Deuteronomium^[*] 22, 23–29. Mogę tylko dodać, że ofiarami tej zbrodni były dwie spośród was i że została ona dokonana pod groźbą rewolweru, i w sposób brutalny. Nie będę obrażała waszych uszu szczegółami, dodam tylko, że jedna z kobiet była w ciąży i że dziecko zmarło.

Wyrywa się nam westchnienie; czuję, jak mimo woli zaciskają mi się pięści. Tego już za wiele. No i to dziecko, po tym wszystkim, przez co musimy przejść. To prawda, jesteśmy żądne krwi; mam ochotę szarpać, kłuć, rwać.

Przemy do przodu, nasze głowy obracają się to w jedną, to w drugą stronę, nasze rozdęte nozdrza węższą śmierć, patrzymy jedna na drugą, widzimy nienawiść. Strzał to dla niego zbyt łagodna śmierć. Głowa mężczyzny leci na boki – ciekawe, czy on w ogóle słyszy słowa Ciotki?

Ciotka Lidia czeka chwilę, a następnie podnosi gwizdek do ust. Słyszemy go – przenikliwy, srebrzysty dźwięk – echo rozgrywek siatkarskich z dawnych czasów.

Strażnicy puścili mężczyznę i odstępili do tyłu. Mężczyzna potyka się – czyżby był pod wpływem narkotyków? – i pada na kolana. Jego oczy mrużą się w obrzękłej twarzy, jakby go raziło światło. Trzymali go w ciemnicy. Unosi rękę do policzka, jakby

chciał sprawdzić, czy jeszcze jest. Wszystko to dzieje się szybko, ale nam się wydaje, jakby było inaczej.

Żadna nie rusza do przodu. Kobiety patrzą na niego z obrzydzeniem – jak na półzdechłego szczura, który się wlecze po kuchennej podłodze. On patrzy, mrużąc powieki, na krąg czerwonych kobiet. Jeden z kącików jego ust unosi się – nie do wiary – w górę. Czyżby w uśmiechu?

Usiłuję wejrzeć w niego, w głąb zmaltretowanej twarzy, żeby zobaczyć, jak on wygląda naprawdę. Ma około trzydziestki. To nie Łukasz.

Ale mógłby być Łukaszem, wiem to z całą pewnością. Mógłby to być Nick. Wiem też, że cokolwiek zrobił – ja go nie tknę.

Coś mówi – bełkocze, jakby miał uszkodzone gardło, jakby język mu się nie mieścił w ustach, ale mimo wszystko go rozumiem.

Mówi:

– Ja nie...

Tłum wali naprzód, jak na koncercie rockowym w poprzednim czasie, kiedy otwierano drzwi, ta gwałtowność wzbiera w nas jak fala. Powietrze skrzy się od adrenaliny – wolno nam dosłownie wszystko, wolność, czuję ją w swoim ciele, upaja mnie, dokoła czerwień, ale zanim ta fala materiału i ciał uderzy, przez tłum kobiet przedziera się, torując sobie drogę łokciami i biegnąc ku niemu, Glena. Przewraca go na bok, a następnie kopie z wielką zaciekłością po głowie – raz, dwa, trzy – ostre, bolesne, dobrze wymierzone ciosy. Słysząc teraz różne dźwięki – charczenie, pomruki, wrzaski. Masa czerwonych ciał wali się na niego, a ja przestaję widzieć cokolwiek: zasłaniają go ręce, pięści, nogi. Skądś dochodzi wysoki, cienki pisk, jakby rzenie przerażonego konia.

Trzymam się z tyłu, usiłuję nie upaść. Czuję uderzenie w plecy.

Potykam się. Po odzyskaniu równowagi rozglądam się dookoła i widzę, że Żony i córki wychylają się do przodu w swoich krzesłach, a Ciotki z podium przyglądają się z zainteresowaniem. Mają z góry lepszy widok.

To już nie jest on; to jest to.

Glena znów pojawia się koło mnie. Ma twarz kamienną, bez wyrazu.

– Widziałam, co zrobiłaś – mówię. Wraca mi uczucie: wstrząs, zgroza, mdłości. Barbarzyństwo. – Dlaczego to zrobiłaś? Ty! A ja myślałam...

– Nie patrz na mnie – mówi. – Obserwują nas.

– Nic mnie to nie obchodzi – odpowiadam. Podnoszę głos, mimo woli.

– Opanuj się – szepcze. Udaje, że mnie odsuwa, moją rękę, ramię, a jednocześnie przybliży twarz do mojego ucha. – Naiwna jesteś? On nie był żadnym gwałcicielem, on jest polityczny. To jeden z nas. Znokautowałam go świadomie, żeby mu oszczędzić cierpienia. Czy ty sobie nie zdajesz sprawy, co oni z nim wyprawiają?

Jeden z nas... – myślę. – Strażnik? To niemożliwe.

Ciotka Lidia znów gwizdże, ale one wcale nie przestają. Wchodzą dwaj strażnicy i odciągają je od tego, co z niego zostało. Niektóre leżą na trawie w miejscu, gdzie zostały przypadkowo uderzone czy kopnięte, inne pomdlały, pozostałe wloką się po dwie, po trzy czy pojedynczo. Robią wrażenie zamroczonych.

– Proszę odszukać swoje partnerki i ustawić się w szyku – mówi Ciotka Lidia do mikrofonu. Mało która zwraca na nią uwagę. Zbliży się do nas jakaś kobieta – idzie jakby po omacku: Janina. Na policzku ma smugę krwi; białe nakrycie głowy też jest poplamione.

Uśmiecha się – mały promienny uśmiech. Jej wzrok jest zupełnie rozkojarzony.

– Hej – mówi – jak się macie? – W prawej ręce coś mocno trzyma. Pęk jasnych włosów. Chichocze.

– Janina – mówię, ale ona już zupełnie nie wie, co robi; całkowity odjazd.

– Piękny dzień – rzuca, mijając nas i kierując się ku bramie.

Patrzę na nią i myślę: ta się wykpiła. Ale nawet mi jej nie żal, chociaż powinno. Jestem wściekła. Nie czuję dumy z tego powodu ani z żadnego innego. Ale na tym to właśnie polega.

Moje dłonie pachną rozgrzaną smołą. Marzę o tym, żeby iść do domu i te ręce trzeć i trzeć – szorstkim mydłem i pumeksem, żeby się pozbyć ze skóry wszelkiego śladu tego zapachu. Robi mi się od niego niedobrze.

A poza tym jestem głodna. To straszne, ale prawdziwe. Widok śmierci budzi we mnie uczucie głodu. Może to dlatego że jestem pusta, a może po prostu ciało samo dba w ten sposób, żebym pozostała przy życiu, nie ustając w tej najważniejszej z modlitw: Jestem, jestem, jestem – jeszcze.

Mam ochotę iść do łóżka, kochać się, zaraz.

Przychodzi mi na myśl słowo delektować się.

Zjadłabym konia z kopytami.

[*] Księga Powtórzonego Prawa – ostatnia księga Pięcioksięgu Mojżesza.

44

Życie wróciło do normy.

Jak ja to mogę nazywać normą? W każdym razie w porównaniu z owym rankiem tak właśnie się może wydawać.

Na lunch była dziś kanapka z ciemnego chleba z serem, szklanka mleka, łydki selerów i gruszki konserwowe. Uczniowski posiłek. Zjadłam wszystko, bez pośpiechu, delektując się, czując na języku bogactwo smaków. Teraz idę po zakupy, jak zwykle. A nawet się na to cieszę. Z codzienności można czerpać pewną pociechę.

Wychodzę tylnymi drzwiami, idę ścieżką. Nick myje samochód, ma czapkę na bakier. Nie patrzy na mnie. Ostatnio unikamy swoich spojrzeń. Łatwo moglibyśmy się zdradzić, nawet tu w ogrodzie, gdzie nas nikt nie widzi.

Na rogu czekam na Glenę. Spóźnia się. Wreszcie ją widzę – nadchodzi – czerwono-biała sylwetka jak latawiec, idzie miarowym krokiem, którego nas nauczono. Początkowo nic nie zauważam. Ale w miarę jak się zbliża, spostrzegam, że coś jest z nią nie tak. Chodzi o jej wygląd zewnętrzny – zmieniła się w jakiś nieokreślony sposób; nie jest ranna ani nie kuleje, ale jakby się skurczyła.

A potem, już całkiem z bliska – widzę. To nie jest Glena. Ten sam wzrost, tylko szczuplejsza, i cerę ma, zamiast różowej, śniadą. Podchodzi do mnie, zatrzymuje się.

– Niech będzie błogosławiony owoc – mówi; twarz ma poważną.

– Niech Bóg otworzy – odpowiadam. Usiłuję nie okazać zdziwienia.

– Ty musisz być Freda.

Potwierdzam, że tak, i rozpoczynamy naszą marszrutę.

I co teraz? W głowie mi się mąci – to nie wróży nic dobrego; co też się stało z Gleną, jak mam się dowiedzieć, nie zdradzając zbytniego zainteresowania? Nam nie wolno zawierać żadnych przyjaźni, żadnych związków. Próbuję sobie uświadomić, jak długo jeszcze Glena ma być w jej obecnym domu.

– Trafiła nam się ładna pogoda – zagaduję.

– Co mnie raduje – głos jest spokojny, równy, nic nie zdradza.

Przechodzimy pierwszy punkt kontrolny, nie odzywając się już więcej do siebie. Ona jest małomówna, ja także. Czy czeka, aż ja zacznę pierwsza, aż się z czymś zdradzę, czy może jest żarliwie wierząca i zatopiona w medytacji?

– Czy to możliwe, aby Glena została tak szybko przeniesiona? – pytam, ale w gruncie rzeczy wiem, że nie. Widziałam się z nią rano, przecież by coś powiedziała.

– Ja jestem Glena – mówi kobieta. Bardzo wyraźnie. Tak, oczywiście, że jest Gleną, nową, bo Glena, obojętne, gdzie się znajduje, nie jest już Gleną. Nigdy zresztą nie znałam jej prawdziwego imienia. W ten sposób można się zgubić. W morzu imion. Znalezienie jej teraz nie byłoby sprawą łatwą.

Idziemy do sklepów „Mlekiem i Miodem” i „Wszelkie Ciało”, gdzie ja kupuję kurczaka, a nowa Glena trzy funty mielonego. Jak zwykle są kolejki. Poznaję kilka kobiet, wymieniamy dyskretne skinienia, pokazując w ten sposób sobie nawzajem, że jesteśmy znane, przynajmniej komuś, że jeszcze istniejemy. Przed sklepem mówię do nowej Gleny:

– Powinnyśmy iść pod Mur. – Nie wiem, czego się spodziewam – być może chcę w ten sposób sprawdzić jej reakcję. Muszę wiedzieć, czy ona jest jedną z nas, czy nie. Jeśli tak, jeśli zdołam to ustalić, to może będzie mogła mi powiedzieć, co się rzeczywiście stało z Gleną.

– Jak chcesz – odpowiada. Obojętność czy ostrożność?

Na Murze wiszą te trzy kobiety z dzisiejszego ranka, wciąż w sukienkach i pantoflach, wciąż w białych workach na głowach. Ręce im rozwiązano, sterczą teraz sztywno po bokach. Niebieska wisi w środku, między czerwonymi, chociaż kolory nie są już takie jaskrawe; robią wrażenie wyblakłych, poszarzałych – przypominają martwego motyla czy rybę tropikalną wysychającą na brzegu. Straciły blask. Stoimy i patrzymy w milczeniu.

– Niech to będzie dla nas przestrogą – odzywa się w końcu nowa Glena.

Początkowo nic nie mówię, usiłuję ją rozgryźć. Może ma na myśli niesprawiedliwość i brutalność reżimu. W tym przypadku powinnam powiedzieć: właśnie. Ale może przeciwnie – chodzi jej o to, że jeśli nie będziemy posłuszne, to napytamy sobie biedy i zostaniemy przykładnie ukarane. W tym drugim przypadku powinnam powiedzieć: ku chwale. Jej głos był jednak łagodny, bezbarwny, nie zawierał żadnej wskazówki.

Ryzykuję.

– Właśnie – mówię.

Nie odpowiada, ale kątem oka widzę mignięcie czegoś białego, jakby szybko na mnie spojrziała.

Po chwili odwracamy się i ruszamy w drogę powrotną, w przyjęty sposób, wyrównując krok, sprawiając tym samym wrażenie całkowitej jedności.

Zastanawiam się, czy nie poczekać z następną próbą. Za wcześnie na jakiegokolwiek naciski, na sondowanie. Jeszcze tydzień, dwa, może więcej, muszę się wsłuchać w ton jej głosu, w spontanicznie wypowiedane słowa, tak jak Glena wsłuchiwała się we mnie. Teraz, kiedy nie ma Gleny, znów jestem czujna, moja ospałość gdzieś znikła, moje ciało przestało być nastawione wyłącznie na przyjemność, znów czuję zagrożenie. Nie powinnam być w gorącej wodzie kąpana, nie powinnam niepotrzebnie ryzykować. Ale muszę wiedzieć. Powstrzymuję się jeszcze tylko do ostatniego punktu kontrolnego, a potem kiedy zostało nam już zaledwie kilka przecznic, pękam.

– Nie znałam tak dobrze Gleny – mówię. – To znaczy tej poprzedniej.

– Aha – odzywa się. Już sam fakt, że się w ogóle odezwała, choćby nie wiadomo jak ostrożnie, wydaje mi się krzepiący.

– Znam ją dopiero od maja – podejmuję. Czuję, jak robi mi się gorąco, jak wali mi serce. To, co mówię, jest zwodnicze. Bo przede wszystkim niezgodne z prawdą. Jak stąd przejść do następnego kluczowego słowa? – Chyba gdzieś około pierwszego maja, tak mi się wydaje. Jak to dawniej mówili: Mayday.

– Rzeczywiście tak mówili? – pyta lekko, obojętnie, złowrogo. – Nie pamiętam takiego słowa. Dziwne, że ty pamiętasz. Powinnaś się postarać... – zawiesza głos. – Wyrzucić ze świadomości takie... – znów robi pauzę – ...echa.

Czuję, jak chłód niby woda rozlewa się po mojej skórze. Ta dziewczyna mnie ostrzega.

Nie jest jedną z nas. Ale wie.

Ostatni odcinek drogi przebywam w panice. Znów zachowałam się jak idiotka. Gorzej. Początkowo nie zdawałam sobie z tego

sprawy, ale teraz już wiem: jeżeli złapali Glenę, to przecież może sypać. Między innymi i mnie. Będzie sypała. Nie wytrzyma.

Ale przecież ja nic takiego nie zrobiłam, tłumaczę sobie, nic wielkiego. Tyle że wiedziałam. Tyle że nie doniosłam.

Mają w rękach moje dziecko. A jeśli ją przywiozą i w mojej obecności będą grozili, że coś jej zrobią? Albo wręcz zrobią? Nie mogę wprost myśleć o tym, że mogliby jej coś zrobić. Albo Łukasz – a jeśli mają Łukasza? Albo moją matkę czy Moirę, czy kogokolwiek. O Boże, spraw, żebym nie musiała wybierać. Tego bym nie wytrzymała – wiem na pewno. Moira miała rację w tym, co o mnie mówiła. Powiedziałabym wszystko, czego by ode mnie zażądali, pogrążyłabym każdego. To prawda – jeden krzyk, a nawet piśnięcie zamieniłoby mnie w kupę galarety, sprawiło, że przyznałabym się do każdej zbrodni i zawisła na Murze. Głowa w dół, jak gdyby nigdy nic – zawsze sobie powtarzałam – i staraj się ich przejrzyć. Nic z tego.

Tak do siebie mówię w drodze do domu.

Na rogu jak zwykle odwracamy się do siebie.

– Pod Jego Okiem – mówi nowa, zdradliwa Glena.

– Pod Jego Okiem – odpowiadam, starając się, żeby mój głos zabrzmiał żarliwie. Jakby w tej sytuacji taka komedia na coś się zdała.

I wtedy Glena robi dziwną rzecz. Nachyla się do mnie, tak że białe, sztywne klapki, które nosimy na głowach, niemal się stykają i widzę bardzo blisko jej jasnobrązowe oczy, delikatną siatkę żyłek na policzkach, kiedy szepcze bardzo szybko głosem przypominającym szelest suchych liści:

– Powiesiła się, po ceremonii Wybawiania. Zobaczyła, że jedzie po nią karetka, i uznała, że tak będzie lepiej.

Po tych słowach oddała się spiesznie ulicą.

45

Stoję jeszcze przez chwilę jak oniemiała, jakby mnie ktoś mocno kopnął.

A więc ona nie żyje, a ja jestem bezpieczna, mimo wszystko. Zrobiła to, zanim po nią przyszli. Czuję ogromną ulgę. Jestem jej wdzięczna. Umarła, żebym mogła żyć. Na żałobę przyjdzie czas.

Chyba że ta kobieta kłamie. I tego nie można wykluczyć.

Wdycham powietrze, głęboko, wypuszczam, dotleniam się. Przestrzeń przede mną ciemnieje, a następnie przejaśnia się, widzę przed sobą drogę.

Odwracam się, otwieram bramę, przez chwilę trzymam jeszcze na niej rękę, żeby się uspokoić, żeby wejść. Nick wciąż myje samochód, pogwizdując z cicha. Wydaje się bardzo daleki.

Boże drogi, myślę, zrobię, co mi każesz. Teraz, jak już mnie ocaliłeś, unicestwię się, jeśli rzeczywiście tego chcesz, opróżnię się, rzetelnie, stanę się kielichem. Zrezygnuję z Nicka, zapomnę innych, przestanę narzekać. Pogodzę się ze swoim losem. Poniosę ofiarę. Będę żałować. Wyrzeknę się. Odżegnam.

Wiem, że to nie może być słuszne, ale tak właśnie zrobię. Wszystko, czego nas uczono w Czerwonym Centrum, wszystko, przeciwko czemu się buntowałam, napływa falą. Nie chcę bólu. Nie chcę być tancerką z dyndającymi w powietrzu nogami, z pozbawioną twarzy głową, niby tłumok z białego płótna. Nie chcę

być kukłą wiszącą na Murze, bezskrzydłym aniołem. Chcę żyć, obojętne w jaki sposób. Hojnie oferuję moje ciało do użytku innym. Mogą robić ze mną, co chcą. Jestem upodlona.

Po raz pierwszy czuję rozmiary ich władzy.

Idę wzdłuż rabatek, mijam wierzbę i kieruję się ku drzwiom kuchennym. Wejdę, będę bezpieczna. Upadnę na kolana w moim pokoju i z wdzięcznością będę wdychała zatęchłe powietrze przesycone pastą do mebli.

Frontowymi drzwiami wyszła Serena Joy; zatrzymała się na stopniach. Woła coś do mnie. Czego chce? Żebym poszła z nią do salonu i pomogła jej zwijać szarą włóczkę? Nie będę w stanie opanować drżenia rąk, z pewnością coś zauważy. Mimo to idę, co mam robić.

Stojąca na najwyższym stopniu Serena góruje nade mną. Jej oczy płoną gorącym błękitem na tle, zwiędłej bieli skóry. Odwracam wzrok, patrzę w ziemię, na jej stopy, na czubek laski.

– Zaufałam ci – mówi. – Próbowałam ci pomóc.

W dalszym ciągu na nią nie patrzę. Ogarnia mnie poczucie winy, zostałam przyłapana – ale na czym? O który z moich licznych grzechów jestem oskarżona? Jedyna metoda na to, żeby się dowiedzieć, to milczenie. Gdybym zaczęła się teraz tłumaczyć z tego czy tamtego, popełniłabym błąd. Mogłabym się zdradzić z czymś, o czym ona nie wie.

Może to nic takiego. Może chodzi o zapałkę ukrytą w moim łóżku. Spuszczam głowę.

– No więc? – mówi. – Nie masz nic do powiedzenia?

Podnoszę głowę.

– Na jaki temat? – udaje mi się wyjąkać. Ale te słowa, wypowiedziane, brzmią beczelnie.

– Proszę bardzo – mówi. Wyciąga zza siebie rękę, w której trzyma swoją pelerynę, tę zimową. – Znalazłam na niej szminkę. Jak mogłaś być taka wulgarna. Mówiłam mu... – Upuszcza ją na ziemię, ma coś jeszcze, jej ręka to sama kość. Tę drugą rzecz też rzuca na ziemię. Czerwone cekiny ześlizgują się po stopniach jak skóra węża, połyskując w słońcu. – Za moimi plecami. Mogłaś w końcu zostawić coś dla mnie. – Czyżby go mimo wszystko kochała? Unosi laskę. Spodziewałam się, że mnie uderzy, ale nie. – Podnieś tę odrażającą rzecz i idź do swojego pokoju. Zupełnie jak tamta. Dziwka. I tak samo skończysz.

Schylam się, podnoszę. Nick za mną, z tyłu, przestał gwizdać.

Mam ochotę się obrócić, biec do niego, zarzucić mu ręce na szyję. Ale to by nie miało sensu. On nie może nic zrobić, żeby mi pomóc. Poszedłby na dno razem ze mną.

Wchodzę do kuchni, stawiam koszyk, idę na górę. Jestem układowa i spokojna.

XV

NOC

46

Siedzę w swoim pokoju przy oknie i czekam. Na kolanach mam garść pomiętych gwiazdek.

Może to już ostatni raz. Tyle że nie wiem, na co czekam. Na co czekasz? Tak zawsze pytali. A to znaczyło „pospiesz się”. Wtedy nie trzeba było odpowiadać. Czy na coś czekasz? Tak też pytano. Ale na to nie potrafię odpowiedzieć.

I tak właściwie to nie jest czekanie. Odczuwam coś w rodzaju zawieszenia – przed powieszeniem. Wreszcie nie mam czasu.

Jestem w stanie niełaski, co stanowi przeciwieństwo łaski – powinnam się z tym źle czuć.

A ja jestem pogodna, spokojna, obojętna. Nie daj się tym łobuzom podeptać – powtarzam sobie, ale to nic nie znaczy. Równie dobrze mogłabym powiedzieć: „Niech nie będzie powietrza” albo: „Nie bądź”.

Myślę, że mógłbyś tak powiedzieć.

W ogrodzie nie ma nikogo.

Ciekawe, czy będzie padało.

Na zewnątrz się ściemnia. Już jest czerwono. Wkrótce zapadnie zmrok. Już teraz jest ciemniej. Nie trwało to długo.

Myślę o wielu rzeczach, które mogłabym zrobić. Na przykład

mogłabym podpalić dom. Zwinąć w tobołek część ubrania i prześcieradła i przytknąć moją jedyną zapałkę. Gdyby się nie zajęło, no to trudno, ale jeśli mi się powiodło, to już byłoby coś, jakieś wydarzenie, sygnał znaczący moje odejście. Kilka płomieni łatwych do ugaszenia. Ale tymczasem byłyby kłęby dymu, w którym mogłabym się udusić.

Albo mogłabym podrzeć na paski prześcieradło i ukręcić z nich linę, przywiązać jeden jej koniec do nogi łóżka i próbować wyłamać okno, które jest z nietłukącego szkła.

Albo mogłabym iść do Komendanta, paść na ziemię, z włosiem w nieładzie, jak to się mówi, podjąć go za kolana, wyznać winę, płakać i błagać. *Nolite te bastardes carborundorum* – mogłabym powiedzieć. Zamiast modlitwy. Wyobrażam sobie jego buty, czarne, wypucowane, nieprzeniknione, zamknięte w sobie.

Czy zamiast tego założyć sobie pętlę z prześcieradła na szyję, powiesić się w szafie i rzucić się całym ciężarem – zadając sobie śmierć przez uduszenie.

Mogłabym zaczaić się za drzwiami, wyczekać, aż usłyszę jej kuśtykanie, kiedy będzie szła do mnie oznajmić jakiś wyrok – pokutę czy też karę, a potem na nią skoczyć, powalić na ziemię i precyzyjnie skopać po głowie. Żeby wybawić od męki ją, a zarazem i siebie. Żeby ją wybawić od naszej męki.

Zyskałabym w ten sposób na czasie.

Mogłabym zejść wtedy spokojnym krokiem na dół, wyjść frontowymi drzwiami i ruszyć ulicą przed siebie, starając się sprawiać wrażenie, że wiem, dokąd idę; ciekawe, jak daleko bym zaszła. Czerwony kolor tak bardzo rzuca się w oczy.

Mogłabym wreszcie pójść do Nicka, do jego pokoju nad garażem, tak jak już wiele razy robiłam. Zastanawiając się, czy mnie wpuści,

czy mi udzieli schronienia. Teraz, kiedy zaistniała taka potrzeba.

Rozpatruję leniwie te ewentualności. Wszystkie wydają mi się tyle samo warte. Żadnej nie uważam za lepszą od pozostałych. Ogarnia mnie zmęczenie, całe moje ciało, nogi i oczy. To nas w końcu załatwia. Wiara to tylko słowo, wyszyte na poduszce.

Patrzę w mrok i myślę o zimie. Pada śnieg, delikatnie, bez wysiłku, pokrywając wszystko miękkim kryształowym puchem. Zamglony księżyc przed deszczem zamazuje kontury, rozmywa kolory. Podobno zamarzenie na śmierć, po pierwszym szoku z zimna, jest bezbolesne. Leżysz w śniegu jak anioł ulepiony przez dzieci, i zasypiasz.

Czuję za sobą jej obecność, moja antenatka, dublerka – obraca się w powietrzu, pod żyrandolem, w swoim kostiumie z gwiazdek i piór, jak ptak zatrzymany w locie, kobieta zamieniona w anioła, czekająca, by ją ktoś znalazł. Tym razem ja. Jak mogłam wierzyć, że jestem tu sama? Zawsze byłyśmy we dwie. Skończ już z tym prędzej – mówi. – Jestem zmęczona tym melodramatem, jestem zmęczona koniecznością milczenia. Nie masz kogo chronić, twoje życie nie przedstawia wartości dla nikogo. Chcę, żebyś już z nim skończyła.

Wstaję, słysząc czarny ambulans. Słyszę go, zanim uda mi się go zobaczyć wtopiony w półmrok, rodzi się z własnego dźwięku, materializuje w bryłę krzepnącej nocy. Kieruje się ku podjazdowi, zatrzymuje. Rozróżniam już białe oko i skrzydła. Farba musi być fosforyzująca. Dwaj mężczyźni odrywają się od sylwetki wozu, wchodzą po frontowych stopniach, dzwonią. Słyszę w korytarzu dzwonek – bim-bam – jak duch kobiety reklamującej kosmetyki.

A więc nadchodzi najgorsze.

Traciłam czas. Powinnam była wziąć sprawę w swoje ręce, póki miałam jeszcze szansę. Powinnam była ukraść z kuchni nóż, zdobyć nożyce krawieckie. A przecież był jeszcze sekator, druty do robótek; świat roi się od różnego rodzaju broni, jeśli tylko umiesz patrzeć. Powinnam była zwracać na to większą uwagę.

Ale teraz za późno myśleć o tym wszystkim, słyszeć już ich kroki na beżoworóżowym chodniku, którym wyłożone są schody; ciężkie, przytłumione stąpanie, pulsowanie w skroniach. Za plecami mam okno.

Spodziewam się kogoś obcego, ale to Nick popycha drzwi, zapala światło. Nic z tego nie rozumiem, chyba że Nick jest jednym z nich. Należało się z tym liczyć. Nick, ich prywatne Oko. Brudną robotę robią brudni ludzie.

Ty gnoju, myślę. Już otwieram usta, żeby to powiedzieć, ale Nick podchodzi do mnie blisko, szepcze do ucha:

– Wszystko w porządku. Mayday. Idź z nimi. – Zwraca się do mnie moim prawdziwym imieniem. Dlaczego miałoby to coś znaczyć?

– Z nimi? – pytam. Widzę stojących za nim dwóch mężczyzn, górne światło w korytarzu zamienia ich głowy w czaszki. – Oszalałeś? – Moje podejrzenie unosi się nad nim w powietrzu jak czarny anioł, który mnie ostrzega. Prawie je widzę. Dlaczego miałoby nie znać hasła Mayday? Wszystkie Oczy muszą je znać. Mieli czas je wyszarpać, wycisnąć z tych wszystkich ciał, ust.

– Zaufaj mi – mówi, co samo w sobie nigdy nie stanowiło żadnej gwarancji.

Ale ja się tego czepiam, tej oferty. To moja jedyna szansa.

Jeden przede mną, drugi za mną – tak mnie eskortują na dół.

Idziemy powoli, światła są zapalone. Mimo strachu wszystko jest takie zwyczajne. Widzę stąd zegar. Nie wskazuje żadnej szczególnej godziny.

Nicka już nie ma, mógł zejść kuchennymi schodami, żeby go nikt nie widział.

Na korytarzu, pod lustrem, stoi Serena Joy i patrzy – niewiarygodne. Za nią Komendant; drzwi do salonu są otwarte. Wydaje mi się bardzo siwy, stroskany i bezradny, ale już się ode mnie odsuwa, dystansuje. Obojętne, czym jeszcze dla niego jestem, jestem także, w tym momencie, katastrofą. Nie ulega wątpliwości, że była między nimi awantura, o mnie, nie ulega wątpliwości, że zrobiła mu piekło. Jeszcze ciągle jest mi go żal. Moira miała rację – jestem szmata.

– Co ona zrobiła? – pyta Serena Joy. A więc to nie ona ich wezwała. To, co Serena ma do mnie, jest bardziej osobiste.

– Nie możemy powiedzieć, proszę pani – mówi ten, który szedł przodem. – Przykro mi.

– Muszę zobaczyć nakaz – zwraca się do niego Komendant. – Masz nakaz?

Mogłabym teraz krzyczeć, czepiać się poręczy albo rozkoszować poczuciem własnej godności. Mogłabym ich powstrzymać, przynajmniej na chwilę. Jeśli są prawdziwi, autentyczni, to zostaną, jeśli nie, uciekną. Zostawiając mnie tutaj.

– Nakazu nie mamy, sir, ale wszystko jest w porządku – mówi znów ten pierwszy. – Naruszenie tajemnicy państwowej.

Komendant podnosi rękę do głowy. Co ja takiego mówiłam i do kogo, i który z jego wrogów na to wpadł? Być może stanie się teraz osobnikiem podejrzany. Stoję powyżej niego, patrzę w dół, Komendant się kurczy. Były już wśród nich czystki, będą jeszcze.

Serena Joy robi się biała.

– Suka – mówi. – Po tym wszystkim, co on dla ciebie zrobił.

Cora i Rita pchają się z kuchni. Cora zaczyna płakać. Byłam jej nadzieją, zawiodłam ją. Teraz już na zawsze zostanie bezdzietna.

Wóz czeka na podjeździe; jego podwójne drzwi stoją otworem. Dwaj mężczyźni biorą mnie pod łokcie i pomagają mi wsiąść. Czy to mój koniec, czy nowy początek? – nie mam zielonego pojęcia: oddałam się w ręce obcych, ponieważ nie ma na to rady.

Wstępuję więc w ciemność – czy może w światło?

KOMENTARZ HISTORYCZNY DO

OPOWIEŚCI PODRĘCZNEJ

Niekompletny egzemplarz protokołu z dwudziestego sympozjum poświęconego studiom nad Gileadem, które odbyło się podczas zjazdu Międzynarodowego Towarzystwa Historycznego na Uniwersytecie w Nunavit 25 czerwca 2195 roku.

Przewodnicząca: profesor Maryann Półksiężyc, Wydział Antropologii Aryjskiej, Uniwersytet Denay, Nunavit.

Główny Referent: profesor James Darcy Pieixoto, dyrektor Archiwów Dwudziestego i Dwudziestego Pierwszego Wieku, Uniwersytet Cambridge, Anglia.

PÓŁKSIEŻYC:

Mam zaszczyt powitać Państwa na porannej sesji. Miło mi zauważyć, że tak licznie Państwo przybyli na niewątpliwie fascynującą i ciekawą prelekcję profesora Pieixoto. My, członkowie

Towarzystwa Studiów nad Gileadem, jesteśmy przekonani, że ten okres wart jest dalszych badań, których ostatecznym celem ma być sporządzenie nowej mapy świata, a w szczególności tej półkuli.

Zanim jednak rozpoczniemy, kilka informacji. Otóż wyprawa wędkarska odbędzie się jutro, zgodnie z planem, a ci z Państwa, którzy nie wzięli odpowiedniego sprzętu przeciwdeszczowego i środków przeciwko owadom, mogą je kupić po bardzo umiarkowanych cenach w recepcji. Spacer na łonie natury i festiwal strojów i pieśni historycznych zostały przełożone na pojutrze. Nasz niezawodny profesor, Johnny Biegający Pies, przedstawił nam bowiem korzystną prognozę pogody na ten dzień.

Chciałabym Państwu również przypomnieć o jeszcze innych imprezach zorganizowanych pod patronatem Towarzystwa Studiów nad Gileadem podczas obecnego dwudziestego sympozjum. A więc jutro po południu profesor Gopal Chatterjee z Wydziału Filozofii Zachodniej Uniwersytetu Baroda w Indiach wygłosi prelekcję zatytułowaną *Elementy Kriszny i Kali* w religii państwowej okresu wczesnogileadzkiego*, w czwartek rano zaś odbędzie się pogadanka profesor Sieglindy Van Buren z Wydziału Historii Militarnej Uniwersytetu San Antonio w Republice Teksaskiej. Profesor Van Buren przygotowała bez wątpienia fascynujący, ilustrowany przezroczami wykład pod tytułem *Taktyka Warszawska: Polityka okrążenia centrów miejskich w gileadzkich wojnach domowych*. Jestem przekonana, że wszyscy chętnie weźmiemy w tych zajęciach udział.

Chciałabym także przypomnieć naszemu głównemu prelegentowi – choć, jak sądzę, nie jest to konieczne – aby trzymał się wyznaczonych mu ram czasowych, pragniemy bowiem zostawić miejsce na wolne wnioski, a przypuszczam, że nikt z nas nie

chciałby stracić lunchu, jak to się stało wczoraj (śmiej).

Profesora Pieixoto nie trzeba chyba przedstawiać – jest on dobrze znany nam wszystkim, jeśli nie osobiście, to z licznych publikacji. Są to: *Regulacje prawne na przestrzeni wieków: analiza dokumentów*, oraz dobrze znane studium *Iran i Gilead – dwie późnodwudziestowieczne monoteokracje w świetle dzienników*. Jak Państwo zapewne wiedzą, profesor wraz z profesorem Knotlym Wade'em, także z Cambridge, jest współwydawcą rękopisu, który dziś będziemy omawiać. Jego też główną zasługą jest spisanie, opatrzenie komentarzem i opublikowanie tego materiału. Tytuł prelekcji profesora Pieixoto brzmi: *Problemy ustalania autentyczności w odniesieniu do Opowieści Podręcznej*.

A więc profesor Pieixoto.

(Oklaski).

PIEIXOTO:

Dziękuję.

Mam nadzieję, że będę wyrazicielem opinii ogółu, jeśli powiem, że tak jak wczorajszy pstrąg arktyczny dostarczył nam rozkoszy podniebienia, tak nasz arktyczny gość, przewodnicząca Półksiężyc, rozkoszy ducha. (Oklaski).

Ale poważnie. Chciałbym, jak to wynika z tytułu mojej skromnej pogadanki, rozważyć z państwem niektóre problemy związane z *soi-disant* rękopisem dobrze już wszystkim Państwu do tej pory znanym jako *Opowieść Podręcznej*. *Soi-disant*, ponieważ to, co mamy przed sobą, nie jest tekstem oryginalnym. Ściśle mówiąc, w chwili znalezienia materiał ten ani nie był rękopisem, ani nie miał żadnego tytułu. Tytułem opatrzył go profesor Wade, w dużej mierze w hołdzie wielkiemu Geoffreyowi Chaucerowi. Ci

z Państwa, którzy znają profesora nieoficjalnie, tak jak ja, rozumieją mnie doskonale, kiedy powiem, że wszelkie igraszki słowne w tekście są zamierzone, szczególnie jeśli chodzi o dwuznaczność słowa „podręczna”.

Tekst ten – waham się przed użyciem słowa „dokument” – został wykopany w miejscu, w którym znajdowało się miasto Bangor, na terenie, który przed nastaniem reżimu gileadzkiego z pewnością leżał w obrębie stanu Maine. Wiemy, że to miasto było ważnym punktem na trasie, którą nasza autorka nazywa Podziemnym Szlakiem Kobięcym, wspomnianym przez kogoś z historycznych dowcipnisiów jako Podziemny Szlag Kobięcy. (Śmiechy, pomruki). Z tego powodu nasze Towarzystwo przywiązuje do tego problemu szczególną wagę.

Znalezisko w swoim pierwotnym kształcie wyglądało jak kuferek wojskowy z roku mniej więcej 1955. Ten fakt sam w sobie nie ma właściwie żadnego znaczenia; wiadomo, że takie kufarki sprzedawano często jako „nadwyżki wojskowe”, musiały więc być dość szeroko rozpowszechnione. W tym to kufierku, zalepionym taśmą, jakiej kiedyś używano do zaklejania paczek wysyłanych pocztą, znajdowało się około trzydziestu kaset magnetofonowych w rodzaju tych, jakie wyszły z użycia praktycznie w latach osiemdziesiątych czy dziewięćdziesiątych, wraz z nastaniem płyt kompaktowych.

Chciałbym Państwu uświadomić, że nie było to pierwsze tego rodzaju odkrycie. Wiedzą Państwo na przykład niewątpliwie o dokumencie znanym jako *Pamiętnik A.B.y* znalezionym w garażu na przedmieściu Seattle, czy o *Dzienniku P.y* wykopanym przypadkowo podczas budowy nowego domu zebrzań w pobliżu miejscowości zwanej kiedyś Syracuse, w stanie Nowy Jork.

Obaj z profesorem Wade'em byliśmy bardzo poruszeni tym nowym odkryciem. Na szczęście kilka lat przedtem dzięki pomocy wspaniałego technika antykwariusza zrekonstruowaliśmy aparat, który umożliwił nam odtworzenie tych taśm, i natychmiast przystąpiliśmy do trudnego zadania spisania ich treści.

Znalezisko liczyło około trzydziestu taśm, które zawierały, w różnych proporcjach, muzykę i teksty mówione. Ogólnie biorąc, każda taśma zaczyna się dwiema czy trzema piosenkami, pomyślanymi niewątpliwie jako kamuflaż, w pewnym bowiem momencie muzyka się urywa i słycać głos. Jest to głos kobiety i – jak twierdzą nasi eksperci od zapisu głosu – należy on do tej samej osoby na wszystkich taśmach. Etykiety na kasetach były autentyczne, z tamtego okresu, i taśmy pochodziły oczywiście z czasów, które nieco poprzedzały początek ery wczesnogileadzkiej, jako że cała świecka muzyka była przez reżim zakazana. Cztery kasety nosiły na przykład tytuł: *Złote lata Elvisa Presleya*, trzy *Litewskie pieśni ludowe*, trzy *Boy George parodiuje*, dwie *Słodkie smyczki Mantovaniego* oraz pojedyncze, jak *Twisted Sister w Carnegie Hall* – jedna z tych, które mnie osobiście podobały się najbardziej.

Mimo że etykiety były autentyczne, to nie zawsze opatrzone nimi były odpowiednie taśmy. Ponadto kasety nie były ułożone w żadnym określonym porządku, a jako że leżały luzem na dnie kuferka, nie były też ponumerowane. Tak więc uporządkowanie zawartych na nich tekstów w kolejności, jaka wydawała się właściwa, należało do mnie i do profesora Wade'a, ale jak już przy innej okazji mówiłem, polegało to głównie na zgadywaniu i wobec tego efektu tej pracy nie należy uważać za ostateczny, może on bowiem jeszcze się zmienić w miarę postępu prac badawczych.

Kiedy już mieliśmy w ręku napisany tekst – a materiał wyjściowy trzeba było kilkakrotnie przesłuchać z powodu trudności wynikających z akcentów, niejasnych aluzji i archaizmów – należało określić jego charakter. W grę wchodziło kilka ewentualności. Pierwsza to, że taśmy stanowiły fałszerstwo. Jak państwo wiedzą, było wiele takich sfalszowanych przekazów, za które wydawcy płacili wielkie sumy, chcąc niewątpliwie zbić majątek na ich sensacyjnej treści. Wydaje się, że pewne okresy historii stają się szybko, zarówno dla innych społeczeństw, jak i dla tych, co po nich bezpośrednio następują, przedmiotem niezbyt budującej legendy i okazją do podszytego hipokryzją samozadowolenia. Jako wydawca pozwolę sobie na marginesie powiedzieć, że powinniśmy być bardzo ostrożni w ferowaniu opinii na temat Gileadczyków. Zdążyliśmy się już przekonać, że takie sądy są z natury rzeczy kształtowane przez specyfikę kulturową. Ponadto społeczeństwo Gileadu podlegało bardzo silnym naciskom – demograficznym i innym – jak również znajdowało się pod działaniem czynników, które nas szczęśliwie dotyczą w znacznie mniejszym stopniu. Naszą zaś sprawą jest nie cenzurować, tylko rozumieć.

(Oklaski).

Ale, kończąc moją dygresję: otóż tego typu taśmy są jednak bardzo trudne do wiarygodnego sfalszowania i specjaliści, którzy je badali, zapewnili nas, że same przedmioty, w sensie fizycznym, są autentyczne. Rejestracja zaś, czyli nałożenie głosu na taśmę muzyczną, nie mogła zostać dokonana w przeciągu ostatnich stu pięćdziesięciu lat.

Przyjmując więc, że taśmy są autentyczne – co można powiedzieć o samej relacji? Jest oczywiste, że nagrania nie

dokonano w czasie, o którym autorka opowiada, ponieważ, jeśli mówi prawdę, nie miałyby dostępu ani do aparatury, ani do samych taśm, nie mówiąc o możliwości ich ukrycia. Poza tym narracja owa odznacza się pewną refleksyjnością, która według mnie wyklucza taką jednoczesność. Charakteryzuje ją też atmosfera pewnego spokoju, typowa dla relacji przekazywanych *post factum*.

Uznaliśmy, że gdyby udało się ustalić tożsamość narratorki, byłibyśmy na najlepszej drodze do znalezienia odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób powstał ten dokument – jak pozwolę go sobie dla uproszczenia nazwać. Próbowaliśmy dwóch metod.

Po pierwsze, za pomocą starych planów miasta Bangor usiłowaliśmy zidentyfikować mieszkańców domu, który musiał stać wówczas w miejscu znalezienia taśm. Prawdopodobnie, rozumowaliśmy, musiał to być jeden z domów „bezpiecznych”, położonych na trasie Podziemnego Szlaku Kobiecego, gdzie najpewniej na strychu czy w piwnicy przez kilka tygodni czy miesięcy ukrywała się autorka tej relacji i gdzie miała okazję dokonać tych nagrań. Naturalnie nie można wykluczyć, że taśmy zostały tu skądś przyniesione. Mieliśmy nadzieję, że uda nam się znaleźć potomków hipotetycznych mieszkańców tego domu, którzy naprowadziliby nas na inne materiały – być może dzienniki czy nawet jakieś rodzinne anegdoty przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Niestety, ten trop prowadził donikąd. Jest całkiem prawdopodobne, że ci ludzie, jeśli rzeczywiście stanowili jakieś ogniwo w łańcuchu podziemnej organizacji, zostali aresztowani, a w tym przypadku wszelkie rodzinne papiery musiały zostać zniszczone. Dlatego przyjęliśmy drugą metodę. Badając dokumenty

z tego okresu, staraliśmy się powiązać znane postacie historyczne z osobami występującymi w relacji naszej autorki. Dokumenty z tamtych czasów są niepełne, ponieważ reżim gileadzki miał zwyczaj usuwać różne dane z pamięci swoich komputerów i, po różnych czystkach i wewnętrznych zamieszkach, niszczyć wydruki, niektóre z nich jednak przetrwały.

Część została przemycona do Anglii, gdzie była używana do celów propagandowych przez różne organizacje Ochrony Praw Kobiety, których w owych czasach na Wyspach Brytyjskich nie brakowało.

Niewielką mieliśmy nadzieję, że ustalimy tożsamość samej narratorki. Było dla nas jasne na podstawie dowodów wewnętrznych, że musiała się znaleźć w pierwszej fali kobiet rekrutowanych do celów reprodukcyjnych i przydzielanych tym, którzy potrzebowali takich usług i jako członkowie elity mogli sobie na nie pozwolić. Reżim stworzył natychmiast taką pulę reproduktorek: unieważniono drugie małżeństwa i wszelkie związki nieformalne jako cudzołóżne, aresztowano kobiety i pod pozorem braku kwalifikacji moralnych odebrano im dzieci, które adoptowali następnie bezdziejni prominenci. (W okresie środkowym rozciągnięto tę metodę na wszystkie małżeństwa niezawarte w Kościele państwowym). Wysoko postawieni w hierarchii mężczyźni mogli sobie w ten sposób wybierać spośród kobiet, które urodzeniem jednego czy więcej zdrowych dzieci potwierdziły swoją przydatność jako reproduktorki, co w dobie spadającego przyrostu naturalnego było niesłychanie wysoko cenione nie tylko w Gileadzie, ale także i w większości północnych społeczeństw aryjskich tamtych czasów.

Przyczyny tego spadku urodzin nie są dla nas do końca

zrozumiałe; nie bez wpływu na to była z pewnością znaczna dostępność środków antykoncepcyjnych, jak również – w okresie pregileadzki – legalność dokonywania aborcji. W niektórych więc przypadkach bezpłodność była zamierzona – i stąd różnice w statystykach aryjczyków i niearyjczyków – ale w innych nie. Nie muszę chyba Państwu przypominać, że były to czasy szerzenia się syfilisu i niesławnej epidemii AIDS, które objąwszy szerokie kręgi młodych, seksualnie aktywnych ludzi, zmniejszyły pulę reprodukcyjną. Duża śmiertelność wśród niemowląt, poronienia, wady wrodzone były powszechne i miały tendencję zwyżkową. Były to skutki wypadków w elektrowniach atomowych, strajków, sabotaży, typowych dla tego okresu przecieków z magazynów broni chemicznej i biologicznej, liczne występowanie wysypisk odpadów toksycznych, których były wtedy tysiące, legalnych i nielegalnych, w niektórych bowiem wypadkach spuszczano te ścieki po prostu do kanalizacji, a wreszcie niekontrolowanego użycia środków owadobójczych, herbicydów i innych aerozoli.

Bez względu zresztą na przyczyny, skutki były aż nazbyt widoczne i nie tylko reżim gileadzki na to zjawisko zareagował. Rumunia, na przykład, wyprzedziła Gilead, wprowadzając w latach osiemdziesiątych zakaz wszelkich form kontroli urodzin i przymusowe testy ciążowe dla żeńskiej części populacji, uzależniając awansy i wzrost zarobków od płodności.

Zapotrzebowanie na, jak bym to nazwał, usługi reprodukcyjne istniało już w okresie pregileadzki, kiedy to próbowano tak niedoskonałych środków, jak sztuczne zapładnianie, tworzenie specjalnych klinik, zajmujących się sprawami płodności czy wynajmowanie matek zastępczych. Dwa pierwsze sposoby, jako niezgodne z religią, zostały w Gileadzie zakazane, zalegalizowano

zaś i upowszechniono trzeci, o którym twierdzono, że znajduje precedens w Biblii; tak więc poligamię seryjną, tak częstą w czasach pre-gileadzkich, zastąpiono starszą poligamię równoczesną, praktykowaną zarówno we wcześniejszym okresie Starego Testamentu, jak i w dawnym stanie Utah w wieku dziewiętnastym. Jak nas uczy historia, każdy nowy system przejmuje pewne elementy starego, o czym świadczą chociażby pierwiastki pogaństwa we wczesnym chrześcijaństwie, jak również ewolucja rosyjskiego KGB, powstałego z carskiej tajnej policji; Gilead nie stanowił w tej sprawie wyjątku. Jego polityka rasowa na przykład była silnie zakorzeniona w okresie pre-gileadzkim i lęki o podłożu rasowym stały się napędem emocjonalnym, który zagwarantował dość łatwy sukces reżimowi.

Nasza autorka musiała być więc jedną z wielu jego ofiar i należy ją widzieć w szerokim kontekście historycznym. Cóż więcej o niej wiemy, poza znajomością jej wieku, pewnej charakterystyki fizycznej, która zresztą mogłaby się odnosić do każdego, i miejsca zamieszkania? Niewiele. Robi wrażenie kobiety wykształconej, o ile za osobę wykształconą można uznać kogoś, kto skończył którąkolwiek z północnoamerykańskich wyższych uczelni. (Śmiech, pomruki). Ale takich było wiele, co wcale nie ułatwia sprawy. Nie uważała za stosowne podać nam swego prawdziwego imienia, ale rzeczywiście wszelkie oficjalne dokumenty musiałyby i tak zostać zniszczone z chwilą jej znalezienia się w Centrum Reedukacyjnym Racheli i Lei. Takie imiona jak „Freda”, „Glena” czy „Warrena” nie wyjaśniają niczego – stanowią jedynie drugi przypadek imienia mężczyzny, do którego dziewczyna w danym momencie należała. Podręczne przybierały te imiona w chwili znalezienia się w domu swego Komendanta i porzucały z chwilą opuszczenia tego domu.

Inne imiona występujące w tekście są równie bezużyteczne z punktu widzenia identyfikacji i stwierdzenia autentyczności.

Poszukiwania „Łukasza” i „Nicka”, podobnie jak „Moiry” i „Janiny”, nie przyniosły rezultatów. Istnieje poważne prawdopodobieństwo, że są to pseudonimy przyjęte z myślą o bezpieczeństwie tych osób na wypadek znalezienia taśm. Potwierdzałoby to nasz pogląd, że taśmy nagrano na terenie Gileadu, a nie poza nim, w celu przeschumowania ich na użytek podziemia Mayday.

Po wyeliminowaniu powyższych ewentualności pozostała nam jedna. Otóż wydaje nam się, że gdybyśmy mogli zidentyfikować tajemniczego „Komendanta”, byłby to poważny krok naprzód. Uznaliśmy, że człowiek tak wysoko postawiony musiał być członkiem jednego z pierwszych, ściśle tajnych Banków Myśli Synów Jakuba, gdzie wykuwały się filozofia i struktura społeczna Gileadu. Te banki powstały wkrótce po zamrożeniu wyścigu zbrojeń supermocarstw i podpisaniu porozumienia w sprawie podziału na sfery wpływów, co pozostawiło mocarstwom wolną rękę w tłumieniu stale rosnącej liczby rozruchów bez żadnej ingerencji z zewnątrz. Oficjalne protokoły z posiedzeń Synów Jakuba zostały zniszczone po Wielkiej Czystce okresu środkowego, która zdyskredytowała i zlikwidowała znaczną liczbę pierwszych architektów reżimu Gileadu. Mamy jednak dostęp do pewnych informacji, zawartych w zaszyfrowanym dzienniku Wilfreda Limpkina, jednego z socjobiologów tamtych czasów. (Jak wiadomo, socjobiologiczna teoria poligamii naturalnej służyła jako uzasadnienie naukowe niektórych spośród dziwniejszych praktyk reżimu, tak jak wcześniejsze ideologie wykorzystywał w tym celu darwinizm).

Z materiałów Limpkina wiemy o istnieniu dwóch możliwych kandydatów, to znaczy tych, których pełne nazwiska zawierają element „Fred”: Frederick R. Waterford i B. Frederick Judd. Wprawdzie nie zachowały się zdjęcia żadnego z nich, ale Limpkin opisuje tego drugiego jako faceta nadętego i, cytując: „Kogoś, dla kogo gra miłosna to to samo, co rozgrzewka golfowa”. (Śmiech). Sam Limpkin nie przeżył długo powstania Gileadu, a jego dziennik zachował się jedynie dlatego, że autor przewidział swój koniec i umieścił go u swojej szwagierki, w Calgary.

Obaj, i Waterford, i Judd, mają pewne cechy, które by za nimi przemawiały. Waterford miał doświadczenie w badaniu rynku i, według Limpkina, był autorem projektu strojów dla kobiet. Od niego też wyszedł pomysł, żeby Podręczne ubierały się na czerwono na podobieństwo uniformów niemieckich jeńców wojennych w kanadyjskich obozach z okresu drugiej wojny światowej, jak również termin „Partycykucja”, zapożyczony z aerobiku, popularnego pod koniec wieku; zbiorowy ceremoniał z liną wywodzi się jednak od angielskiego wiejskiego obyczaju z siedemnastego wieku. „Wybawianie” też może być pomysłem Waterforda, chociaż do czasu powstania Gileadu praktyka ta, zrodzona na Filipinach, upowszechniła się jako sposób eliminowania przeciwników politycznych. Jak już w innym miejscu powiedziałem, w Gileadzie niewiele było rzeczy oryginalnych czy miejscowych – jego geniusz polegał na syntezie.

Judd natomiast wydaje się mniej zainteresowany sprawami reklamy, a bardziej taktyki. To on podsunął Synom Jakuba ponurą broszurę CIA, poświęconą destabilizacji obcych rządów jako podręcznik strategii, on też sporządzał wczesne listy proskrypcyjne co wybitniejszych „Amerykanów” tamtych czasów. Podejrzewa się,

że również Judd był reżyserem Masakry Dnia Prezydenta, co musiało wymagać maksymalnej infiltracji systemu ochrony Kongresu i bez czego konstytucja nigdy nie mogłaby zostać zawieszona. Był zarazem Judd autorem obu programów: Narodowej Ojczyzny i żydowskiego programu ludzi łodzi, jak również pomysłu prywatyzacji planu repatriacji Żydów, w wyniku którego niejedna łódź pełna Żydów została po prostu zatopiona w Atlantyku jedynie w celu zmaksymalizowania korzyści. Z tego, co wiemy o Juddzie, nie wywarło to na nim specjalnego wrażenia. Był to rzecznik twardej linii, do którego odnosiła się następująca uwaga Limpkina: „Naszym wielkim błędem było to, że nauczyliśmy ich czytać. Nigdy już tego błędu nie powtórzymy”.

To wreszcie Judd był odpowiedzialny za formę – choć nie jemu przypisać można wymyślenie nazwy – uroczystości Partycypacji, argumentując, że jest to nie tylko szczególnie odstrasżający i skuteczny sposób pozbywania się jednostek wywrotowych, ale że również może stanowić swego rodzaju zawór bezpieczeństwa dla elementów feministycznych w Gileadzie. Wiemy, jak ważną rolę odgrywały zawsze w historii kozły ofiarne; Podręcznym, utrzymywanym na co dzień w tak surowym reżimie, możliwość rozdarcia mężczyzny na strzępy własnymi rękami musiała szczególnie pomagać w rozładowywaniu napięć. Ta praktyka stała się tak popularna i skuteczna, że w okresie środkowym nabrała charakteru regularnego i odbywała się cztery razy do roku – z okazji przesilenia i równonocy. W tym ceremoniale pobrzmiwa echo obrządków poświęconych płodności z okresu wczesnych kultów bogini Ziemi. Jak słyszeliśmy wczoraj po południu podczas dyskusji panelowej, Gilead, choć niewątpliwie patriarchalny w swej formie, w pewnych swoich przejawach bywał matriarchalny

w treści, jak niektóre części podłoża, z którego wyrósł. Jak doskonale wiedzieli architekci reżimu, aby system totalitarny czy w ogóle jakikolwiek system dobrze działał, trzeba zapewnić przynajmniej nielicznym grupom uprzywilejowanych jakieś korzyści i swobody w zamian za to, co się im zabrało.

W związku z tym krótki komentarz dotyczący czegoś w rodzaju kobiecych oddziałów szturmowych zwanych Ciotkami. Judd – jak twierdzi Limpin – był zdania, że od samego początku najlepszym i najefektywniejszym sposobem kontrolowania kobiet między innymi w sprawach reprodukcji jest powierzenie tej kontroli samym kobietom. Historia zna wiele tego rodzaju precedensów: w gruncie rzeczy każde imperium – czy to powstałe drogą przemocy, czy w jakikolwiek inny sposób – w celu podporządkowania sobie tubylców posługiwało się ich ziomkami. W Gileadzie było wiele kobiet chętnych do służby w organizacji Ciotek albo z autentycznej wiary w to, co nazywały „wartościami tradycyjnymi”, albo po prostu dla korzyści. Kiedy trudno o władzę, nawet najmniejszy jej okrucieństwo stanowi pokusę. Czasami w grę wchodziły pobudki negatywne: wstępując do formacji Ciotek, kobiety bezdzietne, bezpłodne czy po prostu starsze a niezamężne unikały zesłania do osławionych Kolonii, których płynne populacje używane były głównie jako wymienne brygady do usuwania odpadów toksycznych, chociaż przy odrobinie szczęścia można było dostać pracę nie tak niebezpieczną, jak na przykład przy zbiorze bawełny czy owoców.

Pomysł, o którym wyżej, należał do Judda, ale realizacja wskazywałaby na Waterforda. Któż by inny z Banku Myśli Synów Jakuba wpadł na pomysł, że Ciotki powinny nosić imiona będące nazwami różnych produktów, przeznaczonych dla kobiet z okresu

tuż przedgileadzkiego, a więc dobrze znanymi i budzącymi zaufanie nazwami serii kosmetyków, kremów do ciast, mrożonych deserów czy nawet leków. Było to bardzo sprytne posunięcie, które utwierdza nas w przekonaniu, że Waterford, w swoim najlepszym okresie, był człowiekiem wielkiej błyskotliwości. Tak zresztą, jak i na swój sposób Judd.

Jak wiadomo, obaj ci dżentelmeni byli bezdzietni, a zatem uprawnieni do posiadania Podręcznych. Profesor Wade i ja w naszej wspólnej pracy zatytułowanej *Pojęcie nasienia we wczesnym Gileadzie* wysunęliśmy tezę, że obaj ci mężczyźni – podobnie jak wielu innych Komendantów – zetknęli się z powodującym bezpłodność wirusem, uzyskanym w wyniku tajnych genetycznych eksperymentów z dziecięcą chorobą „świnką” w okresie pregileadzkim; miał on służyć do skażenia kawioru przeznaczonego dla najwyższej rangi oficjeli w Moskwie. (Po podpisaniu porozumienia w sprawie podziału na strefy wpływów poniechano tych eksperymentów, uznano bowiem, że wirus ów, zbyt trudny do opanowania, stanowić może poważne zagrożenie, choć był nawet projekt rozpylenia go nad Indiami).

Ani jednak Judd, ani Waterford nie był żonaty z kobietą znaną jako Pam albo Serena Joy. To ostatnie wydaje się po prostu złośliwym wymysłem naszej autorki. Żona Judda nazywała się Bambi Mae, a Waterforda Thelma. Chociaż Thelma pracowała przez jakiś czas w telewizji i przypominała postać opisywaną przez autorkę. Wiemy to od Limpkina, który pozwolił sobie na kilka uszczypliwych uwag pod jej adresem. Sam reżim zresztą starał się tuszować takie nieortodoksyjne zachowania małżonek wywodzących się z elity.

Ogólnie rzecz biorąc, dostępne nam źródła wskazują raczej na

Waterforda. Wiemy na przykład, jaki go spotkał koniec: najprawdopodobniej wkrótce po wypadkach, opisywanych przez autorkę, zginął w jednej z wczesnych czystek oskarżony o tendencje liberalne i o to, że posiadał znaczny niedozwolony zbiór heretyckich materiałów ilustracyjnych i literackich oraz o to, że ukrywał wywrotowca. Było to w czasach, zanim reżim utajnił swoje procesy, tak więc oglądaliśmy te wydarzenia w telewizji satelitarnej w Anglii i teraz filmy te znajdują się na kasetach wideo w naszych archiwach. Zdjęcia Waterforda nie są dobre, ale wystarczająco wyraźne, żeby móc stwierdzić, że rzeczywiście był siwy.

Co zaś do owego „wywrotowca”, to mogła nim być z powodzeniem sama Freda, co by potwierdzał fakt jej ucieczki. Jest jednak bardziej prawdopodobne, że chodziło o Nicka, który, jak o tym świadczą same taśmy, musiał pomagać Fredzie w ucieczce. Sposób, w jaki mógł tego dokonać, każe przypuszczać, że był członkiem tajnej organizacji podziemnej Mayday, której nie należy utożsamiać z Podziemnym Szlakiem Kobięcym, ale która była z nim niewątpliwie powiązana. Ta druga organizacja miała na celu głównie pomoc, pierwszą można określić jako quasi-militarną. Wiadomo, że wielu wybitnych członków Mayday przeniknęło struktury władzy Gileadu i że człowiek na stanowisku kierowcy Waterforda musiał być naturalnie agentem, i to podwójnym. Tak więc Nick, podobnie jak inni kierowcy i służba, był niewątpliwie pracownikiem Oczu. Waterford z pewnością o tym wiedział, ale ponieważ wszyscy Komendanci wysokiego szczebla byli automatycznie szefami Oczu, nie zwracał na to uwagi i swobodnie dopuszczał się pomniejszych w swoim pojęciu wykroczeń. Jak większość najwcześniejszych gileadzkich Komendantów, później

usuniętych, uważał swoją pozycję za nienaruszalną. Środkowy okres Gileadu cechowała większa ostrożność.

Wszystko to są nasze domysły. Przyjmując, że idą one we właściwym kierunku i że Waterford był istotnie Komendantem, o którym mowa – i tak wiele pytań pozostaje jeszcze bez odpowiedzi. Niektóre z tych luk mogłaby wypełnić nasza anonimowa autorka, gdyby miała inne nastawienie. Mogłaby nam na przykład niejedno powiedzieć o działaniu imperium gileadzkiego, gdyby odznaczała się temperamentem reporterki czy szpiega. Czego byśmy dziś nie dali za choćby dwudziestostronicowy wydruk z osobistego komputera Waterforda! No cóż, musimy być wdzięczni i za te okruchy, jakie nam z łaski Bogini Historii przypadły.

Co do dalszych losów narratorki, są nam one nieznane. Czy przedostała się przez granicę na terytorium ówczesnej Kanady, a stamtąd do Anglii? Byłoby to rozsądne, jako że w Kanadzie, która wówczas nie chciała się narażać potężnemu sąsiadowi, zdarzały się obławy i przypadki ekstradycji takich uchodźców. Ale jeśli tak było, to dlaczego nie zabrała ze sobą tych taśm? Może jej wyjazd był nagły, może bała się wpadki? Mogła też zostać ponownie złapana. Jeśli bowiem dostała się do Anglii, to dlaczego nie opublikowała swoich materiałów, jak to robiło wielu? Może się bała represji na osobie Łukasza, uważając, że żyje (co mało prawdopodobne), czy na córce, jako że reżim gileadzki nie cofał się przed takimi metodami zniechęcania w przypadku nadawania tym sprawom nieprzyjemnego rozgłosu za granicą. Niejeden nieostrożny uchodźca dostawał przesyłkę ekspresową – dłoń, ucho czy stopę w opakowaniu próżniowym, ukryte na przykład w puszcze kawy. Albo może była jedną z tych zbiegłych Podręcznych, które

nie mogły się przystosować do samodzielnego życia w normalnym świecie, i stała się odludkiem? Nie wiemy.

Tak samo możemy się tylko domyślać motywów, dla których Nick zorganizował jej ucieczkę. Kiedy odkryto powiązania jej przyjaciółki Geny z Mayday, Nick sam znalazł się w niebezpieczeństwie, ponieważ jako członek Oczu doskonale wiedział, że Freda z pewnością będzie przesłuchiwana. Kary za potajemne stosunki seksualne z Podręcznymi były bardzo surowe i nawet status członka Oczu by go nie uratował. W „bizantyjskim” społeczeństwie Gileadu wszelkie wykroczenia bywały wykorzystywane przeciwko osobom, które się ich dopuszczały, przez ich tajnych wrogów w łonie reżimu. Nick mógł ją oczywiście sam zamordować, co byłoby z jego punktu widzenia rozsądniejsze, ale zawsze pozostaje jeszcze czynnik uczuciowy, ludzki, a jak wiemy, oboje sądzili, że Freda była z nim w ciąży. Który mężczyzna w Gileadzie wyrzekłby się możliwości zostania ojcem, co gwarantowało tak wysoką i cenioną pozycję? Zamiast tego wezwał więc interwencyjną grupę Oczu, która mogła, choć nie musiała, być autentyczna, ale w każdym razie pozostawała pod jego rozkazami. Mógł oczywiście w ten sposób ściągnąć na siebie nieszczęście. Ale tego też się nigdy nie dowiemy.

Czy nasza narratorka wy dostała się bezpiecznie do normalnego świata i stworzyła tam sobie nowe życie? Czy została schwytana w swojej kryjówce na strychu, aresztowana i wysłana do Kolonii albo do „Jezebel” czy nawet stracona? Posiadane przez nas materiały, choć na swój sposób bogate w informacje, w tej sprawie milczą. Możemy tę Eurydykę przywołać ze świata cieni, ale nie możemy jej kazać mówić. A kiedy zwrócimy oczy, by na nią spojrzeć, jej obraz będzie niby ulotne mgnienie. Jak wiedzą

historycy, przeszłość to jeden wielki mrok wypełniony echami. Dobiegają nas nawet i głosy, ale to, co chcą nam przekazać, spowija ciemność, z której pochodzą, i mimo usilnych starań nie zawsze możemy je rozszyfrować w jaśniejszym świetle naszego dnia.

(Oklaski).

Czy są jakieś pytania?

[*] Kali – bogini indyjska, żona Siwy, bogini śmierci o czarnym ciele, czerwonej twarzy i czterech ramionach, przedstawiana zawsze z naszyjnikiem z czaszek ludzkich. Składano jej krwawe ofiary z ludzi. Według religii hinduistycznej ostatnia i najgorsza epoka w rozwoju świata.

Opowieść Podręcznej

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

Motto

I Noc

1

II Zakupy

2

3

4

5

6

III Noc

7

IV Poczekalnia

8

9

10

11

12

V Drzemka

13

VI Dom

14

15

16

17

VII Noc

18

VIII Dzień narodzin

19

20

21

22

23

IX Noc

24

X „Zwoje duchowe”

25

26

27

28

29

XI Noc

30

XII „U Jezebel”

31

32

33

34

35

36

37

38

39

XIII Noc

40

XIV Wybawianie

41

42

43

44

45

XV Noc

46

KOMENTARZ HISTORYCZNY DO *Opowieści podręcznej*

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału
THE HANDMAID'S TALE

Korekta
Jadwiga Piller
Bogusława Jędrasik

Copyright © 1986 by O. W. Toad, LTD.
Copyright © for the Polish translation by Zofia Uhrynowska-Hanasz, 2017
Copyright © by Wielka Litera Sp. z o.o., 2017



Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa
www.wielkalitera.pl

Odwiedź
nas na 

ISBN 978-83-8032-172-4




Plik ePub przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl



SERIAL, KTÓRY OGLĄDA CAŁY ŚWIAT

OPowieść PODRĘCZNEJ

MARGARET ATWOOD

 WIELKA LITERA